

# Branki w jasyrze



DEOTYMA

# Branki w jasyrze

## PROLOG

Jesień 1240 roku była prześliczna, prawdziwie, jak to mówią, polska jesień. Już zbliżał się święty Michał<sup>1</sup>, a drzewa jeszcze nie żółkły ani nie czerwieniały. Spostrzeżenie to uczynił pielgrzym, idący z wolna brzegiem rzeki Ilżanki. Jak okiem sięgnąć, obie strony wody szumiały ostro pachnącym, nieprzejrzany borem. Nie była to jednak puszcza w najbliższym znaczeniu tego słowa; pod samowładnymi rządami przyrody można było gdzieś dojrzeć rękę człowieka, wywalczającą sobie bezpieczniejsze schronienie i piękny krajobraz.

Był poranek, kiedy pielgrzym przechodził koło Ilży. Pierścień wykarczowanych pól weselił duszę otwartym widnokregiem, grzędy warzywne i kwieciste bawiły oko bogactwem kolorów, drzewa owocowe, zgięte pod ciężarem plonu, przechylały się za parkany. Powietrze było pełne kurzawy i beczenia owiec. Klekotały drewniane kołatki u szyi opasłych krów, długie rzędy ulów gwarzyły brzęczącym sejmem. Wszystko się krzątało i pośpiewywało, a wśród tych błogosławieństw sam gród rozsiadł się na pochyłości góry, nad niebieskim jeziorem, rad z siebie i spokojny, bo murami opasał się od złych ludzi, a wieżami kościoła wznosił się do Boga.

Pielgrzym łamał sobie głowę, kto umiał tak mądrze to wszystko urządzić. Ale kiedy strażnik bramy miejskiej wyjaśnił z niejaką dumą, że Ilża należy do biskupów krakowskich, od razu przestał się dziwić.

Obszar pól skończył się bardzo prędko i pielgrzym wszedł znowu między czarne bory, których wówczas było tak wiele, że nikt się nimi nie zachwycał. Toteż w owych czasach karczowanie lasów było prawdziwą zasługą i najgwałtowniejszą potrzebą społecznego życia. Ile razy pień tysiącletni runął pod siekierą, nikt nie miał ochoty nad nim się rozrzewniać, a nawet byli tacy, co się cieszyli z upadku starego szkodnika, który kradł słońce i wysysał ziemię.

W lasach, które przemierzał pielgrzym, padło ich także niemało podczas torowania dróg biegnących na wszystkie strony. Jakże to były drogi, pożałuj Boże! Nikomu nawet nie przyszło na myśl, aby można było drogę wyrównać lub czymś wysypać. Stan jej zależał od pory roku, pogody i gruntu. Była zwykle bardzo wąska. Nikt nie potrzebował szerszej; wasąg<sup>2</sup> chłopski wszędzie się prześlizgnął, zimową porą zmieściły się tam saneczki. Wszystko, co żyło, jeździło konno; świeccy i duchowni, giermki i królowie, damy, nawet dzieci. A kto nie miał konia, szedł sobie jak nasz pielgrzym, podpierając się kijem i na krok nie odstępując szpary wyciętej w gęstwinie. Kto zboczył, ginął w morzu puszczo-  
czowym, a kto wiernie trzymał się dróżki, zawsze mógł być pewien, że w końcu dojdzie do zwodzonych mostów jakiegoś zamczyska albo, co jeszcze lepsze, do gościnnej furty klasztoru.

Pielgrzym już minął kilka zamków. Przed każdym chwilę przystanął. Głód i zmęczenie mu podszeptowały: może by tu wstąpić... Ale każda z tych siedzib wydawała mu się jakaś groźna i złowroźna. Czegóż mógł się lękać? Nic nie posiadał oprócz muszelek przyszytych do płaszcza i kilku medalików przypiętych do kapelusza. Nikt by się przecież nie pokusił na jego krzywy kostur ani latane sakwy pełne suchych okrajców chleba. Był

Obraz świata

Sielanka

Drzewo

Książka, Media

<sup>1</sup>zbliżał się święty Michał — dzień świętego Michała przypada w Kościele katolickim 29 września. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>wasąg — prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

osobą wszędzie mile widzianą, tak w chacie, jak na książęcych dworach. W czasach kiedy książki stanowiły istotną rzadkość, on był chodzącą księgą, lepszą jeszcze od pisanej, bo dla każdego dostępną. Jedni uczyli się z niej polityki, inni wyciągali powieści i poezje. Bywał za górami, za morzami! Spotkał papieża, Saracenów, na własne oczy widział cuda dziejące się przy grobach świętych albo znał takich, którzy je widzieli. Był na turniejach kastylijskich, a może na koronacji cesarskiej, znał melodię najnowszej ballady i wiedział, jak na obcych dworach ubierają się białogłowy. Każde odwiedziny takiego wędrowca zostawiały w umysłach ogromny zapas wiadomości, które kontemplowano powoli, bo musiały starczyć na długo.

Gdyby pielgrzym był rzeczywiście ubogi, jak się z pozoru wydawało, wszędzie wchodziłby z podniesionym czołem. Ale on posiadał skarb nieoceniony i truchłał, jak truchleje każdy, kto się nosi ze skarbem. W płaszczu miał zaszyte relikwie. A wiedział, że ludzie dla zdobycia relikwii na wiele się wazyli. Chodząc po obczyźnie słyszał, że często książęta wypowiadali sobie wojnę, aby zdobyć takie drogocенności, że używano różnych fortelów, aby je wykraść lub wyłudzić.

Pielgrzym nie bał się przydrożnych rabusiów, tych, co to pytają, gdzie kiesa, i łańcuchy z szyi zdzierają, ale bał się ludzi mądrych a przewrotnych, którzy przyjmują z otwartymi rękoma, stół zastawiają łakociami, częstują jakimś podejrzanym trunkiem, a gdy biedak uśnie jak zabity, skarby wypruwają z płaszcza, fałdy zaszywają i rano zapierają się wszystkiego.

Po południu doszedł do zameczku tak prześlicznego, że od razu powiedział sobie:

— Tu chyba sami dobrzy ludzie mieszkają.

Znużony siadł w gęstym zarośnięciu i zaczął się rozglądać z niewinną, ale gorącą zazdrością.

Pierwszym powodem zazdrości, jakiej doznał już na widok Ilży i jakiej doznawał wobec każdego grodu albo zamku, było poczucie bezpieczeństwa, takie wówczas rzadkie. W epoce nieustannych napadów, zdrad, odwetów i zasadzek, tylko ten, kto mieszkał w dobrej twierdzy, mógł spać spokojnie.

Zameczek, o szarych kamiennych ścianach i pięciu basztach, już z daleka przyciągał oczy. Wznosił się dziwnie hardo na wierzchołku wzgórza. Inne wyniosłości, lasami poszyte, zlewały się za nim w jedno tajemnicze tło. W dole, między zarośnięciem, przeblyskiwała jakaś rzeczka, może jeszcze Ilżanka, którą podróżny kilka razy tracił z oczu i odnajdywał. Z jej biegiem szła starannie wysadzona drzewami dróżka, która dalej nagłym skokiem przerzucała się na zamkową górę i żółtym wężykiem prowadziła do głównej wieży, najgrubszej i najwyższej. Jej wnętrze wypełniała sklepią brama z bronami i łańcuchami. Na szczycie powiewała chorągiew; znak, że pan zamku wrócił z wojny lub jeszcze na nią nie pojechał. Wokół chorągwi krążył nieustannie strażnik wieżowy, jedyny ruchomy element w tym obrazie. Jego broń i trąba to znikwały, to migotały w słońcu, kiedy przesuwiał się za zębatym murkiem, którym baszta u szczytu była obrębiona.

Każda z czterech wież, przykrytych strzelistymi, nierównej wysokości dachami, miała inny kształt i rozmiar. Jedna szczególnie przyciągała uwagę pielgrzyma. Była sześciokątna, prostopadła ze wzgórzem ścięta, a z jej piętra, wysoko, wysuwała się jeszcze okrągła wieżyczka, oparta na podstawie skręconej na kształt ślimaka. Z wieżyczki wybiegał półkolisty ganek, misternie dziergany w kamieniu. Na ganek wychodziło wąskie, długie okno, głęboko osadzone w murze i obramowane grubą rzeźbą, która w górze wiązała się łukiem. Tak, cała ta wieżyczka, bielejąca na ciemniejszym tle murów, wyglądała jakby kropielnica, którą zawiesił tam anioł; pod nią była tylko przepaść, a nad nią niebo.

Ale najbardziej zachwycał maleńki ogródek, rozciągający się na spadzistości góry, a w nim różne zioła, zapewne potrzebne do domowej apteczki, oraz krzewy. Ta ozdoba, i to nie za murami, świadczyła, że mieszkańcy musieli od dawna żyć w spokoju. Zamek chyba od lat nie doznał oblężenia.

Wszędzie znać było staranność ręki gospodyni, tak że pielgrzym powiedział sobie:

— Musi tu mieszkać piękna i cnotliwa niewiasta.

I jakby w odpowiedzi na to przypuszczenie, strażnik wieżowy uderzył w trąbę, oznajmiając nadjeżdżających gości. Po chwili otworzyły się drzwi wieżyczki i na ganek wyszła jasnowłosa, niebieskooka i wiotka niewiasta. Miała suknię lazurową jak niebo, przy szyi wyciętą w trójkąt ze złotym brzegiem, poniżej bioder przewiązaną błyszczącym pasem ozdobionym klejnotami. Na piersiach wyszyte były dwa herby. Jej głowę okrywał płaski

Bogactwo, Kradzież,  
Pobożność, Obyczaje

Strój, Pozycja społeczna

biret ze złotej lamy, objęty perłowym futerkiem, spod którego wysuwał się biały welonik. Drugi, pod spodem, obejmował lica i szyję, miękko jak obłoczek. Włosy jednak nie były zupełnie schowane i mimo przytulności osłonek, wily się przy skroniach złotymi kędziorkami. Ów spodni rąbek, nazywany podwijką, i dwoistość herbu na sukni pokazywały, że pani ta jest zamężna.

Za nią wybiegło dziecko w błękitnej sukience, z włosami także jasnymi, nawet jeszcze jaśniejszymi niż u niewiasty. Bujność tych włosów przechodziła zwyčajną miarę. Pukle, starannie pozwijane aż do pasa, tworzyły wokół ramion złoty, ciągle ruchomy płaszczyk.

Na ganku było dla dwojga za ciasno. Dziecko czepiało się poręczy, więc niewiasta wzięła je na ręce i tak stojąc, oprawiona w rzeźbę wieżyczki, przypominała pielgrzymowi święte posągi, które ówczesni mistrzowie umieli tak lekko i fantazyjnie przystawiać do gotyckich filarów.

Z lasu wyjeżdżał orszak myśliwych; prowadziła go białogłowa. Niósł ją kary koń z białą strzałką na czole i szyją o łabędzych ruchach. Był ognisty, jakby stworzony dla owej amazonki, której uroda łączyła w sobie potęgę i delikatność. Pomimo postawy siedzącej widać, że niewiasta była wysoka i majestatyczna. Suknia, jakby ulana, dokładnie rzeźbiła jej kształty. Rękawy, szczelnie obcisłe, odmienne od całej sukni, mieniły się kolorową jedwabną tkaniną, która była przedmiotem rzadkim i kosztownym. Gęste brwi, długie rzęsy, grube warkocze łowczyni zdawały się sobolowe. Była przetowłosa<sup>3</sup>, bez rąbków<sup>4</sup> i białych obwiązek. Warkocze spuszczały się jak dwie wstęgi od skroni i spadały na piersi, a wokoło głowy biegł cienki, złotolistny wianuszek. Takie upięksenie oznaczało pannę. Nielatwo było jednak te szczegóły dojrzeć, bo osłaniał ją ogromny, zielony płaszcz, z kapturem nasuniętym na głowę. Płaszcz spinały pod szyją dwie klamry, a że nie miał rękawów, dziewczyna odrzuciła go na obie strony, aby uzyskać swobodę ruchów. W jednej dłoni trzymała cugle, a na drugiej, nieco podniesionej i obciągniętej grubą rękawicą, siedział sokół.

Tuż za piękną łowczynią, o jakieś półtora kroku, jechał człowiek ubrany na czarno, z szarą drucianą koszulką na wierzchu, z grubym pękiem broni u pasa, z twarzą zwiędłą i posępną, a za nim kilku myśliwych odzianych brunatno, jak przystało ludziom późniejszego stanowiska. Uwijało się też dwóch paziów, zgrabnie opiętych w jaskrawe ubiory.

Wszyscy długim wężem zaczęli wspinać się ku zamkowi. Wtem jeden z paziów, z figlarnymi oczami i czupurnym piórkiem u czapki, dostrzegł wędrowca siedzącego w gąszczu. Skreślił konia, stanął i zaczął się przyglądać z rodzajem niedowierzania. Przybysz miał nogi założone na krzyż, a trzeba wiedzieć, że tej postawy, nazbyt wygodnej według ówczesnych wyobrażeń, używali tylko pielgrzymi i uczestnicy wypraw krzyżowych powracający z Ziemi Świętej.

Wędrowiec, widząc niepewność pazia, kiwnął głową i odezwał się:

— Tak, tak, idę z Jerozolimy, prosto od Grobu Pańskiego.

Na te słowa paź zeskoczył z konia, zaczął całować płaszcz pielgrzyma i dopypywać się:

— Jak to tam jest w tej Jerozolimie?

Ale pielgrzym nie myślał dla jednego słuchacza szafować skarbami wspomnień. Wołał sam się czegoś dowiedzieć. Zapytał, jak się nazywa zamek, kto go zbudował i do kogo należy.

— Miejsce, które widzicie, to jest Żegnana Góra albo inaczej Żegnaniec — wyjaśniał paź. — Od czego powstała ta nazwa, różnie ludzie mówią. Wedle jednych, w dawnych czasach, jeszcze za pogaństwa, stała tu świątynia, w której czarci mieli gniazdo. Ale kiedy król Chrobry sprowadził benedyktynów na Łysą Górę, zdarzyło się, że jeden z zakonników przechodził tędy nocą i zobaczył na górze gmach cały ognisty, od którego biła luna, jakby od siedmiu księżyców. To czarci z wiedźmami tak się bawili, że od huku wszystkie drzewa się trzęsły. Benedyktyn widząc, iż wołaniem licha nie wypłoszy, przeżegnał górę znakiem krzyża świętego i wnet cały gmach zapadł się z trzaskiem, a miejsce nazwano „Zażegnanym”. Inni znowu mówią — ciągnął paź — że sto lat temu książkę Henryk San-

<sup>3</sup>przetowłosa (daw.) — z niezwiązanymi i niczym niezakrytymi włosami. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>rąbek — daw. element stroju, chusta osłaniająca głowę kobiety. [przypis edytorski]



domierski<sup>5</sup>, jadąc tędy na łowy, zasnął na tej górze, a we śnie zobaczył świętego Piotra, który go tak ogniem przeżegnał, że mu zostawił na piersiach krwawy krzyż.

Jak tylko się książę obudził, zaraz domyślił się, co taki sen znaczy. Ze szkarłatnego sukna wykroił sobie krzyż i zebrawszy towarzyszy, wyprawił się na krucjatę.

Jeden z owych towarzyszy wrócił tutaj, zbudował zamek i na pamiątkę sennej wypowiedni dał mu nazwę „Przeżegnaniec”. Dziś tu mieszka wnuk, Sulisław na Żegnańcu, waleczny rycerz, pan możny i sprawiedliwy. W domu rządzi zacna żona, pani Elżbieta, ta właśnie nadobna niewiasta, która przed chwilą wyszła na ganek. Sądziła pewnie, że już wraca małżonek, ale on jeszcze zabawił w lasach. Wrócił tylko orszak panny Ludmiły, dziedziczki na Srebrnym Potoku, Białej Górze, Czarnolesiu i wielu innych włościach. Dwa rody się na niej kończą.

Sierota chowała się u norbertanek, a teraz stryjowie oddali ją pod opiekę pani Elżbiety. Czas, aby sobie wybrała małżonka, ale ona jakoś nie może się zdecydować, a prawdę mówiąc, i całemu dworowi niezbyt pilno do tej godziny, bo przy naszej pani nam dobrze, a jaki będzie pan — nie wiemy. — Paż chętnie by jeszcze opowiadał, ale podróżny mu przerwał. Dowiedziawszy się, że w zamku bawią same niewiasty, na których miłosierdzie każdy ubogi zwykł liczyć, śmielej poprosił o gościnę.

Paż oświadczył, że zapyta o pozwolenie naczelnika zamku, Ruperta, który w czasie nieobecności pana musi o wszystkim wiedzieć, i co żywo puścił się ku bramie.

Pielgrzym ukrył twarz w dłoniach i pomyślał: Czym te białogłowy zasłużyły się Bogu, że je tak bez miary obdarował? A ja, biedak, nigdy nikomu wody nie zamąciłem, a los mnie od maleńkości tak prześladowuje... Z tych gorzkich rozmyślań zbudziły go obce głosy. Paż wracał podskakując, za nim szedł Rupert, w którym podróżny rozpoznał owego posępnego jeźdźca w drucianej koszulce. Dowódca załogi zmierzył wędrowca od stóp do głów, chcąc zapewne ocenić, czy nie jest to niebezpieczny włóczęga. Niesłychane trudy zamorskich pielgrzymek nadały podróżnemu wiek nieokreślony; niezatarta pańskość przebijająca przez jego biedne szaty i znękanie rysy i trochę go onieśmiała. Toteż jeden błysk oka wystarczył biegłemu znawcy, by ocenić gościa. Rupert zaprosił go z uszanowaniem i podprowadził pod górę.

Przeszli przez sklepioną, podpartą pękatymi słupami sień i stanęli w drzwiach długiej, wąskiej sali. W jednym jej końcu świeciło strzeliste, podobne do kościelnego okno, a w drugim otwierał się kominek, tak ogromny, że zajmował prawie całą ścianę. Z jego huczącej gardzieli, nastroszonej całą furą drzewa, buchał płomień jak z kuźnicy.

Niezmiernie miły był widok ognia. Przy niesłychanej grubości kamiennych ścian, które nigdy nie mogły ogrzać się do rdzenia, przy wąskich oknach, przepuszczających niewielką smugę światła, w zamkach najczęściej panował piwniczny chłód.

Środkiem sali biegł długi, wąski, na kozłach układany stół, wokół niego stały dębowe zydle. Na ścianach wisiały rogi różnych leśnych bestii i pęki rynsztunku. Po obu stronach kominka rozpierały się ławy o wysokich oparciach, narzynane we wzory, podobne do stalli. Między nimi, przed samym ogniskiem, siedział na niedźwiedziej skórze śliczny chłopczyk i bawił się z ogromnym, czarnym psem. W środku sali, przy stole, pielgrzym spostrzegł dwie białogłowy, które teraz, na tle czarodziejskiego oświetlenia, wydawały mu się jeszcze piękniejsze. Przyjęły go z czcią należną człowiekowi, który własnymi stopami dotknął Golgoty.

I on też, jako doświadczony bywalec, umiał od razu ująć niewieście serca. Kiedy stanął przed chłopczykiem, oświadczył, że jak żyje, nie widział takich pięknych włosów, czym wielce pogłaskał macierzyńską dumę Elżbiety. Ludmile przypatrywał się uporczywie, aż w końcu się zmieszała. Wtedy zaczął ją przeproszać, wyznając na swoje usprawiedliwienie, że mu dziwnie przypomina regentkę Francji, sławną Blanę Kastylską<sup>6</sup>, którą przed rokiem miał szczęście oglądać w Paryżu. A że cały świat wiedział, jakim Blanka była uosobieniem urody i rozumu, piękna łowczyni zarumieniła się i dziękując skinęła głową.

Po takim wstępie wszystko poszło gładko. Wprawdzie Rupert stał ciągle przy drzwiach i swoją posępnością gasił zgromadzenie, ale w sali byli też inni, pogodniejsi domowni-

Gość, Dom

<sup>5</sup>Henryk Sandomierski (ok. 1130–1166) — książę sandomierski, syn Bolesława III Krzywoustego. Uczestniczył w wyprawie krzyżowej w 1154 roku. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Blanka Kastylska a. Blanka Kastyljska, hiszp. Blanca de Castilla (1188–1252) — córka Alfonsa VIII, władcy Kastylii, żona króla Francji Ludwika VIII. [przypis edytorski]

cy, z białymi wąsami i pocziwymi twarzami. Poufałe, czasem i krotochwilne słówka, wtrącane przez nich do rozmowy, dowodziły, że to dom, w którym służba oprócz chleba otrzymuje serce...

Najstarsza ochmistrzyni, w siwym kożuszku, obwiązana białymi chustami, siadła w kącie, by przuć kądziel, ale zdaje się, że przez cały czas trzymała ją nieruchomo; tak była zapatrzona w pielgrzyma. Wkrótce weszła dziewczyna ze srebrną miednicą pełną wody pachnącej lawendą. Mężczyzna z rozkoszą umył ręce i wytarł je w biały, lniany, wykończony przeslicznym haftem ręcznik. Po czym sama pani zamku podała mu złocistą czaszę pełną cypryjskiego wina. W końcu zaproszono go do stołu. Miejsce miał zaszczytne, w najwyższym rogu. Obie panie usiadły po dwóch stronach. Nic nie jadły, ale częstowały jak należy. Zaczęły od pytania: czy gościowi wolno spożywać mięso i łakocie? Okazało się, ku zadowoleniu gospodyni, że nie jest związany żadnym nadzwyczajnym postem, bo jego pielgrzymka nie była pokutą, ale ślubem złożonym w nieszczęściu. I powoli zaczął opowiadać swoje dzieje...

— W niemowlęctwie straciłem matkę. Wychowywał mnie bogaty ojciec w potężnym zamku. Pewnej nocy sąsiad, odwieczny wróg rodu, napadł na zamek, zamordował ojca, a włości zagrabił. Tułałem się po kryjówkach, szukałem pomocy u możnych, ale że było to na Mazowszu, pod rządami księcia Konrada<sup>7</sup>, u którego nikt nie mógł dostąpić sprawiedliwości, odtrącano dziecko, które nie miało czym zapłacić ani jak odsłużyć.

Na wzmiankę o księciu Konradzie obie panie smutnie pokiwały głową i zamieniły znaczące spojrzenie.

— Otóż — ciągnął pielgrzym — widząc, że u ludzi nic nie wskóram, zwróciłem się ku Ojcu niebieskiemu. Ślubowałem, że pójdę aż do Jeruzalem na intencję, aby mi kiedyś zwrócono ojcowiznę. I poszedłem. I oto jestem z powrotem. Ja zrobiłem swoje, a teraz — dodał — zobaczymy, czy Pan Bóg zrobi swoje. — Słowa te brzmiały hardo, ale tchnęły ślepym zaufaniem w opatrność.

Pani Elżbieta dołała gościowi wina i z westchnieniem rzekła:

— Ach, na ludzi trudno liczyć. Książę Konrad w najlepsze jeszcze gospodarzy i podobno coraz większe sieje zgorzenie. Ale dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. On i ze skały żywy zdrój wyprowadzi. — To powiedziawszy, zawahała się przez chwilę i zamilkła, wstrzymując na ustach jakieś pytanie.

Elżbieta była ciekawa (i nie tylko ona), z jakiego rodu pochodzi podróżny. Jego wspomnienia świadczyły, że ród był szlachezny. Nie wymienił go ani razu! Czy z chrześcijańskiej pokory? A może z dumy? Wstydział się swojego poniżenia? W każdym razie gościnność i poszanowanie dla nieszczęścia nie pozwoliły Elżbiecie zadać tego pytania.

Tymczasem gość używał posiłku sownie, chociaż bardzo powoli. Po jagłach i rzepie, jakimi go najczęściej karmiono, niezwykle mu smakowały białe, rozplywające się w ustach kuraki, dziczyzna suto przyprawiana korzeniami, a nade wszystko placek przekładany miodem i udekorowany jagodami, do którego roboty sama pani zamku się przyznała.

Po krótkiej modlitwie dziękczynnej panie podprowadziły gościa do kominka, ławę wysłały kobiercem, niedźwiedzią skórę podsunęły mu pod nogi, a same siadły naprzeciwko. Kapelan zamkowy, ciekaw wieści z Ziemi Świętej, zajął miejsce przy gościu, na ławie z kobiercem. Nawet mały Jaś, ośmielony pochwałami, zostawił czarnego Burka i zajął się kapeluszem wędrowca.

W sali przybywało słuchaczy. Panienci służebne wsunęły się cichutko i zajęły miejsca pod ścianami, przyszło też kilku kuchcików i żołnierzy, a reszta przez otwarte drzwi wsadzała ciekawskie głowy. Przy mroku ogarniającym salę całe to zgromadzenie byłoby prawie niewidzialne, gdyby nie szmery uwielbienia, podziwu lub strachu, którymi tłum się zdradzał, słuchając pielgrzyma.

<sup>7</sup>Konrad Mazowiecki (ok.1188–1247) — współrządca w Małopolsce, na Mazowszu i Kujawach, następnie władca innych licznych ziem, między innymi ziemi chełmińskiej i kujawsko-mazowieckiej. Znany ze sprowadzenia do Polski zakonu krzyżaków. [przypis edytorski]

Bo też niesamowite opowiadał rzeczy! O sławnym sultanie Saladynie<sup>8</sup>, który był tak pobożny, że i w podróży, siedząc na wielbłądzie lub jadąc konno na bitwę, czytał Koran. Mówił także, jak to teraz na Wschodzie łatwo zdobyć królestwo.

— Korony rosną tam jak grzyby. Pewien prosty rycerz pojechał na krucjatę i nie wraca, nie wraca. Żona w głowę zachodzi, chce już za jego duszę na mszę ofiarować, nie ma czym dzieci żywić, a tu zjawia się od męża poseł z wiadomością: „Żono kochana, zabieraj się z dziećmi i przyjeżdżaj co żywo. Zostałem cesarzem Trebizondy<sup>9</sup>”.

Słuchacze otwierali usta, a ich oczy błyszczały z zazdrości. Ale kiedy zaczął opowiadać o mękach, jakie znoszą nieszczęśliwi pielgrzymi od synów piekielnego Mahometa, o trzęsieniach ziemi w Palestynie, o dziwnych owocach, rosnących nad Morzem Martwym, które są podobne do soczystej gruszki, a po nadgryzieniu usta zasypują popiołem, o Tatarach<sup>10</sup> i Mongołach<sup>11</sup>, którzy myślą całą ziemię zawojować, wtedy wszyscy jęknęli, nawet Jaś, wypuściwszy z ręki kapelusz, wlepił w pielgrzymia osłupiałe oczęta.

Mieszkańcy zamku słuchaliby do nocy tych opowieści, ale pielgrzym zobaczył przez okno czerwono zachodzące słońce; czym prędzej zerwał się ku wyjściu, bo został mu jeszcze porządny kawał drogi do klasztoru, w którym miał spędzić noc i z przeorem radzić o swej przyszłości.

Ruszyli się wszyscy, a pierwsza pani zamku, aby spakować pożegnalne dary. Rozczulony pielgrzym nie wiedział, jak dziękować i czym się odplacić. Zdarł ze swego ubrania muszelkę dla Jasia, domownikom dał kilka poświęconych krzyżyków i cały czas zastanawiał się, co ma ofiarować paniom? Na szczęście przyszła mu do głowy dobra myśl. Sięgnął do zanadru i wydobyl małą paczuszkę. Wszyscy zaglądali ciekawie, a on powoli, ostrożnie odwijał płatek po płatku, aż wyjął gałązkę, zupełnie martwą, szarą jak ziemia, zwiniętą w kłębuszek.

— Czym można was obdarzyć, moje zacne i urodziwe dobrodziejki? Czegóż wam brakuje? Macie wszystko, czego ciało i dusza zapagnie. Macie życie usłane różami... — zawiesił głos na chwilę, jakby czekał na potwierdzenie ze strony dobrodziejek. Ale one nie wyrzekły ani słówka. Podniosły ku niemu wzrok żalony, wyraźnie przeczący. — Słyszałyście kiedy o róży jerychońskiej? — zapytał pielgrzym.

— A juści, to podobno kwiat Matki Boskiej — odezwało się kilka nieśmiałych głosów.

— Tak, to jest kwiat Matki Boskiej, kwiat niebiański. Otóż to jest właśnie róża jerychońska. Taka, jaka rośnie na ziemi, ale tylko na Ziemi Świętej, pod Jerycho<sup>12</sup>, którego mury rozpadły się na dźwięk trąb Jozuego.

Byłem tam. Na własne oczy widziałem kamienie, leżące jeszcze w poczerniałych kupach. Wokół miasta — pustynia. Gdzieniedzie kępami rosną palmy. Wszędzie piasek, żółty jak złoto, a na piasku leżą takie oto różyczki. Tę, którą widzicie, własnymi rękami wyjąłem, a nietrudno wyjąć, bo ten kwiat wcale nie wrasta w ziemię. Na wierzchu tylko trochę trzyma się piasku, zaczepiony łodyżką jak haczykiem. Toteż lada wiatr go wyrывa i roznosi po Ziemi Świętej. Nie zawsze miał taką nazwę. Dawniej to był kwiat Ewy, matki rodzaju ludzkiego. Powiadają, że kiedy cherubin, uzbrojony mieczem gorejącym, wypędził pierwszych rodziców z rajskiego ogrodu, biedny Adam był tak przygnębiony, że już na nic nie patrzył. Szedł z oczami wlepionymi w ziemię, więcej podobno żałując straconej łaski Pana Boga niż wszystkich skarbów Edenu. Ale zapobiegliwa Ewa koniecznie chciała coś zabrać na nowe gospodarstwo. Nie było łatwo! Cherubin patrzył ognistymi oczami.

<sup>8</sup>Saladyn (1138–1193) — założyciel sunnickiej dynastii Ajjubidów, rządzącej w latach 1174–1342 ziemiami na pld. wybrzeżach Morza Śródziemnego i terenami wokół Morza Czerwonego. Cieszył się dobrą sławą w Europie, szanowany przez krzyżowców jako godny przeciwnik w walkach o Jerozolimę. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Trebizonda a. Trapezunt, dziś Trabzon — miasto nad brzegiem Morza Czarnego, dziś w pln.-wsch. części Turcji, dawniej stolica Pontu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Tatarzy — tu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Mongolowie — jeden z ludów Wielkiego Stepu, dominujący w XIII-wiecznym imperium mongolskim, uważanym do dziś za drugie co do wielkości państwo świata, ustępujące tylko imperium brytyjskiemu. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>pod Jerycho — dziś popr. forma odmienna: pod Jerychem. [przypis edytorski]

Jednak tuż przy samej bramie rajskiej uszczknęła jedną małą różyczkę, którą schowała w dłoni...

Róża, przesadzona z raj na ziemię wygnania, straciła całą krasę, skurczyła się i zupełnie uschła. Jednak nie pozbyła się swej nieśmiertelności. Rosła dalej, ale szara i karłowata.

Po wielu tysiącach lat Maryja i Józef wracali z Egiptu. Jezus, biegając po pustyni, zerwał kilka martwych gałązek. Siadł przy drodze i zaczął pleść z nich koronę dla matki. A gdy pomyślał, że to grzech sprawił śmierć owego kwiatka i że przyjdzie go na krzyżu odkupić, to na płacz mu się zebrało. Boskie łzy upadły na gałązkę i stał się cud. Róża ożyła w mgnieniu oka. Pojawiły się liście i kwiaty. I kiedy Jezus włożył matce na głowę koronę, to już zieloną i kwitnącą. Odtąd cud się powtarza, bo w rękach Pana Jezusa klątwa grzechu pierworodnego ustala nad kwiatem i nad ludźmi. Już nawet nie potrzeba łez, ale kilka kropel wody, żeby róża ożyła.

— Jak to wody? Zwyczajnej wody?

— Tak! Patrzcie, tę gałązkę zerwałem przed dwoma laty. Wszak zeschnięta jest jak wiór. Gdy włożycie ją w miseczkę z wodą, zobaczycie, co się stanie!

— No, co? Co? — pytano dokoła.

— Nie upłynie połowa, ale gdzie tam, ćwierć dnia, a ten wiórek zmięknie, pokurczone gałązki się wyprostują i rozwiną w szeroki krzaczek. Teraz można go schować w dłoni, a potem dwiema rękami ledwie się go zakryje. Gdy wyjmiecie go z wody, uschnie. Włożycie po raz drugi, znowu się rozwinie. Tak samo będzie za rok, za dziesięć lat, za sto, zawsze.

— A to dziwne! Niepojęte! — wołali słuchacze.

— Proszę dobrodzieja — wtrąciła ochmistrzyni — a nie lepiej tę różę zasadzić na grządce albo włożyć w doniczkę?

— A, moja matulu — odparł pielgrzym z uśmiechem — to nie byłaby sztuka. Na grządce lub w donicy każde ziele wyrośnie. A tu chodzi o rzecz cudowną! Ta róża nie jest kwiatkiem ziemskim, więc nie trzeba jej ziemi. Wystarczy, aby kilka kropel przypomniawszy jej łzy Jezusowe, a budzi się, jakby wskrzeszona. W tym kwiatku jest wielka dla nas pociecha; umiera i zmartwychwstaje. Pokazuje, czym jesteśmy i czym zostaniemy. Dawniej kwiat Ewy, dzisiaj kwiat Maryi!

Nastąpiło milczenie. Po chwili przerwała je piękna łowczyni:

— Jeszcze chciałabym coś wiedzieć... Mówiliście, że róża, włożona w wodę, robi się jak żywa i podnosi gałązki. Ale czy wypuszcza świeże listki, czy kwitnie?

— O... to cud rzadszy — odpowiedział pielgrzym z wahaniem. — Jednak słyszałem, że i to się trafia. Kiedy Matka Boska chce komuś okazać wielką łaskę, pozwala, aby róża wypuściła listki i białe kwiaty. Ale taka łaska jest bardzo rzadka. Błogosławiony ten dom, w którym róża jerychońska zakwitnie — rzekł pielgrzym, wręczając Elźbiecie gałązkę. — Oby wam zakwitła i przyniosła szczęście!

Kiedy minął bramę i znalazł się za mostem, znowu usłyszał trąbę z wieży. Rozejrzał się na wszystkie strony, aby znaleźć przyczynę owego trąbienia i u stóp góry dostrzegł myśliwych, tłumnie wysuwających się z lasu.

Na czele jechało dwóch wspaniałych mężów; jeden w czerwonym, drugi w białym płaszczu. Wiatr czasem igrał z ich połami, a wtedy można było rozeznaczyć uzbrojenie jeźdźców; u lewego boku świeciły długie, szerokie miecze, z rękojeścią w krzyż, a u prawego wisiły kołczany, w tej chwili puste. Polowanie musiało być udane.

Za nimi podążali dwaj giermkowie, trzymający pańskie włócznie i łuki, dalej strzelcy i oblawnicy, w kozuszkach i włochatych skórach. Jedni mieli proce, topory, długie noże, inni proste oszczepy w ogniu osmalone. Było ich tak wielu, że pierwsi już zaczęli wspinać się pod górę, gdy ostatni dopiero wyjeżdżali z kniei.

Pielgrzym nie miał ochoty spotykać się na wąskiej drodze z tyloma jeźdźcami, którzy mogliby go stratować. Postanowił zejść z góry inną drogą i szukając jej, zaczął krążyć wokół zamku.

Nagle usłyszał jakieś łkanie. Przystanął nasłuchując, skąd ów płacz pochodzi. Wyrażnie szedł od strony zamku. Ciekawość zwyciężyła. Wszedł na wały i przyczajony pod krzakami zaczął wodzić wzrokiem po murach, które sterczały tuż nad rowem. Teraz poznał: głos pochodził z wąskiego, wysokiego okna. Okiennica była otwarta. Pielgrzym,



dobrze wpatrując się w kratę, mógł z łatwością poznać wnętrze. Była to ta sama sala, w której go przyjmowano i z której przed chwilą wyszedł.

Nieopodal okna obie dobrodziejki siedziały na krzesłach podobnych do tronów biskupich. Ludmiła oparła głowę na piersiach Elżbiety i zanosila się od płaczu. Tamta starała się ją uspokoić, jednak ciężko jej to przychodziło, bo i z jej oczu spadały perliste łzy.

— Co to wszystko znaczy? — dziwił się pielgrzym. — Czym te białogłowy mogą się martwić? Pewnie małżonek odmówił jakiegoś klejnotu albo rycerz zgubił wstęgę panny, a te zaraz, jak to białogłowy, w płacz. Nie umieją cenić darów bożych. Zadne, hojne, śliczne, ale cóż po tym, kiedy smutne. Szczęście je popsuło — oto cała rzecz. — Wzruszył ramionami i chciał o tym zdarzeniu zapomnieć, ale nie mógł. Już wszedł w ciemne lasy, już dzwonił do furty klasztornej, a jeszcze powtarzał: — Jak mi Bóg miły, nie rozumiem, dlaczego te białogłowy płaczą.

## KOLCE POD RÓŻAMI

Pan zamku, Sulisław na Żegnańcu, był człowiekiem bez zarzutu. Nie rozbijał się, nie przesładował swoich dłużników, nie oszukiwał wierzycieli. Co wieczór, modląc się głośno, zanosił do Boga jedną tylko prośbę, żeby mu pozwolił umrzeć nie w łóżku, ale w szczerym polu, za kraj i za wiarę.

Miał więc pan na Żegnańcu piękne i rzadkie przymioty, miał też i niejedno „ale”. Umiłowanie karności sprawiło, że w stosunkach z ludźmi był twardy, a w bliższym życiu trudny. Drżała przed nim żona, domownicy, żołnierze i włościanie. Ale Sulisław, porównując się z wielu gorszymi od siebie, sądził, że i tak jest aż nadto łaskawy dla tego „nędznego świata”, co tyle dobrodziejstw doznał od jego rodu, a tak mało potrafił je cenić.

Chlubił się dziadem, który z Henrykiem Sandomierskim jeździł na krucjatę, chlubił się ojcem, mężnie walczącym z Jadźwingami i Prusami. Zamknięty w ciasnym kółku rodzinnych wspomnień wyrobił sobie przesadzone pojęcie o znaczeniu i ważności swojego domu. Chyba tylko Piastom dawał pierwszeństwo. Nie lubił życia dworskiego, gdzie potężniejsze rody dobijały się zaszczytów. Wolał siedzieć w zamku; tu nikt nie odważył się przyćmiewać wielkości swego pana.

Kiedy się ożenił z Elżbietą, zaczął nieznacznie popuszczać cugli. Sam nie dostrzegając tej zmiany i nikt nie śmiał się z niej głośno cieszyć, w obawie, aby wszystkiego nie popsuć. Elżbieta wydawała się istotą lękliwą, zahukaną, zajęta jedynie pełnieniem mężowskiej woli. Było w niej tyle ciepła i spokoju, że wkrótce otoczyła się atmosferą, w której bezwiednie wszystkie serca miękły. Mąż powoli odkrywał w niej coraz to szacowniejsze zalety: wykształcenie, pracowitość, gospodarność... Na koniec odkrył trafność sądów, nawet w sprawach trudnych. Nieraz potajemnie zasięgał jej rad, i zawsze dobrze na tym wychodził. I tak w żegnanieckim zamku dni płynęły pogodnie. Aż do przyjazdu Ludmiły.

Dwóch stryjów, podstarzałych i bezżennych, którzy na Mazowszu słynęli z odwagi i hulaszczego życia, przysłało Ludmiłę do Żegnańca. Byli oni przyjaciółmi księcia Konrada. Od młodości wszystko z nim dzielili; złe i dobre. Ścinali łby pogańskie Prusakom, szamotali się z Piastowiczami — tymi, co nie chcieli ich kochanego Konrada uznać najwyższym panem, uganiali się za żubrami i niedźwiedziami w nieprzebytej Puszczy Wiskickiej, a w zamku plockim bawili żonę Konrada, sławną księżnę Agazję, która była piękna, ponętna i okrutna jak rzymska imperatorowa.

Na nieustannych bitwach, oblawach i biesiadach życie schodziło stryjom całkiem wesoło i byłiby zupełnie z tego świata zadowoleni, gdyby nie jedna troska, która się ich z dziwnym uporem trzymała. Wiecznie im brakowało pieniędzy.

Dopóki żył ojciec Ludmiły, człowiek nadzwyczaj bogaty, a przy tym mądry i gospodarny, w każdej trudnej sytuacji zwracali się do niego. Mogli nawet mieć nadzieję, że ich los się odmieni; zanosilo się na lepszą przyszłość. Ojciec Ludmiły miał kilku synów, którzy zmarli w dzieciństwie. Została tylko córka. Stryjowie nie życzyli nikomu śmierci, dobrze jednak wiedzieli, że gdyby po najdłuższym życiu „kochany bratunio” w drodze na tamten świat ich wyprzedził — mogliby, zgodnie z prawem, jedynaczkę wyposażyć ruchomościami i gotówką, a sami zagarnąć wsie, zamki i całą spuściznę. Jednak ojciec Ludmiły tak skrętnie zbieranego majątku nie miał ochoty oddawać w ręce marnotraw-

nych braci. Po stracie kilkorga dzieci całą miłość, dumę i marzenia złożył w jedynacze. Sporządził obszerny testament, gdzie za wiedzą i zgodą księcia Leszka Białego wszystkie swoje włości zapisał ukochanej córce, po czym zaczął dla niej upatrywać małżonka, co mógł czynić długo i z rozmysłem, bo Ludmiła była jeszcze dzieckiem.

Ale nim oblubienica dorosła, nim nad wyborem oblubieńca zastanowił się ojciec, przysłała po niego śmierć i dziewczyna została bez ojca i matki, tylko pod opieką stryjów, którzy sierotę umieścili u norbertanek w Witowie, a sami zajęli się gorliwie zarządzaniem majątku.

Wolę ojcowską znali wszyscy i przez dwór książećcy była zaakceptowana. Stryjowie nie mogli się jej sprzeniewierzyć; postanowili przynajmniej w pełni korzystać z lat opieki. Jednak mimo nowych dróg do bogactwa, mimo nie przebiegania w tych drogach, jeszcze nie mogli oczyścić własnych rachunków. Jeden zwłaszcza dług okrutnie im doskwierał. Zaciągnęli go niegdyś u Zyndrama z Czerwonej Rudy, rodzzonego brata Sulisława z Żegnańca.

Zyndram był potomkiem Kaina. Nie zadowalały go, jak stryjów Ludmiły, hulanki i popisy czczej odwagi; on lubił walkę — dla mordy, sprawy pieniężne — dla oszustw, przewrotności i zdrady. Pastwienie się nad innymi nazywał słusznym zwycięstwem siły nad słabością, a rozumu nad głupotą. W epoce powszechnych zamieszek nietrudno było znaleźć pole dla takich upodobań, a że swój swego i w korcu maku wyszuka, przyłączył się do szajki Bolesława Łysego, który tak nadokuczał ludziom, że go przezwano „rogatym diabłem” lub „Rogatką”.

W tej chwili Bolesław nie miał jeszcze tak osławionego imienia; był bardzo młody i rozpoczynał swoją złą sławę od różnych rabusiowych wypraw. Zyndram pomagał mu całą duszą.

Brat Sulisława był wdowcem. O tym wdowieństwie krążyły różne wieści. Mówiono, że śmierć jego żony nie była przypadkowa; że lochy jego zamku pełne są więźniów, a pan chętnie bawi się w kata. Niektórzy twierdzili nawet, że duszę zaprzedał Belzebubowi za złoto; bo jak człowiek, który nie gospodarował, tylko służył nie panującemu jeszcze księciu, mógł rok rocznie nowe wsie do dawnych przyłączać i do swego skarbczyka coraz to cięższe skrzynie zwozić?

Stryjowie Ludmiły, przy jakiejś wspólnej uczcie, poprosili Zyndrama o pożyczanie ośmiuset grzywien, które nie wiadomo kiedy w ich rękach stopniały. Wkrótce Zyndram zaczął się o dług upominać, nastawać, grozić, a groźby jego to nie były żarty. Ale pewnego wieczora, znów przy wspólnej uczcie, słysząc o wielkiej urodzie Ludmiły i jeszcze większych jej majątnościach, pan na Czerwonej Rudzie zaproponował:

— Dajcie mi — rzekł — waszą synowicę za żonę, a ja zapomnę o wszystkim. Wasz dług w jej posagu przyjmę i już nic sobie nie będziemy winni.

Pomysł niezmiernie spodobał się stryjom. Przystali, ledwo kryjąc radość tryskającą im z oczu. Wytargowali nawet jakąś drobną dopłatę za trudy opieki. Zyndram, zapalony opisem wdzięków i bogactw dziedziczki, chciał jak najszybciej zakończyć transakcję. Podano sobie ręce, kilkakrotnie potwierdzając obietnicę i tak na pijackiej uczcie został rozstrzygnięty los sieroty.

W każdym innym razie stryjowie odkładaliby zamęście Ludmiły. Teraz, napierani przez niecierpliwego Zyndrama, postanowili co prędzej zabrać ją z klasztoru. Pozostało tylko pytanie, gdzie ją tymczasem umieścić i urządzić swaty? Młodszy stryj miał ochotę zawieźć ją na dwór księżnej Agazji. Starszy zadrżał na myśl, aby gołąbkę wepchnąć w gniazdo wężowe i zapytał, czy nie byłoby najstosowniej oddać ją pod opiekę brata Zyndrama, Sulisława, i jego przezacnej małżonki. Dom był szanowany, a Zyndram u brata mógł bez przeszkody widywać swoją przyszłą żonę.

Niespodziewanie stryjowie pojawili się w witowskim klasztorze, zabrali zdumioną Ludmiłę i z licznym, prawdziwie pańskim orszakiem zawieźli do Żegnańca. Tam, po kilku dniach wesołej gościny, pewnego poranka zamknąwszy się na osobności z panem domu, oświadczyli uroczystie, że Zyndram poprosił o rękę synowicy, a oni, stryjowie i opiekunowie, zgodzili się na ten związek. Teraz już tylko przychodzi prosić o pozwolenie Sulisława, który będąc starszym bratem oblubieńca, też ma prawo głosu.

Sulisław z radością przyjął tę wiadomość; nie wahając się, dał swoje braterskie przyzwolenie. W głębi duszy niesłychanie odpowiadał mu ten układ, co spokrewnieniem

z chlubnymi imionami i wniesieniem ogromnych bogactw pomnażał świetność rodu i zarazem zapewniał bratu szczęście. Nie zastanawiał się, czy brat na to zasługuje. Trzeba też dodać na usprawiedliwienie Sulisława, że nie miał jasnego pojęcia o zasadach i postępkach brata. Zyndram od wczesnej młodości rozpoczął zbrojną włóczęgę i dawno zszedł rodzinie z oczu. Osiedł gdzieś w Wielkopolsce. Przez całe lata nie utrzymywał kontaktów z bliskimi. Sulisław, zagospodarowany w swoim Żegnańcu, niewiele wiedział o bożym świecie, a jeśli czasem w obozie lub od kogoś z przejezdnych usłyszał o bracie jakąś niepochlebną wieść, brał ją za potwarz i kładł na karb zawiści, jaką, według niego, pałały do nich inne możliwe rody. Uważał, że jego rodzinnym obowiązkiem jest bronić brata przed wszystkim i pomimo wszystko. Dzisiejszy wypadek utwierdził go w szacunku dla Zyndrama; możliwość zawarcia tak świetnego związku wydała mu się jeszcze jednym dowodem, na to, jak ludzie wysoko go cenią.

Gładko więc i jednomyślnie załatwiono sprawę. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby się pytać o zdanie Ludmiły. Prawie wszystkie stadła kojarzyły się za pomocą takich rodzinnych umów i zaocznych swatań. Jednak bywają wyjątki.

Wyjątkowy był charakter Ludmiły i wyjątkowe jej położenie. Bardzo wczesnie utraciła matkę. Wychowana pod wyłącznym kierunkiem rycerskiego ojca, rozwijała w sobie siły fizyczne i duchowe.

Wojny krzyżowe w wielu kobietach rozbudzały bohaterstwo. Sławna rycerka, Małgorzata, długo kierowała obroną Jerozolimy przed Saladynem, a gdy wróciła do Europy, okazało się, że zabrała ze sobą tylko hełm, procę i psalterz. Piękna Floryna, córka księcia burgundzkiego, zginęła na polu chwały w Palestynie, walcząc u boku narzeczonego, Swenona, królewicza duńskiego. Ludmiła słyszała o rycerkach krzyża i zazdrościła im serdecznie.

Jakże zmienił się dla niej świat od chwili śmierci ojca, jakże grobowym wydał się jej w murach witowskiego klasztoru! Porażona stratą, z początku uważała to miejsce za stosowne dla swej boleści. Nowe dla niej, czysto kobiece zajęcia skracaly nieco czas, jednak nigdy nie potrafiła się do nich przyzwyczaić. Robota szła opornie, czytanie jeszcze oporniej. Zaczęły mniszki robiły, co mogły, aby nauczyć ją abecadła. A kiedy wyszła z pierwszego osłupienia, gdy jeden rok i drugi minął glucho, czuła niepokój w głębi piersi, jakby trzepotanie źle związanych skrzydeł. Zaczęła niezmiernie tęsknić do szumiących lasów, do szalonego pędu koni, do wolnego powietrza, do przeszłości i przyszłości. Mimo przestróg swoich wychowawczyń, była ciekawa życia, jego uciech i niebezpieczeństw, a nawet cierpień.

Toteż odetchnęła radośnie, gdy ją przewieziono do Żegnańca. Tam jednak czekało ją rozczarowanie. Życie w zamku niewiele różniło się od klasztornego. Sulisław, wiedząc, że jest obiecana Zyndramowi, nie miał ochoty, by pokazywała się światu. Cały czas spędzała w towarzystwie jedynej przyjaciółki i powierniczki, Elżbiety. Przyłgnęła do niej całą duszą. Uczestniczyła we wszystkich zajęciach; troszczyła się o Jasia, opiekowała biednymi i nieszczęśliwymi, a nawet, o dziwo, po kilku miesiącach gładko czytała księgę ozdobioną złocistymi klamrami.

Pewnego dnia niezwykle ruch powstał w zamku. Sulisław czynił wielkie przygotowania na przybycie dawno niewidzianego brata. Wreszcie zjawił się Zyndram, w licznych poczcach, z brzękadłami u koni, w złoconym stroju. Na jego obliczu odbijał się obraz duszy. Falszywe oczy i rysy twarzy czyniły ją podobną do głowy drapieżnego ptaka.

Po wieczerzy, przy której małowówny gość wprawiał Ludmiłę w zakłopotanie natarczywością roziskrzonych spojrzeń, obaj bracia siedli przed kominkiem i dopijając resztę zawartości dzbana, weszli w poufałą pogawędkę.

Sulisław nieśmiało przekazywał bratu przykre wieści, jakie o nim krążyły. Zaklinał go, aby się usatkwował, aby zazdrośnym sławnym rodom nie dawał broni do ręki. Zyndram oblał się ceglany rumieńcem; mimo że nauka pochodziła od starszego brata, przyjął ją z najwyższym oburzeniem. Sulisławowi podobala się taka reakcja, wziął ją za znak niewinności fałszywie oskarżonego. Skończyło się na braterskich przeprosinach ze strony Sulisława, po czym nieco ułagodzony Zyndram przystąpił do sedna sprawy, do głównego powodu swoich odwiedzin.

Ludmiła sprostala jego oczekiwaniom, była nawet jeszcze piękniejsza, niż mówiono. Teraz pozostało tylko urządzić dom na przyjęcie żony i zakończyć rachunki ze stryja-

mi, a potem wrócić już prosto na wesele. Wspomniał o darowanym długu, ale tylko mimochodem, jakby o dobrym uczynku, którym nie wypada się chwalić.

Sulisław, zadowolony i uspokojony, uznał, że właściwie już teraz może Ludmiłę powiadomić o jej przyszłym losie. Nazajutrz po śniadaniu, gdy Zyndram wyszedł do koni, gospodarz został sam na sam z paniami. Dawno już nie widziano go w takim humorze. Cały czas stroił żarciki, przedrzeźniał panienkę weselnymi przymówkami, na koniec wstał, uklonił się z rycerską powagą i oświadczył, że to wcale nie są żarty, albowiem opiekunowie Ludmiły wybrali Zyndrama na jej małżonka, z którego to związku on, brat i przyszyły szwagier, wielce się cieszy i chlubi. Po czym jeszcze raz złożył ukłon i zwrócił się ku wyjściu, nie oczekując żadnej odpowiedzi.

Ludmiła stanęła w płomieniach, zerwała się, wyprostowała jak cięciwa i rzekła z gorączkowym drżeniem w głosie:

— To nie może być prawda... Ja nie mogę, ja nie chcę być żoną waszego brata... — urwała przestraszona, widząc przepaść, w jaką spada, i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Piorun trzaskający u stóp Sulisława nie zdziwiłby go bardziej niż ta odpowiedź. Zbladł i wyjąkał niewyraźnym głosem:

— Panna nie chcesz iść za mojego brata? — Spojrzał na żonę. Elżbieta struchlała. Widziała, że została zraniona jego rodowa duma, najczulsza struna duszy, jedyna, której nie można było zadrasnąć. — Co to znaczy? — zapytał zwracając się do żony. — Doprowadźże ją do opamiętania, inaczej ciężko odpowiesz przed Bogiem, i przed mężem. Ja takich słów bratu nie powtórzę! Nadto mnie i jemu ubliżają, a przy tym i z miłosierdzia nie powtórzę! Srogo panna mogłaby je w przyszłości opłacić — powiedział i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, aż zadzwoniły puchary na półkach.

Elżbieta podeszła do płaczącej, zapytując łaskawie, ale z głębokim zdziwieniem, o przyczynę jej zachowania. Ludmiła padła do jej kolan, oparła o nie głowę i zaczęła się zwierzać. Opowiedziała o Zyndramie wszystko, a wiedziała wiele strasznych rzeczy, może więcej, niż zdarzyło się naprawdę.

Między witowskimi mniszkami znajdowała się rodzona siostra pierwszej żony Zyndrama. Norbertanka twierdziła stanowczo, że jej siostra zginęła śmiercią tragiczną, i to z rąk męża. W Witowie uwierzono norbertance, a ta, pod wpływem rozżalenia, opowiadała o Zyndramie niesamowite rzeczy. Jego postać urosła w klasztorze do groźnej legendy i Ludmiła wychowała się w postrachu tego imienia. Kiedy w Żegnańcu powiedziano jej, że Zyndram jest bratem Sulisława, przelęknęła się i zmartwiła szczerze. Jednak przez uszanowanie dla gospodarza domu o niczym nie wspomniała. Ale teraz, kiedy tego zabójcę i potępieńca, który duszę piekła zaprzedał, chciano jej przeznaczyć na męża, teraz już nie mogła milczeć.

Elżbieta, wysłuchawszy długiego opowiadania Ludmiły, uśmiechnęła się niedowierzająco. Właściwie nie знаła przeszłości Zyndrama. W żegnanieckim zamku nikt nie śmiał mówić o nim takich rzeczy, zapewniała więc Ludmiłę, że wieści muszą być fałszywe. Radziła jej pokorę i cierpliwość, pocieszała, jak mogła. Jednak zwierzenia dziewczyny zostały w jej sercu niepokój...

Sulisław dotrzymał obietnicy, nie rzekł ani słówka bratu, który po kilku tygodniach, wypełnionych uctami i polowaniami, odjechał spokojny o serce i posąg nadobnej dziewczyczki.

Ludmiła w dzieciennym niedoświadczeniu odetchnęła z ulgą. Zdawało się jej, że byle zyskać na czasie, a wszystko samo się odmieni. Przyjdą nowe swaty, pan domu się rozmyśli, słowem zajdzie jakiś cudowny wypadek, który ją wyzwoli z tego nie chcianego małżeństwa.

Zyndram przyjechał po raz wtóry z jeszcze większą pompą, z bogatymi darami dla swej przyszłej żony. Dumna dziedziczka nawet nie spojrzała na nie. Niechęć do ofiarodawcy była tak widoczna, że oblubieniec, mimo zrozumiałości, nie mógł jej przeoczyć. Zdumiony zapytał brata o jej powód, a ten, chcąc nie chcąc, musiał go powiadomić o złej woli dziewczęcia. Czynił to nieśmiało, przekonany, że Zyndram wpadnie w szalony gniew. Tymczasem ten uśmiechnął się i odpowiedział:

— To jeszcze lepiej. Kot lubi długo bawić się z myszką, zanim ją złowi. Uciec mi przecież nie ucieknie!

Tymczasem Ludmiła właśnie planowała ucieczkę. Panowie prawie co dzień polowali. Dziewczyna nigdy nie miała ochoty uczestniczyć w tych wyprawach, ale pewnego wieczoru uległa namowom Zyndrama. Wielka oblawa miała się odbyć następnego dnia. Ludmiła całą noc nie zmrużyła oka; nazajutrz postanowiła zrealizować swój plan, korzystając ze zwykłego zamieszania w trakcie łowów. Ze starym sługą ojca, Rafałem, który z nią przybył do Żegnańca, chciała nieznacznie wymknąć się manowcami i uciekać do Krakowa, do króla. Co prawda było to śmiałe przedsięwzięcie, ale w bajkach opowiadanych przez nianie takie rzeczy zdarzały się niejednej królownie.

Wreszcie zaświtał dzień. Ludmiła dosiadła konia gorączkowo rozweselona. Początki łowów szły rażno; Sulisław cieszył się, że dziewczyna przezwyciężyła dzikość, a Zyndram tylko dziwnie się uśmiechał. Około południa, kiedy zapał myśliwych dosięgnął szczytu, gdy wszyscy rozbiegli się i potracili z oczu, Ludmiła skinęła na starego sługę.

— Jedź za mną — rzekła i nie tłumacząc niczego, puściła konia w cwał.

Od dzieciństwa była przyzwyczajona do harcowania w puszczy, toteż zręcznie poruszała się w gęstwinie. Już nawet nie chodziło jej o żaden wytknięty kierunek; pragnęła znaleźć się jak najdalej od zamku i dopiero tam wypytała o drogę do stolicy. Popędzała konia, jak mogła najostrzej, ale gałęzie, pniaki i leśne zakręty utrudniały drogę, a wierzchowiec nauczony łagodnej jazdy, przy całej swej piękności, posiadał niewiele siły. Dziewczyna stwierdziła z przestachem, że jego szybkość nie odpowiada jej wymaganiom.

Zyndram, uderzony chorobliwą wesołością Ludmiły, zaczął zastanawiać się nad przyczyną tej nagłej przemiany. Od rana ją śledził. Trzymał się nieopodal, nie spuszczał jej z oka. Kiedy na koniec dostrzegł, że obrała wręcz przeciwny kierunek do prądu łowów, skinął na brata.

— Ludmiła chce uciec. Tylko patrz!

— E... nie, musiała zablądzić, spostrzeże się i zawróci — odparł Sulisław. Ale kiedy lasy się skończyły, a ona wciąż gnała, ogarnął go niewymowny gniew.

Ludmiła usłyszała za sobą głuchy tętent. Bała się obejrzeć. To już nie był jeden koń Rafała, lecz dwa, trzy...

— A gdzie to? — Sulisław ściągnął cugle. — Panna uciekasz od nas? A to pięknie! Jeszcze nigdy taka obelga nie spotkała mojego domu!

Zyndram żelazną prawicą chwycił jej rękę. Ścisnął tak okrutnie, że aż ból przeniknął ją do kości.

— Wszystko to kiedyś będzie odplacone! — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Ludmiła miała dosyć odwagi na zaplanowanie i zrealizowanie ucieczki, ale nie była przygotowana na porażkę. Zmieszała się; gwałtowny rumieniec potwierdził domysły mężczyzn. I chociaż później starała się wszystko obrócić w żart, panowie zawrócili konia i wieźli ją między sobą w złowróżbnym milczeniu. Wkrótce spotkali oddział strzelców, którym Sulisław powierzył dziewczynę.

— Odprowadźcie pannę do zamku, bo zmęczona — powiedział głośno pan na Żegnańcu, a Rupertowi szepnął: — Nie spuszczaaj oka z tej dziewczki, odpowiesz mi za nią!

Było to ogromne upokorzenie. Ludmiła została odesłana jak krnąbrne dziecko, które psuje zabawę. Nie chciała wobec tylu świadków poniżyć się do sprzeczki. Oddaliła się z głową podniesioną, jakby wracała z własnej woli. Dopiero w zamku, w objęciach Elżbiety, uderzyła w płacz i wyznała wszystko.

— Ach, drogie, nieostrożne dziecko, czemu się mnie nie poradziłaś? — Były to jedyne słowa napomnienia, które wyszły z ust Elżbiety. Wzruszona i zmartwiona zgryzotą dziewczyny, nie potrafiła robić jej wyrzutów.

Niewiasty postanowiły nie rozpamiętywać tego, co już się stało. Zaczęły radzić między sobą, co tu dalej robić, kiedy nagle rozmowę przerwała niespodziewana wiadomość. Rupert oznajmił, że przed bramą stoi pielgrzym proszący o gościnę. Spojrzały na siebie wyraźnie niezadowolone. Lubily gości, ale ten przychodził nie w porę. Jednak nie wypadało odpędzić pielgrzyma, zwłaszcza takiego, który wędrował z Ziemi Świętej. Elżbieta kazała co prędzej zaprosić podróżnego, a do Ludmiły szepnęła:

— Trudno. Przyjmijmy tę przeszkodę. Może nam to zostanie policzone i dobrą myślą natchnie?



Rozjaśniły, jak mogły, czoło i przyjęły gościa. Żadne jednak wysiłki nie zdołały rozprężyć smutku. Opowiadania o dalekich krajach, zwykle za krótkie dla słuchaczek, dziś dłużyły się im jak wieczność. Kiedy pielgrzym odszedł, wybuchnęły dotąd tłumionym płaczem. Uciekły do swego ustronia, truchlejąc na myśl o powrocie zagniewanych panów.

## DYPLOMACJA

Sulisław nie chciał nawet patrzeć na dziedziczkę, a kiedy został tylko z żoną, zaczął gorzko wyrzucać jej obojętność i beczynność w sprawie Ludmiły.

— Jeszcze nigdy taka obelga nie spotkała mojego domu! — powtarzał. — Czy ta dziewczyna ma nas uczyć rozumu, nas, posiwiiałych na polu i w radzie? Czyż to nie wiemy, co jest najlepsze dla szczęścia i świetności rodów? Dlaczego nie odpowiadasz? Milczy i milczy, jakby z tamtą trzymała...

— Nie gniewaj się, mężu mój i panie. Milczę, bo mam wyrzuty sumienia. Nie wiem, czy to, co czynimy, zgadza się z wolą boską. Słuchaj! Gdyby ktoś ci powiedział, że w czarnym lochu jęczy sierota zakuta w łańcuchy, co prędzej włożyłbyś rynsztunek, chwycił włócznię i na skrzydłach poleciał, aby ją ratować, bo przysięgałeś, że będziesz bronił sierot, wdów i pokrzywdzonych. Otóż ja biję się z myślami, czy przymus duszy nie jest czasem cięższy od łańcuchów? Kiedy sierota czuje się skrzywdzona, choćby nie miała słuszności, jej głos mnie trwoży... Ja nie chcę rozsądzać... Ty, jako mąż, lepiej wszystko rozumiesz. Mam przeczucie, że ten związek nie przyniósłby nam szczęścia... Będę się modlić, może Pan raczy oświecić moje myśli — powiedziała z nadzieją w głosie, zostawiając męża nie tyle zagniewanego, co zaniepokojonego.

Elżbieta rozumiała położenie Ludmiły. Wiecznie pochylona nad krosnem sprawiała wrażenie, że tylko dobiera jedwabie, a tymczasem uważnie słuchała. Z przelotnych słówek zgadywała skryte myśli, zestawiała na pozór odrębne zdania. Rozmówcy sami przyczyniali się do tego, że rozjaśniło się jej w głowie. Zyndram, uważając ją za istotę, z którą nie warto się liczyć, kilka razy zdradził się niebaczными słowami. W końcu Elżbieta odgadła, że wieści zasłyszane przez Ludmiłę musiały zawierać wiele prawdy. Sulisław powiedział o darowaniu długu. Sądził, że podniesie brata w oczach żony, a dla niej właśnie ten szczegół stał się promieniem rzucającym niespodziewane światło na całą tę sprawę. Zrozumiała, że swaty stryjowskie były po prostu zwykłym handlem zamiennym. Wzdrygnęła się na myśl, że oni, uczciwi ludzie, mieliby maczać ręce w takim niecznym spisku.

Od dawna to rozumiała i od dawna roniła skryte łzy, ale nie śmiała mówić ani działać z obawy przed mężem, z obawy o spokój w rodzinie. Modliła się żarliwie, prosząc Boga o pomoc. Wreszcie usłyszała wyraźny wewnętrzny głos: „Nie bój się, stań w obronie Ludmiły”.

Rano skropiła wonnościami złote włosy, przyozdobiła się najpiękniejszymi szatami, łańcuchami i rąbkami i w pełnym blasku weszła do sali.

Sulisław był prawym człowiekiem. Jak tylko znalazł się ktoś, kto potrafił otworzyć mu oczy, uznał swoje zaślepienie. Gryzł się myślą, że użyto go za narzędzie w nieczystej sprawie, a gryzł się tym więcej, że nie wiedział, jak zło naprawić.

— I co tu teraz zrobić? Zabrnęliśmy za daleko... Za długo czekałaś z radami. Dałem słowo stryjom Ludmiły, dałem słowo Zyndramowi. Zapytaj mnie, i słusznie, dlaczego je cofam? Pięknie, że ujmujesz się za bezbronną sierotą, ale pomyśl, że trzeba też ocalić sławę domu, chociażby dla syna. Jakże to wszystko pogodzić?

— Nie troszcz się tak bardzo, mój kochany. — Elżbieta oparła piękną dłoń na jego ramieniu. — Wszystko biorę na siebie. To się da naprawić; w takich sprawach Bóg pomaga.

— Być może — odparł Sulisław — ale pamiętaj, że ludzie mogą przeszkodzić. Stryjowie Ludmiły właśnie teraz wybrali się do Krakowa. Onegdaj odebrałem od nich pismo, w którym donoszą o wyjeździe. Chcą od króla co prędzej otrzymać pozwolenie na to małżeństwo i otrzymają, nie wątpię. Pamiętaj, że będą mieli za sobą głos księcia Konrada. Nie znam nikogo na świecie, kto by miał powód albo ochotę przeszkadzać w tej sprawie. Jeśli dostaną pozwolenie, to już wszystko przepadło.

— Czy wiesz — rzekła po długiej chwili namysłu Elżbieta — co mi przyszło do głowy? Jest sposób... Mój brat, ksiądz Maciej, donosi mi z Wrocławia, że także jedzie do Krakowa, gdzie ma towarzyszyć księciu Henrykowi. A gdybym i ja się tam wybrała? Mogę pojechać niby dla spotkania z bratem, którego rzeczywiście od dnia naszego ślubu nie widziałam. Taka podróż nikogo nie zdziwi. Może przy boskiej pomocy wszystko się pomyślnie ułoży. Może odmowa tego związku wyjdzie nie od nas i nie od Ludmiły, ale wprost od samego króla?

Sulisław przeszedł się kilka razy po komnacie.

— Mądry pomysł, nie ma co mówić! — Stanął przed żoną i dodał głosem, w którym odnalazła kroplę goryczy: — Weź ze sobą dziewczynę. Niech zostanie przy swoim dostojnym opiekunie. Nasz zamek niegodzien takiej dziedziczki, co z niego ucieka... Nieszczęsna godzina, w której ta dziewczyna weszła pod mój dach.

Wieczorem Elżbieta odbyła długą rozmowę z Zyndramem. Usunięcie przeszkód, przynajmniej chwilowe, poszło jej łatwiej, niż sądziła. Zyndram od kilku dni wyczuwał jakiś chłód w stosunkach rodzinnych. Zmianę tę przypisywał Ludmile i drżał, by w końcu nie przekabaciła Sulisława. Pobyt w zamku stawał się dla niego coraz bardziej nieprzyjemny. Wszyscy od niego uciekali. Postanowił zmienić szyki i przyspieszyć sprawę u króla. Kiedy Elżbieta zaczęła mu opowiadać, jak to byłoby mądrze z jego strony, gdyby teraz spróbował innej drogi, zechciał zostawić Ludmile nieco czasu na przemyślenie wszystkiego, Zyndram oświadczył, że taki właśnie miał zamiar i że nie myśli gwałtem brać żony. Nazajutrz opuścił zamek, obiecując sobie prędko powrót, ze stryjami, pismem królewskim i co najważniejsze, z dobrze uzbrojonym hufcem.

Ludmiła o mało nie odeszła od zmysłów z radości na widok odjeżdżającego Zyndrama i na wiadomość, że Elżbieta wywozi ją do stolicy pod opiekę króla.

Rozpoczęto przygotowania do podróży. W drodze do Krakowa każdej z pań towarzyszył liczny orszak, za którym szły objuczone konie i fury ze skrzyniami pełnymi najpiękniejszych strojów.

## ZAMUROWANY

Ksiądz Maciej aż się rozpląkał z radości na widok siostry. Bardzo żałował, że nie może jej ugościć. Mieszkał na zamku z orszakiem księcia Henryka Pobożnego<sup>13</sup>, a Elżbieta wołała na razie nie pokazywać się na dworze. Razem z Ludmiłą zatrzymała się w mieście u znajomych. Postanowiła nie przedstawiać się na dworze, dopóki dobrze nie zbada gruntu. Nie wyjaśniła bratu prawdziwego celu swojej podróży. Przez kilka dni słuchała jego opowieści o życiu dworskim i tak, bez żadnych szczegółowych pytań, wkrótce dowiedziała się wszystkiego!

Ksiądz Maciej, okrągłuchny prałat o dobrotliwym uśmiechu i dowcipnych oczach, miał złote serce dla ludzi prostych i biednych. Przy tym w pajęczny sposób chwycił ludzkie przewrotności. Był też biegły w polityce; Henryk Pius<sup>14</sup> i jego ojciec, Henryk Brodaty<sup>15</sup>, nieraz zasięgali jego rad w trudnych przedsięwzięciach.

Z opowiadań wynikało, że stryjowie Ludmiły bawili w Krakowie już od tygodnia. Ksiądz Maciej wiecznie ich widział w otoczeniu króla. Obecność księcia Henryka, ojca Bolesława Łysego<sup>16</sup>, zwiększała niebezpieczeństwo.

— Kto posiada największy wpływ na króla? — zaczęła podpytywać Elżbieta.

— Jedyłą istotą, która ma wpływy bez granic, jest młodzianka królowa Kinga<sup>17</sup> — oznajmił ksiądz Maciej. — Księżę ją nie tylko miłuje, ale czci z rodzajem nabożeństwa. Zrobiłby wszystko, aby ją pogodzić z doczesnością. A ona, choć jeszcze nie umarła, więcej żyje w niebie niż na ziemi.

<sup>13</sup>Henryk Pobożny a. Henryk Pius (ok. 1201–1241) — książę śląski, krakowski i wielkopolski. Poległ w bitwie pod Legnicą. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Henryk Pobożny a. Henryk Pius (ok. 1201–1241) — książę śląski, krakowski i wielkopolski. Poległ w bitwie pod Legnicą. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Henryk Brodaty (ok. 1168–1238) — książę wrocławski, opolski, kaliski, władca Ziemi Lubuskiej i książę krakowski. Założyciel tzw. monarchii Henryków Śląskich. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Bolesław Łysy a. Bolesław II Rogatka (ok. 1223–1278) — książę krakowski, następnie książę południowo-zachodniej Wielkopolski i Śląska, później legnicko-głogowski, syn Henryka II Pobożnego. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>królowa Kinga (1234–1292) — córka króla Węgier Beli IV, żona polskiego władcy, Bolesława V Wstydliego, święta Kościoła katolickiego. (Formalnie Kinga była księżną, nie królową). [przypis edytorski]

Elżbiecie błysnęła myśl. Poprosiła brata, aby umożliwił jej spotkanie z królową. Ksiądz Maciej wywnioskował, że siostra musi mieć jakąś ważną sprawę, ale sam mając wiele sekretów, potrafił szanować cudze. O nic nie pytał, niczym nie wprawił jej w zakłopotanie. Gorliwie zajął się otrzymanym zleceniem. Już nazajutrz wieczorem przybył z radosną wiadomością.

— Kochana siostruniu, masz się stawić jutro przed południem o godzinie dziewiątej. Spotkasz się sam na sam z królową. Możesz iść śmiało, bo cię tam dobrze przedstawiłem i sądzę, że niezgorzej będziesz przyjęta.

Przesiedział cały wieczór z paniami, bawiąc je rozmową. Opowiadał o składach najlepszych bławatów i złotogłowiów, objaśniał, na jakiej ulicy mieszka złotnik wyrabiający najwykwintniejsze pierścienie i kolczyki.

— Nie dosyć zwiedzić gmachy Krakowa — stwierdził ksiądz Maciej — obejść jego kamienne świątynie. Są tu żyjące kościoły, dusze osobliwe, którym trzeba się z bliska przyjrzeć. Na przykład ojciec Paweł; Paweł-pokutnik, Paweł-prorok, cały Kraków go zna. Może zauważyłście, przechodząc koło kościoła świętego Wojciecha, małe okienko, przy którym zawsze jest pełno ludzi. Otóż ten osobliwy człowiek przed dziesięciu laty kazał się tam zamurować. Żyje tylko z datków, jakie mu pobożni ludzie do okienka przynoszą. Latem i zimą w celi tak małej, że ledwo może się obrócić, między kamieniami zzieleniałymi od wilgoci, bez ognia, w jednej, nigdy nie zmienianej sukni, na dawno zgnilej słomie, zupełnie jakby żywcem w grobie. Ile razy widziałem ojca Pawła, przez kilka dni nie mogłem spokojnie jeść wieczerzy ani zasnąć na wygodnym łożu...

Kiedy ksiądz Maciej odszedł, Ludmiła podbiegła do Elżbiety i szepnęła:

— A więc jutro?

— Tak, jutro... Czy wiesz, Ludmiłko, co mi przyszło do głowy? Chciałabym poprosić ojca Pawła o modlitwę. Może mi wyprosi odwagę i natchnienie? Musimy tam pójść bardzo rano, póki jeszcze ludzie nie tłoczą się przy okienku...

Nazajutrz wstały raniutko. Przy świetle kaganka włożyły obuwie, ciepłe suknie i futrzane szubki, bo ranny mróz mocno ścinał powietrze. Zakryły twarze woalkami i wyszły z pachółkiem, który niósł przed nimi pochodnię. Ulice nie były puste, jak się spodziewano z powodu wczesnej godziny.

Adwentowe roraty zbudziły wielu mieszczan. Gromadki otulonych ludzi przesuwali się w mroku ciasnych uliczek z głuchym szmerem przy blasku czerwonych pochodni. Oświetlenie klóciło się z widokiem nieba, które z jednej strony jeszcze mrugało zimowymi gwiazdami, a z drugiej już majaczyło niebieskawą szarością świtu. Na tym tle spiczaste dachy i drewniane ganeczki wspinały się strzelistymi kształtami i majaczyły w powietrzu.

— Jakie to wszystko osobliwe, piękne jak sen! — westchnęła Elżbieta.

Weszły na uliczkę okalającą kościółek świętego Wojciecha. Łatwo rozpoznały celę; przybudówka wyglądała jak nabrzmiałość muru. Na ścianie wisiał wizerunek Pawła Pustelnika, a nad nim lampa, tak umieszczona, aby światło padało prosto w okienko. Był to pomysł kilku pobożnych mieszczek, które chciały rozjaśnić pustelnikowi długie zimowe noce.

Elżbieta i Ludmiła podeszły nieśmiało do okna. Przez otwór kraty wsunęły koszyk z jedzeniem i dwoma srebrnymi monetami. Koszyk wciąż stał w kamiennym wyżłobieniu; pustelnik nie sięgnął po niego. Zaniepokojone niewiasty zaczęły spoglądać do środka. Długo nie mogły niczego dojrzeć. Spuszczając oczy coraz niżej, zobaczyły śnieżnobiałą brodę, aureolę srebrnych włosów rozwichrzonych nad czołem i dwa łuki białych brwi, spod których patrzyły przerażającej głębokości oczy. Pokutnik siedział na ziemi, owinięty białym kozuchem, oparty o ścianę, nieruchomy jak kamienny posąg. Pierwsza odezwała się Elżbieta z wielką pokorą:

— Przychodzę prosić, ojczec... Módl się za nas... Potrzebna nam pomoc w trudnym przedsięwzięciu... — zamilkła, oczekując znaku albo słowa.

— Dobry ojczec — dodała Ludmiła drżącym głosem — ty widzisz przyszłość... Uspokój nas... Powiedz, czy to przedsięwzięcie szczęśliwie się zakończy?

Pustelnik wstał, wyrósł na kształt kolumny i podszedł do kraty. Wpatrzył się przenikliwie to w jedną, to w drugą. Potem podniósł oczy do nieba i rzekł przytłumionym głosem:

Asceta, Święty, Proroctwo

— Gdybyście wiedzieli, co was czeka, nie troszczylibyście się o dzień dzisiejszy. Mijajcie się w Panu, albowiem On złączył wasze dusze jedną cierniową gałązką. Jako Izrael czterdzieści lat błąkał się na pustyni, taki i wasz los. A kiedy wrócicie, nie poznacie ani nieba, ani ziemi, ale odnajdziecie skarb utracony.

## NIE OD RAZU KRAKÓW ZBUDOWANO

W kościele odezwał się dzwonek; rozpoczynała się msza. Elżbieta i Ludmiła, rozdawszy ubogim jałmużnę, weszły do środka i zatopiły się w modlitwie tak strzelisto lecącej ku niebu, że wewnątrz niskiej świątyni wydawało się za ciasne.

Kościółek świętego Wojciecha był przerobiony ze starej pogańskiej kontyny. Pod ołtarzem jeszcze przechowywano popioły ogniska, które niegdyś palono na cześć bogini Niji. Ugasił je św. Wojciech święconą wodą. Elżbieta przymknęła oczy. Marzyła o świątyni tak wysokiej, aby jej szczytu nie można było dojrzeć, która miałaby filary plecione z giętkich niebotycznych lilii, mury z przejrzystych klejnotów i błękitne sklepienie w gwiazdy.

Właśnie taka świątynia powstawała nie opodal. Kościół Wniebowzięcia Panny Maryi zadziwiał ogromem. Budowę rozpoczęto czternaście lat temu. Mury podciągnięto pod tymczasowy drewniany dach, trudny jeszcze do uchwycenia okiem, bo zewsząd okrągowany ogromnym rusztowaniem. Zabierano się właśnie do ogromnych czworobocznych podstaw pod wieże, które miały być do siebie podobne jak bliźniacze siostry, bo też ich budową kierowali dwaj bracia, mistrzowie sztuki mularstwa. Nie byli pierwszymi; wielu do tej pracy wzywał założyciel świątyni, biskup krakowski, Iwo Odrowąż.

Poza kościołami i główną częścią zamku cały Kraków był drewniany. Dla Pana Boga i królów krakowianie zdobywali się na kamień lub tak modną cegłę, sami jednak woleli po staroświecku żyć w modrzewiowych i sosnowych dworakach. Wprawdzie każdy pożar stanowił dla nich zagrożenie, ale dworki miały dwie nieocenione pod niebem północnym zalety, były suche i ciepłe. Wszystkie domostwa z fantazją odwracały się od siebie pod najśmielszymi kątami. Właściwe ulice jeszcze nie istniały; były to jakieś wąskie przesmyki i węzły, które splatały się na kształt siatkowych żyłek. W godzinach rannych panował tu ruch i gwar nie do opisania. Ludmiła, która nigdy nie widziała dużego miasta, była zupełnie odurzona. Stawała przed każdym domem i szeroko otwierała oczy. Mieszczanki, otulone kożuchami, rażno wracały z targu. Za nimi szły dziewczki, które niosły kosze z czosnkiem, rybami i chudymi postnymi struclami. Bogate panie, zakapturzone, w karmelinowych szubach podszytych kunami albo popielicami, jechały konno.

Elżbieta i Ludmiła z trudem przeciskały się przez tłum. Przed nimi szedł pacholek z pochodnią i torował drogę, rozpychając ciżbę. Ale w pewnej chwili mocne pięści przestały wystarczać; na skrzyżowaniu uliczek jakaś przeszkoda zatamowała przejście. Niewiasty podeszły bliżej i spostrzegły ogromny wóz z materiałami do budowy kościoła Panny Maryi. Leżały na nim cegły, belki, a na wierzchu rzeźby, misterne krzyże, korony i palmy do ozdoby filarów. Przed wozem szedł diakon z wysokim krucyfikssem. Po obu stronach stąpali bracia, seniorowie budowy. Jeden był jasnowłosy, pogodny jak poranek, drugi jak noc czarny i posępny. Nie było koni ani wołów. Ze sto osób różnego stanu, płci i wieku, zaprzęgniętych rzędami do długich i grubych lin, ciągnęło wóz, śpiewając litanie. W pewnym momencie, na zakręcie uliczki, koło zaczęło o narożnik. Cały stos materiałów szczerknął i zadrżał. Jeden mały element rzeźbiarski upadł tuż pod stopy Elżbiety i Ludmiły. Była to cierniowa korona wyrżnięta z szarego kamienia. Rzuciły się ku niej, delikatnie wzięły ją w dłonie i z szacunkiem położyły na wozie. Jeden z budowniczych, ten jasnowłosy, spojrział na nie łagodnymi jak niebo oczami i skłoniwszy głowę powiedział:

— Dziękuję w imieniu Najświętszej Panienci!

Wóz ruszył i zniknął na zakręcie. Przejście było wolne.

— A więc i my przyłożyliśmy rękę do świętego dzieła! — zawołała radośnie Ludmiła.

— Tak, to prawda, ale ten znak potwierdza słowa ojca Pawła — westchnęła Elżbieta.

— Bóg nas łączy cierniową gałązką, i to jeszcze kamienną!

— Tym bardziej będziemy się kochać — powiedziała wesoło Ludmiła, przyśpieszając kroku.

Miasto

Wkrótce znalazły się w domu. Szybko zjadły gorącą polewkę. Dochodziła dziewiąta; zbliżał się czas audiencji u królowej.

## DWÓR KRÓLOWEJ KINGI

Sala była wielka i ciepła. Kamienne wnętrze ozdabiała grube normandzkie tkaniny, a w głębi, na frontowej ścianie, wisiał kosztowny arabski kobierzec, tak zwany saracynowy, który nie tylko chronił od chłodu, ale bawił oczy fantazyjnymi arabskimi motywami. W zagłębieniach pułapu, między snycerszczyzną dębowych belkowań, gnieździły się srebrne orły. W oknach, zasiatkowanych ołowianymi obrączkami, widniały szybki z zielonkawego szkła, które mimo śnieżnej zamieci rzucały na salę majowe światło. Od czasu do czasu strojni pacholeta przyklękali przed kominkiem, a nabrawszy czerwonych węgli na łopatki, nosili je po sali. Sypali bursztyn i drzewo sandałowe, którego niezwykły zwyczajny aromat nasycił powietrze zapachem lasu.

Zgromadzenie było osobliwe. Monarchinie i panny dworskie, wystrojone jak święte obrazy, a między nimi prości chłopcy w kozuchach, z koszykami i jagniętami na ręku, przy nich paniczki, ubrani suto jak do ślubu, a pod kominkiem staruszek podobny do żebraka, ubogi, siwy, oparty na kijku, ze złotą aureolą nad głową.

Na stole, w fałdach purpurowej poduszki, leżało Dzieciątko z ogromnym złotym kołem wokół główki.

Nadchodziły święta. Królowa ze swoim dworem organizowała jasełka. Wszystkie krakowskie kościoły przedstawiały takie widowiska, a mieszkańcy miasta prześcigali się w ich przystrajaniu. Królowa postanowiła, że jasełka w katedrze wawelskiej muszą być najpiękniejsze. Już kilka miesięcy temu zamówiła u snycerzy drewniane posągi, przedstawiające Dzieciątka, Maryję, świętego Józefa, pasterzy, Trzech Króli, Heroda ze śmiercią i cały chór aniołów.

W głębi sali, pod arabskim kobiercem, stał duży stół hebanowy, wysadzany perłową masą. Księżna Kinga przywiozła go z wyprawą. Była to pamiątka po matce, cesarzównie bizantyjskiej. Przy nim stały cztery tronowe krzesła ze stopniami i baldachimami. Na jednym z nich, pod ścianą, siedziała księżna Grzymisława, matka panującego księcia, wdowa po Leszku Białym. Niegdyś hoża i dorodna, teraz smutna i przybita troskami. Cera jej zwiędła, pożółkła, włosy posiwiwały i choć nie skończyła pięćdziesięciu lat, wyglądała na matronę. Wdowi strój dodawał jej powagi. Przymrużając powieki, szła czerwony kaftan dla Heroda, którego tułów leżał pod tronem. Obok niej siedziała księżna Kinga. Niedawno szesnasty rok zaczęła, a już jej umysł równał się z klerykami, a nieugiętym hartem duszy służyła za wzór rycerzom. Na dworze ojcowskim odebrała staranne wychowanie. Piękność jej była tak słynna, że nawet dziejopisarze nie potrafili o niej milczeć. Nic dziwnego, wszak pochodziła z ziemi węgierskiej, a przy tym po matce odziedziczyła urok Greczynki. Przed nią, na hebanowym stole, stał anioł w niebieskim ornacie, z tęczowymi skrzydłami i „grał” na skrzypczkach. Królowa splatała dla niego wianek ze stokrotek i co chwila mu go przymierzała. Wianek był za duży, spadał aniołkowi na szyję, a wtedy, mimo wszelkich dworskich manier, panienki wybuchały srebrzystym, niepohamowanym śmiechem.

Panny, w kwiecistych jasnych sukniach i wieńcach na głowie, przygotowywały pracę dla starszych, bardziej doświadczonych kobiet. Czasem same coś upięły lub zszyły. Młodzieńcy podawali nożyce. Jeden z nich ofiarował się nawlec igłę, a robił to tak nieudolnie, że stał się powodem żartów, przekomarzań i śmiechu.

Jedyną panną cichą i załęczoną była Ludmiła, która zachowywała się pewniej na koniu w szczerym polu niż na dworskich kobiercach. Wprawdzie królowa przyjęła ją łaskawie, ale Ludmiła jeszcze nie wiedziała, jak król ją powita. Poza tym w sali znalazł się ktoś, kogo dawno nie widziała. Jego obecność odebrała dziewczynie całą odwagę. Michał Przedwojowic dowiedział się, że po świętach na zamku wawelskim ma się odbyć turniej. Ta wieść ściągnęła go do Krakowa. Przyszedł prosić, aby jego imię wpisano w poczet walczących, i właśnie wtedy spostrzegł Ludmiłę. Nagle w progu wysokich drzwi stanął zakonnik w brunatnym habicie, przepasany powrozem, z twarzą młodą, ale zwiędłą i przejrzyście jak przydymione topazy królowej.

— A! Braciszek Benedykt! — zewsząd rozległy się radosne okrzyki.



Elżbieta podniosła ręce w geście powitania i szepnęła: — Władzio! — Jej twarz oblał rumieniec, nikły jak na kwiecie jabłoni. Ale braciszek Benedykt nie pokłonił się nikomu. Podeszedł do Dzieciątka, leżącego na purpurowej poduszce, i powiedział:

— Bądź uwielbiona, moja Dziecino. Chciałaś zakosztować głodu i chłodu, by oświecić się przekonać, czym pachnie bieda. Teraz ludzie kładą ci szkarłaty pod głowę, ale w Betlejem tak nie było, tam cię kłuła słoma. — ucałowawszy drewniane nóżki, potoczył oczami po sali. Zbliżył się do monarchiń i zaczął przeproszać. — Wybaczcie, łaskawe panie, że najpierw wam się nie pokłoniłem, ale musiałem przywitać się z Królem królów, kiedy go tu zastałem. — Nagle zatrzymał oczy na Elżbiecie. Wzruszenie błysnęło na jego dobrotliwej twarzy. Po chwili zgasło; mnich opanował się i rzekł wesoło: — A! Siostrzyczka Elżbieta! Przepraszam, może już się nie godzi nazywać siostrzyczką?

— A czemuż by się nie godziło? — odparła Elżbieta. — Wszak to najświętsza nazwa, tym bardziej, że ten, którego żartem nazywałam braciszkiem, teraz naprawdę nim został.

— Więc wy się znacie? — zapytała królowa.

— A jakże! Ojciec pani Elżbiety, świeć panie nad jego zasnęłą duszą, był moim dobroczyńcą. Chowałem się w jego domu, miłowałem ich wszystkich jak syn i brat rodzony...

— Ładny mi brat! — przerwała z uśmiechem Elżbieta. — Niech sobie wasza królewska mość wyobrazi, że pewnego dnia, bez powodu, jak syn marnotrawny wyszedł z domu. Nawet nie chciał poczekać na moje wesele. I jak wyszedł, tak nie wrócił. Od owej chwili lata upłynęły. Dziś dopiero po raz pierwszy go widzę.

— I cóż to się stało? — zaciekała się księżna Grzymisława.

— Co się stało? Co się stało? — pomrukiwał braciszek. — No, jeśli już kogo pytać, to nie mnie. Po ślubach zakonnych człowiek zupełnie zapomina o przeszłości, jakby ręką odjął. Starsi mnie tu przysłali — zmienił temat — do króla w sprawie kościoła, jaki nam, z łaski swojej, stawia. Gdzie król jegomość?

— Tylko go patrzeć! — rzekła królowa.

— Tak — dodał ksiądz Maciej — ksiądzeta za chwilę skończą naradę. Przesiedziałem tam parę godzin, ale jak ze spraw śląskich przeszli do Tatarów<sup>18</sup>, wymknąłem się pierwszy, bo już mam tych Tatarów po uszy.

— Ażeby wreszcie przyszli! — zawołał Przedwojowic. — Byśmy ich raz wytłukli i przestano by nas nimi straszyć, jak straszy się dzieci obdartym dziadem.

— Ja myślę, że wszystko skończy się na gadaniu — wtrącił jakiś młodzieniaszek. — Przecie to dzicz niesforna, dobrze im wojować z Pieczyngami<sup>19</sup> i innymi dzikusami, ale z rycerstwem chrześcijańskim nie ośmielią się stanąć oko w oko. Od dzieciństwa słyszę: idą, idą, a do tej pory ich nie widać!

— Są blisko — westchnęła księżna Kinga. — Listy z Węgier przynoszą groźne wieści. Coraz to jakiś książę rusiński zjawia się tam, błagając o ratunek albo przynajmniej o schronienie... Dwór mego ojca jest pełen takich wygnańców, którzy straszne rzeczy opowiadają...

Wszyscy zamilkli.

— Dziś rano idę sobie najspokojniej do mszy służyć — przerwał ciszę młody giermek — a tu na progu katedry jeden z dziadków kościelnych zachodzi mi drogę. Był przerażony i błąd jak trup. Powiedział mi, że o północy dziwne rzeczy się działy. Słyszał płacz, szcęknięcie, jakby ktoś szło chał kamiennymi piersiami albo załamywał żelaziste ręce. A kiedy rano przyszedł otworzyć kościół, przy schodach do podziemia przesunęło się koło niego coś ogromnego, podobnego do grubego, wysokiego rycerza, ale to było szare i szło cicho, zupełnie jak mgła.

Słowa giermka sprawiły głębokie wrażenie. Wszyscy zaczęli szeptać:

— Chrobry... Duch z kaplicy świętego Leonarda... To wielki znak!

<sup>18</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ścisłym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Pieczyngowie — związek plemion, które w VIII-XI w. wędrowały z Azji Środkowej na zachód; walczyli początkowo z Ujgurami, następnie z Madziarami, a po upadku Kaganatu Chazarzkiego z Rusią. W XI w. osiedli na zach. wybrzeżach Morza Czarnego i niepokoiłi Turcję. W następnym wiekach stracili tożsamość kulturową. [przypis edytorski]

A księżna Grzymisława dodała smutnym głosem:

— Jakieś niebezpieczeństwo grozi Piastom...

— Kiedy mamy się już bawić w gminne powiastki, to i ja państwu coś opowiem — odezwał się książdz Maciej. — U nas, w Legnicy, od jakiegoś czasu dzwony same dzwonią.

— Jak to? Same dzwonią? I tak co noc? — dziwili się słuchacze.

— Nie, czasem tylko późnym wieczorem, kiedy ludzie pierwszym snem zasną. Jak tylko się rozbudzą, wszystko cichnie; ledwo złączą drzemać, znowu rozlega się bim! bom! Ja sam nie słyszałem, bo mieszkam we Wrocławiu, ale mnóstwo ludzi przysięgało, że to prawda. A ja powiadam, rozgłaszanie takich wieści między pospólstwem jest grzechem, osłabia serce i mąci rozum. Niedługo usłyszymy, że Tatarzyny mają psie głowy albo smocze skrzydła. Otóż właśnie dla rozeznania prawdy i obmyślenia mądrej obrony, gdyby stała się kiedyś potrzebna, księżęta dziś tak długo radzą. Wezwali nawet kanonika krakowskiego, Jacka Odrowąza<sup>20</sup>, który najlepiej może radzić, bo przecie widział Tatarów.

— Widział Tatarów?! — krzyknęły prawie jednocześnie Elżbieta i Ludmiła.

— A jakże, był w Kijowie podczas oblężenia i zdobycia miasta. Aha! O wilku mowa, a wilk tuż!...

W drzwiach pokazało się mnóstwo mężów. Na czele dwaj Piastowicze w mitrach. Książę Henryk szedł po prawej stronie jako gość i potomek starszej linii, o czym władcy śląscy nigdy nie zapominali. Był to człowiek trzydziestoletni, z obliczem energicznym i rycerskim. Nosił brunatną tunikę ze złotą obręczą w pasie i ciemnoczerwony płaszcz spięty na ramionach klamrami w kształcie malutkich tarcz herbowych, na których bielił się piastowski orzeł. Trzecia tarcza, nieco większa, wisiała na rękojeści miecza, owiniętego złotą taśmą.

Książę Bolesław miał popielatą tunikę, na niej purpurowofoioletową szatę, zwaną dalmatyką, z orłem na piersi wyszytym perłami. Strój niezwykle pasował do jego dwiętnastoletniej twarzy, płowych włosów i turkusowych oczu. Za książętami szło dwóch duchownych; Jacek Odrowąż w dominikańskim habicie, wysoki, kościsty, ze spuszczoną pokornie głową i Jan Prandota<sup>21</sup>, biskup krakowski. Dalej szli dygnitarze i rycerze.

— Udadzą się jasełka! — stwierdził Prandota podchodząc do królowej. — Figury jak ulane, ale nie widzę bydłatek. A przecież i to potrzebne...

— O! — zawołała królowa. — Cieszę się, księżu biskupie, że humor wam dopisuje. Kto by tam strugał z drzewa bydło, którego są pełne obory? W naszym żłóbku będą żywe woły i osiołki jak tam, w Betlejem.

— Będzie jeszcze coś dowcipnego — dodał znacząco król.

— Ach, proszę, przestań. Przecież to misteria dla całego Krakowa — szepnęła księżna i chcąc, by król dochował tajemnicy, położyła na ustach wysmukły, bład paluszek.

— Misteria... misteria... — powtarzał Bolesław z przekąsem. — Moja złota królowo, pozwól powiedzieć. On nikomu nie wygada, daję za to głowę. Otóż słuchaj, dobrodzieju — dodał zwracając się do biskupa i zniżając tajemniczo głos — w orszaku Trzech Króli będzie... no, zgadnij co... Na pewno nie zgadniesz! Wielbłąd! Ten wielbłąd, którego Daniel Halicki<sup>22</sup> przysłał nam w podarunku.

— Słyszałem, że przysłał, ale do tej pory nie wiem, skąd on go wziął.

— To bardzo ciekawa historia. Wielbłąd jest zdobyczą po Tatarach. Pierwszą i kto wie, czy nie jedyną, bo nie ma im co zabierać, chyba że to, co drugim pokradli. Leżał na poboju między trupami i był ranny. Ale naszym okrutnie się to monstrum spodobało. Zaczęli go nacierać, leczyc jak konia, a może nawet jak człowieka. Tak się i wylizal, biedaczysko. A poczciwy Daniel pragnął się nim jak najszybciej pochwalić i dał nam go w prezencie.

— A to będzie przednie! — zawołał radośnie biskup.

— Nie tylko przednie — odparł skory do żartów Bolesław — to będzie tak, jak się kiedyś zdarzyło. Wszyscy gotowi pomyśleć, że to jeden z owych Trzech Króli prosto z pustyni na nim przycwałował.

<sup>20</sup>Jacek Odrowąż (1183–1257) — święty Kościoła katolickiego, zwany apostołem Słowian. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Jan Prandota (ok. 1200–1266) — biskup krakowski, zwolennik Bolesława Wstydlwego, pozostawał w konflikcie z Konradem Mazowieckim. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Daniel Romanowicz Halicki (1201–1264) — książę Rusi Halickiej, a następnie król Rusi. Założyciel grodu Lwów, nazwanego od imienia jego syna Lwa. [przypis edytorski]

Po drugiej stronie stołu księżna Grzymisława rozmawiała z księciem Henrykiem siedzącym na tronie.

— Cóżecie tedy uradzili? — spytała z zainteresowaniem.

— Boles na wiosnę zwoła sejm w Kalinie odparł książę — a ja, prócz moich Ślązków, chcę wziąć do pomocy sąsiadów. Może nie będzie to potrzebne, ale na pewno nie zaszkodzi. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tymczasem młody król kazał sobie podać genueński kobierczyk i rozłożywszy go na ziemi, usiadł przy stopach królowej.

— Już mnie nudzą ci wszyscy mądrale powiedział, całując jej delikatne dłonie. — Najlepsza filozofia to miłować się w Bogu. Nieprawdaż?

— Tak, byle w Bogu! — królowa zarumieniła się i zaczęła z lekka oglądać, jakby szukała pomocy. Chciała przerwać tę drażliwą dla niej rozmowę. Nagle zerwała się wołając: — Ach, że też zapomniałam! Panno Ludmiło, chodź no tu, moje dziecko, niechże cię przedstawię twojemu opiekunowi i ojcu.

Bolesław wstał i pocałował Ludmiłę w czoło, według praw opiekuna i króla.

— A i owszem — zapewnił Bolesław — będziemy sierocie ojcowali, byle nasza małżonka chciała matkować.

Wtedy Krystyn z Niedźwiedzia, który dla swoich synalków szukał bogatej dziedziczki, podszedł do króla i rzekł:

— Zdaje mi się, miłościwy panie, że niedługo będziecie ojcowali, bo jak słyszałem od jej stryjów, ta panna już po zrękowinach.

— To źle słyszeliście — odrzekł król z powagą w głosie. — Co beze mnie postanowione, to się nie liczy. Gdzie król opiekunem, tam tylko z ręki królewskiej mogą być zrękowiny.

Elżbieta i Ludmiła z wdzięcznością podniosły wzrok na królową i spostrzegły w jej oczach wyraz tryumfu. Tymczasem Bolesław zbliżył się do Elżbiety i łaskawie z nią rozmawiał. Chciał jej zapewne osłodzić, jak sądził, bolesną dla rodziny Zydrama odmowę.

— Czy bardzo pannę zmartwiły słowa króla? — zapytał Michał Przedwojowic, podchodząc do Ludmiły.

— Wcale — rzekła zdecydowanie. — Muszę się przyznać, że słowa królewskie są powodem mojej radości.

— A, to co innego, a więc zacna panna pozwoli, abym na turnieju walczył pod jej godłem?

Dziewczyna skinęła głową.

— A jakie godło dostanę?

Ludmiła ściągnęła jedną ze swoich bransolet i podała rycerzowi. Schował ją ze czcią jak relikwię. Potem zaczął opowiadać o wszystkim, co się zdarzyło na turniejach, na których kruszył kopię.

Przy kominku powstało zamieszanie. Słysząc było okrzyki i śmiech. Okazało się, że ksiądz Maciej dostał mata. Król, wesół z wygranej, powstał. Na to hasło wszyscy się ruszyli i z pokłonami zaczęli opuszczać salę. Ludmiła, biorąc pod uwagę rady Elżbiety, zatrzymała stryjów i ostatnia stanęła przed królem. Pokłoniwszy się nisko prosiła, aby jej pozwolił rozporządzić jedną ze swoich włości.

— Według starych zwyczajów, stryjowie mają prawo do ojcowizny, ale uczyli wolę mego ojca. Niechże za trudy opieki otrzymają choć małą częśćkę, i niech im ona będzie pamiątką mojej wdzięczności.

Podobał się królowi pomysł dziewczyny. Był rad, że dzięki jej wspaniałomyślności może okraszyć stryjom suchą odprawę.

Stryjowie o mało nie ucałowali rąk własnej synowicy. Prosto z zamku poszli do gospody, gdzie do świtu pili za jej zdrowie, drwiąc sobie ze wszystkich długów i z samego Zydrama.

## ROZSTANIE

Po turnieju Michał Przedwojowic opuścił stolicę. Musiał dostarczyć rozkazy wojewody Klemensa do stanowisk wojennych. Wyjechał ze wschodem słońca, ale rozstanie z wybranką serca opromieniała jutrzeńka różowej przyszłości. Ludmiła wiedziała, że nie musi

się już bać tego, co jej do niedawna zagrażało. Po tak cudownym ocaleniu wierzyła, że spełnią się jej marzenia...

Najbardziej bolesne było rozstanie z Elżbietą. Przyrosła do niej jak bluszcz do drzewa, tysiącem gałązek swej duszy, zaufaniem, czcią dla jej cnót oraz najgłębszą dozą wdzięcznością. Elżbiecie też było smutno żegnać się z Ludmiłą, ale musiała co prędzej odjechać. Już nie było żadnej wymówki. W kilka dni po turnieju odjechał książę śląski, a z nim książdz Maciej. Po spełnionym obowiązku względem sieroty doszły do głosu po stokroć bliższe obowiązki żony, matki i pani domu. Ludmiła raz jeszcze objęła Elżbietę w serdecznym uścisku.

— Kochana Elżbieto! Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś. Boże, daj, abym kiedyś mogła ci się odwdziżyć! — powiedziała na pożegnanie i wybuchnęła płaczem.

Karnawałowe szaleństwo ogarnęło Kraków. Na ulicach bawili się przebierańcy, wokół miasta dzwoniły kuligi, a w zamku rozbrzmiewał śmiech, trwały widowiska i bale.

Ludmiła zamieszkała w zamku. Koronna pani była dla niej łaskawa, a król rozmawiał z nią jak z młodszą siostrą. Nieraz żartował, rając jej najstarszych i najnudniejszych dostojników, ale tak naprawdę miał wobec niej zamiar wielkiego wyniesienia.

Zdawałoby się, że panienka, która lubi taniec i stroje, która ma do syta zabaw i hołdów, powinna być szczęśliwa. Jednak było inaczej. Cóż po tym wszystkim, kiedy miłość i przyjaźń rozbiegły się w dwie różne strony... A przy tym nowe nieprzewidziane troski zaprzętały myśli Ludmiły. W poufanych rozmowach królowa usiłowała nakłonić ją do życia zakonnego, a król miał zamiar ją wyswatać. Z królem cięższa sprawa niż z Sulisławem. Takiemu opiekunowi trudno się wywinąć.

— Moja Ludmiło, dziwna z ciebie dziewczyna — stwierdził król z wyrzutem. — Nie chcesz korony niebieskiej. Nie chcesz korony książęcej. Czegoż więc chcesz?

Ludmiła milczała. Wiedziała, że złota bransoletka poplątała jej przyszłość. I żeby przynajmniej ta przyszłość mogła się stać terażniejszością. Ale wszystko było wątpliwe. Słyszała, jak dworzanie mówili między sobą, że pan Michał udał się z poselstwem do księcia halickiego, Daniela, a później ma jechać z wyprawą na Prusaków. Jak długo to potrwa. Oprócz Ludmiły wszyscy o nim zapomnieli. Na dworze co dzień przyjmowano nowych gości, w turniejach nowi zwycięzcy zbierali oklaski. Nie miała nawet z kim pomówić o tym, co kryła w głębi serca.

W trakcie kolejnej rozmowy z królową Ludmiła wyznała, że pragnęłaby wypróbować swoje powołanie. W tym celu chciałyby odsunąć dworskie pokusy i na pewien czas osiąść w jakimś klasztorze. Nie myśli na razie o ślubach, ale chciałyby przyjrzeć się życiu zakonnemu.

— Gdyby pozwolono mi wybierać — powiedziała nieśmiało — wybrałabym norbertanki w Witowie. Tyle tam zostawiłam słodkich wspomnień.

Kinga przygarnęła sierotę i wyrażając swą radość, pocałowała Ludmiłę w czoło. Dziewczyna zawstydzona się w głębi duszy, ponieważ wiedziała, że nie zasłużyła na pocałunek, że niejako wykradła go słowami, które skrywały zupełnie odmienne myśli. Od kilku dni snuła dość przewrotne plany. Pobyt w Żegnańcu nauczył ją, jak ważne jest zyskanie na czasie. Chciała więc wszystko przewlec, zejść z oczu królowi i uspokoić królową. Wiadomo, że przełożoną klasztoru w Witowie była ciotka Michała Przedwojowica, która zdawała sobie sprawę, że siostrzeniec nie ma dostatków ani sławnego imienia, ale zasługami zdobywa uznanie i stanowisko. Na pewno będzie zadowolona, gdy się dowie, że pan Michał może podnieść oczy na wysoko urodzoną bogaczkę.

Zapusty wrzały w najlepsze, kiedy Ludmiła opuszczała stolicę w towarzystwie ochmistrzyni i kilku dworzan królowej. Ten sam klasztor, który przed rokiem wydawał się jej grobem, teraz zabłysnął jak latarnia morska oświetlająca jej przyszłość. Tyle wspomnień zostawiła w tych murach, na dziedzińcu obdzierganym kruźgankami, gdzie bawiła się w czasach swojego dzieciństwa. Wprawdzie pora zimowa nie pozwalała biegać po murawie ani zrywać kwiatów, ale za to w głębi gmachu wabił ciepły refektarz, gdzie z prawdziwą radością poznawała wąskie, wyblakłe obrazy i krucyfiksy. Ze wzruszeniem powitała znajome mniszki, zwłaszcza sędziwą matkę przełożoną.

W pierwszym dniu życie wydało się jej ciekawsze niż zabawy krakowskie. Często rozpytywała o siostrzeńca przełożonej. Pytania te nikogo nie dziwiły; wzięto je po prostu za dworską uprzejmość. Mniszki opowiadały ze szczegółami, gdzie przebywa, gdzie

się wybiera, wychwalały jego waleczność i sławę. Ciotka pana Michała była zadziwiająco niedomyślna.

Po radosnym i życzliwym powitaniu życie w klasztorze wróciło do normy. Oczywiście, zakonnice nadal cieszyły się z nowicjatu Ludmiły, ale mniej już było prywatnych rozmów, a więcej religijnych rozważań. Po kilku dniach nadszedł list od królowej, w którym gorąco polecała przyszłe powołanie Ludmiły.

Tyle było spraw, problemów, wątpliwości, o których dziewczyna chciała porozmawiać z przełożoną. Z daleka wszystko wydawało się jej takie łatwe... Teraz nie potrafiła się zwierzyć; słowa więzły jej w gardle.

— Mój Boże! — westchnęła. — Szkoda, że nie ma Elżbiety. Ona by wszystko za mnie powiedziała. Ona by wszystko ułożyła...

## KYRIE ELEISON

W refektarzu witowskim po dwóch stronach wąskiego, długiego stołu siedziały nowicjuszki. Przed każdą stała miseczka z jarzynami, czarka z wodą, a obok leżała kromka chleba. Nad stołem paliły się zawieszzone u sklepienia kagańce. Trwała wieczerza, po której pozostawało tylko pomodlić się i położyć spać. Przyjemnie i ciepło było w sali o dwóch ogromnych piecach, tym przyjemniej, że za oknami wyla zimowa zawierucha. Przy drugim stole siedziały zakonnice w białych jak mleko habitach, na które opadał czarny przezroczysty welon, niby radosny strój błogosławionych, ale jeszcze przysłonięty cieniem ziemskiego smutku. Między mniszkami widać było kilka matron w czerni. To wdowy, które uciekły przed światem. Dalej z rzadka już tylko białe habitach, porozsadzane jakby strażę między podlotkami ubranymi w ciemne przyodziewki i białe fartuchy. Każda miała długi, z tyłu zapleciony warkocz. Wśród nich siedziała także Ludmiła. Pomagała zakonnicom w utrzymaniu porządku i dyscypliny. Jak niegdyś ją tu strofowano, tak ona dzisiaj strofowała innych. Upominała, prosiła o milczenie, co było niezwykle trudne w ciżbie gadatliwych dziewczek.

Siostra lektorka siedząca z boku przy ciężkim, pięknie rzeźbionym pulpicie, którego blat mógł się podnosić i zniżać, zaczynała czytać dzieje świętych. Gruba, łańcuchem przykuta księga, z kartkami o malowanych brzegach, była otwarta na żywocie świętej Urszuli. Po ostatnim wyrazie, oznaczającym koniec czytania, przełożona podniosła rękę i uroczyście rzekła:

— Kochane siostry i panienki! Pomódlcie się dzisiaj goręcej niż co dzień. Otrzymałam list od królowej, miłościwej pani, która donosi, że Tatarzy przeszli granicę, zdobyli Lublin i podobno widziano ich w okolicach Sandomierza. Król wyprawił się z mocnym wojskiem. W Bogu nadzieja, że rozproszy to pogaństwo i odwróci od nas krzyż. Ale dużo ludzi już zginęło i jeszcze zginie, jak owe męczeńskie towarzyszyki świętej Urszuli. Módlcie się za poległych!

Słowa przełożonej zmroziły zgromadzenie. Nikt jednak nie odebrał ich tak mocno, jak Ludmiła. Wzmianka o Sandomierzu sprawiła, że serce podeszło jej do gardła. Żegnaniec niedaleko, co się stanie z Elżbietą? Złożyła ręce i nie mogła wydobyć głosu. Inne panny szeptały z trwogą:

— Już są! Lublin wzięty!

— Z tymi Tatarami to zupełnie jak ze śmiercią — powiedziała głośno młoda siostra. — Wszyscy o niej mówią, a każdemu się zdaje, że do niego nie przyjdzie. A tymczasem Tatarzy przyszli...

— I śmierć przyjdzie — dodała starsza. — I to właśnie wtedy, kiedy się najmniej spodziewamy. Toteż trzeba zawsze być w pogotowiu, pod zbroją, pod chorągwią jak nasz król z rycerstwem.

Wieczerza dobiegała końca. Rozległo się szuranie odsuwanych ławek. Przełożona znów podniosła rękę i zaczęła uciszać zgromadzenie.

— Cicho... zdaje mi się, że ktoś dzwoni.

— O tej godzinie? — zdziwiła się matrona, która niedawno zamieszkała w klasztorze i nie знаła jeszcze tutejszych zwyczajów.

— Nie ma w tym nic dziwnego — odrzekły mniszki. — Może jakiś podróżny albo chory prosi o lekarstwo lub księdza.



Teraz wszystkie usłyszały natarczywy dzwonek. Odźwierna pobiegła do furty. Za chwilę wpadła do refektarza z przestraczem w oczach.

— O, Jezu Nazareński! — wrzasnęła przerażona. — Tam stoją kobiety z dziećmi, ranne, pokrwawione, obszarpane, na wpół nagie. Powiadają, że Tatarzy je obdarli i pobili.

— Tatarzy! — krzyknęły mniszki. — Więc już są blisko.

— Tego nie wiem. Kobiety powiedziały, że idą spod Lublina.

— Gdzie one są? — zapytała matka przełożona.

— Za furta.

— To jeszcze ich nie wpuściłaś?!

— Kiedy, proszę matki, jakiś strach mnie ogarnął. Nawet nie wiem, czy wystarczy naszych szpitalnych łóżek. Wyglądają jak widma. A przy tym gadają... jakoś niby to nie po polsku.

— Wstydz się! — przerwała przełożona. — Jak łóżek nie wystarczy, to się znajdzie słoma. Chyba lepsze to, niż trzymanie ich na mrozie.

— A cóż mówią nocni stróże? — zagadnęła jedna z zakonnicek.

— Wołałam stróżów, ale żaden się nie odezwał. Śpią próżniaki.

— A to niedobrze — stwierdziła ksieni. — No, ale chodźmy już do tych biedaczek.

Wzięła do ręki kaganiec i ruszyła pierwsza, prowadząc mniszki, za którymi jak stado owiec tłoczyły się panienki, miotane strachem i ciekawością. Gdy doszły do furty, przełożona spojrzała przez okratowane okienko. W pierwszej chwili cofnęła się, ale wnet odzyskała równowagę ducha i spytała:

— A skąd to Bóg prowadzi? Z Lublina? Czy to prawda, że Tatarzy...

— Oj, prawda, prawda — jęknęła najbliższej stojąca niewiasta. — Jak nas Tatarzy przepędzili, tak już tydzień uciekamy. Chciałyśmy uciekać jeszcze dalej, ale nam dzieci pomarły. Miłosiernie prosimy o schronienie na jedną tylko noc. Jutro pójdziemy, jak Bóg w niebie, pójdziemy.

— Ale, moja kobieto — rzekła przełożona — nie rozumiem, pobito was przed tygodniem, a wasze rany są jeszcze świeże. Pełno krwi na was...

— A to, moja matko, mróz pootwierał rany.

— Trzeba je wpuścić — zdecydowała przełożona po dłuższym namyśle. — Ale pierwszej... może która z was podskoczy i zadzwoni na kościelnych. Niech im przez kratę powie, aby się rozejrzeli i stróżów pobudzili, bo istotnie te kobiety wyglądają podejrzanie... Może to jacyś złoczyńcy przebrani...

Wychowanki i zakonnice kolejno podchodziły do krat, a każda cofała się, składała ręce lub zasłaniała oczy. Istotnie, widok był tragiczny. Pod okienkiem stało z pięć lub sześć młodych kobiet, na wpół obnażonych, pociętych. Świeża krew płynęła po ich twarzach. Na rękach trzymały dzieci, równie cierpiące. Nieco dalej stał zbity, niemożliwy do rozpoznania tłum; roilo się zbiegowisko starych, przygarbionych bab podpierających się na kijach, owiniętych pokrwawionymi płachtami, jęczących głucho, jak gdyby spod ziemi. W słabym świetle księżycy przesłoniętego chmurą wyglądały jak cmentarne widma.

— Łotry! Poganie! — krzyczała jedna z niewiast, chwytając się za ramię. — Jak mnie wczoraj jeden za rękę szarpnął, to aż mi w kościach trzasło...

— Jak to wczoraj? — podchwyciła zakonnica stojąca przy okienku. — Przecież to już tydzień?

— Niech matka nie zważa — przerwała prędko inna kobieta. — Strach przewrócił jej w głowie. Ciągle jej się zdaje, że to było wczoraj.

— A nie ma wśród was żadnego mężczyzny? Bo tymi drzwiami tylko białogłowy mogą wchodzić. Nie macie mężów, braci...

— A skąd my weźmiemy mężów albo braci? Wszystkich Tatarzy wybili, wszystkich, co do nogi.

Siostra wysłana po kościelne sługi przyniosła wiadomość:

— Już ich obudziłam, zaraz przyjdą.

— Trzeba przygotować łaźnię, ciepłą strawę, przynieść świeżej słomy. — Przełożona wydawała polecenia, ociągając się z otworzeniem furty. Czekala na przybycie mężczyzn.

Tymczasem jedna ze staruszek podeszła do kobiety trzymającej dziecko i coś szepnęła jej do ucha. Wnet dziecko zaczęło przeraźliwie płakać, jakby je kto żywcem ze skóry odzierał. Kobiety tupają o zamarzłą ziemię i wyrwały sobie włosy.

— Chyba nas tu nigdy nie wpuszczą! Cóż to za dom boży, gdzie nie chcą ubogiemu otworzyć! Tłuste mniszki śpią na puchu, jedzą kury, a dla nędzarzy są gorsze od Tatarów.

Zakonnice były zawstydzone wyrzutami. Furtianka, nie czekając na rozkazy, podbiegła z kluczami. Przełożona, choć jeszcze się wahała, pozwoliła otworzyć, ale tylko boczną, maleńką furtkę, przez którą ledwie jedna osoba mogła się przecisnąć. Najpierw zaczęły wchodzić młodsze kobiety, które od razu przypadły zakonnicom do kolan, dziękując za schronienie. Potem skulone starowiny omotane chustkami, tak że niepodobna było rozpoznać ich twarzy. Na razie weszły tylko trzy; reszta tłoczyła się w progu i pomrukiwała żalostnie, mimo zaproszeń furtianki, która wyraźnie była zniecierpliwiona zwłoką. Siarczysty mróz wdzierał się do środka. Nagle jedna z babulek wyprostowała się, wyciągnęła ogromne ręce i ruszyła do głównych drzwi. Jednym zamachem zdjęła żelazną sztabę. Inna „staruszka” wydarła furtiance klucze i zaczęła dobierać się do zamka. Przełożona z oburzeniem chwyciła ją za rękę i zawołała:

— Co to znaczy? Kto wam pozwolił?

Ale czarownica mocno potrząsnęła głową; wszystkie chusty z niej opadły i pokazała się straszna, koścista, szeroka, skośnooka twarz. Mężczyzna obejrzał się na zgromadzenie i pogroził sztabą. Ze wszystkich ust niewieścich wyleciał jeden okrzyk przerażenia. Zakonnice chciały biec na pomoc przełożonej, którą mężczyzna chwycił za gardło, ale nie mogły się wyrwać z objęć kobiet obejmujących je za nogi z udawaną pokorą. Klucz został dopasowany; oba skrzydła głównych drzwi rozwarły się na oścież, fala ostrego powietrza wdarła się do środka i zgasiła większą część kagańców. Wreszcie nadbiegli słudzy kościelni. Wpadli pierwsi, a za nimi, w krótkich kożuchach, w spiczastych czapkach zakrzywionych jak krogulcze dzioby, z szablami i siekierami, napierali Tatarzy. Spoza narożnych murów sypali się bez końca, spod każdego krzaka powstawali jak widma. W sieni zapanował sądny dzień. Zakonnice i panienki uciekały w głąb korytarzy, do sal, do cel, na poddasze. Tatarzy za nimi. Słudzy klasztorni, po krótkim oporze, konali na progu. Z wieży odezwał się głęboki, ponury głos dzwonu. Pewnie któryś z kościelnych, przytomniejszy od innych, zawrócił i uderzył na trwogę. Wnet ze wszystkich okolicznych budynków wybiegli na pomoc gospodarze. Ale klasztor już był opanowany! W sieni, na pozór pustej, zostało jeszcze kilka żywych istot. Kiedy mniszki biegnęły w stronę korytarza, Ludmiła swoim łowczym okiem oceniła niebezpieczeństwo i szepnęła do najbliższych zakonnic:

— Dlaczego one tam uciekają? Przecież stamtąd już nie ma wyjścia. Musimy się trzymać blisko drzwi, może się uda...

Był w sieni ogromny kominek, na którym leżały wielkie stosy drzewa przygotowane do rozpałki na następny dzień. Ludmiła i cztery inne zakonnice wcisnęły się za drzewo i przykleknęły w popiele, wstrzymując oddech. Przez moment nie było nikogo. Jedni łupieżcy pogonili za uciekającymi, inni walczyli z odsieczą. Ludmiła wyczołgała się z kominika. Ogarnęła wzrokiem sien; księżyc blade oświetlał wnętrze.

— Nie ma nikogo. Uciekajmy! — skinęła na towarzyszki.

Trzy zakonnice poczołgały się za nią, czwarta nie ruszyła się z miejsca.

— Ślubowałam, że nie opuszczę tych murów — powiedziała ze smutkiem w głosie. — Tu poczekam na śmierć.

— Gdyby tylko śmierć cię czekała, ale niewola u pogan! — wycedziła przez zęby Ludmiła i wychyliła głowę, sprawdzając, czy przed drzwiami nie ma straży. Nie było żywego ducha.

Dziewczęta chwyciły się za ręce i biegnęły przed siebie, omijając trupy. Coraz mniej krzyków rozdzierało ciszę nocy. Słyszały własny oddech i żalostny dźwięk dzwonu, który drżał w powietrzu przezroczystym od mrozu. Tuż przy klasztorze było niewielkie wzgórze; za nim ciągnęły się lasy. Nowicjuszki zwróciły się w tę stronę, bo tylko tam mogły znaleźć schronienie. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się ośnieżona równina, na której byłyby widoczne jak na dłoni. Poganie szamotający się z garstką chłopstwa dostrzegli uciekinierki. Kilku porzuciło walkę dla ponętniejszej zdobyczy. Trzaskając nahajkami ruszyli w pościg. Dziewczęta ostatkiem sił wspinały się pod górę; śnieg osuwał się spod

nóg. Słabsze nie mogły nadążyć; rozerwał się łańcuch rąk i każda uciekała z osobna. Nahajki klaskały, dzwon bił z przerwami, jakby już i kościelnemu zabrakło siły. Ludmiła straciła z oczu swoje towarzyszkę. Uniosła brzegi sukni i na oślep wpadła w gęstwinię. Potknęła się o pniak sterczący nad ziemią, zamarzyły strumyk zatrzeszczał pod nogami, poślizgnęła się, znowu wstała, śnieg coraz głębszy utrudniał ucieczkę. Cienkie obuwie rozmiękło, w końcu podarło się o gałęzie. Nagle coś ją chwyciło za nogi, jakby wąż pierścienisty. Chciała biec dalej, ale sznur się zaciskał. Upadła na wznak w puch śniegowy.

Dwaj Tatarzy<sup>23</sup>, zarzuciwszy na uciekinierkę arkan<sup>24</sup>, podbiegli do niej. Mieli na sobie wyświechtane tłuszczem kozuchy. Płaskie nosy i krzywe oczka nadawały im szatański wygląd. Jeden z nich zwrócił twarz dziewczyny pod światło księżycowe. Po chwili ostrożnie zdjął z jej nogę linę, jednym końcem arkanu związał ręce, a drugi wziął w dłonie i popędził zdobyc przed sobą świstem nahajki<sup>25</sup>. Wycieńczona i skostniała z zimna Ludmiła co chwila ślizgała się i upadała. Tatar niecierpliwił się, w końcu pochwycił ją, zarzucił na ramię i niósł jak piórko. Wkrótce znaleźli się pod klasztorem, między szeregami wysokich dwukołowych wózków. Tatar położył ją na jednym z nich, przykrył słomą i stanął obok, pogwizdując wesoło.

Ludmiła zapadła w sen, który wydał się jej przedśmiertnym. Kilka razy nieco uniosła powieki. Raz ujrzała Tatara w złotym ornacie, z czarnym welonem norbertanki obwiązanym koło czapki, który zbliżał się do wózka, pijąc z mszalnego kielicha. Po chwili podał kielich strażnikowi. Obaj kolejno siorbali chciwie, krzycząc w niezrozumiałym języku. Kiedy po raz drugi otworzyła oczy, okna kościelne pały wielkim światłem. Na ołtarzach, w świecznikach wiszących pod sklepieniem, wszystkie gromnice były zapalone. Przez ścianę dolatywał głuchy szum i szczeł, przerywany niekiedy krzykiem.

Obcy, Świętokradztwo

## NA POBOJOWISKU

Ledwie doniesiono, że nieprzyjaciół przekroczył granice, młody król wyruszył z gronem pokrewnych książąt na wojnę. Bolesław nie potrzebował zachęty; pełen młodzieńczej ufności naprędce mobilizował siły, które udało mu się zebrać pod Wawelem. Całe właściwie rycerstwo dopiero nadciągało. Szykowano się ciężko i z wolna. Nikt jeszcze nie wiedział, że Tatarzy głównie wojują pośpiechem. Była to armia urządzona z prawdziwie mistrzowską sztuką, walcząca ze strategią w Europie nie znaną.

Przed każdą wyprawą, jeszcze w głębi Azji, ustalono, ilu mężczyzn z każdej rodziny musi zaciągnąć się do wojska, ile czasu trzeba poświęcić na drogę, ile sił wysłać w każdą część świata, bo zwykle planowano kilka wypraw jednocześnie. Potem do każdego kraju wysłano szpiegów, którzy krążyli przez miesiące, czasem lata, tak że wodzowie mongolscy, wchodząc do nowej ziemi, znali nie tylko położenie wszystkich miast i wiosek, ale najmniejsze drożyny i manowce. Idąc zostawiali kilka szlaków nietkniętych, aby w drodze powrotnej znaleźć paszę dla koni i siedliska do wypoczynku.

Liczba samych Tatarów<sup>26</sup> w wojsku była stosunkowo niewielka. W sile trzystu tysięcy napadających na Polskę dwie trzecie stanowił przeróżny, dawniej podbity naród<sup>27</sup>; zwycięzcy pędzili go przed sobą, każąc walczyć w swojej sprawie. Dla zachęty dzielili się częścią łupów.

Bolesław, rażno jadący z garstką dworzan, zdziwił się niepomiarnie, widząc nieprzebrane tłumy. Każdy z wojowników tatarskich prowadził pięć lub sześć koni. Tabory więź-

<sup>23</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ścisłym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>arkan — długi sztywny sznur, służący do chwytania uciekającej zwierzyny lub ludzi. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>nahajka a. kańczug — skórzany bicz, narzędzie dyscyplinowania i wymierzania kary. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ścisłym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Liczba samych Tatarów w wojsku była stosunkowo niewielka. W sile trzystu tysięcy napadających na Polskę dwie trzecie stanowił przeróżny, dawniej podbity naród — imperium mongolskie w XIII w. stanowiło twór wieloetniczny i wielokulturowy. Do dziś jest uważane za drugie co do wielkości państwo świata, ustępując jedynie imperium brytyjskiemu. [przypis edytorski]

niów wleczone z tyłu jeszcze pomnażały ciżbę. Polacy dobrze wiedzieli, że nieprzezornie jest mierzyć się z tak nierówną siłą, ale rycerski honor nie pozwalał uchodzić bez walki.

Spotkanie nastąpiło pod Opolem. Była to raczej utarczka niż bitwa. Młody król nie dał się osaczyć, na czas wycofał resztki sił i powrócił do Krakowa. Wojewodzie Włodzimierzowi rozkazał trwać w pełnym pogotowiu i przynajmniej do stolicy nie dopuścić pogaństwa. Tatarzy cofali się ku Puszczy Strzemeskiej. W sławnych z dzikości głębiach mogli ukryć łupy i jeńców, jak gdyby pod ziemią.

Ludmiła od chwili porwania żyła w zupełnym odurzeniu. Ciągłe ją pędzono; to na wózkach, to pieszo w gromadzie więźniów. Czasem wprawdzie zatrzymywano się na skraju lasu, ale nie było mowy o odpoczynku. Wokół błyskały ognie podpalanych wiosek, spędzano nowych brańców. I znów dalej, na bezdroża. Więźniowie nie doznawali głodu. Strażnicy, chcąc im dodać sił do szybkiego marszu, suto rozdawali pożywienie.

Pewnego dnia pędzono przed nimi nowo sprowadzonych jeńców. W tłumie, po białych wąsach, Ludmiła poznała Marka, który był jednym z najpocziwszych domowników żegnanieckiego zamku.

— Marku! — krzyknęła. Mężczyzna na dźwięk swojego imienia odwrócił się. — I ty tutaj!

— Byłem w drodze do Żegnańca, kiedy mnie złapano... — zawołał. — Niestety! — Długo jeszcze coś wołał, opowiadał, ale Ludmiła nie usłyszała już ani słowa.

Czwartego dnia rano cały tłum przyciągnął nad rzekę. Tylko dzień drogi dzielił ich od Puszczy Strzemeskiej, Tatarom wyczerpały się siły i przewodnicy zarządzili trzygodzinny odpoczynek. Wkrótce po wschodzie słońca nadbiegły przednie straże, ostrzegając, że nadciąga jakieś niezmiernie błyszczące wojsko. Wieść ta piorunem rozeszła się między jeńcami.

— Nasi idą, nasi! — wrzeszczał rozentuzjasmowany tłum. Mimo gróźb i napomnień straży, nieszczęśnicy ukłękli i donośnym głosem zaczęli śpiewać: — Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!

Strażnicy spędzili więźniów w jedną gromadę i otoczyli taborem szczelnie powiązanych wozów. Spoza tej lekkiej, a jednak nieprzepartej warowni jeńcy niczego nie mogli dostrzec oprócz ogromnych kłębow pyłu. Chwilami słońce zaciemniały chmury pociśków. W pewnym momencie odwróceniu plecami do brańców poganie zaczęli pierzchać, gnani jakimś nieludzkim strachem. O jeńcach nikt nie myślał. Przez tumany kurzu zaczynały przebłyskiwać tarcze z chrześcijańskimi godłami, powiewały proporce. Ludmiła dostrzegła jeźdźca w posrebrzanej zbroi z błękitną chorągiewką u kopii.

— O, Boże! Czy mnie oczy nie mylą? — szepnęła.

Serce mówiło jej, że to on, Michał Przedwojowic. Mężczyzna pędził w stronę taboru. Gdy był już blisko, zeskoczył z konia, dobył koncerz i zaczął rozcinać sznury, wśród radosnego krzyku jeńców, którzy tłoczyli się niecierpliwie. Ludmiła pochyliła głowę i zamknęła oczy. Myślała, że śni, do chwili gdy ktoś z troskliwą ostrożnością przeciął więzy na jej rękach i ucałował czerwone pręgi.

Wojsko chrześcijańskie z tętentem i okrzykami okrążyło tabor. Wszystkie ręce podniosły się ku Panu i ku wybawcom. Krewni i znajomi, którzy rozpoznali się w tłumie, rzucali się sobie w ramiona. Całowali się znajomi i nieznajomi. Wzruszenie i radość ścisnęły za gardło, łzy płynęły z oczu. I pewnie radość ze spotkania trwałaby jeszcze długo, gdyby nie rozsądna uwaga jednego ze starszych i doświadczonych żołnierzy:

— No, już dosyć. Tatarzy mogą lada chwila wrócić. Tu pole otwarte jak na dłoni. Pójdźmy lepiej w lasy.

Słowa przekazywane z ust do ust w jednej chwili ogarnęły całą rzeszę. Wszyscy wpadli w popłoch. Na samą myśl, że jeszcze raz mogą dostać się w ręce pogan, jeńcy zerwali się z okrzykiem:

— W lasy! W lasy!

— Tędy... w stronę Krakowa! — zaproponował ktoś inny.

— Do Krakowa! — powtórzyło setki głosów.

Rozsuwając wozy, ruszyli na południowy zachód, gdzie długa, srebrna sieć lasów szklila się od oślepiającego szronu. Wszyscy szli w jednej zwartej gromadzie: starcy, nie-

wiasty, dzieci wraz ze swymi oswobodzicielami. Rycerstwo trzymało się na tyłach, aby w razie napadu zasłonić bezbronny tłum.

Ludmiła szła prawie na końcu w towarzystwie Michała Przedwojowica. Rycerz spoglądał na nią wzrokiem łagodnym, pełnym miłości. Uśmiechał się niekiedy, lecz milczał. Ludmiła zastanawiała się, czy to z powodu wzruszenia słowa więzły mu w gardle, czy może jakaś złowieszcza myśl zasępiła mu duszę?

Pojawiły się już pierwsze drzewa. I w samą porę, bo ledwie zagłębiono się w puszczy nadbiegła straż, donosząc, że na polach znów zaczynają krążyć nieprzyjacielskie czaty. Wojewoda Włodzimierz kazał zawrócić konie. Rycerstwo zgromadził na skraju lasu, a ciurów pozostawił przy odbitych jeńcach, by bronili ich w razie niebezpieczeństwa. Czas mijał. Z początku słyszano chrzęst hufców szykujących się tuż pod borem. Wrzawa, zgiełk i harmider oddalały się, okrzyki były coraz słabsze, w końcu wszystko ucichło. Kilku ciurów puściło się brzegiem lasu, aby rozeznaczyć sytuację. Wrócili z wieścią, że wojska już nie widać. Słychać było wprawdzie bitewną wrzawę, ale gdzieś za Turskiem. O pierwszym świcie wojewoda rozesał ludzi na granicę lasu. Tatarzy zginęli, przepadli, jakby ich nigdy nie było.

Tymczasem Ludmiła przy świetle brzasku szukała Michała Przedwojowica. Jej wzrok zatrzymał się dłużej na jakiejś znajomej twarzy. Był to Sulisław. W jednej chwili znikła niechęć, urazy poszły w zapomnienie. Podeszła do mężczyzny, uśmiechnęła się i zapytała zatrwożonym głosem.

— A gdzie Elżbieta?...

— Już dawno w Krakowie u królowej albo we Wrocławiu z bratem — spokojnie odparł Sulisław. — Na pierwszą wieść o Tatarach wysłałem człowieka z rozkazem, aby wyjeżdżała co rychlej.

Kogo wysłał? Czy przypadkiem nie Marka? — pomyślała Ludmiła i chciała rozwiązać swoje wątpliwości, ale przerwano ich rozmowę. Sulisław odebrał rozkaz od wojewody, który posyłał go na zwiady, i wyruszył natychmiast.

Już dawno wstał dzień, a Michała Przedwojowica nikt jeszcze nie widział. Pocieszano Ludmiłę, ale słowa otuchy nie budziły w niej wiary. Wszak podczas rozstania kilka razy powtarzała: „Będę czekała tutaj, pod trzema dębami”. Czy mógłby zapomnieć? Mógłby opuścić ją w tak okropnej sytuacji.

Nagle straszna myśl przeszła jej serce. Zginął! Pobiegnęła w stronę poboju. Za nią poszło kilku mężczyzn, potem jeszcze kilku i coraz więcej ludzi ciągnęło z lasu ku żałobnym polom. Na poboju nie było wielu trupów. Tatarzy odebrawszy natychmiastowy rozkaz cofania się do puszczy, przy niezwykłej karności, nie mieli czasu na obdzieranie poległych. Co żywo pozbierali swoich i wycofali się.

W pierwszej chwili Ludmiła miała wrażenie, że nikogo tu nie ma. Po pewnym czasie, który był dla niej wiecznością, znalazła jednego, drugiego, dziesiątego... Leżeli na śniegu jak na białym całunie. Dziewczyna zatrzymywała się przy zwłokach, odgarniała śnieg i szła dalej. Nagle stanęła jak wryta. Spod śniegu sterczała przywiązana haftowaną szkarłatną wstążką jej bransoletka.

Michał leżał nieruchomo, w śnieżnobiałej lnianej koszuli, z twarzą zastygłą, ale uśmiechniętą. Był to uśmiech śmierci, wywołany widokiem lepszego świata. Ludmiła usiadła na śniegu przy zwłokach i wpatrywała się w jego twarz.

Wkoło panował ruch i zamieszanie. Ludziom pilno było uciekać do stolicy. Rycerstwo nagliło do drogi w obawie przed nowym napadem. W pośpiechu znoszono trupy. Kilku pachołków skoczyło do wioski, która jeszcze nie była doszczętnie zniszczona, i przyniosło rydło. Rozmieciono śnieg i zaczęto kopać zmarzniętą ziemię. Zwłoki układano rzędami, przysypując je lekko i wkrótce narósł mały, płaski kopiec. Przyszła kolej na Przedwojowica. Dwóch mężczyzn podeszło do niego i chwyciło go za ręce i nogi.

— Gdzie go zabieracie? — jęknęła Ludmiła. Stała nieruchomo, jakby wrosła w ziemię. Po jej posągowej twarzy spływały łzy.

— Musimy go pogrzebać. Chcesz, żeby go kruki zjadły? Tu już nie masz co robić. Idź stąd, będziesz miała dość czasu na płkanie.

## CO KOŃ WYSKOCZY

Sulisław stał nad trupem i załamywał ręce:

— Moja żona! Moje dziecko! Co się stało z Elżbietą?

Ludmiła rozpoznała Marka. — Więc to jego pan wysłał! Ona nic nie wie...

— Tak, ona nic nie wie — powtórzył Sulisław. A tam już pewnie poganie plądrują! Ludzie mówią, że Sandomierz wzięty. A ja, nieszczęsny, tak ją zaklinałem, aby się nie ruszała nigdzie bez mojego pozwolenia! Któż mógł przewidzieć? Z początku miałem nadzieję, że Marek został napadnięty w drodze powrotnej, ale nie; oto na jego rękę znalazłem sygnet, który miał zawieźć jako znak ode mnie... Że też ten człowiek dał się złapać! Ona tam czeka i o niczym nie wie, a jeśli się dowie, to już może być za późno...

— Trzeba przecież coś zrobić — przerwała Ludmiła. — Kogoś posłać... może jeszcze czas...

— Ale kogo? Ja nie mogę opuszczać chorągwi. Cóż by to się działo, gdyby wszyscy mężowie i ojcowie rozjechali się do swoich domów? Kto się zmiłuje? Kto pojedzie do Żegnańca ostrzec moją żonę, aby co prędzej uciekała? — pytał rozglądając się błagalnie.

Ludzie jednak odstępowali, udawali, że nie słyszą albo nie rozumieją. Rycerze nie mogli odbiegać swego znaku, giermkowie nie chcieli odbiegać rycerzy. A odbici jeńcy? Ci za żadne skarby świata nie ruszyliby w zagrożone strony.

— Ja pojedę — odezwała się Ludmiła. — Może jeszcze zdążę, tylko dajcie mi dobrego konia.

Sulisław chwycił jej obie ręce:

— Święta panienko! Ty mi życie wracasz. Ale to niemożliwe, przecież sama musisz się ratować.

— Po co ja się mam ratować? Dla kogo? Elżbieta jest jedyną drogą istotą, jaka mi na świecie została...

— Ale jak trafisz przez te lasy? — denerwował się Sulisław. — Dam ci mego konia, który z końca świata znajdzie drogę do Żegnańca. On cię wichrem zaniesie.

Jeden z dworzan żegnanieckich, pazik z figlarnymi oczami, wysunął się nieśmiało i zaproponował:

— To i ja pojedę, przecież niepodobna panienki samej puszczać w taką drogę.

Sulisław aż uściskał pazia. Młodzieńcowi żal było wprawdzie porzucić pole chwały, gdzie mógł się dosłużyć srebrnych ostróg giermka, ale w tym momencie wołał zostać opiekunem białogłowy, wszak to także chluba. Ludmiła bez wahania przyjęła konia i towarzysza. Nie chcąc tracić ani chwili, ponaglała:

— W drogę, w drogę, prędzej!

Jeden z mężczyzn, zdjęty współzuciem, rzucił na nią własny płaszcz z ciepłym kapturem.

Ruszyli klusem. Wjechali w gęste bory. Bułany dobrze znał drogę, ani razu się nie zawahał. Przez białe gałęzie iskrzyły się gwiazdy z zimową, brylantową rzęsistością. Powoli niebo stawało się różowe... czerwone... Wkrótce zapłonęło ogromną luną. Nad ranem luna znikła. Ludmiła przymrużyła zmęczone oczy. Po chwili otworzyła je szeroko i ręką przysłoniła powieki, aby lepiej wpatrzeć się w dal. Nad rzedniejącym lasem rysował się na niebie szczyt najwyższej żegnanieckiej baszty.

— Dojeżdżamy — zawołał z radością paż. — I na czas, bo tu jeszcze spokojnie, żadnych lun, żadnych krzyków. Mamy szczęście!

Elżbieta liczyła dni pełne tęsknoty i niepokoju.

Po powrocie z Krakowa spędziła w zamku kilka pogodnych i dobrze wróżących tygodni. Mąż, ucieszony mądrym przeprowadzeniem sprawy i rozczulony skromnością małżonki, stopniał w rozrzewnieniu. Szczęście wróciło do Żegnańca i płonęło tak jasno, jak nigdy dotąd.

Ale pewnego dnia pokazał się konny posłaniec z pękiem wici. Stał pośrodku dziedzińca i ogłosił sejm w Kalinie, gdzie Sulisław miał stawić się w pełnym wojennym rynsztunku, aby z królem i panami radzić nad zagrażającym niebezpieczeństwem. Pan zamku

Bohaterstwo

rad nie rad musiał się oderwać od ciepłego kominka. W kilka dni później, okryty niedźwiedzim futrem, wyjechał z pocztem stosownym do swojej pozycji.

Wiernemu Rupertowi dziesięć razy powtarzał, jak ma strzec zamku; w duszy drżał, aby Zyndram, dowiedziawszy się o jego wyjeździe, nie szukał zemsty. Żonie zwierzył się ze swych obaw i zaklinał ją na wszystkie świętości, aby nie ruszała się z zamku.

— Mam w Bogu nadzieję — mówił — że wszystkie tatarskie pogrożki skończą się na strachu. Gdyby wszakże naprawdę groziło jakieś niebezpieczeństwo, przysłę ci kogoś z ostrzeżeniem...

Elżbieta odprowadziła męża po ośnieżonej ścieżce aż do stóp góry, a mały Jasiek, uczepiwszy się ojca, w żaden sposób nie chciał go opuścić. Żalosne było pożegnanie. Elżbieta nie mogła dać sobie rady ze wzruszeniem; jej twarz była mokra od łez. Sulisław miał w oczach niepokój. Nasunął czapkę i co żywo puścił się ku borom, gdzie wkrótce cały orszak zniknął wśród grubej płataniny gałęzi obwisłych od śniegu.

Elżbieta wracała pod górę, niosąc Jasia na rękę. Kazała spuścić bramę i podwoić strażę. Odtąd zaczęła pędzić dni samotne, przerywane tylko rozmową z kapelanem i zabawami z dzieckiem.

Drwale, przyjeżdżający z drzewem i smołą, opowiadali, że Tatarów już gdzieś widziano, że nawet podobno była wielka bitwa. Rano zastała niespokojną czeladź. Strażnik wieżowy widział przez całą noc wielką lunę.

Tylko patrzeć wieści od męża, pomyślała. Na wszelki wypadek trzeba się pakować. Kazała więc dziewczkom służebnym napełnić podróżne skrzynie, a sama zamknęła się w głównej sali, by spakować kosztowności.

Była tam kryjówka, o której nikt poza rodziną nie wiedział. Z ojca na syna przechodziła tajemnica schowka znajdującego się w głębokiej framudze. Dziad Sulisława, rycerz krzyżowy, co z Henrykiem Sandomierskim jeździł do Palestyny, przywiózł ten pomysł z jakiegoś wschodniego pałacu. Sulisław, wyjeżdżając na wojenną wyprawę, pokazał go żonie, nauczył sposobu otwierania i pilnie polecił jej pieczy. Były tam pergaminy rodzinne, prześliczna szkatułka, którą Elżbieta wniosła z wyprawą. W niej chowała swoje pierścienie, łańcuszki, kolce<sup>28</sup>. Głębiej znajdowały się garnczki i worki z pieniędzmi. Długo się namyślała, czy to zabrać. Wszakże wszystko może się przytrafić w podróży, zawsze pewniej w domu zostawić; nikt o skrytce nie wie. Skarbiec nie zginie.

Wzięła więc tylko tyle, ile, jej zdaniem, przyda się w drodze. Potem podeszła do stołu, gdzie leżały różne drogocenne przedmioty: księga z żywotami świętych, klepsydra i gliniana czarka, w której pływała róża jerychońska. Od miesięcy Elżbieta śledziła jej rozwój z niemal zabobonną troskliwością. Pamiętała słowa pielgrzyma: „Oby wam zakwitła i przyniosła szczęście”. Związała niejako istnienie tego kwiatu z losem własnym i z losami drogich sobie istot.

Nie zostawię ciębie, mój wróżebny kwiatku — szepnęła. — Ale jak cię tu zabrać?

Rzeczywiście, nie było łatwo zapakować tę drobną roślinę, by nie uszkodzić gałązek, zwłaszcza teraz, kiedy zmiękły. Elżbieta oparła się na stole, wyjęła różę z czarki i zastanawiała się nad wyszukaniem odpowiedniego puzderka, gdy z głównej baszty rozległo się donośne trąbienie.

Mimo zadymki panującej na dworze, dostrzegła dwóch jeźdźców. Pędzili co koń wyskokocy. Tuman śniegu kłębił się wokół nich. Elżbieta rozpoznała bułanego konia męża. Ale na nim siedział ktoś inny... Dalej paż Feliś... Tak, to Feliś!

Zapomniawszy o ostrożności, otworzyła drzwi i przez sypialnię wybiegła na ganek.

Koń męzowski z zakapturzonym, ośnieżonym jeźdźcem zatrzymał się na dziedzińcu. Elżbieta zbiegła na dół, odsunęła rygiel i jak strzała przemknęła przez sień na dziedziniec. Kiedy była już blisko, rozpoznała jeźdźcę.

— Ludmiła! Ty tutaj! — krzyknęła. — Co z moim mężem? Żyje?

— Żyje, ale uciekaj, ty, Jaś, wszyscy! Tatarzy idą... Sandomierz spalony, wsie wyróżnięte. Kraj w ogniu! — wyrzuciła z siebie jednym tchem Ludmiła.

<sup>28</sup>kolce — tu daw.: duże kolczyki. [przypis edytorski]

## DZIECINNA PSOTA

Jaś, widząc, że drzwi do komnaty są uchylone, wetknął swoją złotą główkę. Gdy zobaczył, że w pokoju nie ma matki, wsunął się śmieiej. Jego uwagę od razu przykuł czarno ziejący otwór, którego nigdy wcześniej nie widział. Z początku chłopiec nieco się przeraził. Powoli jednak ciekawość zwyciężyła. Podszedł bliżej i zaczął się przyglądać, co chwila zerkając ku drzwiom. Czuł, że w każdej chwili może być przyłapany na gorącym uczynku. Kiedy spostrzegł różę jerychońską, wszystko inne mogło już nie istnieć. Róża od dawna go fascynowała; marzył, by się nią pobawić, ale matka nigdy nie pozwalała jej dotykać. A teraz leżała sobie sama na stole i była wyjęta z wody. Wspiął się więc na krzesło, chwycił ją i zaciskając w dłoni, zeskoczył. Z zainteresowaniem przyglądał się zdobyczy.

Z początku trzymał gałązkę delikatnie, potem zaczął badać, skubać i szarpać. Próbowił, czy jagody mocno się trzymają, czy nie można choć jednej z nich oderwać i rozłupać. Nagle usłyszał głos matki. Co tu robić? — zastanawiał się przerażony. Położyć różę na miejscu? Za wysoko. W ostatniej chwili, w dziecinnej rozpacz, cisnął gałązkę do otwartego na oścież schowka. Prawie w tym samym momencie weszła matka, a za nią kochana i nigdy niestrudzona towarzyszka zabaw, Ludmiła. Jaś uczepił się jej sukni i wrzasnął z radości:

— Nareszcie jesteś! Gdzie byłaś? Gdzie się schowałaś?

Ludmiła nie odpowiadała na pytania dziecka. Patrzyła na przyjaciółkę, w której zachowaniu wyczuła coś dziwnego i niepokojącego. Elżbieta na widok otwartej kryjówki zrozumiała swoje sprzeniewierzenie się zaufaniu męzowskiemu. Instynktownie zarygłowała drzwi i zaczęła wstawiać kamienie. Trudno jej było dobrać odpowiednie, ponieważ zapomniała, w jakim porządku były ułożone. Ludmiła pośpieszyła z gorączkową pomocą. Nie pytała o nic, tylko jak najszybciej zabrała się do pracy, starając się zamurować otwór. Jaś patrzył na to wszystko i niczego nie rozumiał. Zastanawiał się, dlaczego obie tak się śpieszą i dlaczego są zdenerwowane. Ktoś zastukał do drzwi. Wreszcie kamienie się złożyły i deszczulka zapadła. Elżbieta odsunęła rygiel i ujrzała Ruperta.

— Któż to zamknął? Na miłość boską, trzeba się naradzić. Już kazałem wszystko do drogi gotować, co najkosztowniejsze zabierać. Może pani jeszcze co każe?

— Chłopów ostrzec — zawołała Elżbieta, przesuwając ręką po czole i zbierając rozproszone myśli. — Wieś całą zawiadomić, niechże i oni uciekają, tu nikt nie powinien zostać!

— Jak to nikt? Ja zostanę! Muszę bronić zamku. Pan mi go powierzył — odparł z dumą Rupert.

— Bronić zamku? A kto nas będzie bronił w drodze? To szaleństwo. Ilu masz ludzi? Trzydziestu? Cóż to znaczy przeciw Tatarom. Niech wezmą te mury, niech je zniszczą, spalą, byle wszyscy się uratowali.

Rupert po chwili wahania musiał przyznać jej rację, bo nic już nie odpowiedział. Spuścił głowę i wybiegł. Razem z nim wymknął się Jasio. Na dziedzińcu czekało go wiele atrakcji: siodłano konie, wytaczano sanie, ładowano juki i skrzynki; panował rwetes i zamieszanie.

— Może źle, że zamurowałam cały nasz majątek. Bezpieczniej byłoby zabrać... Może jeszcze wyjąć? — zastanawiała się na głos Elżbieta.

— Nie ma czasu, nie ma czasu — ponagliła Ludmiła. — Przecież murów nie będą rozbijali... Kiedyś to wszystko odnajdziesz. Teraz zabieraj, co możesz, i w drogę!

— Więc oni są tak blisko?

— Nie wiem. Widziałam ogromne łuny, ale trudno ocenić, jak daleko świeci luna. Może są gdzieś daleko... A może wcale nie przyjdą... Najczęściej pojawiają się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewa, jak w tym nieszczęsnym Witowie...

— Jak to w Witowie? — zdziwiła się Elżbieta, nic jeszcze nie wiedząc o losach tego miejsca ani o pobycie Ludmiły w klasztorze. — Przecież zostawiłam cię u królowej.

Tu Ludmiła w bezładnych słowach zaczęła opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy na dziedzińcu odezwał się wielki dzwon na trwogę.

— O Boże! — krzyknęła Ludmiła. — To zupełnie jak tam, w Witowie...

— Nie bój się, Ludko. To chłopów zwołują, to dla nich znak, że zbliża się niebezpieczeństwo.



Istotnie, na odgłos dzwonu ścieżką pod górę zaczęły ciągnąć przestraszone tłumy. Ludzie cisnęli się do bramy, gdzie Rupert informował, jakimi szlakami najlepiej uciekać i z rozkazu Elżbiety rozdawał, co mógł, na drogę: kozuszkę i suchary ze składów zamkowych. Wszyscy mieli kierować się ku stronom śląskim. Ale kilka rodzin chłopskich, nie czekając na hasło dzwonu ani na zapomogę, po usłyszeniu pierwszych wieści ruszyło w stronę lasu, wioząc swój dobytek — trochę żelastwa do košby i żniwa, kilka garnczków, pasiastych poduszek i jakieś szare, bezbarwne toboły. Zewsząd sterczały płowe główki dziecinne, spomiędzy których od czasu do czasu wysuwał się różowy ryjek prosięcia lub gęś wyścibiała szyję.

Rupert, zadziwiająco przytomny i zapobiegliwy, szykował cały dwór na wzór karawany. Naprzód wysłał konno kilku dzielnych pachółków, żeby sprawdzili drogi i sprzątnęli zasypane śnieżne. W tym czasie służba obiegła Elżbietę, pytając, co ma zabrać, a co zostawić?

— Czy już można zamykać? — spytała służąca, stojąc nad czerwonym kufrem.

— Jeszcze nie, zaczekaj. Muszę włożyć różę. Gdzie moja róża? — denerwowała się Elżbieta. — Co to znaczy? Wszak była tu niedawno?

Niewiasty rzuciły się do szukania, odsunęły wielkie krzesła, czołgały się pod stołem, aż w końcu zniecierpliwiona Ludmiła przerwała poszukiwania.

— Ach, dajcie spokój, czy to warto tracić czas?

— I tak, moja pani, jeszcze nie można ruszać — odezwała się jedna z dziewczek. — Jegomość Rupert rozkazał faski nadziewać jadłem i beczułkę z winem zatoczyć na sanie. Powiada, że będziemy jechali przez puszcę i musimy się dobrze zaopatrzyć, aby nie pomrzeć z głodu.

W tej chwili Elżbieta, zatrzymując się przy uchylonym oknie, dostrzegła ciżbę chłopów ciągnących pieszo, konno, wasążkami<sup>29</sup>, niby sieć rozciągnięta na śniegu od stóp góry aż pod same bory. Zaparła co żywo okiennice i zaczęła wołać na służebne:

— Zamykajcie kufry. Wszyscy uciekają. Prędkiej, prędkiej! Jasiu! I niechże już te dzwony przestaną bić tak przeraźliwie! Gdzie jest Jaś? A, jesteś! Chodź tu, kochanie, już dziemy.

— A moje zabawki? — wołał chłopczyk, kiedy matka otulała go futrem i chustą.

— Nie warto ich zabierać — powiedziała Ludmiła. — Pojedziemy do wujcia, on ci da cacka, jakich jeszcze nie miałeś. Będziemy w dużym, dużym mieście. Zobaczysz Wrocław, a tam na kramach znajdziesz pełno biczyków, lalek i takich zabawek, o jakich ci się nie śniło.

Ale Jaś, nie dowierzając obietcom, podniósł z ziemi malutkiego drewnianego konika, który wałał się wśród pozostawionych rzeczy. Wkrótce obie panie razem z dzieckiem wyszły na dziedziniec zatłoczony ludźmi i wozami. Przyprawiano konie, kiedy w bramie pojawił się człowiek bladej jak płótno, kiwający rękami na znak, żeby się wstrzymano. Był to jeden z pachółków, których Rupert wysłał w celu torowania drogi.

— Nie można! — krzyknął głosem zachrypłym od zadyszki i strachu. — Już tam są!

— Kto taki?

— Tatarzy! Jezus, Maryja, Józefie święty! Co to będzie?

— Jest jeszcze droga na Mazury! — krzyknął Rupert i wypadł za bramę, aby się dowiedzieć, czy ta strona pozostała wolna. Niedługo czekał na wiadomość.

Na górę szalonym pędem wracały chłopskie sanie pełne kobiet krzyczących wniebogłosy. Jedna z nich jęczała, przebita śmiertelnie sterczącą na wylot strzałą. Leżała na wózku, który pierwszy wyjechał, i to właśnie mazowieckim szlakiem. Na granicy lasu przywitano go strzałami.

— Jesteśmy otoczeni — rzekł Rupert grobowym głosem. — Zamknijcie ze wszystkich stron. Nie pozostało nam nic innego, jak obwarować się w zamku i przynajmniej drogo sprzedać życie.

Na dziedzińcu nastąpiło milczenie. Wszyscy cisnęli się za mury i palisady zamku. Rupert, stojąc przy bramie, wyprawiał niewiasty i dzieci do gospodarczych budynków, mężczyznom naznaczał stanowiska na basztach i pod ostrokołami. Kazał podnieść most, zatarasować bramę i rozciągnąć łańcuchy. Potem poszedł do kuchni i polecił, by w dużych

<sup>29</sup>wasążek — mały wasąg, prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

kotłach nastawiono wodę. Na koniec skierował się ku sali, gdzie siedziały panie. Milczały. Nawet Jaś przestał skakać; przestraszony ukrył główkę na łonie matki. Nagle w sali zrobiło się ciemno. Potem coś dziwnie błysnęło i huknęło w okno. Świszcząca strzała mignęła pod pułapem i utkwiała w ławie przed kominkiem.

## SZTURM

Już od kilku godzin żegnaniński zamek odpierał szalony szturm. Cała góra zappełniła się barbarzyńcami, w okolicy rojły się konie, wozy, trzoda i wielbłądy.

Ludmile niebezpieczeństwo zawsze przywracało przytomność umysłu. Stała w kuchni przy kotłach i rozdawała wiadra z ukropem oraz garnki pełne rozparzonych jagieł. Kobiety roznosiły je po murach i wylewały ten kipiący deszcz na głowy napastników. Już i drew, i kaszy zaczęło brakować, już kominy mało nie pękały od żaru, a co jedni padali oparzeni albo zestrzeleni, to nowi napastnicy wspinali się po trupach.

Elżbieta siadła w głębi sypialni, przyczojona za ogromnym piecem, z Jasiem, który przytulał się do matki i obejmował jej szyję. Kilka razy chciała wstać i pośpieszyć innym z pomocą, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a serce pękało na myśl, że ma zostawić synka.

— Jeśli ma zginąć, to razem ze mną... I ty, Ludmiło, ukryj się tu z nami... Nie odchodź!

Ludmiła wiedziała, że już nie ma po co odchodzić, bo liczba nieprzyjaciół rosła, a obrońców ciągle ubywało. Co chwila któryś padał ze strzałą wbity w szyję albo w głowę. Kapelan pochylał się nad umierającymi i błogosławił ich przed ostatnią podróżą.

Przez wrzawę, jakby wahadło olbrzymiego zegara, przebijało się równe uderzanie toporów. Kamiennie ściany zamku były najmniej obłożone. W najsłabsze, złożone tylko z ostrokołów, miejsca wróg uderzał najzjadlej. Szeregi toporników zmieniały się niestannie. Bili też do bramy i do okien, ale okna były zakratowane, zaparte grubymi okiennicami, a brama broniła się zębami żelaznej brony i pokrzyżowanymi łańcuchami. Nagle krzyki ucichły, topory się zatrzymały. Obrońcy spojrzeli po sobie i zamiast odetchnąć, stracili wszystkie siły i nadzieję, jakby już zegar ich życia stanął. Ludmiła tuliła Elżbietę i Jasia w milczącym uścisku.

— Zobaczę, dlaczego tak cicho. Nie ruszaj się z dzieckiem, tu was przynajmniej strzały nie osiągną — powiedziała i wybiegła z sypialni.

Wokół zamku działały się dziwne rzeczy. Tłumy Tatarów płynęły jak czarne wody. Kilku z nich niosło drąg wysoki na kształt maszty, na którym siedziało dziwaczne stworzenie, rysujące się na tle mrocznego nieba jak rozczapierzony smok. Nagle straszdyło zakręciło się z rykiem podobnym do grzmotu i rzygnęło półkolistym strumieniem trzaskającego ognia. W zamku powstał śmiertelny popłoch. Obrońcy z krzykiem rozpierzchli się w różne strony. Nawet Rupert opuścił oręż. Z ludźmi można walczyć po ludzku, ale co począć przeciw sile sprzymierzonej z piekłem! Stał, patrząc obłądnymi oczami na tłumy, które nie chciały go słuchać. Z nagłą uderzył się w czoło i zaczął biec z innymi. Po drodze spotkał Ludmiłę. Kapelan torował jej drogę.

— Za mną, do kuchni!

— Po co?

— Nie pytajcie, tylko chodźcie! — krzyczał Rupert. — W kuchni zaczął im podawać suchary, ser, dzbany, co tylko mógł pochwycić. — Zanieście to do pani. Zabierzcie również świece i pochodnie, ile tylko znajdziecie.

Obladowany Rupert pobiegł także za nimi, a gdy znaleźli się w sali jadalnej, pozasuwał wszystkie drzwi na rygle, zatarasował je ciężkimi ławami. Czas było zamykać. Działko obnoszone dookoła zamku rozsiewało niesłychane zniszczenie. Pociski ognistą tęczą spuszczały się do środka, zapalały gonty na drewnianych przybudówkach oraz nadgryzały ostrokoły. Na koniec działko postawiono przed bramą, wszystkie mury zatrzęsły się od huku, część bramy prysnęła w kawały. Tatarstwo zaczęło się walić na dziedziniec.

Rupert z Ludmiłą i kapłanem znieśli zapasy do sypialnej komnaty. Naczelnik zamku rozejrzał się po sali i mruknął:

Maszyna, Broń

— Pięcioro, to i tak za wiele. — Zaryglował drzwi od jadalni i zwrócił się do Elżbiety: — Pani, właśnie tu, gdzie siedzicie, jest zejście do podziemi. Tam będziemy mogli się ukryć i przetrwać nieszczęście.

Elżbieta ocucona promieniem nadziei zerwała się na równe nogi. Rupert oddał pochodnię kapelanowi, a sam wyjął jedną ze sztab okiennicowych i zaczął nią podnosić kamień leżący w głębi zapiecka. Kamień ten, szczelnie zewsząd przypasowany i podobny do innych, w jednym tylko miejscu posiadał wyżłobienie. Po chwili uniósł się, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach, i wszyscy ujrzeli otwór z krętymi schodkami prowadzący w czarną czeluść. Rupert wrzucił w otwór suchary i pozostałe zapasy żywności.

— Niech leć, odnajdziemy je na dole. Gdzie są świece?

— Świec nie mamy — rzekł kapelan. — Ale są dwie pochodnie.

— To źle, bardzo źle — burknął gniewnie Rupert.

— Czekajcie, zaraz przyniosę — zawołała Ludmiła, biegnąc ku małym bocznym drzwiom.

Była pewna, że nieprzyjaciel jeszcze tam nie wtargnął. Odemknęła zasuwę i zniechęciła. Pod ścianą leżał Feliś z zakrwawioną piersią. Jego niegdyś figlarne oczy teraz były wypełnione majestatem konania. W głębi korytarza szamotało się dwóch mężczyzn. Byli tak zajęci walką, że nie spostrzegli dziewczyny. Szybko zamknęła drzwi, zaparła zasuwę i stając nad wejściem do podziemia, szepnęła:

— Chodźmy.

Elżbieta wzięła dziecko na ręce i drżąc ze strachu, zaczęła schodzić po wąskim ślimaku schodów, tuż za kapelanem. Za nimi szła Ludmiła obciążona dzbankami, potem Rupert z pochodnią. Już zbiegł kilka stopni, już chciał spuścić kamień, kiedy nagle przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym.

— Sztaba! Zostawiłem sztabę! Czym otworzymy na powrót wyjście. — Wskoczył na zewnątrz, porwał sztabę i wrócił, wołając półgłosem: — Wylamują drzwi!

Natychmiast spuścił za sobą kamień, który z przeciągłym echem opadł nad nimi niby grobowe wieko.

## PIEKŁO

Znaleźli się przed niskimi, ciężko okutymi drzwiami. Rupert z pęku kluczy dobrał jeden, otworzył dawno nie używany zamek, a gdy drzwi odchyliły się z trudnością, skrzypiąc na gruzie, którym próg był zasypany, ujrzeli wąski korytarz gdzieniegdzie podparty kamiennymi arkadami. Był tak długi, że jego końca nie można było dojrzeć. W pierwszej chwili uderzyła ich i zdziwiła zarazem cisza, jaka tam panowała. Zdawało się, że cały Żegnaniec, szturm i Tatarstwo było gdzieś na innym świecie.

Gromadka ruszyła żwawo, wiedzona przez Ruperta, który na zakrętach zatrzymywał się, podnosił pochodnię, czasem rozgarniał mieczem nasypiska utworzone z opadającego ze ścian gruzu. Tego typu przeszkody utrudniały drogę. Musieli iść ostrożnie. Chodnik czasem piał się pod górę, a czasem spadał stromo w tajemniczą otchłań. W zagęszczonym powietrzu pochodnia świeciła coraz słabiej. Minęło jakieś pół godziny mozolnej wędrówki, kiedy Elżbieta zatrzymała się mówiąc:

— Już nie mogę... Jakże tu duszno, jakże okropnie...

— Jesteśmy prawie u celu — pocieszał Rupert. — W połowie drogi znajduje się w sklepieniu otwór, który wychodzi na pieczarę schowaną głęboko w puszczy. Gdyby nie ta szczelina, nie można byłoby tu oddychać. — Za chwilę stanął i pokazał wąskie pęknięcie w kamieniach: — Oto jest!

Niebo tu nie zaglądało; szpara wychodziła na czarną jaskinię, ale powietrze było rzeczywiście rzeświejsze. Wszyscy głęboko odetchnęli. Wkrótce przewodnik oświadczył, że można spocząć. Siedli na kupkach rumowiska, tylko Rupert stał ciągle bez ruchu i z niepokojem malującym się na twarzy wpatrywał się w tunel.

— Czy ta droga kiedyś się skończy? Dokąd ona prowadzi? — niecierpliwiła się Ludmiła.

— Do Ilży — oznajmił Rupert.

— Jak to? Aż do Ilży? — zawołali zdumieni uciekinierzy. — Wszak to tak daleko!

— Daleko dla tych, którzy muszą okrążyć bagna i górę pośród lasu. Ale pod ziemią droga idzie prościuchno, pod samym sercem puszczy, i tu dopiero można się przekonać, jak Żegnaniec jest blisko Iłży. Już niedługo dojdziemy do drugich drzwi, takich samych jak tamte.

— A co będzie za tymi drzwiami?

— Główna baszta iłżeckiego zamku. — Rupert odpowiadał cierpliwie na wszystkie pytania.

— I któż to tak urządził? — zapytał kapelan.

— Dziad mojego pana, co to wojował u Grobu Świętego. Jeżdżąc po świecie, dużo się nauczył. Żył w serdecznej przyjaźni z ówczesnym panem Iłży; czy pokój, czy wojna zawsze z sobą trzymali, a dla wspólnego bezpieczeństwa wybudowali to potajemne przejście.

— I ja nic nie wiedziałam — rzekła Elżbieta — że w mojej własnej komnacie znajduje się wejście do takich lochów. Jakie to szczęście, że się tędy kto nie zakradł do nas!

— A któż miał się zakraść, moja pani? Dotąd tylko czterech mężczyzn wiedziało o tym przejściu: w Żegnancu mój pan i ja, a w Iłży biskup krakowski i dowódca tamtejszej załogi, który także posiada klucze. Pan zawsze wyjeżdżając powtarzał: „Mój Rupercie, pilnuj dobrze podziemia i nie używaj go, chyba że w ostatecznym niebezpieczeństwie”. Zdaje mi się, że dziś było ostateczne.

— Rupercie, źle zrobiłeś. — Elżbieta podniosła ku niemu spojrzenie pełne wyrzutu. — Trzeba przecież było od razu, na pierwsze hasło napadu, ukryć tu wszystkich. A tyś ich tam zostawił na rzeź! Dlaczego tylko nas ratujesz i dlaczego tak późno?

— Moja pani, czymże by te kilkaset ludzi tu wyżyło? Dajmy nawet na to, że udałoby się nam uratować dostateczne zapasy jedła, ale co byśmy pili? A przy tym wstrzymywał mnie strach... taki wielki strach, że i was dopiero w ostatniej chwili odważyłem się tu sprowadzić. Żegnaniec wzięty, trudno przypuszczać, aby Iłża nie była także oblężona. Ja się bałem, czy dowódca tamtejszy nie spróbował tej drogi. Czy tu nie zastanę ludzi, mieszkańców Iłży, a może i Tatarów? Bóg łaskaw, że jesteśmy sami, ale niebezpieczeństwo grozi z obydwóch stron.

— Więc którędy my wyjdziemy? — zapytała zaniepokojona Ludmiła.

— Tego ja nie wiem, najlepiej byłoby przeczekać. Może po kilku dniach, nie mając już nic do rabowania, Tatarzy odejdą?

— Po kilku dniach — westchnęła dziewczyna.

Zapanowało głuche milczenie. Przerwał je Rupert, oznajmiając stanowczo:

— Nie, nie można czekać. Pochodnia się dopala, została nam tylko jedna, ostatnia. Zapasy żywności starczyłyby na długo, ale brakuje nam światła. Poza tym ta droga w kilku miejscach krzyżuje się z innymi. Dla zatruty przeciwnika i dla zmylenia pogoni porobiono boczne fałszywe korytarze, które prowadzą do wąskich, bezdennych przepaści. Póki dobrze widzę, póty wiem, że nie błędzę. Znam doskonale te korytarze. Spójrzcie, na ścianach znaczone są czerwonymi krzyżami. Ale bez światła za nic nie ręczę... Mógłbym się omylić, zejść prosto w przepaść. Mniejsza o mnie, ale wy, bez przewodnika i bez pochodni, zginęlibyście żywcem pogrzebani.

— Cóż zrobić? — pytały białogłowy.

— Trzeba spróbować drugiego wyjścia. Może Iłża jest jeszcze wolna? Może my tu próżno tracimy czas, który powinniśmy wykorzystać na ucieczkę? Byle dostać się w głębokie lasy, to już pół zbawienia.

— A klucz od tamtych drzwi? Gdzież go znajdziemy? — zagadnął kapelan.

— Mam go ze sobą, tak jak dowódca iłżecki ma klucz od naszej strony. Zaczny człowiek, można na niego liczyć — powiedział Rupert i zaczął otwierać drzwi, ale zardzewiały zamek stawiał opór. — Już dawno nikt tu nie zaglądał. Za naszego pana życie szło jakoś tak spokojnie!

Wreszcie odemknął drzwi i wbiegł na ślimakowe schodki. Po chwili wrócił. Milczał, widać było, że się waha.

— No i cóż? — zapytał kapelan.

— Nie miałem odwagi podważyć kamienia, tylko słuchałem. Nie wiem... nie jestem pewien. Może to mnie tak w uszach szumi. Przez płytę kamienną źle słycać. Przed chwilą miałem wrażenie, że mam nad głową jakieś szumiące jezioro...

— Może teraz ja posłucham — rzekł kapelan i zaczął wspinać się na szczyt schodów.

Ale ów szum tak się rozrósł, że nawet na dole słyhać go było wyraźnie. Był to przylguszony, olbrzymi tumult, z którego wystrzelały od czasu do czasu jakieś pojedyncze głosy. Z nagłą krzyki ucichły. Krótką chwilę ciszy rozerwał niepokojący, wyuzdany śmiech. Uciekinierzy schronili się w głębi korytarza, zawarli drzwi i stanęli oparci o ścianę. Tkwili w bezruchu. Wszystkim się zdawało, że już i od Żegnańca dobiegają głosy napastników. Po chwili usłyszeli łomot spadającego kamienia. Zamek warknął i na progu stanął przywódca ilżeckiej załogi, prowadzący, a raczej niosący omdlałą matkę. Nie zdążył zamknąć drzwi; po schodach waliło Tatarstwo z pochodniami i głowniami. W ich blasku czerwono migotały krzywe szable i krwawe oczy.

Rupert stanął przed kobietami. Oprócz miecza trzymał sztabę, którą odepchnął i zakrwawił dwóch pierwszych napastników. Widok krwi rozpaszał tłuszczę; wyważone drzwi trzasnęły jak drzazga i całym ciężarem przywaliły dowódcę. Byłby się może podźwignął, ale tłum zaczął stąpać po drzwiach i natychmiast zdławił jęki Ruperta.

Elżbieta krzyknęła rozpaczliwie. Zerwała z piersi chustę i owinęła Jasia, chcąc go ukryć przed napaścią i jednocześnie ochronić przed widokiem rzezi. Wokół stały się trupy. Obok Ruperta leżał dowódca ilżecki. Kapelan zdjął z piersi złoty krzyżyk, podniósł go nad głowami dziczy, modląc się cicho o siłę do męczeństwa.

Nagle tłum, mimo wrzawy i zamieszania, rozstąpił się. Żołdacy przyrosli do ścian, dając przejście kilku mężom, którzy z wielkim szczękiem zbroi zstępowali po schodach. Na czele szedł młody, postawny mężczyzna. Spod hełmu opadał mu na ramiona i szyję kolczugowy czepiec, odsłaniając długą, jednostajnie żółtą twarz. Przy czerwonych błyskach pochodni złota cera gdzieś tam przybierała połyski miedzi. Na tym tle odznaczał się nos nieco wklęsły, ale kształtny, oczy nieco skośne, ale pełne światła i blasku, jakby perłową masą wyłożone, i usta nieco za grubo wywinięte, ale świeże i przyciągające łokomym uśmiechem. W pięknym, suto haftowanym złotem stroju ów mongolski rycerz był wspaniały i straszny zarazem. Tuż za nim podążał wojownik, równie suto obsypany złotem, równie butny, choć dużo niższy i starszy. Potem ciągnęli inni, wszyscy wspaniali, weseli, pogardliwi i zwycięzcy.

Gdy weszli do podziemia, wódz wprawił niewiasty w podziw i ofiarował promyk nadziei. Zobaczywszy nad głowami tłumy krzyż, padł na kolana i trzy razy uderzył czołem o ziemię. Następnie wstał, wyrwał krzyż z ręki księdza, ucałował i włożył za swój kaftan. Inni patrzyli obojętnie, ani mu się dziwiąc, ani naśladując. Mężczyzna wskazał Elżbietę innym wodzom, którzy natychmiast ją otoczyli i wywiedli po schodach razem z dzieckiem, a sam objął lekko ramieniem kibić Ludmiły i wyprowadził z rodzajem zastraszającej mongolskiej uprzejmości.

Wszystko to zaszło dość łagodnie, bez gwałtu, płaczu, szamotania; niewiasty były tak zszokowane, że nie stawiały żadnego oporu. Elżbieta pomyślała, że jeżeli ma zginąć, to lepiej pod niebem, wszędzie, byle nie w tym podziemiu.

Wkrótce zostały wprowadzone do izby. Na jej progu, mimo całej odwagi, która dotychczas im towarzyszyła, stanęły z okrzykiem przerażenia. Wnętrze komnaty było upiornie czerwone, jakby żarzyło się ogniem. Choć na niebie była jeszcze głęboka noc, luna znad palącego się miasta, wpadając przez drzwi i okna, rzucała straszliwe światło, które potęgowało się, odbijając w lustrach krwi pokrywających podłogę. Spod ławek majaczyły w półcieniu trupy mężczyzn, obok pieca stało kilka niewiast, wybałuszając osłupiałe, prawie obłąkane oczy i otulając się w strzępy podartej odzieży. Gromadka dzieci, powiązanych ze sobą i piskliwie popłakujących, roila się w kącie.

Na samym środku izby stał wielki stół, zastawiony misami pełnymi jadła i kubkami o dziwnych kształtach. Po prawej stronie czerniały niskie drzwiczki od jakiejś mniejszej izby, skąd dochodziły ochryple od pijaństwa głosy oraz łkania kobiece, przycichłe, jakby już konające. Tatarzy, syci rzezi i rabunku, już widocznie zabrali się do zwycięskiej uczty, którą przerwało odkrycie podziemia. Była to dość przyjemna niespodzianka, obiecująca nowy łup i zabawę.

Elżbieta i Ludmiła stały jak skamieniałe. Nie miały odwagi przestąpić przez próg; od razu wpadłyby w rude kałuże, a przy tym odurzał je zapach krwi i trunków, który nawet po duchocie podziemia wydawał się nie do zniesienia. Ale Tatarzy nie dali chwili do namysłu i energicznie wepchnęli je do środka. Po kilku nieśmiałych krokach kobie-

ty siadły na bocznej ławie, a wojownicy zaczęli gromadzić się wokół stołu, prowadząc w niezrozumiałym języku bardzo ożywioną rozmowę. Wódz w kolczugowym czepcu chwycił osobliwy kubek, którego Tatarzy używali wyłącznie do kumysu<sup>30</sup>, i skierował się ku Ludmiłi. Przemawiał grzecznie i spokojnie, sądząc, że tym dowodem łaskawości ujmie ją i rozbroi. Ale branka odwracała głowę ze wstrętem i wyciągnąwszy obie ręce, silnie go odepchnęła. Wtedy Mongoł zerwał żółtą jedwabną wstęgę z kołczanu, związał ręce dziewczyny i ponownie przystawił kubek do jej ust.

— Wypij choć trochę, by się nie rozgniewał — szepnęła Elżbieta. — On całował krzyż, może się zlituje, przynajmniej nad Jasiem.

Ludmiła, mimo całej odrazy, przysunęła usta do kubka i spróbowała napoju. Był obrzydliwy, odurzający. Po kilku łykach skinęła lekko głową, i dając znak, że ma dosyć. Mongoł zaśmiał się radośnie, rozwiązał jej ręce i wpatrywał się w nią z podziwem, który mroził ją do kości. Olsniony, zmagnetyzowany, złożył ręce na piersiach. Patrząc zachłannym, pełnym uwielbienia wzrokiem, powiedział:

— *A! Krasna*<sup>31</sup>!

Ludmiła, usłyszawszy ten słowiański wyraz, padła na kolana i zaczęła prosić o litość, o łaskawy los dla siebie, Elżbiety i jej dziecka. Błagała, aby ich nie rozdzielano. Wódz wysłuchał uważnie, łagodnie, ale niczego nie rozumiał. Wreszcie klasnął w ręce i grzmiącym głosem zawołał:

— Wasynga!

Wnet w drzwiach stanął chłop w ciemnym tulubie<sup>32</sup>, przewiązanym różnobarwnym pasem. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest Tatarem. Miał płowe włosy, czerwony kark i szkliste niebieskie oczy. Przystąpiwszy do wodza, padł na krwawą ziemię i trzy razy uderzył o nią czołem. Kiedy wstał, po jego twarzy spływała wąska strużka krwi. Ale Wasynga nie zważał na to; stał wyprostowany i słuchał. Potem zwrócił się do Ludmiły i mieszaniną słów, której treść główna była dla niej zrozumiała, wyraził pytanie:

— Zaczny behadyr<sup>33</sup> chce wiedzieć, o co go tak prosisz?

Branka powtórzyła prośbę. Wasynga przetłumaczył ją wodzowi i rzekł:

— Wielki behadyr Ajdar pyta, dlaczego nie chcesz być rozdzielona z tą kobietą. Mądry behadyr osądził, że za młoda na twoją matkę, a nie wygląda na siostrę, bo nie jest do ciebie podobna.

— Twój pan ma rację — odparła Ludmiła. — Powiedz mu, że tę kobietę kocham więcej niż siostrę, bo to moja najdroższa przyjaciółka, a przy tym kocham ją jak matkę, bo winnam jej wiele dobrego.

Wasynga przetłumaczył odpowiedź, powtarzając kilkakrotnie i z niejakim naciskiem wyraz *anda*. Wódz skinął głową i rozkazawszy Wasyndze stać u progu, wyszedł. Po chwili ujrzały go znowu. Wydał Wasyndze jakiś rozkaz i wcale już nie spojrzawszy w ich kierunku, odszedł. Chłop tymczasem wyjął z kieszeni sznur długi, dosyć miękki i obwiązał nim Ludmiłę oraz Elżbietę z Jasiem na rękę.

— Behadyr bardzo łaskaw. Kazał związać was dobrze, by w tłumie przypadkiem was nie rozdzielono. Prosił też starszyznę, abyście nie były oddane na łup żołnierstwu, ale przeznaczone dla wodzów. Tak, będziecie dla któregoś z behadyrów, może chanów, a może — dodał kłaniając się ku Wschodowi — dla samego wielkiego chana. — Uśmiechnął się przyjaźnie, sądząc, że pocieszył branki. Widząc ich zachmurzone oblicza, powiedział: — Musiałyście przecie spostrzec, jakim uszanowaniem wszyscy was otaczali! Nikt jeszcze nie wie, czy nie przypadniecie wielkiemu chanowi.

— I kiedyż to się rozstrzygnie?

— O, jeszcze nie teraz. Dopiero po przekroczeniu granicy przyjedzie wielki urzędnik chański i z najlepszej zdobyczy wybierze to, co mu się wyda godnym oczu monarszych. Resztę rozda wodzom, wedle ich zasługi. Proste pospólstwo i brzydkie dziewczki bywają od

<sup>30</sup>*kumys* — musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany *mlecznym szampanem*. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*krásny* (z daw. rus. *красный*: czerwony a. ładny) — piękny. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*tulub* (ros. *тулуп*, z tur. *tulup*: skóra, futro) — kożuch. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*behadyr* a. *bagatur* — tur. i mong. tytuł, nadawany przez władcę szczególnie walecznym wojownikom. Źródłostów polskiego wyrazu *bohater*. [przypis edytorski]

razu oddane, ale dla niewiast pięknych i znakomitych zacni Mongołowie, jak widzicie, mają względy.

Żołdak mówił spokojnie, ale treść wypowiedzianych słów była tak złowróżbna, że brzmiała jak najgorsze groźby i klątwy. Kiedy Tatarzy wyszli z izby, mężczyzna nagle odmienił twarz i głosem pełnym współczucia szepnął:

— Zrobię dla was, co będę mógł. Cóż, kiedy niewiele mogę...

Zaskoczone niewiasty podniosły wzrok na Wasyngę i już chciały dziękować, ale w tej samej chwili kilku uzbrojonych rycerzy wtargnęło do izby. Żołdak nasrożył brwi i machając w powietrzu nahajką, krzyknął na branki:

— No, jazda!

Wszyscy troje wyszli na ulicę. Szarzał poranek, klóćąc się z lunami pożarów. Rosa pół deszczowa, pół śnieżna mżyła niewidzialnie, ale dotkliwie. Niewiasty omijały ciała zamordowanych oraz skrzynie ze zdobycznym sprzętem, ładowane na wózki. Szły wśród tłumu brańców i branek, tuląc do siebie Jasia.

— Jakie to szczęście, że ten żołdak nas związał! Wszystko przetrwamy, byle razem!

Na zakręcie ulicy spostrzegły kapelana pędzonego w kupie jeńców. On też je zauważył. W ostatniej chwili, w geście błogosławieństwa, uczynił w powietrzu znak krzyża i zniknął za palącym się domem.

## PRZY OGNISKU

Wieczory i poranki mieszały się w pamięci, wszystkie były do siebie podobne. Kraj ciągle taki sam, miasta spalone, pustka. Branki wiedziały, że już dawno opuściły Polskę. Jedni mówili, że są na ziemiach ruskich, inni, że na ziemi Kumanów<sup>34</sup>, gdzieś na granicach Kapczaku.

Jeńcy z wolna ciągnęli się za ordą, jak ogon za kometa. Każdy dzień był pełen rozpacz i tęsknoty za rodzinnym domem. Elżbieta i Ludmiła niosły ze sobą okrutną niepewność. Nie miały żadnych wieści o losie Sulisława. Dopytywały się bez końca, ale na próżno, nikt o nim nie słyszał. Pewnego wieczora spotkały kilku jeńców, którzy przynieśli świeże, ale niestety bardzo żalosne wiadomości.

Obozowisko noclegowe zostało rozbite niedaleko potężnego Dniestru. Rozpalono ogniska, požądane przy chłodzie nocy. W ostrym powietrzu czuć było pierwsze tchnienie wiosny. Przy ogniu brańcy gotowali biedną strawę. Nie dla wszystkich była ona jednakowa. Pospólstwo, a zwłaszcza mężczyźni dostawali mało, wybranym niewiastom i dzieciom straż przydzielala więcej pożywienia, aby je utrzymać przy zdrowiu i siłach.

Tego wieczora Elżbieta i Ludmiła dostały duży garnek mleka i kawał baraniny. Mięso upiekły na rożnie wystruganym z jakiejś twardej gałęzi. Nakarmiły Jasia, a potem, kiedy część ludzi posnęła, zaprosiły do ogniska kilku brańców, którzy, ich zdaniem, mieli najświeższe informacje. Mężczyźni rzucili się na pieczeń z istic wilczym apetytem. Jaś usnął w objęciach matki. Wasynga, siedząc opodał, kiwał się i udawał, że śpi. Ognisko migotało przy podmuchach wiatru, szum Dniestru dolatywał jak tłumione łkanie. Jeńcy rozmawiali półgłosem.

— Zostałem wzięty pod Chmielnikiem w samą białą niedzielę — powiedział młody, wynędzniały giermek Sylwester. Miał głowę obwiązaną pokrwawionymi szmatami.

— To w kilkanaście dni po bitwie pod Turskiem<sup>35</sup> — zagadnęła Ludmiła.

— Tak. Jeszcze tam, pod Turskiem, to nieźle się udało. Już my wszyscy myśleli, że to szelmstwo na dobre sobie poszło. Jak przypadli w Puszczy Strzemeskiej, tak i oko wykoł, a Tatara nigdzie nie widać. Jednakowoż wojewoda Włodzimierz zbierał, kogo mógł...

— I któż tam był? — zainteresowała się Elżbieta. Nie śmiała pytać wprost, bo nieraz już dostrzegła, że przez litość tajono imiona poległych mężów i braci.

<sup>34</sup>Kumanowie a. Polowcy — altajski lud, posługujący się językiem z grupy kipczackiej; od VIII w. wędrowali z rejonu dzisiejszego Kazachstanu na tereny obecnej Ukrainy, w XII w. wyparci przez władcę Rusi Kijowskiej za Don i Wołgę, wchodzili w koalicje z książętami ruskimi, ich wodzowie wżeniali się w dynastie panujące w Serbii, Węgier i Bułgarii, ale także organizowali najazdy na te ziemie. W następnych wiekach zasymilowali się wśród ludów Złotej Ordy. Polowiecki dostojnik, sprzedany w niewolę do Egiptu, założył tam dynastie rządzącą w latach 1250–1382. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>bitwa pod Turskiem (1241) — bitwa pomiędzy wojskami polskimi dowodzonymi przez wojewodę krakowskiego Włodzimierza a wojskami mongolskimi dowodzonymi przez Bajdara, które zwyciężyły. [przypis edytorski]

— Niewielu, niewielu, ale wszystko tędy rycerze i porządne giermki. Stali my w kupie i pilnowali drogi do Krakowa. Co tam drudzy robili, nie wiem, alem ja bił się za trzech. Jużem trzy dusze pogańskie wysłał do Belzebuba, a tu ni stąd, ni zowąd jakiś okropny Tatarzyn, jak mnie nie lupnie siekierą w łeb, to siedem kościołów stanęło mi w oczach. Rymnąłem z konia i dalej nie wiem już, co się działo. Może to i lepiej, bo działy się złe rzeczy. Najlepsi wyginęli.

— Kto? — dopytywała się Elżbieta.

— A no kto! Najprzód sam wojewoda krakowski, Włodzimierz.

— Zginął — westchnęła Ludmiła. — Szkoda. Widziałam go w ciężkich godzinach, nic go nie mogło złamać.

— Cóż chcecie? Wszystko się w końcu łamie. Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. A oberwało się i drugie ucho; zarąbano wojewodę sandomierskiego, Pakosława.

— A kto zginął z rycerzy, ze starszyny?

— O święci pańscy! Jak tu się doliczyć? — zastanawiał się giermek. — Zaraz, czekajcie. Zabity podobno Krystyn z Niedźwiedzia... Wojciech Stampoczyc to na pewniaka, samem widział. I różni jeszcze sławni: Grabina, Mikołaj Witowie... Sulisław...

— Boże! — krzyknęła Elżbieta, podrywając się gwałtownie.

Przestraszony Jaś otworzył oczy i zaczął płakać. Wielu śpiących podniosło głowy. Powstał szmer. Wasynga zerwał się i wrzasnął:

— Spokój! Cicho siedzieć!

Po chwili wszystko przycichło. Elżbieta ukryła twarz w dłoniach i pograżyła się w niemiej rozpacz. Ludmiła pochyliła się w stronę giermka i szepnęła:

— To był jej mąż.

Blady, łagodny staruszek Szymon, który siedział po drugiej stronie ogniska, uśmiechnął się lekko i wtrącił:

— Ten pacholek po próznicy napędził wam strachu. Tego Sulisława nie mogli tam zadźgać, kiej potem. W kilka niedziel później ja go na żywe oczy widział pod Legnicą.

— Naprawdę?! — zawołała Elżbieta oczucona tą wieścią. — To był Sulisław z Żegnańca? Między rycerstwem jest kilku Sulisławów...

— A tego to ja już nie wiem, czy on z Żegnańca, czy z Różańca. Wiem jeno, że bił się okrutnie i wyszedł żyw i cały. Potem ludzie gadali, że z królem Bolesławem pojechał na Morawy.

— O, dzięki Bogu! Masz ojca — rzekła drżącym głosem Elżbieta, przytulając i całując rozespiane dziecko.

Tymczasem giermkowi pilno było dokończyć przerwana opowieść.

— Jak otwarłem oczy i zobaczyłem, że jeszcze na tym świecie, to mi się nie mógł nadziwić. Rogata musi być we mnie dusza, kiedy nie uciekła przez dziurę, którą mi w głowie wywiercono. Leżałem na twardym wozisku, przy mnie pełniutki rannych. Jakieś pocziwe niewiasty, także w niewolę wzięte, opatrywały nam rany, przykładaly zimną wodę. Alem się nacierpiał, kiedy wozy trzęsły po kamieniach. I tak w samą kwietniową niedzielę, zamiast iść po śliczną palmę do katedry, zajechali my pod Wawel w łykach.

— Dopiero okropności musiały się dziać tam, w Krakowie — stwierdziła Elżbieta.

— Ja myślał tak samo i nie śmiał oczu otworzyć. A tu krakowczyki wypłacali Tatarom zapustnego<sup>36</sup> figła. Wynieśli się na bory i lasy z całym ochędóstwem<sup>37</sup>. Królestwo, a z nimi dwór, zabrało z zamku skarbiec i pojechało gdzieś za góry. Księża zabrali wszystkie kosztowności z kościołów, a mieszczuchy zapakowali, co mieli, na wózki i przepadli. Kiedy my wjechali do miasta, było puściuteńkie. Jednakowoż, jak zaczęli przetrząsać, macać, tak i znaleźli żywą duszę — zamurowanego pustelnika.

— Ojca Pawła — zawołały jednocześnie obie niewiasty.

— A tak, ojca Pawła. Właśnie nas Tatarzyska pędziły przez miasto, kiedy na placu targowym czterech łotrów ciągnęło ojca Pawła do chana, który siedział pod kościołem Panny Maryi. Pustelnik wyglądał osobliwie. Był całkiem bielusiński, aż bił w oczy. Broda po pas wisząca jak obłok, włosy roztrzęsione wokół głowy jak korona gwiazdzista, twarz i ręce jak śnieg jasne, wszystko białe a białe. Czy to wieczne posty i ciemnice tak go

<sup>36</sup>zapustny (daw.) — związany z zapustami, tj. hucznie i wesoło obchodzonymi ostatnimi dniami karnawału. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>ochędóstwo (daw.) — tu: majątek, mienie ruchome. [przypis edytorski]



wychłodziły, czy to świętość ubrała go już w takowe anielstwo, nie wiem, ale i pogany patrzyła na niego, jakby na cudowne zjawisko. Chan, jeno spojrział na ojca Pawła, zaraz wpadł w jakoweś pomieszanie. Zaczął oczy spuszczać, kręcić się, namyślać, potem rękę wyciągnął i powiedział: „Odprowadźcie tego człowieka tam, skąd wyszedł. Nie róbcie mu nic złego. Ten człowiek już nie należy do nas, ale do Boga”. I my na własne oczy obaczyli, jak ojciec Paweł nazad wszedł do swej komórki. Tatarzy nie śmieli go dotknąć, a my płakali z radości — zakończył giermek, widząc, że uspił ostatnich słuchaczy.

Po kilku dniach pochodu nastął odpoczynek, i to odmienny od poprzednich. Porozbijano wielkie wojskowe namioty, strażę zaczęły klasyfikować jeńców według wieku i przydatności. Gruchnęła wieść, że właśnie tu nastąpi podział niewolników. Na wszystkich padł śmiertelny strach. Dotychczasowa niewola wydała się niczym w porównaniu z tym, co dopiero miało się zdarzyć.

W ogromnym zamieszaniu, jakie towarzyszyło porządkowaniu obozowisk, powstawały śmiało przedsięwzięcia. Wielu jeńców podjęło próbę ucieczki, zwłaszcza tych młodszych i silniejszych. Tylko fale Prutu na ziemi i obłoki na niebie wiedziały, czy dopłynęli do drugiego brzegu i czy doszli kiedyś do swoich. Wśród uciekinierów był giermek Sylwester.

Ludmiła chciwie zbierała wszystkie wieści. Najzuchwalsze zamiary snuły się w jej myślach. Nawet Elżbieta, owa wiotka, drżąca istota, gotowa była na wszystko. Całymi godzinami mogły wynajdywać i obmyślać tysiączne sposoby ucieczki, ale najczęściej kończyły rozmowę przygnębione i zniechęcone. Po głębszym przemyśleniu każdy plan okazywał się niewykonalny. Pewnego wieczora Elżbiecie wpadł do głowy nowy pomysł:

— A może tak wciągnąć w nasz spisek Wasyngę?

Na podstawie słów, czynów i usposobienia można było stwierdzić, że Wasynga stanowią mieszanię sprzeczności, która mogła uczynić prawdopodobnymi najśmielsze zamierzenia. Z początku zdawał się nieubłagany i srogi jak rodzony<sup>38</sup> Tatar. Gdy kazano, siekł i krajał ludzi; ręka mu nie zdrzała ani powieka nie zamroczyła się łzą. Potem biegł do swego namiotu i przed świętymi obrazami bił pokłony z najgłębszą skruczą, z najpłomienniejszym nabożeństwem. Branki długo zaglądały w jego duszę i nie mogły zrozumieć zagadki, jaka się w niej kryła. Okazało się, że Wasynga ma córkę, ośmioletnią drobną dziewczynkę, Dżjafirę. W czerwonej spódniczce, niebieskim gorsecie i złocistym diademie na główce kręciła się między jeńcami ponura i milcząca. Rysy miała wyblakłe, raczej nieładne. Dusza jej była stargana widokiem okropności, na jakie nieustannie musiała patrzeć. Branki nie pojmowały, jak ojciec mógł ją narażać na podobne doświadczenia, jak mógł ją wlec za sobą między zgrają szatanów. Aż kiedyś, podczas rozmowy, Wasynga sam wyjaśnił im tę przerażającą tajemnicę.

— Moja Dżjafirka — rzekł — przeznaczona jest do chańskiego dworu. Jeżeli, oczywiście, wyrosnie tak pięknie, jak to sobie nasi panowie obiecują. Dałby wielki Bóg! Jeśli nie, to mam nadzieję, że dostanie się jakiemuś znakomitemu wodzowi. A mnie przyrzeczono, że do śmierci będę przy niej służył.

— Więc wy także jesteście niewolnikami! — stwierdziły zdumione kobiety.

— Niewolnikami... Właściwie trudno powiedzieć; w każdym razie nie takimi jak wy — odpowiedział Wasynga z rodzajem dumy, która mogłaby się wydać śmieszna, gdyby nie była bolesna. — Przed trzema laty — ciągnął żołdak — mieszkałem jeszcze w moim własnym domu w Samarkandzie<sup>39</sup>. Żona mi zmarła; została mi tylko Dżjafirka, toteż miłowałem ją więcej niż słońce i złoto. W Samarkandzie byli bogatsi ode mnie, choć i moje kupczenie szło nieźle. Nawet niańka Dżjafirki nosiła srebrne zausznicze. Jak przyszli Tatarzy<sup>40</sup>, zostawili nam naszych sędziów i włodarzy. Ale kiedy przyjeżdżał baskak, mały

<sup>38</sup>rodzony — tu: rdzenny; *jak rodzony Tatar* — jak człowiek urodzony i wychowany w kulturze tatarskiej. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Samarkanda — jedno z najstarszych miast Azji Środkowej, dziś na terytorium Uzbekistanu. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

chan, zmieniał sędziów, zbierał podatki według własnej mądrości, i to nie tylko w skórach, sztabach, ale i w ludziach. Przez kilka lat przyjeżdżał do nas bardzo łaskawy baskak. Wziął naprzód podatek dla chańskiego skarbu, potem dla siebie samego i odjechał wesół. Ale trzy lata temu przyjechał, na moje utrapienie, inny. Trzeba nieszczęścia, że mu Dżjafirka wpadła w oko. Uśmiechnął się i powiedział: „Będzie z niej piękna dziewczka. Biorę ją dla wielkiego chana”. Mnie w oczach pociemniało. Tłumaczę, że ona jeszcze mała, że jedno tylko mam dziecko... Nie mogłem go przekonać. Leżałem u jego nóg, obiecując, że jeśli zostawi mi Dżjafirkę, oddam wszystko, co posiadam. Zniecierpliwiony baskak zabrał mi wszystko, nawet szubę, w jaką się przystroiłem na jego przybycie. Potem kazał spalić dom, włożył na wozy moje mienie, a na ostatni wózek wsadził córkę. Wtedy padłem do jego nóg, wołając, aby i mnie zabrał. Zaśmiał się. „Dobrze, ale musisz być posłuszny, za każde twoje przewinienie odpowie dziecko”. I oto już trzy lata jeżdżę z tatarskimi panami. Nieraz bywało, że kiedy kazali mi bić ludzi lub na śmierć męczyć, wzdrałem się i płakałem, a panowie szydzili: „Kto inny rozkaz wykona, ale ty już Dżjafirki nigdy nie zobaczysz”. Robię wszystko, co każą...

— Nieszczęsny! — westchnęła Elżbieta z głębokim współczuciem.

Wasyl spojrzał na nią okrągłymi, przepelnionymi bólem oczami, padł jak długi na ziemię i trzy razy czołem uderzył:

— Jesteście jedynymi istotami, które mogą mnie rozumieć — mówił szlochając. — Jeńcy patrzą na mnie jak na dzikie zwierzę. O, czcigodne niewiasty, wielkie jak święta Zofia...

Odtąd Wasyl coraz częściej się zwierzał. Kiedy zbliżyli się do Prutu, niewiasty знаły już dokładnie historię żołdaka i jego córki.

— Żal mi biednej Dżjafirki! Wielki strach mnie bierze o jej przyszłość — rzekła Elżbieta.

— Czemu? — zapytał zaniepokojony ojciec.

— Bo życie okupione mękami tylu ludzi nie może mieć boskiego błogosławieństwa.

Wasyl wzruszył ramionami i wyszedł nieco urażony. Jednak po godzinie wrócił. Kręcił się koło branki, patrzył spod oka, to na nie, to na córkę, aż wreszcie zapytał:

— Więc mówicie, że Dżjafirka nigdy nie będzie szczęśliwa?

— Ja tego nie mówię — zaprzeczyła Elżbieta — tylko boję się...

— Ale przecież ona niewinna. Ja dla niej grzeszę, to prawda. Dobrze wiem, że to grzech okropny, kiedy chrześcijanin pomaga poganom i swoich męczy. Ale oddać ją Tatarom...

— Mój kochany Wasyl, posłuchaj. Wszystko, co dotąd robiłeś, Bóg ci przebaczy, bo rzeczywiście nie miałeś innego sposobu na ratunek. Ale gdybyś miał szansę uciec od pokus, a nie uciekłyś i grzeszył dalej, wtedy Bóg ci nie przebaczy.

— Uciec? Łatwo gadać, ale jak to zrobić?

— A jak zrobili ci, którzy w tych dniach uciekli? Przecież są tacy, których nie złapano, sam mówiłeś. Tobie łatwiej zbiec niż komu innemu, bo jesteś wolny, ciebie nikt nie pilnuje. A gdybyś uciekł z Dżjafirką? Gdybyśmy razem uciekli? — Kiedy Elżbieta wymawiała te słowa, usta jej drżały, a serce biło młotem. Ludmiła była biała jak chusta.

Wasyl też pobladł. Patrzył to na jedną, to na drugą jak człowiek, który się budzi ze snu.

— Nie wolno takich słów wymawiać; ludzie mogą usłyszeć, trawa słyszy, powietrze słyszy — szeptał. Potem położył palec na ustach i wyszedł, zostawiając branki w niepewności.

Wieczorem pojawił się z jakimś niezrozumiałym, dziwnym wyrazem twarzy. Przyniósł wieczerzę, wprowadził branki do namiotu, zapuścił starannie wszystkie wojski i kilka razy obejrzał się z trwogą, zapytał:

— Po co wy mi o takich rzeczach gadacie? Człowiek nabije sobie głowę bajkami i traci spokój. Przypuśćmy... przypuśćmy, że wracam z Dżjafirką do Samarkandy. I co dalej? Nie ma tam ani mego domu, ani majątku. Może przyjechać *baskak*, rozpozna mnie i co robić? Lepiej się zaraz powiesić.

— Wasyl — odparła Elżbieta — byłbyś chyba człowiekiem pozbawionym rozumu, gdybyś powracał do Samarkandy. Czyż to nie ma innych krajów?

— Jakich? — pytał z niedowierzaniem żołdak.

— Powiedz nam, gdzie teraz jesteście i jaka ziemia leży za tą rzeką?

— Jesteśmy w Kumanii, gdzie mieszkali Połowcy<sup>41</sup>, dopóki ich Tatarzy nie wypędzili. Teraz ta cała kraina świeci pustką. Po drugiej stronie Prutu, jeszcze na kilka dni drogi, ciągnie się Kumania, a potem, pomiędzy górami, zaczyna się Baszkiria<sup>42</sup>, gdzie mieszkają Ugry.

— Węgry! Węgry! Ojczyzna królowej Kingi! — zawołały branki z radością. Nazwa Baszkirii nie była im obca, bo sami Węgrzy uważali się za Baszkirów i to miano przyjmowali bez urazy.

Ale radość niewiast nie trwała długo.

— Tam także nie warto się chronić — stwierdził Wasynga. — Nasi panowie są mądrczy. Oni jadą na Węgry od takiej strony, skąd się ich nikt nie spodziewa — od waszych ziem. Za pół roku albo i za miesiąc zwałą się tam.

— Prawda, ale zanim tam przyjdą, można przez Węgry uciec dalej — zaproponowała Ludmiła.

— Jak to dalej? Czy jest jakieś „dalej”?

— A jakże! Przecież za Polską i Węgrami ciągnie się ogromne cesarstwo niemieckie, dalej Francja, Włochy, a z boku Hiszpania. Jest w czym wybierać! Przecież Tatarzy od razu wszystkiego nie podbiją.

Wasynga coraz szerzej otwierał oczy. Po chwili kiwnął pogardliwie ręką i rzekł:

— No, cóż. To wszystko poganie. Na jedno wyjdzie zostać między Tatarami.

Branki nie mogły powstrzymać się od śmiechu.

— Co ty gadasz? Przecież to są narody chrześcijańskie i to bardzo pobożne.

Kiedy zaczęły opowiadać, jakie to w owych krajach są zamki, jacy rycerze, jakie wspańskie nabożeństwa w kościołach, których wieże sięgają nieba, Wasynga oniemiał i posmutniał. Rano przyniósł śniadanie złożone z mleka i kaszy. Obejrzawszy się z dziesięć razy, westchnął i zagadnął:

— Myślałem ja całą noc nad wszystkimi cudami, o jakich gadacie. Ale co mnie po nich? Nie mam ani jednej skórki sobolowej, ani jednej obrzynki srebra. Jeśli ucieknę między obcych ludzi, z czego będę żył? Pomrzemy z głodu, ja i dziecko. Chyba najemę się za kata. To już lepiej zostać tu, gdzie jestem...

— Wasyngo — rzekła poważnie Ludmiła — mamy Boga w sercu i potrafimy być wdzięczne. Elżbieta zostawiła w Polsce męża, który ci zapłaci dużo, bardzo dużo złota, jeśli mu przyprowadzisz żonę wraz z synem, całych i zdrowych. Ja męża nie mam, więc mogę sama rozporządzać swoimi włościami, a jest ich niemało. Nie objechałbyś ich przez siedem dni. Stoi tam kilka zamków, tak pięknych, że w życiu takich nie widziałeś. Dam ci jeden z nich. Będziesz sobie mieszkać jak *baskak*, a Dżafira będzie chodziła w złotogłowi i perłach.

To już były pokusy nie do odparcia. Myśl o ucieczce długo nie chciała pomieścić się w głowie Wasyngi, ale kiedy się z nią oswoił, zabrał się do niej z tatarską gwałtownością i bizantyjską przebiegłością. Zaraz tego samego dnia w południe zostawił branki pod strażą podwładnych, a sam oddalił się, niby w celu odebrania rozkazów z tej części obozu, gdzie mieszkali wodzowie, a w rzeczy samej, by rozpoznać drogi i ułatwić przeprawę przez rzekę. Dopiero dobrze po północy wsunął się do namiotu, gdzie oczekiwały go branki. Zbliżył się w ciemnościach i ożywionym głosem zaczął opowiadać:

— Od Prutu cudowne wieści! Wyobraźcie sobie, że znaleźli się ludzie, i to z naszego wojska, którzy co noc na czółnach przewożą jeńców, ma się rozumieć za grubą opłatą. Starsi wiedzą o tym, ale przemykają oczy, bo otrzymują większą część zapłaty. Tak idzie, aż słodko patrzeć, jakbyście miód oblizywały. Okropnie żałowałem, że was od razu nie wziął. Bylibyśmy już na drugim brzegu. — Oczy Wasyngi przez moment zablęsnęły nadzieją. — Byłem też w obozie wodzów, skąd mam niedobre wieści. Przyjechał poborca

<sup>41</sup> Połowcy a. *Kumanowie* — altajski lud, posługujący się językiem z grupy kipczackiej; od VIII w. wędrowali z rejonu dzisiejszego Kazachstanu na tereny obecnej Ukrainy, w XII w. wyparci przez władcę Rusi Kijowskiej za Don i Wołgę, wchodzili w koalicje z książętami ruskimi, ich wodzowie wżeniali się w dynastie panujące w Serbii, Węgier i Bułgarii, ale także organizowali najazdy na te ziemie. W następnych wiekach zasymilowali się wśród ludów Złotej Ordy. Połowiecki dostojnik, sprzedany w niewolę do Egiptu, założył tam dynastię rządzącą w latach 1250–1382. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *Baszkiria* — ziemia w zachodniej części Azji, w 1236 roku została podbita przez Tatarów i weszła w skład Złotej Ordy. [przypis edytorski]

chański, Kajkuł, i będzie wybierał dla chana niewiasty. Już dnieje... Byle ten dzień przeżyć. Wieczorem dam strażom kumysu<sup>43</sup>, araki<sup>44</sup>, ile tylko zechcą. Spoję ich na śmierć i wymkniemy się jak węże.

W samo południe w obozie powstało straszne zamieszanie.

— Idzie, już idzie! — zewsząd dochodziły zatrwożone głosy.

Straże biegały, wywlekały z namiotów kobiety i dzieci. Z wielkim trzaskiem nahajek ustawiano wszystkich w równych rzędach. Mężczyźni stali osobno. Wasynga wpadł do namiotu branek z pobladłą twarzą.

— Jesteśmy zgubieni. Kajkuł idzie! — powiedział głosem ochryplym ze strachu.

Kobiety wyszły na zewnątrz i stanęły wśród zgromadzonych, starając się ukryć Jasia. Pomiędzy namiotami przedzierali się konno wodzowie, zbierając resztki z chańskiego stołu.

— To jest Ajdar — szepnął Wasynga — a przy nim jego brat, Toktyusz, z małżonką Arguną. Ten za nimi to szaman.

Istotnie, behadyr Ajdar jechał w pełnym blasku prosto ku niewiastom, a za nim podążał wojownik w czerwonym kaftanie. Przed namiotem obaj zeskoczyli z koni i zaczęli rozmawiać. Zsiadła też Arguna, niewiasta sucha i żółta, okryta długim chałatem z pstrej chińskiej tkaniny. Dźwigała na głowie kołpak, wysoki jak wieża, z lasem zatkniętych pióropuszy. Najdziwniejszą osobistością w tym gronie był szaman. Brankom zaćmiło w oczach na jego widok. Wyobraziły sobie, że tak muszą wyglądać przedśmiertne zjawy. Ajdar, zsiadłszy z konia, rzucił Ludmile ogniste spojrzenie. Po chwili wskazał Elźbietę Argunie, która zatrzymała na niej badawczy wzrok. Żona wodza zwróciła się do szamana. Ten zajął Elźbicie w oczy. Otworzył zaciśnięte dłonie niewiasty i skinął głową z wielkim zadowoleniem. Długo coś tłumaczył Argunie, na koniec trzykrotnie uderzył w bębenek. Wtedy Arguna zadała jakieś pytanie Wasyndze. Chłop skoczył do Jasia, wyciągnął go przemocą spod matczynek sukien i postawił przed Arguną. Widok ślicznego dziecka ze złotymi włosami zwykle rozbierał wszystkich i kruszył najtwardsze serca, lecz sucha Mongołka zmarszczyła się, przygryzła wargi i nogą odepchnęła wystraszone dziecko, które matka natychmiast porwała w objęcia. Ajdar, chcąc jakby wynagrodzić krzywdę, pogłaskał Jasia, po czym znowu zwrócił się do Wasyngi. Branki nic nie rozumiały z tej rozmowy. Patrzyły błagalnie na twarze wojowników, chcąc z nich wyczytać swoje losy. Wreszcie zatrzymały wzrok na Ajdarze, którego oblicze było łagodne, pozbawione drapieżności i bestialstwa.

Nagle powstało zamieszanie. Żołnierze i strażnicy padli twarzą do ziemi, wodzowie podnieśli złożone ręce do czoła i z pokłonem wołali:

— Mendu!

Pojawił się Kajkuł, otoczony orszakiem świecącym jak potok brylantów. Za nim prowadzono konia wybranego niedawno z nadamurskich tabunów. Koń miał szerokie czoło, grubą szyję z rozchełstaną grzywą, krzepkie biodra i krótkie, ostrokościste nogi. Z jego zapadłych oczu bił ponury ogień, iskrzący jeszcze stepowym buntem. Kajkuł obwieszony był taką ilością przeróżnych rynsztunków i klejnotów, pozdzieranych z trupów chińskich, perskich, węgierskich i polskich, że jego krzywe nogi wygięły się jeszcze bardziej. Nic nie mówił, tylko spoglądał na jeńców. Niektórym kładł rękę na głowie. Osoby tak naznaczone zaraz gdzieś znikaly. Na koniec stanął przed namiotem Elźbiety i Ludmiły. Ajdar, obdarzony posłannictwem pośrednika, podszedł do niego, długo mówił to łagodnie, to gwałtownie, chwilami rzucał z oczu błyskawice, zaraz potem gorąco składał ręce.

Kajkuł milczał. Słuchał i uśmiechał się złośliwie. Wreszcie wyciągnął rękę i położył ją na głowie Ludmiły. Wnet strażnik zarzucił na nią żółtą zasłonę i zaciągnął do namiotu. Krzyk Elźbiety rozdarł ciszę. Ajdar stanął przed wodzem i jeszcze prosił. Kajkuł w odpowiedzi położył rękę na złotej główce Jasia. Arguna widząc, że Elźbieta próbuje wdrzeć

<sup>43</sup>kumys — musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany *mlecznym szampanem*. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>araka, dziś: arak (z arab.) — wysokoprocentowy alkohol o smaku anyżowym, popularny na Bliskim Wschodzie. [przypis edytorski]

się do namiotu Jasia, skinęła na Kałmuka<sup>45</sup> stojącego opodal koni. Ten chwycił brankę w żelazne ramiona, uderzył kilka razy kańczugiem, a potem rzucił na konia. Skoczył w strzemiona i pocałował za Arguną.

Nad namiotem, do którego strażę wnieśli Ludmiłę i Jasia, zatknięto czarny proporzec.

## KRWAWY LIST

Wasynga wszedł do namiotu.

— Nie mogło się stać gorzej. — Głos żołdaka zdradzał zdenerwowanie. — Ty i dziecko jesteście własnością wielkiego chana, Elżbieta niewolnicą Arguny. My jedziemy do stolicy Mongolii, ona Bóg wie gdzie.

— Widziałeś ją? Płacze?

— Nie, wcale nie płacze. Siedzi, jakby drewniana, z małym chłopczykiem na ręku.

— Z chłopczykiem?

— Ano, z małym Kałgą. Przecież Toktysz i Arguna wzięli ją za niańkę do swojego dziecka.

— O niczym nie wiem — powiedziała z wyrzutem Ludmiła.

— Prawda, nic nie zrozumiałaś z tego, co między sobą gadali panowie. Behadyr Ajdar pamiętał o twojej prośbie. Powiedział do brata: „Słuchaj, Toktysz, my we dwóch te niewiasty zdobyli, więc jeśli chan ich nie zabierze, rozdzielimy je między siebie. Ja wezmę młodszą dziewczkę. Ty szukasz niewiasty cichej i łagodnej do niańczenia Kałgi, weź drugą. Ona umie chodzić koło dzieci, sam widziałem, jak o swojego malca się troszczy”. Ajdar chciał ci zrobić przyjemność. Byłabyś zawsze blisko Elżbiety, bo Ajdar i Toktysz jako bracia się nie rozłączają, ich namioty zawsze stoją obok siebie. Otóż Toktysz wołał nie podejmować decyzji bez żony, żona nie chciała decydować bez szamana, więc przyjechali wszyscy razem, aby obejrzeć Elżbietę. Czary miały przesądzić, czy będzie niosła szczęście ich dziecku. Szaman, wielki czarownik, wyczytał z jej oczu i dłoni bardzo dobre rzeczy, więc przystali. Ale Jasia Arguna nie chciała wziąć w żaden sposób. „Niańka — mówiła — nigdy nie przywiąże się do naszego syna, jeśli zostawimy jej własne dziecko”. A mnie się wydaje, że tam była jeszcze inna przyczyna. Jaś zanadto ładny. Arguna nie lubi ładnych dzieci, bo jej Kałga brzydki...

— Ach, więc dlatego ta wstrętna kobieta kopnęła biedne dziecko. I ona ma być panią Elżbiety! O, Boże!

— Jak tylko Arguna to zrobiła, zaraz Ajdar oświadczył, że weźmie Jasia razem z tobą. Tym sposobem dziecko będzie blisko matki.

Ludmiła zamyśliła się i rzekła wzruszona:

— A jednak ten Ajdar, jak na Tatara, to doprawdy pocziwy człowiek.

— Pocziwy jak pocziwy. Wiem, że strasznie mu wpadłaś w oko... Robił, co mógł, aby cię zatrzymać, ale mu się nie udało. Trzeba wiedzieć, że on i Kajkuł to śmiertelni wrogowie. Jak tylko mściwy Kajkuł zmiarkował, że Ajdarowi bardzo na tobie zależy, zaraz położył rękę na twojej głowie, co jest znakiem, że cię przeznaczył dla wielkiego chana. I tak cały nasz zamiar przepadł.

Ludmiła podskoczyła jak sprężyna.

— Nie! — krzyknęła. — To właśnie teraz trzeba nasz plan spełnić. Teraz, póki jeszcze jesteśmy w tym obozie, nad rzeką zbawienia, na granicy chrześcijańskiej.

Długo jeszcze przekonywała Wasynge, pewna, że wszystko się uda. Jej entuzjazm był chyba zaraźliwy, bo w końcu mężczyzna rozeźmiał się i szepnął:

— Mądra z ciebie dziewczyna. Prawdę mówisz, teraz najłatwiej będzie uciec. Muszę co prędzej zawiadomić panią Elżbietę.

---

<sup>45</sup>*Kałmuk* — przedstawiciel narodu wywodzącego się z grupy Mongołów Zachodnich (Ojratów), mówiący językiem z grupy altajskiej. W pocz. XXI w. naród ten liczy ok. 250 tys., Kałmucja leży dziś na terytorium Federacji Rosyjskiej, nad Morzem Kaspijskim. Dawniej większość Kałmuków wyznawała buddyzm, do początków XX w. prowadzili koczowniczy tryb życia. Przywołany przez autorkę *Branek w jasyrze* obraz Kałmuka jako brutalnego i nieubłaganego strażnika wiąże się z XIX-wiecznym polskim stereotypem, który ma swoje źródło w polityce Rosji carskiej, gdzie często zatrudniano przybyszy z dalekich części kraju, słabo mówiących po rosyjsku (a tym mniej po polsku), w więziennictwie, aby utrudnić więźniom porozumienie się ze strażnikami czy oprawcami i pogłębić ich wyobcowanie. [przypis edytorski]

Nad ranem Ludmiła zaczęła niedomagać. Nietrudno było udać chorobę po tylu strasznych przeżyciach. Z ulgą oddała się spazmatycznym łkaniom, które wnet przybrały postać konwulsji. Wasynga dał znać dozorczy chańskich jeńców, Karganowi, który był prawą ręką Kajkuła. Na widok rzucającej się, zsiniałej Ludmiły Kargan struchlał.

— Co ja zrobię, nieszczęsny — wołał załamując ręce. — Moja najpiękniejsza niewolnica! Chan byłby mi za nią taki wdzięczny. Wasynga, radź, co zrobić?

— Co robić? Czekać, aż wyzdrowieje!

— Głupi jesteś. Wiesz przecież, że jak każą jechać, to trzeba jechać. Więźniom nie wolno chorować. Najpiękniejsza niewolnica! — jęczał Kargan. — A jak mi padnie w drodze, to cały krzyk na mnie, będę musiał za nią zapłacić. Powiedz mi, czy ona rzeczywiście nie może wsiąść na wielbłąda? Pojechalibyśmy wolniutko.

— Gdzież tam! Już próbowałem ją podnieść. Nawet się dotknąć nie da, zaraz szaleje.

— No to trzeba zawołać szamanów — postanowił Kargan.

— Wielcy szamani — rzekł samarkandczyk z pokłonem — wyleczą, ale nim to zrobią, wiele dni upłynie, a każdy dzień leczenia opóźni dzień zapłaty.

— Jaki ty, Wasyngo, szczęśliwy, że nie masz na głowie tak okropnej odpowiedzialności! Co ja zrobię!

— Ja, nędzny robak, dam ci radę. Cała choroba tej dziewczyny pochodzi z wielkiej żalości za krajem, za krewnymi, za wszystkim, co przepadło. Gdyby mogła zapomnieć, na pewno by wyzdrowiała. Mnie w Samarkandzie pewna stara wiedźma nauczyła, jak się robi napój, po którym człowiek zapomina o wszystkim, co się stało w przeszłości. Jak ta dziewczyna się napije, a potem pół dnia prześpi, to wszystko zapomni, wstanie zdrowiuteńka i pojedzie.

— Dobrze! — Kargan wpatrzył się w niego badawczym wzrokiem. — Ale taki napój pewno dużo kosztuje?

— Nic nie kosztuje, mam ze sobą to ziele. Nawet już je przygotowałem. Ale człowiek po tym napoju śpi czasem przez cały dzień i nie wolno go budzić; wszystko by się popsulo.

— Więc jak będzie?

— Mnie się tak widzi: wy sobie jedźcie naprzód, a my was dogonimy. Jak tylko dziewczyna wyzdrowieje, nie pozwolę jej marudzić — obiecał Wasynga i zaraz przyniósł kubek wody zafarbowanej nieszkodliwą trawką.

Chora ze wzdraganiami się i przymusem wypila lekarstwo, zamknęła oczy i zapadła w kamienny sen. Kargan wyszedł, zachwycony cudownym działaniem uzdrawiającego napoju. Około południa Ludmiła, zaciekawiona odgłosami dochodzącymi z zewnątrz, zerwała się z łoża. Zagląjąc ostrożnie przez szparę w namiocie, spostrzegła wyjeżdżających uroczyście behadyrów. Na przodzie jechał Kargan z orszakiem niewolnic; wszystkie były okryte żółtymi zasłonami. Za nimi na telegach<sup>46</sup> wieziono dzieci, dalej szły wielbłądy i muły obciążone wojennymi łupami. Zgromadzeni po obu stronach drogi Tatarzy padali twarzą na ziemię, nie śmiejąc nawet spojrzeć na pańskie wybranki. Orszak wyjechał z obozu. Wasynga i Ludmiła odetchnęli.

Pod wieczór Ludmiła zaczęła przygotowywać się do podróży. Zapakowała kozuch i ogromną futrzaną czapkę dla Elżbiety. Myśl o ucieczce wprowadziła ją w pogodny nastrój. Jakie to szczęście, pomyślała, że wreszcie nadeszła ta chwila. Jasiowi od wczoraj nie mogę dać rady, ciągle pyta o matkę.

— Matunia zaraz przyjdzie. — Ludmiła pocieszała dziecko, po raz pierwszy wierząc w prawdziwość tych słów.

Zmierch zapadł na dobre, a Elżbiety ciągle nie było. Mijały godziny, jedna, druga... Ludmiła i Wasynga zaczęli zastanawiać się, co mogło opóźnić jej przybycie.

— Trzeba jechać bez niej. — Mężczyzna zmarszczył brwi. — Kargan się spostrzeże i gotów przysłać po nas żołnierzy. Już i tak straciliśmy najlepsze godziny. Dotąd było ciemno, ale za chwilę wstanie księżyc. Powiem, jak sama mówiła: teraz albo nigdy.

— Jeśli masz Boga w sercu, poczekajmy jeszcze trochę. Ona lada chwila tu będzie! Przecież się z nią umówiłeś! Nie możemy jej tak zostawić, oszukać, zdradzić.

<sup>46</sup>telega — niewielki czterokołowy wóz konny; por. ros *телега* (uważane za zapożyczenie z chazarskiego). [przypis edytorski]

Dobrze po północy jakiś drżący, złamany głos odezwał się tuż przy wejściu do namiotu. Wasynga wyskoczył i zobaczył trzęsącego się, zgarbionego starca. Głowę miał obwiązaną krwawą chustą. Był to dziadzia Szymon. Nikt go nie kupił, nikt nie chciał wziąć nawet za darmo, toteż włóczył się po całym obozie, żebrząc u jeńców o ostatnie resztki strawy. Starzec zdjął zakrwawioną chustę i podał Wasyndze.

— Wszak ci tu leży chora dziewczyna z Polski. Otóż niewiasta od nas dała mi tę chuścinę i tak powiedziała: „Was, dziadziu, nikt nie strzeże. Idź do jurty Chazara<sup>47</sup> Wasyngi, tam leży moja przyjaciółka, Ludmiła. Powiedz jej, że jeśli włoży na siebie tę szmatę, to zaraz wyzdrowieje”.

— Jak to? Nic więcej nie powiedziała? Sama nie przyjdzie? — dziwił się Wasynga miętosząc chustkę.

— Tego ja nie wiem. Prosiła tylko, abym się bardzo śpieszył. Ale ja stary, z ledwością powłóczę nogami.

Wasynga i Ludmiła spojrzeli po sobie z przerażeniem. Co to za znak? Jak go wytłumaczyć? Przy świetle ognia Ludmiła dostrzegła, że krew na płótnie tworzy dość wyraźne zdania.

*Nie mogę przyjść. Ludmiło, nie czekaj, bo zgubisz dziecko, ściągając gniew Boga i przekleństwo matki. Ratuj naszego Jasia i siebie. Może was dogonię. Znalazłam sposób.*

Ludmiła przeżyła już wiele okropnych chwil, ale ta była najgorsza. List nie pozwalał na zmianę decyzji, groził przekleństwem. Zdania były tak mocne, że trudno było uwierzyć, iż pisała je Elżbieta. Wyrażały jej wolę. Ratuj naszego Jasia. Własną krwią przelala na mnie prawa i obowiązki macierzyńskie, pomyślała Ludmiła, znalazłam się w strasznym położeniu. Jeśli ucieknę bez niej, nigdy sobie tego nie wybaczę. Może jednak zostać? A co z dzieckiem?

— Ratujmy Jasia — powiedziała i ukryła twarz w dłoniach.

— I co zrobimy? — zapytał ze ściśniętym sercem Wasynga.

— Jedziemy!

— Bez niej? — Mężczyzna nie dowierzał. Zamyślił się, a po chwili już nieco pogodniej dodał: — Może nas dogoni. Przecież wyraźnie mówi, że ma jakiś sposób...

— Nie wierzę w ten jej „sposób”. Ona tylko tak napisała, aby nas pocieszyć, dodać otuchy przed ucieczką — mówiła, a łzy spływały po jej twarzy na krwawy list, który leżał obok jedwabnej chusty Michała Przedwojowica.

## UCIECZKA

Cicha majowa noc. Nad „Dzikimi polami”, obozowiskiem jeńców i zwycięzców, księżyc przyswiecał smętnym, okrągłym okiem, które widziało już niejedno ludzkie nieszczęście. Między namiotami, kołyszac się i wywijając szyją, kroczył wielbłąd. Na jego garbie siedziała kobieta tuląc dziecko. Trudno ich było rozpoznać, ponieważ ukrywali się pod żółtą, faldzistą zasłoną, spoza której przez wążutką szparę świeciły załzawione oczy. Obok, na krępym tatarskim koniu, jechał mężczyzna. Jedną ręką trzymał cugle konia, a drugą sznur, na którym prowadził wielbłąda. Za jeźdźcem siedziała dziewczynka. Dalej stąpał drugi koń, przywiązany sznurem do pierwszego, który dźwigał mnóstwo skrzynek i buklaków.

Dojeżdżali do ostatnich koczowisk. Po drodze wszyscy wartownicy, znający dobrze Wasyngę, przepuścili ich z żołnierskim pokłonem. Teraz, na granicy obozu wyznaczonej przez szereg wozów, liczniejsza straż zastąpiła im drogę. Wasynga pokazał srebrną tabliczkę z napisem stwierdzającym jego urząd i straż rozstąpiła się z pokorą. Nikt nie śmiał nawet podnieść oczu na „żółtą zasłonę”.

Rozsunięto wozy. Karawana wyjechała w pole. Po jakiejś godzinie drogi Ludmiła dostrzegła ognisko palące się na samotnym polu, do którego właśnie podążał Wasynga.

— Co to za ogień? — zapytała nie kryjąc zdziwienia.

<sup>47</sup>Chazarowie — lud koczowniczy pochodzenia tureckiego, zamieszkiwali tereny położone na pń.-zach. od Morza Kaspijskiego, w VII–X w. tworzyli dominujące w regionie państwo, kaganat chazarski. [przypis edytorski]

— To ostatni karaul tatarski.

— Co to jest „karaul” — dociekała Ludmiła.

— Przednia straż, czaty, a już dokładnie mówiąc, to „czarna straż”. Właśnie tam rochodzą się dwie drogi. Jedna biegnie na lewo na wschód, ku Donowi, tą właśnie pojechał Kargan ze swoim taborem, druga prowadzi do Prutu, i my nią pojedziemy.

— Jak ominiemy tę straż?

— Nie będziemy jej wcale omijać. Trudno ukryć się na tym polu, więc lepiej śmiało wejść tym ludziom w oczy. Wprawdzie oni są tam po to, by pilnować drogi, ale ja potrafię się z nimi dogadać.

Ludmiła spojrzała na niego powątpiewającym wzrokiem. Jakoś nie chciało jej się wierzyć w taki cud. Ale nie było czasu na pytania, już dojeżdżali do rozdroża, gdzie przy ognisku rysowały się czarne profile trzech żołdaków w wysokich czapkach. Krzywe szable, noże, kindżały, czekany połyskiwały w blasku ognia. Strażnicy, ujrawszy podróżnych, zerwali się i stanęli w poprzek drogi. Wasynga pochylił się na koniu i każdemu wetknął coś do ręki. Żołdacy skinęli tylko głową i siedli na powrót przy ognisku. Plecami odwrócili się do karawany i wcale nie zwracali uwagi na to, że podróżni zamiast na lewo, jadą prosto przed siebie. Na szarym tle stepu droga uciekała czarnym szlakiem, ginąc w ciemnościach.

— No, najgorsze już za nami — odezwał się Wasynga. — Wątpię, aby nas ktoś jeszcze zatrzymywał. Możemy jechać śmiało.

Po dwóch godzinach drogi grunt zaczął się marszczyć w pagórki i wklęsłości zapowiadające wybrzeże wielkiej rzeki. Koniec widnokregu błysnął srebrnym pasmem, łamiącym się pod światłem księżyca w niebieskawe diamenty.

— Co to jest? — zapytała Ludmiła podnosząc oczy. I nie czekając na odpowiedź krzyknęła: — To Prut! Ach, jakże to już blisko!

— Nie tak blisko, jak się wydaje — odrzekł spokojnie Wasynga. — Gdyby można jechać prosto, wciąż przed siebie, byłibyśmy tam w dziesięć pacierzy. Ale musimy okrążyć jar, tak niebezpieczny, stromy i głęboki, że nie można go ani przejechać, ani wierzchem przeskoczyć. Trzeba jechać ostrożnie, aby na zakrętach nie zgubić głównego szlaku.

— Ktoś za nami jedzie! — przerwała cieniutkim głosem Dżafirka.

Ludmiła drgnęła. Wasynga zaczął nasłuchiwać. Istotnie, do jego uszu dochodził tętent mocno rozpedzonego konia. Za chwilę pokazał się jeździec lecący jak wicher. Spostrzegł widocznie karawanę, bo zaczął nawoływać krzykiem azjatyckim, dzikim, niepoahamowanym, którego żaden Europejczyk nie potrafiłby powtórzyć.

— Nie mamy szans. Lepiej stańmy.

— O Boże! — Ludmiła przeżegnała się i szepnęła: — Teraz to już koniec!

Szalony jeździec zatrzymał się. Wasynga struchlał. Rozpoznał jednego z przybocznych żołnierzy Kargana.

— A to ty, Ragun? Czegóż tak okropnie krzyczysz? — zapytał Wasynga, siłąc się na swobodę.

Kozak znał trochę narzecza wszystkich ludów krzyżujące się w mongolskim wojsku. Posługiwał się łamanym językiem, który nawet Ludmiła była w stanie zrozumieć.

— Jak mam nie krzyczeć, kiedy gonię i gonię, a wy jedziecie, i to po zlej drodze! — odparł wzburzony Ragun.

— Widzisz przecież, że stoję — odrzekł śmiało Wasynga. — Jak cię tylko dostrzegłem, zaraz kazałem stanąć. Skąd się tu wziąłeś?

— Kargan mnie wysłał. Cekał na was, aż go wziął niepokój. Kiedy twoi ludzie przyjechali, a ciebie nie było widać, Kargan powiedział: „Słuchaj, Ragun, wróć i zobacz, co porabia ten pies, Wasynga. Czy mi nie ukradł najpiękniejszej niewolnicy?”. Więc ja pędzę, patrzę po drodze, nie ma. Lecę do obozu, nie ma. Pytam karaulów: nikt nie widział. Myślę sobie, czy Wasynga nie pojechał do rzeki? I tak znalazłem ciebie na drodze do rzeki. No, powiedz, Wasynga, czy ty nie pies, czy ty nie chciałeś uciekać z kradzioną niewolnicą?

Wasynga poklepał Raguna po ramieniu, uśmiechnął się i odrzekł:

— Za kogo ty mnie masz, bratku? Miałbym sam jeden jechać między Ugrów? Zaraz by tam poznali, że ja sługa tatarski i żywcem ze skóry obdarli. Nie jestem głupi. Czy mnie źle między wami?

— No więc po co jechałeś tą krzywą drogą? — pytał zdezorientowany Ragun.



— Zaraz ci opowiem — rzekł Wasynga z wszelkimi pozorami swobody, ale tak naprawdę targaly nim najokropniejsze przecucia. Szukał pomysłu wybawczego. Natężył rozum, wysłał wyobraźnię, ale w głowie czuł tylko pustkę, szum i zamęt. Chcąc zyskać na czasie zapytał: — A może siądziemy i napijemy się czego? Kumysu albo araki? Mam kumys wyborby, przy napitku lepiej się gada. Kiedy nas już znalazłeś, to po co się śpieszyć. Opowiem ci wszystko, a potem pojedziemy do Kargana — zaproponował.

Ragun wahał się, spoglądał na karawanę podejrzliwie. Ale Wasynga miał taką dobroduszną twarz, a Kozak zziął się podczas pogoni, że skusiły go zaprosiny.

Samarkandczyk zeskoczył z konia i pociągnął za sznur przewleczony przez nozdrza wielbłąda. Biedne zwierzę ryknęło żałośnie i pod przymusem uklęknęło. Ludmiła zsiadła. Nie wiedziała, co się dalej stanie; niespokojnie chodziła tam i z powrotem z Jasiem na rękę. Wasynga chwycił ją za ramię i szepnął:

— Ostrożnie, niech pani Ludmiła uważa na przepaść.

Dopiero wtedy spostrzegła, że stanęli nad samym jarem. Była to rozpadlina czarna jak pasmo kiru<sup>48</sup>. Księżyc opuścił się nisko, połowa jego tarczy rzuciła ukośne światło. W jarze panowała zupełna ciemność, tylko z samego dna dochodził plusk potoku czy rzeczki tłukącej się po kamieniach.

Tymczasem Wasynga czerpał to z jednego, to z drugiego bukłaku.

— Wiesz co, brat Ragun? Ten kumys niewystały<sup>49</sup>, araka będzie lepsza.

Ragun nie dał się prosić, wychylał kubek po kubku, a choć głowę miał bardzo mocną, po jakimś czasie oczy zaszyły mu ciężką, niekiedy iskrzącą się mglistością, której gospodarz nie mógł się doczekać. Wasynga udawał, że pije. Ukradkiem wylewał zawartość czarki na boku i cały czas głowę sobie łamał, chcąc wymyślić wiarygodnie brzmiące kłamstwo. Wreszcie uśmiechnął się tryumfalnie, jak pisarz, który znalazł osnowę arcydzieła, i zaga-  
dał:

— Trzeba ci wiedzieć, bratku, że w wędrówkach po świecie uzbierałem sobie mały skarb. — Tym wstępem od razu podbił uwagę słuchacza. — Kargan nic nie wie o moim skarbie, rozumiesz dlaczego. Zaraz by mi go zabrał. Wolałbym zapewne, aby nikt o nim nie wiedział, ale trudno... Tobie muszę powiedzieć, bo czort wie, co byś o mnie pomyślał. Jesteś dobrym człowiekiem, nie wygadasz przed Karganem, a ja się z tobą podzielę.

— Jakież to skarb? — Ragun błysnął chciwym okiem.

— Nieduży, bratku, nieduży. Dwa worki. W jednym są pieniądze, takie sobie, srebrne, złote, a w drugim różne łańcuchy, kolce<sup>50</sup>, pierścienie, wszystko z lackich zamków zabrane.

Ragun spojrział na Wasyngę z szacunkiem i zazdrością.

— Te worki to była moja wieczna troska. Jak schować, gdzie schować? Kiedy nam powiedziano, że mamy nad Prutem długo siedzieć, schowałem worki w tym jarze, pod trzema kamieniami.

— Tutaj, tak daleko?

— Mnie się zdawało, że jeszcze za blisko sokolich oczów<sup>51</sup> Kargana. Więc teraz rozumiesz? Chciałem tu cichaczem zboczyć, skarb zabrać, a potem wrócić do was. W godzinę później byłbyś mnie spotkał na dobrej drodze. No, ale już się stało. Nie szkodzi, że jesteś. Co miałem zrobić, zrobię, a ty pilnuj zwierząt i tej dziewczki.

Ludmiła spoglądała na Wasyngę z najwyższym podziwem. Mężczyzna wstał i zmierzał ku jarowi. Po chwili wrócił strwożony.

— A kto mi zaręczy — zapytał z niedowierzaniem w głosie — że nie uciekniesz z kradzioną niewolnicą i chańskimi skarbami? Nie śmieję się, jeśli Kargan mógł posądzić mnie, doświadczonego żołnierza, to czemu ja nie mam posądzić prostego Kozaka?

— No, to co mam zrobić? — spytał zmieszany Ragun.

— Posłałbym ciebie po worki, ale czy ty niczego nie ukradniesz?

Kozak zaklinał się na wszystkie świętości, a jego oczy zabłyśły chciwą poządliwością.

— Znaleźć łatwo — tłumaczył Wasynga. — Trzy kamienie leżą nad wodą. Tylko dobrze uważaj, byś niczego nie rozsypał, bo worki pełne, ledwo mogłem je związać.

<sup>48</sup>kir (daw.) — czarna tkanina używana jako oznaka żałoby. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>niewystały — tu: nie dość przefermentowany, zbyt świeży. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>kolce — tu daw.: duże kolczyki. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>oczów — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

Oczy Kozaka zabłyśły jeszcze mocniej na myśl o tym, że jakiś ubytek z worków będzie mógł być przypisany rozdarciu lub złemu zawiązaniu. Wstał. Podcięty trunkiem nie był w stanie utrzymać równowagi, jednak mimo to szedł dość przytomnie ku jarowi.

— Ze mnie taki człowiek. Więcej dbam o skarby chańskie niż o własne. Ale tobie wierzę. Idź prędko i zaraz wracaj.

— Którędy? — spytał z wahaniem Ragun.

Wasynga poklepał go po ramieniu mówiąc:

— Jak to? Przecież tędy prowadzi ścieżka!

— Ale ja nie widzę żadnej ścieżki.

— To cóż ty masz za oczy! Chyba się upiłeś? Patrz, z początku trochę wąsko, ale dalej dróżka szeroka, że niedźwiedź mógłby się na niej wytarzać. No, prędzej — zawołał zniecierpliwiony i pchnął Raguna, niby żartem.

Żart był prawdziwie tatarski. Ragun wpadł w czarną przepaść i zniknął w jarze.

Ale do dna nie doleciał, niedaleko brzegu chwycił się drzewa, które rosło nad przepaścią. Gałęzie trzaskały, a on trzymał się rozpaczliwie krzycząc:

— Ratuj! Wasynga! Ratuj!

Mężczyzna chwycił dzidę Kozaka, leżącą na ziemi, i podał mu wołając:

— Chwyć się rękami, wyciągnę cię!

Kozak złapał dzidę jedną ręką, ale drugą trzymał się jeszcze drzewa. Na próżno bił nogami w prostopadłą ścianę i osypywał kamienie.

— Chwyć drugą! Inaczej nie poradzę! — krzyczał samarkandczyk. Ragun zacisnął kurczowo obie dłonie i zawisł w powietrzu. Wtedy Wasynga puścił włócznię.

Ludmiła zamknęła oczy.

— Teraz możemy jechać — powiedział Wasynga, patrząc w bezdenną przepaść. — Jeśli w tej chwili ma jedną kość całą, to w dzień zmartwychwstania będzie mógł sobie powinszować. Choćby nawet jakimś cudem przeżył, nim się wygramoli, będziemy już na drugim brzegu.

## URATOWANY SKARB

Przemierzali olbrzymie połacie lasów bukowych, które szumiały i śpiewały wszystkimi czarami czerwcowego rozkwitu. Czasem pomiędzy ciemną puszcza roztwierały się pola tłuste, czarnoziemne, na których pracowali ociężały, ale dość gościnni ludzie.

Wasynga, który tyle lat spędził między Mongołami, przywykł do radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Zachowywał się z niezwykłą przezornością. Jej owoce wkrótce zaczęli zbierać. Na pozór oddał wszystkie skarby wioślarzom, ale pod grubym tułubem ukrywał nie tylko monety, ale i złoto. Dżjafirka pod gorsetem i we włosach miała pełno drogocennych rzeczy, a wory z jadem skrywały także swoje tajemnice. Nieraz po drodze przydawały im się te zasoby. Czasem nocleg wypadł u ludzi chciwych, którzy udawali, że nic w domu nie mają, dopóki podróżny nie zaświecił krążkiem srebra lub jakim czerwonym kamyczkiem. Kilkakrotnie też za sztukę złota kupili sobie barana, bo Wasynga, przyzwyczajony do strawy tatarskiej, tęsknił za ostrym mięsem leśnej dziczy. Niestety, o koninie nie można było marzyć, ale i na widok pasących się owiec głód skręcał mu kiszki. Chociaż z bólem serca, jednakże kilka razy pozbył się części swego bogactwa, by wyprawić sobie wschodnią ucztę. Smakował baraninę, ledwie nadpieczoną, i podlewał ją pleśniejącymi resztkami kumysu.

Dżjafirka, zaprawiona niemal od kołyski do życia koczowniczego, czuła się dobrze. Nie patrzyła już na okropności wojny, oddychała balsamicznym powietrzem i zaczęła rozbudzać się do nowego życia. Z Jasiem były większe kłopoty. Tęsknota za matką rosła z dnia na dzień. Ludmiła opiekowała się nim z prawdziwie macierzyńską troskliwością.

— Matunia jedzie za nami, jutro ją zobaczysz — pocieszała dziecko.

Ale takie zwodnicze „jutro” powtarzało się wielokrotnie; ręce jej opadły i zamiast okłamywać Jasia, całowała go i tuliła do siebie. Dziecko posepniało, było coraz bardziej markotne, blade i chude. Ludmiła patrzyła na nie i serce jej krwawiło. Sama podróż nie była uciążliwa. Rozmówiona w łowach, uwielbiała przygody i na pewno potrafiłaby się cieszyć z noclegów w puszczy, zachwycać się pięknym krajobrazem, gdyby nie troska o Jasia.

Wasynga nie mógł zrozumieć tej dziewczyny. Przez pierwszych parę dni była ponura, milcząca, prawie na wszystko znieczulona, więc powiedział sam do siebie:

— Nic dziwnego, pewnie myśli o Elźbiecie.

Ale po kilku dniach, jakby pod wpływem jakiegoś obłędu, nagle się zmieniła. Stała się gwałtownie ożywiona, gorączkowo ciekawa, cały dzień mogłaby rozmawiać o Tatarach, o niczym, tylko o Tatarach. Wasynga miał tego dość, chciał porozmawiać o zamku, o koniach i sforach, które zostały mu obiecane.

— Czy Toktysz jest dobrym człowiekiem? — spytała niespodziewanie Ludmiła.

— Ani zły, ani dobry, to zależy, jak mu poradzi żona — odpowiedział flegmatycznie Wasynga. — On tylko słucha najstarszej ze swoich żon, Arguny.

— Więc ma ich kilka?

— A jakże. Każdy bogaty Tatar ma przynajmniej kilka żon. To dowód bogactwa. One mają osobne namioty, trzodę i służbę. Toktysz ma jedenaście żon.

— A ten twój behadyr, Ajdar, ile ma żon?

— Tylko trzy. Ale za to niewolnic bez liku.

— Ładny los mnie czekał. No, teraz już mniejsza o niego. Powiedz, jaka jest Arguna? Nie ma w niej nic ludzkiego? Czy ona nikogo na świecie nie kocha?

— Aż nadto! Ubóstwia swego Kałgę. Dla tego dzieciaka zabiłaby pół świata, a do prawdy nie ma dla kogo, bo to i szpetne, i naprzykrzone jak szczenię, a złe jak żmija.

— Mój Boże — jęknęła Ludmiła. — I Elżunia zamiast Jasia musi piastować takie straszdyło.

Dotąd Wasynga rozumiał jej ciekawość. Nic dziwnego, mówił sobie, chce wiedzieć, pośród jakich ludzi przebywa jej przyjaciółka.

Ale przychodziły też pytania, które nie miały żadnego związku z losami Elżbiety: Jakie narody Tatarzy podbili? Czy są w ich kraju drogi? Czy jest handel? Niejednym zagadnieniem wprowadzała go w niesłychane zakłopotanie.

— Wytłumacz mi, dlaczego Ajdar ma cześć dla krzyża? Kiedy kapelan w Iłży podniósł go w górę, sama widziałam, jak Ajdar bił czołem, a potem całował krzyż z nabożeństwem.

— Tatarzy często całują krzyż. Taki u nich zwyczaj.

— Ale ci, którzy to robią, muszą być chyba chrześcijanami?

— Może... Jednak nie, chyba nie, bo modlą się także z szamanami. Ja, prosty człowiek, takich uczonych rzeczy nie rozumiem, ale to istotnie dziwne... Mówiono mi, że nawet sam wielki chan kilka razy do roku kłania się przed krzyżem.

— Co ty mówisz, Wasynga, ten straszliwy Dżyngis-chan<sup>52</sup>?

— A gdzież tam! Przecież Dżyngis-chan już dawno zmarł.

— A ja ciągle myślałam, że to on napadł na nasze ziemie. Więc któż teraz u Tatarów panuje?

— Rodzony syn Dżyngis-chana, chan Ogotaj<sup>53</sup>.

— Osobliwe imię! Więc to Ogotaj sprowadził wojsko...

— Nie. A po co jemu się trudzić. Wojskami dowodzą młodszy, wnukowie Dżyngis-chana: Baty, Peta, Bajdar i jeszcze kilku innych, wszyscy wielcy behadyrowie, co już świat podbili. Wielki chan nie miesza się do wojny, siedzi sobie w stolicy, w Karakorum<sup>54</sup>.

— Gdzie? — dopytywała się Ludmiła.

— W Ka-ra-ko-rum.

— Ach, co to za nazwa!

— To ma znaczyć Czarny Gród.

— U nich wszystko czarne.

— Tak, Tatarzy kochają się w takich nazwach. Gdziekolwiek przejdą, wszędzie zostawiają „Czarne wody”, „Czarne lasy”, „Czarne szlaki”.

<sup>52</sup>Dżyngis-chan a. Czyngis-chan a. Temudżyn(1155 a. 1162–1227) — władca mongolski, twórca imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>Ogotaj a. Ugudej (1186–1241) — syn Czyngis-chana, władca imperium mongolskiego w latach 1229–1241. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Karakorum — stolica imperium mongolskiego w XIII w., położona w dolinie rzeki Orchon w północnej części ówczesnej Mongolii (dziś w centrum kraju), początkowo baza wojskowa Czyngis-chana, rozbudowana przez chana Ugdejeja. W 1264 r. chan Kubilaj przeniósł stolicę imperium do dzisiejszego Pekinu. [przypis edytorski]

— Widocznie wiedzą, że przez nich po całym świecie rozchodzi się żałoba — stwierdziła Ludmiła i dopytywała się dalej. — A jak jest w tym Czarnym Grodzie? Czy ty tam kiedy byłeś?

— Nie, nie byłem. To okropnie daleko. Gadają, że od Kijowa rok drogi. Właśnie miałem tam jechać, wszyscy mieli jechać, z Karganem.

— Więc to tam, o rok drogi... Ładna mi podróż!

— Pani Ludmiła wołała do Ugrów. — uśmiechnął się Wasynga. — I ja wolę najlichszy zameczek u Lachów niż wszystkie stolice chana. No, może niekoniecznie najlichszy...

Przeprawivszy się na czółnach rybackich przez wody Seretu, przebrnąwszy z trudem ostatnie łańcuchy Karpat, wjechali na ziemię węgierską. Trawy rosły wysoko niczym zboża. Pasły się na nich grube woły, z rogami podobnymi do rogów żubra. Na koniach, obwieszonych iskrzącymi trzęsidłami i brzękadłami, harcowali pasterze, dumni jak panowie. A panowie — pyszni jak króle. Madziary<sup>55</sup>, przed czterystu laty osiadłe w Europie, przechowywały jeszcze wspaniałości Azjatów i hardość koczowników, a już z wolna przysiąkały gospodarczością i wykwinem Zachodu.

Wasynga, który nigdy nie widział szczęśliwego kraju, dosłownie zachodził w głowę. Zachwycił się wszystkim: ziemią, bydłem, ludźmi.

— Dobrze wy mi poradzili, pani Ludmiło. Święta rada! Człowiek tyle ciężkich lat, krwawych lat, przemęczył i ani się domyślał, że na tym świecie może być tak pięknie.

Mijali ludne, gwarne i zamożne wsie, szumiące od śliwowych sadów. Nad nimi gdzieś-niegdzie na górze, wśród winnic, siedziały groźne madziarskie kasztele. Wasynga stawał z otwartymi ustami, podziwiając mosty nad przepaściami, baszty w obłokach, połyskujące złotem kawalkady, które wyjeżdżały z bram przy grzmocie trąb i kotłów. Za każdym razem pytał:

— Czy i w Lechii<sup>56</sup> tak samo? Zamki równie bogate? Czy jest tak ciepło?

Ludmiła miała ochotę zawołać: O, u nas jest pięknie, może jeszcze piękniej! Miłość do rodzinnej ziemi podszeptowała pochwały, a nawet przechwałki, ale rozum kazał odpowiadać inaczej. Dawno już dręczyła ją obawa, czy obietnice nie zostały rzucone zbyt lekkomyślnie. Kto wie? — pomyślała. Może Tatarzy zniszczyli wszystkie moje włości, podpalili zamki, ludzi wzięli w niewolę? Ale ziemi przecież nie wzięli, więc dam mu jej dwa razy więcej, niż miałam dać, i rachunek się wyrówna.

Najgorsze było to, że Wasynga często się przechwalał, jak to on będzie rządził włościami, nakreślał obraz przyszłej swej pańskości. Po szkole przebytej u Tatarów można było sobie wyobrazić, jak pojmował obchodzenie się z ludźmi, okazywanie władzy i ściąganie dochodów. Sumienie nie dawało jej spokoju. Zaczęła zastanawiać się, czy się godzi oddawać swoich włościan takiemu panu... Te wszystkie wątpliwości sprawiły, że westchnęła i odparła smutnym głosem:

— Ach, mój Wasyngo, przykro mi, ale muszę ci to wyznać. U nas brzydko, zimno, prawie tak, jak w Kumanii. — spojrzła na nią zmartwiony. — Czy wiesz, co ja bym zrobiła na twoim miejscu?

— No cóż? Jestem ciekaw...

— Dostawszys zamek i ziemię w Polsce, wszystko bym sprzedała, wzięła kupę złota i srebra, i kupiła sobie taki lub jeszcze piękniejszy zamek w Baszkirii albo gdzieś pod Carogrodem.

— A czemu pani Ludmiła nie zrobiła tego dawniej?

— Ja się tam urodziłam, to moja własna ziemia. Zawsze co swoje, to najmilsze.

— Może to i rozumna rada... Ja na waszych radach dobrze wychodzę. No, niech tylko dostanę, co mam dostać, a potem zobaczymy...

Na każdym rozdrożu zastanawiali się, który gościniec wybrać. W pierwszych tygodniach drogi mieli jedyny, jasno wytknięty cel: przedostać się do granicy Węgier. Ale kiedy już przeszli granicę, trzeba było coś postanowić. Wasynga z pokorą pytał: „Gdzie pani Ludmiła każe jechać?” Dziewczyna nie śmiała się przyznać, że sama nie wie.

<sup>55</sup>Madziary, przed czterystu laty osiadłe w Europie, przechowywały jeszcze wspaniałości Azjatów — (dziś popr. forma m.os.: Madziarowie... osiadli... przybyli...) Madziarowie, czyli Węgrzy, należący do grupy ludów ugrofińskich (niespokrewnionych językowo z indoeuropejską ludnością Europy), przybyli na Nizinę Panońską na przełomie IX i X w. ze stepów środkowej Azji. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Lechia — tu: Polska. [przypis edytorski]

— Może pojedziemy prosto na dwór króla Andrzeja? — zastanawiała się głośno. — Wszak to ojciec księżnej Kingi. Tam przynajmniej znajdziemy schronienie ze względu na koronną znajomość, w imię której można poprosić o pomoc i opiekę.

Pomysł Ludmiły zachwycił, a zarazem przestraszył jej towarzysza. Jak to? On, Wasynga, pojedzie na dwór królewski? Pozna się z królem Baszkirów? Po jakimu z nimi będzie gadał? Przecie w podróznym tułubie nie wejdzie na sale. Póki nic to nic, choćbyś kamień gryzł, a jak szczęście zacznie się walić, to mało człowieka nie zadusi.

Na gościńcach było coraz ludniej. Górnicy szli obok wozów pełnych soli, kruszców i niezliczonych bogactw. Czasem twardo łomocąc, włókl się mały wózek, zamknięty i zabity jak trumna, zewsząd otoczony zbrojnymi strażami; był ciężki i drogi, pełen złota. Niekiedy długim, kolorowym orszakiem toczyła się karawana kupców cudzoziemskich, którzy przypominali zapustnych<sup>57</sup> przebierańców i gadali wszystkimi językami świata. Im bliżej Cisy<sup>58</sup>, tym szerzej ciągnęły się puszczy — olbrzymie stopy węgierskie. Niebieskie, żółte, różowe od kwiecia, pachnące jak sale na Wawelu, rozśpiewane wpółdziką pieśnią pasterzy konno śmigających za swymi stadami.

W powietrzu czuło się już pierwsze podmuchy burzy. Ludność północnych Węgier schodziła coraz tłumniej na południe, gnana pędzącą spoza Karpat nawałą. Tu panował jeszcze spokój, ale przybysze nieśli trwogę i złe wieści. Między nimi było niemało polskich tułaczy. Rodziny, często mieszkańcy całych wsi przebijali się przez góry i uciekali, sami nie wiedząc gdzie, byle dalej!

Ludmiła upatrywała znajomych, ciągle się dopytywała o Sulisława. Niestety, nikt nie umiał odpowiedzieć, czy żyje. W niedzielę, w gorące popołudnie, odmówiwszy dłuższe niż co dzień pacierze, zaczęła się rozglądać po okolicy. Stała przy drodze. Podniosła rękę do góry, by zasłonić oczy przed ostrym słońcem. Wtem spostrzegła tumany kurzu.

— Pewno Lachy — rzekł Wasynga.

Rzeczywiście, była to gromada polskich uchodźców. Gwarna cizba przeciągała konno, pieszo, z wózkami. Na samym już prawie końcu, na dudniącym, ciężko wyładowanym wozie, siedział człowiek z długimi białymi wąsami. Ludmiła rozpoznała Rafała. Był to stary domownik, najwierniejszy ze sług, który towarzyszył jej w ucieczce przed Zyndramem i odwoził do Witowa. Wskoczył z wozu, padł jej do nóg i zaniósł się od płaczu.

— Jaki to Pan Bóg dobry! Więc to nieprawda, że was wzięto do niewoli. Ludzie nie po próżnicy gadali, że uciekłyście z Żegnańca. A gdzież pani Elżbieta i panicz? — pytał rozglądając się wokół.

— Nie, mój Rafale, myśmy nie uciekły. Tatarzy nas wzięli, zagnali daleko! Właśnie wracam z niewoli.

Mężczyzna zwiesił głowę. Stał, jakby wrósł w ziemię, a Ludmiła krótkimi, lapidarnymi, urywanymi zdaniem opowiadała o niewoli, o ucieczce, o wszystkim, co przeszła.

— Ach, Rafale — rzekła w końcu. — Ty jesteś dla mnie jak wskrzeszony. Już cię optakałam. To cud, że cię nie zabili w Witowie.

Słońce się nieco opuszcilo, upał zelżał. Gromada znów ruszyła w drogę.

— Pani — nieśmiało odezwał się Rafał — proszę przesiąść się na mój wózek. Chciałbym wam powiedzieć coś bardzo ciekawego, a nie chcę, żeby kto nadstawiał ucha...

Ludmiła chętnie spełniła prośbę. Obok siebie posadziła Jasia i Dżjafirkę. Dzieci niezmiernie się ucieszyły z tej odmiany. Zaczęły szczebiotać i rzucać w siebie żdźbłami słomy, wyciąganymi z grubej podściółki. Rafał, niby zajęty powożeniem, to trzaskał z biczem, to gadał z końmi, ale od czasu do czasu przechylał się ku Ludmile i szeptał:

— Czy pani wie, dlaczego wózek taki ciężki? Proszę nie myśleć, że ja wiozę tylko swój dobytek. Mam tu skarby po nieboszczyku panu.

— Jakie skarby? Nic nie wiem o żadnych skarbach.

— A tak, pani nie wie, i nikt nie wie. Ja jeden pod słońcem wiem. Kiedy pan zachorował, zawołał mnie do siebie i rzekł: „Żle ze mną, Rafale, trzeba się szykować na tamten świat. Martwię się, że Ludmiła zostanie pod opieką moich braciszków paliwodów, co

<sup>57</sup>zapustny (daw.) — związany z zapustami, tj. hucznie i wesoło obchodzonymi ostatnimi dniami karnawału. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Cisa — rzeka płynąca przez dzisiejsze terytoria Ukrainy, Węgier i Serbii, dopływ Dunaju. [przypis edytorski]

nigdy najeść się nie mogą, chociażby im cały Olkusz postawił na misie. Kasztelów i ziemi tak łatwo nie połkną, bo je w testamencie spętałem jak pająk muchę. Ale skarbczyk rozdrapią. Nim dziewczyna dorośnie, wszystko złodzieje powynoszą”.

Nazajutrz zwał się z posłania, zaprowadził mnie do podziemi, pokazał skrzynię i rzekł: „Patrz, Rafale, ta jedna skrzynia tyle warta, co mój największy zamek z polami, lasami i stawami”. Wszyściutko mi pokazał, potem oddał klucze i powiedział uroczystym głosem: „Chowaj je u siebie, strzeż ich jak oka w głowie i nie gadaj nikomu o tych skarbach, dopóki moja dziewczyna nie dorośnie”. Pan wkrótce umarł. Od tamtego czasu milczałem jak grób. Najpierw ze strachu przed Zyndramem, co był gotów i votum ściągnąć Panu Jezusowi z ołtarza. Nieraz myślałem sobie, powiedzieć już czy nie powiedzieć, a tu zwała się tatarszczyzna i nastąpiły te wszystkie okropności. Włożyłem skrzynię na wóz, no i jestem.

— A ze swoich rzeczy uratowałeś coś, Rafale?

— Mniejsza tam o moje rupiecie. — machnął ręką pogardliwie. — Już nie było ani czasu, ani głowy...

— Zacny z ciebie człowiek, Rafale.

— Niechże pani nie drwi sobie ze sługi. Spełnić wolę umierającego, wielka rzecz! I nie ma o czym gadać.

— Było wiele nieszczęść, ale dzisiaj jest za co dziękować Bogu. Przede wszystkim za to, że nasz skarb uratowany — powiedziała Ludmiła i przygarnęła do siebie Jasia.

Rafał spojrział na nią zdziwionym wzrokiem. Cieszył się, że jego przysługa jest tak wysoko oceniona, ale zarazem dziwił się, że pani, zawsze taka bezinteresowna, ceniła sobie skrzynię bardziej, niż odzyskanie wolności. Nie śmiał robić uwag, dodał tylko:

— Tak, to szczęście, że mi go w drodze nie zabrali, w górach tyle rabusiów...

— Nie zrozumiałeś mnie, Rafale. Skarbem nazwałam dziecko. Bóg jeszcze nie pozwolił, aby pani Elżbieta z nami wróciła, ale Jaś to prawdziwy skarb, przy którym wszystkie kamienie i złoto są tylko marnym prochem. A jednak i ten proch się przyda. Dzisiaj może bardziej niż przez całą resztę życia, bo może nam pomóc uratować Elżbietę.

— Jak pani chce to zrobić?

— Kiedy byłam w niewoli tatarskiej, widziałam, że u nich wszystko da się kupić, wszystko.

— Więc można wykupić panią Elżbietę?

— Rafale, przynosisz mi zbawienie. Ta skrzynia to gotowy okup. Tatarzy wolą klejnoty niż pieniądze. Jeśli jest ich tak dużo, jak mówisz, to wystarczy choćby dla najchciwszego poganina.

Rafał spojrział na nią ze smutkiem:

— To szczerze chęci, anioł by lepiej nie chciał...

— Wiem, co masz na myśli. Zastanawiasz się, kto to zrobi? Trzeba koniecznie znaleźć uczciwego człowieka, śmiałego, mądrego, który potrafiłby zrobić trzy rzeczy: najpierw zawieźć w skrzynię bezpiecznie na miejsce, potem dobić targu z Tatarami, a na koniec przyprowadzić do nas panią Elżbietę — powiedziała, patrząc Rafałowi prosto w oczy.

— Takiego człowieka pani nie znajdzie. Jeśli się kto ofiaruje, to będzie oszust; skarb weźmie i przepadnie jak kamień w wodę. Uczciwy człowiek nie powie: zrobię to, bo nie zrobi. Niech tylko Tatarzyska zwąchają, że poseł wiezie drogie rzeczy, złupią go i zabiją. Ja skoczyłbym dla pani w ogień, poszedłbym, jak stoję, bez oszczepu między wilki i niedźwiedzie, ale do Tatarów, nigdy! Takiej ofiarności nawet Bóg by nie wymagał!

Oboje zamilkli.

Po chwili wszystkie oczy zwróciły się w stronę kilku czykosów<sup>59</sup> harcujących w głębi puszczy. Był to taniec tryumfalny. Rozpędzając konie skośnymi kręgami, zbliżali je na powrót ku środkowi koła, rzucali czapki w górę, ściskali się i krzyczeli, jakby potracili głowy.

— Czy już wiecie? Pod Ołomuńcem<sup>60</sup> Tatarzy pobici<sup>61</sup>! — doniósł pierwszy.

— Ich wódz, Peta, zabity!

<sup>59</sup>czykos, dziś czikos — węgierski pasterz koni. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>Ołomuniec (czes. Olomouc) — miasto we wsch. części dzisiejszych Czech. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Pod Ołomuńcem Tatarzy pobici — wiosną 1241 r., po spustoszeniu Polski i wygranej bitwie pod Legnicą (9 kwietnia 1241), wojska tatarskie dowodzone przez Bajdara ruszyły w stronę Czech. Król Wacław I (1205–1253)

— Ołomuniec oswobodzony! — krzyczeli jeden przez drugiego.  
— Tatarzy uciekli! Już ich nie ma! Nigdzie nie ma! W Polsce też ich nie ma! Bóg zwyciężył!

— Możecie wracać do swoich!

— Eljen<sup>62</sup>!

Krzyki rosły, aż zmieniły się w jedną ogłuszającą wrzawę, podczas której Węgrzy i Polacy, znajomi i nieznajomi, starzy i dzieci ściskali się z uniesieniem podobnym do szału. Tylko Ludmiła stała na uboczu. Wszyscy się cieszą, pomyślała, a ona tam sama jedna, bez dziecka, beze mnie, bez jednej przyjaznej duszy, pod batogiem na pustyni! Czyżby ci ludzie już zapomnieli o siostrach i braciach płaczących w niewoli?

## DO DNIEPRU

Tułacze nie mogli się nacieszyć dobrą wieścią. Zastanawiali się nad wyborem drogi powrotnej, przede wszystkim zaś byli spragnieni wypoczynku. Czykosowie skierowali ich na południe, gdzie po trzech godzinach drogi mieli znaleźć lasek ze źródłami, i na jego krańcu wygodną pasterską gospodę. Czym prędzej ruszyli w drogę, podśpiewując radośnie.

Jeszcze przed zachodem słońca przed oczami podróżnych stanęła oczekiwana czarda. Był to wielki szałas podzielony na kilka izb, z ogromnym, ogrodzonym parkanem, dziedzińcem dla bydła. Skierowali się ku gościnnie otwartej bramie, ale gospoda i dziedziniec były już zajęte. Jak okiem sięgnąć, wszędzie pełno było wozów, koni, paczek, i wśród tego kręciła się niezliczona służba.

Podróżni wyglądali niezwykle. Mieli posągowe twarze, kruczoczarne włosy i oczy żarzące się na kształt węgla. Otulały ich bogate płaszczki, zielone lub czerwone, z pomarszczonymi kapturami. Jeden z mężczyzn jaśniał białą twarzą, delikatną jak u niewiasty, miał różowe policzki i rude włosy.

Najbardziej zdumiewające było to, że przed drzwiami czardy tkwiła w ziemi biała chorażew. Rafał wszedł do środka, chcąc dla swej pani zdobyć choćby najmniejszą izdebkę. Wasynga, ośmielony swoją przyszlą pańskością, wszedł między biesiadników z podniesioną głową. Po chwili wrócił z dziwnym wyrazem twarzy.

— To są kupcy, Italczyki. Nieraz ich spotkałem na kapczackich stepach, gotowi mnie poznać...

— Czy są między nimi Tatarzy? — spytała zatrwożona Ludmiła.

— Nie, Tatarów nie widzę.

— A ci kupcy to chrześcijanie?

— A no tak, Genuńczyki<sup>63</sup>, mieszkają w Tanie i handlują po całym świecie.

— Więc dlaczego się ich boisz?

— Jak będą wracali do Tany, gotowi powiedzieć, że mnie tu widzieli.

— I cóż ci to teraz przeszkadza? Zabrać nas nie zaborą, choćby chcieli. Moi rodacy nas obronią, Węgrzy nas obronią. A przy tym trudno uwierzyć, by chrześcijanie chcieli naszej zguby...

— Wasza prawda, jak zawsze wasza prawda. Nie będę się bał. Już teraz mogę sobie drwić z Italczyków i Tatarów — rzekł Wasynga i ponownie zadarł głowę. Wszedł do czardy jak najprawdziwszy baskak.

Na progu minął się z chudziutkim, czarnym człowiekiem. Ten błysnął oczami, przystanął, a potem skoczył i zawołał:

— *Vasignio! Caro Vasignio!*

Chwycił Wasyngę w ramiona i zaczął mówić szybko, żywo gestykulując, trochę po słowiańsku, trochę po tatarsku, bo znał równie dobrze oba języki.

— Skąd się tu wzięłeś, *Vasignio*?

— A skąd ty, Beppo? — zagadnął Wasynga dyplomatycznie, odpierając pytanie pytaniem.

---

starał się ich odeprzeć w okolicach Kłodzka, a następnie pokonał ich w bitwie pod Ołomuńcem. Po tej porażce Bajdar wycofał wojska i poprowadził je na południe, aby połączyć się z głównymi siłami. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*eljen* (węg. *eljen*) — niech żyje. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*Genuńczyki* — dziś popr. forma M. Imos: Genuńczycy. [przypis edytorski]

— Około pół roku temu wyjechaliśmy z Tany, aż na pięciu galerach. Wszystko sprzedało się w Bizancjum, tam nakupiliśmy różnych śliczności i teraz podróżujemy łądem z towarami Europy do Azji. Lepiej wracać łądem, bo na Kapczackich stepach stoją wojska tatarskie i pewnie wszystko rozkupią.

— A cóż znaczy ta biała chorągiew? Nigdy u was tego nie widziałem.

— To długa historia. Pod samą Budą spotkaliśmy angielskiego banitę, który zawsze posłuje od chana do chrześcijan. Jechał do króla Hungarii z wezwaniem, aby się poddał Tatarom i płacił daninę. Ale takie wezwania, które udają się w Azji, tu jakoś nie mają powodzenia. Król Polski wolałby pójść w świat o kiju, niż się poddać. Tutejszy odpowiedział ze śmiechem, że nie myśli płacić. Sydney zagroził ciężką zemstą i wyjechał, niby dumnie, ale z duszą na ramieniu. Choć jego poselska osoba uchodzi za nietykalną, dobrze wiedział, że posłom tatarskim nieraz się przytrafiał niemiły koniec. Ma wprawdzie orszak, ale z takich ludzi jak i on, z samych przybłędów, których nikt nie szanuje. Wzięliśmy tedy posła do siebie i odtąd razem podróżujemy. Póki jesteśmy na ziemi chrześcijańskiej, to Sydneyowi bezpieczniej z nami, a jak wjedziemy na ziemi tatarskie, to znów nam będzie bezpieczniej przy nim. On ma paizę, tatarski list, i to nie srebrny, ale złoty, na widok którego Tatarzy biją czołem, dają konie, wozy, jadło, wszystko, chociażby własną skórę. Przy takim opiekunie możemy być pewni, że nikt na nas nie napadnie, nie okradnie. On teraz nam się kłania, później my jemu będziemy się kłaniali.

Ludmiła, dla której Rafał zdobył izbę na nocleg, kierując się z dziećmi ku gospodzie, zatrzymała się tuż za progiem i obserwowała rozmawiających ze sobą mężczyzn. Po chwili Wasynga podszedł do niej i powtórzył wszystko, czego się dowiedział od Beppa.

— Skądże się wziął Anglik między Tatarami?

— Kto zdrze ze swymi, ten idzie do obcych — wyjaśniał Wasynga. — Anglik podobno naraził się we własnym kraju, tak że go swoi precz wygnali. W żadnym cesarstwie chrześcijańskim nie mógł sobie zagrześć miejsca, więc przystał do Tatarów i tam wybornie mu się wiedzie. Zna wiele języków, zaczął tłumaczyć, potem pośredniczył w różnych trudnych sprawach, teraz jest posłem.

— Więc mówisz, Wasyngo, że z nim można śmiało jeździć między Tatarami? — dopytywała się Ludmiła.

— Z nim tak bezpiecznie, jak pod żółtą zasłoną. Jest on w ogromnych łaskach u wielkiego chana. Ale trzeba pierw wkraść się w jego łaski, a to rzecz niełatwa...

— Dlaczego?

— Bo to człowiek zły. Choć nie Tatar, gorszy od wszystkich Tatarów.

— A jednak z tymi kupcami żyje w zgodzie.

— Bo ich potrzebuje. Zresztą, nic dziwnego, to tanajscy kupcy, ci ludzie mają kruczek na każdego.

— Widzisz, Rafale — zwróciła się do służącego — jednak są ludzie, którzy nie boją się między Tatarami jeździć i targu z nimi dobijać. I jeszcze dobrze na tym wychodzą.

— Nie rozumiem — odrzekł sługa wzruszając ramionami. — Nie rozumiem, to jakieś włoskie czary.

Tak, tylko czarami można było wytłumaczyć tę osobliwą zażyłość, która wiązała Genuę z Mongolią, naród chrześcijański, światły i wykwinny z najdzikszym państwem przemocy i barbarzyństwa. Kiedy cała Azja i pół Europy drżały przed wolą wielkich chanów, Genua miała u nich mir nienaruszony. Krocie miast chińskich, muzułmańskich i chrześcijańskich leżały w gruzach i w popiele, a Tana, rozsiadła pod rządem tatarskim, kwitła sobie w najlepsze. Genujczycy trzymali w ręku złote klucze Wschodu; karawany ich krążyły swobodnie po tych samych stepach, gdzie wszystkie inne spotykała zagłada.

Ludmiła przez dobrą godzinę siedziała nieruchomo i rozmyślała, poruszając wszystkie struny duszy, umysłu i serca. Kiedy wreszcie uświadomiła sobie, że sama nie jest w stanie rozwiązać problemu, wezwała Wasyngę i rzekła:

— Powiedz mi, co to za człowiek ten Beppo? Uczciwy? Rozumny?

— Dosyć. Uczciwy może aż nadto. Stryj jego, który jest konsulem tej kompanii, narzeka, że Beppo ma za dużo serca, a za mało sprytu.

— Dobrze. Przyrowadź mi tego chłopca, chciałabym z nim porozmawiać w cztery oczy.

Chazar zdumiał się niepomierne, zawahał się, ale w końcu wytłumaczył sobie:



— Przecież ona mądra, wie co robi. — pokręcił głową i poszedł spełnić jej wolę.

Kupiec zdziwił się jeszcze bardziej. Na wiadomość, że piękna pani chce się z nim rozmówić, o mało nie stracił głowy. Wszedł do izby i nieśmiało stanął przy drzwiach. Ludmille spodobała się jego pokora. Skinęła uprzejmie głową i chłopiec nieco się przybliżył.

— Pan Bóg — rzekła — nieraz doświadcza nas cierpieniem, żeby ludziom dać sposobność do miłosiernych uczynków. Oto ja, ścigana przez wielkie nieszczęścia, szukam człowieka szlachetnego, a przy tym zręcznego, który chciałby mi przyjść z pomocą w sprawie dosyć trudnej, a bardzo dla mnie ważnej. Zaczny młodzieńcze, Wasynga mi o tobie opowiadał, chcesz być tym człowiekiem, tym rycerzem walczącym w obronie białogłowy?

Opowiedziała mu dzieje Elżbiety, Jasia, Wasyngi i swoje własne, w końcu otworzyła skrzynię uratowaną przez Rafała. Beppo zaczął oglądać klejnoty z biegłością prawdziwego znawcy. Jedne, choć na pozór świetne, od razu odrzucał, innym przypatrywał się z zainteresowaniem.

— Jest tutaj kilka rzeczy nieoszacowanych, za które można by nie tylko jedną, ale dziesięć branek wykupić — powiedział rzeczowo kupiec.

— Poradz mi, czy mam tę sprawę powierzyć Anglikowi? — spytała Ludmiła.

— Nigdy! — syknął Beppo. — Owszem, on złożyłby wam piękne obietnice i przyrzeczenia, zabrał klejnoty, a potem przepadł. I nigdy w życiu byście już ani o nim, ani o *signorze* Elisabecie nie posłyszeli.

— A gdybym ja sama pojechała z tymi skarbami, a jego tylko użyła za pośrednika? — badała Ludmiła.

Beppo spojrzął się na nią z nie ukrywanym przerażeniem.

— O, *signora*, to jeszcze gorzej. On by was porwał i zawiózł w podarunku wielkiemu chanowi, a klejnoty zatrzymał. To zbrodniarz gotów na wszystko!

Ludmiła przygryzła wargi.

— No, a gdyby tę całą sprawę powierzyć waszemu stryjowi?

Beppo zmieszał się mocno, spuścił oczy i długo się zastanawiał, nim zdecydował się na odpowiedź:

— Może powinienem milczeć, przecież to mój stryj. Ale sumienie każe ostrzec... *Signora* i tak już nieszczęśliwa... Nie mogę narażać jej na ostateczne nieszczęście. Nie, tej sprawy nie można powierzyć stryjowi. Klejnoty są nadto piękne... Bartolommeo, mój stryj, nie powinien nawet wiedzieć o ich istnieniu.

— A ty, zaczny Beppo, nie podjąłbyś się tej sprawy? — spytała Ludmiła wzruszona uczciwością chłopca.

— Ja? — kupiec zaczął kręcić głową. — To rzecz bardzo trudna. Jakże znalazłbym *signorę* Elisabetę? Czy to jedna Elisabeta jest między brankami? A gdybym się pomylił, inną wykupił i skarby wasze zmarnował? No, przypuśćmy nawet, że ją znajdę i wykupię, oczywiście bez wiedzy stryja, który mnie okropnie pilnuje, co potem? Gdzie ja ją odwożę, gdzie was odnajdę, *signora*? Szukać po dalekich krajach, jeździć przez miesiące, a może i lata, dla mnie to znaczy tyle, co stracić łaskę stryja i zniszczyć całą przyszłość, którą muszę sobie ciężką pracą budować.

— Słuchaj, a gdybym ja z wami pojechała, oczywiście w przebraniu. To by rzecz ułatwiło. Ja ją niezawodnie znajdę! Proszę tylko, byś targ z Tatarami przeprowadził, bo na to trzeba kupca, mężczyzny. Mnie przy dłuższych rozmowach zaraz rozpoznają, choćby po samym głosie. A kiedy już wszystko będzie załatwione, odprowadzisz nas do granicy chrześcijańskiej, tylko do granicy. Za trud i stratę czasu wybierzesz sobie z klejnotów, co ci się żywnie podoba...

Chłopiec gwałtownym ruchem ręki odepchnął klejnoty, a na Ludmiłę podniósł ogniście oczy:

— Waszych skarbów nie chcę, ale to dobry pomysł, by *signora* ze mną pojechała. Z wami wszystkiego się podejmuję, na wszystko się odważam. Tylko wymagam, żeby nikt z naszych, ani Anglik, ani mój stryj, ani żaden z kupców, nie wiedział, kim jesteście. Moja przyszłość mało mnie obchodzi. Pragnę wam służyć, *signora*!

— Kiedy wyjeżdżacie? — zapytała rzeczowo Ludmiła.

— Jutro przed świtem.

— Do świtu wszystko przygotujemy. A teraz przez jakiś czas chciałabym zostać sama.

Po chwili wezwała, nie bez pewnej trwogi, ojcowskiego sługę. Czuli, że tu czeka ją niełatwa przeprawa.

— Słuchaj, Rafale, jak wiesz, mieliśmy razem podróżować. Najpierw chciałam Jasia oddać w ojcowskie ręce, a dopiero potem zająć się losem jego matki. Ale właśnie dzisiaj Pan Bóg mi zsyła ludzi, którzy pomogą mi dotrzeć do Elżbiety; drugi raz w życiu nie trafi się taka szansa. Raniutko wyjeżdżam z tatarskim posłem i z kupcami. Przebiorę się, nikt mnie nie pozna, wszystko już zaplanowałam. Tobie powierzam dziecko. Zawieź Jasia do ojca. Uważam, że nic wam już po drodze nie grozi, że mogę liczyć na twoją wierność i przezorność. To największy dowód zaufania, jaki ci mogę dać, Rafale.

Mężczyzna najpierw zbladł, potem splonął krwawym rumieńcem, na koniec upadł do nóg Ludmiły i zawołał:

— Pani! Toć to szaleństwo, gorzej — grzech. Lecieć w paszczę smoka, i to z własnej woli, to taka sama zbrodnia, jakby człek własną ręką gardło sobie podrzynał.

— Nie martw się o mnie, ja przecie będę na siebie uważać, choćby dlatego, aby Elżbiecie nie zaszkodzić. Ta podróż znów nie taka straszna, jak się wydaje tym, którzy tam nie byli...

Rafał nie chciał ustąpić, w końcu zacisnął ręce jak człowiek, który ma skoczyć w przepaść, i powiedział:

— No, kiedy tak, to i ja z wami jadę. Będzie pani miała choć jedną przyjazną duszę.

— Dziękuję ci, mój Rafale, ale jakbyś pojechał ze mną, to któż by Jasia odwiózł. Ty masz swoje zadanie, ważne i odpowiedzialne. W moich troskach to jedyna pociecha, że mogę być przynajmniej spokojna o Jasia.

— Och, nam się nic nie stanie. Drogi wolne, król niedaleko. Nam nic nie grozi, ale wy? — zaczął szlochać jak dziecko.

Na odgłos gwałtownego łkania Wasynga zajrzał do izby. Wypadło i jego wtajemniczyć. Chazar zmartwił się niezmiernie, ale jego trwoga miała inną przyczynę. Jeśli bogata pani pojedzie, gotowa nie wrócić! Któż mu dotrzyma obietnic? Zamek przepadnie! Ludmiła wyczytała w oczach Wasyngi tę obawę. Od kupców dostała pióro i pergamin. Napisała wyraźny akt donacyjny dla Wasyngi, potem list do króla Bolesława, w którym opisując zasługi Chazarzyczka, prosiła o względy i opiekę dla niego, a w końcu list do Sulisława, oznajmiający powrót dziecka i obiecujący rychły powrót żony. W skrzyni znalazła ojcowski sygnet. Wycisnęła pieczęć, a kiedy wosk zastygł, wręczyła jeden pergamin Wasyndze, a dwa następne swemu słudze. Potem wzięła na bok Rafała i rzekła półgłosem:

— Gdybyś mógł go namówić, aby ten zamek sprzedał albo zamienił na jakiś kasztel w innym kraju, ucieszyłbyś mnie serdecznie, bo mi chłopów moich żal okropnie. — Opowiedziała mu o tatarskich marzeniach Wasyngi i wydała ostatnie dyspozycje. Rafał chciał zapamiętać każde jej słowo, ale mu to z trudnością przychodziło. Słuchał tego wszystkiego w milczeniu, z ciężkim sercem. Chciał coś powiedzieć na pożegnanie, ale słowa uwięzły mu w gardle.

W izbie palił się kaganek, już dawno zapadła noc. Dzieci spały w ciemnym alkierzyku. Ludmiła odprawiła obu mężczyzn i przywołała Beppa.

— Musimy się naradzić, jak mam się przebrać? — powiedziała ożywionym głosem. — Może za twego sługę, za pacholka? Włożę niezgrabne buty, gruby kozuch, ciężką czapkę.

Postanowiła natychmiast się przebrać i sprawdzić efekt. Kiedy stanęła przed kupcem, chłopiec zmarszczył brwi.

— Ubranie jest dobre, ale aksamitna cera, jedwabiste włosy...

— Czy masz nożyce? — spytała zdecydowana na wszystko Ludmiła.

Beppo, który w swoich kupieckich manatkach miał chyba wszystko, natychmiast przyniósł nożyce. Zgrzytnęły dwa razy i grube warkocz spadły na ziemię.

— A co z twarzą? Chyba się uczernięł sadzami.

— Proszę zaczekać — zawołał Beppo. — Mam na to sposób. — I po chwili przyniósł kilka puszczynek z jakimiś farbami i proszkami. — Jak się tym pomalujecie, nikt pod słońcem was nie pozna. To są nasze włoskie sztuki...

— Ale po co, mój Beppo, aż tu przywiozłeś te malowidła?

— Między barbarzyńcami trzeba nieraz użyć podstępów: przebrać się, kryć, szpiegować — opowiadał, otwierając pudełeczka i ucząc Ludmiłę włoskich sztuczek.

Podarował jej śliczne weneckie zwierciadełko, w którym dziewczyna przeglądała się i sama siebie nie mogła poznać. Nadała swej twarzy i rękom ogorzały wygląd. Uczerniła włosy, brwi i rzęsy. Kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik, Beppo posmutniał. Była zupełnie kimś innym.

— Teraz to chyba rodzona matka nie poznałaby was, *mia donna*. Jakże ja będę was nazywał?

— Mam wybrać imię? — zastanowiła się i westchnęła. — Niech będzie Michał.

— Michele. A więc *signor* Michele...

— Nie żaden *signor*, po prostu Michele, i to dość surowo. Przecież jestem służącym, powinienś mnie nawet nieraz złać. — Ludmiła podniecona nadzieją ocalenia Elżbiety przybrała ton nieco figlarny i dobroduszny, który od razu niezmiernie ułatwił wzajemny kontakt.

— No, a teraz, mój panie, racz swego pokornego służącego nauczyć jeszcze jednej rzeczy. Co mam zrobić z głosem? Czy mam udawać niemego?

— Nie, Michele, nie można. To aż nadto znany wybieg. Lepiej udawaj jąkałę.

Ludmiła zaczęła się jąkać, ale nie była to łatwa rzecz. Próby szły nieudolnie. Beppo, który widocznie umiał wszystko, podsunął jej kilka rad, prosząc, by się nie zniechęcała. Po godzinie ćwiczeń Ludmiła jąkała się jak urodzona kaleka.

Wstał dzień. Kupcy rozliczyli się z gospodarzem czardy i zaczęli zbierać się do drogi. Uchodźcy polscy z nie ukrywanym podziwem obserwowali cudzoziemców.

Ludmiła zakradła się do izdebki, w której spały dzieci. Ostrożnie podniosła Jasia z półki i oddała go Rafałowi.

— Oddaję ci mój największy skarb. Jak ty sobie z nim poradzisz w drodze? Na pewno będzie płakał...

— Poradzę sobie, poradzę. A gdybym nie znalazł pana z Żegnańca, gdyby było prawdą, że go ubili pod Chmielnikiem? Co mam wtedy robić?

— Zawieź go do księdza Macieja. To brat pani Elżbiety, człowiek zacny i mądry. Znajdziesz go we Wrocławiu, przynajmniej dawniej, przed wojną, tam mieszkał, a teraz sama nie wiem. No, jakoś się o niego dopytasz.

— A gdyby księdza Macieja zabrakło na świecie? — służący chciał znać wszystkie możliwości.

— Wtedy... zawieź go do królowej. Księżna Kinga ulituje się nad sierotą. W każdym razie, czy będzie przy wuju, czy przy królu, ty go, mój Rafale, nie odstępuj aż do naszego powrotu. Przed Bogiem odpowiesz za to dziecko. A gdybyśmy nie wrócili, nie odstępuj go aż do śmierci.

Za drzwiami zabrzmiał niecierpliwie głos Beppa:

— Michele! *Per Bacco!* Chodźże, ty gamoni!

Ludmiła drgnęła. Raz jeszcze ciepłym spojrzeniem pożegnała dziecko i wybiegła na dziedziniec. Usłyszała, jak Beppo mówi do Bartolommea:

— Wiesz, stryjasku, nająłem jeszcze jednego chłopca do koni. Jest ich za mało, nie mogę sobie dać rady. Biedak umierał z głodu; obiecał, że będzie służył za darmo, jedynie za łyżkę strawy.

Bartolommeo miał za wiele kłopotów na głowie, by długo myśleć o podobnej drobnostce. Dał znak do wyjazdu i karawana wyruszyła, z białą chorągwią na czele.

Podróż trwała bez porównania krócej niż pierwsza. Wówczas Wasynga i Ludmiła mieli tylko dwa konie, trzeba je było oszczędzać, często i długo popasać. Tracili też wiele czasu na przyrządzanie posiłków i wypoczynek dzieci. Tutaj wszystko szło sprawnie. Kupcy prowadzili mnóstwo koni, które często wymieniali. Mieli namioty, kobierce, zapasy żywności, służbę, a nawet kucharza, Murzyna, kupionego na galerach egipskich.

Ludmiła, podróżująca w głębi krytej telegi, za Prutem zaczęła się wychylać. Serce biło jej coraz mocniej.

— Już blisko... Tam, za linią widnokregu, stoi namiot Arguny. Elżbieta pewnie płacze i nawet się nie spodziewa, że po nią jadę — szepnęła, uśmiechając się do swoich myśli.

Na uboczu, niedaleko drogi, rozpoznała jar, który stał się grobem dla Kozaka. Echo śmiertelnego krzyku zabrzmiało raz jeszcze w jej uszach. W tej samej chwili rozpaczliwy krzyk rozległ się nad brzegiem jaru. Zadrżała... Czyżby to duch strąconego Raguna upominał się o swoją krzywdę? Nie był to jednak duch, ale żyjący człowiek. Wlókł się

i wyciągał ku podróżnym ręce podobne do piszczeli szkieletu. Ludmiła przez chwilę zatrzymała na nim wzrok i przerażona cofnęła się w głąb wózka. Był to dziadzia Szymon.

— Chleba! Miłosierni ludzie, dajcie mi choć kawałeczek! I tak umrę, ale pragnę choć raz jeszcze pokosztować chleba.

Beppo zbliżył się do jęczącego.

— Co wy za jedni i skąd?

— Byłem w niewoli u Tatarów. Z początku dostawałem okruchy od niewolników. Jak wszyscy odjechali, tak i ten ostatni ratunek przepadł. Dzień jeden i drugi jeszcze się wlokłem za nimi. Co się który Tatar obejrzał, to mnie biczem okładał i krzyczał: „A ty tu po co? Wracaj do domu”. Jak tu wracać? Wszędzie pustkowie jak na cmentarzu. No, szedł ja, szedł, ale już dalej nie mogę...

— Więc Tatarzy odjechali? — dociekał Beppo. — Czemu odjechali?

— Jak zawdy, przenieśli się na inne pastwiska.

— Daleko poszli?

— O, daleko, daleko. Gadali, że rozłożą się gdzieś u Dniepru.

Co za szyderstwo losu! — pomyślała Ludmiła. Chwila spotkania zdawała się tak bliska. Teraz została niepewność. Gdzie ja ją znajdę, czy w ogóle ją znajdę — dręczyła się dziewczyna, tknięta niedobrymi przeczuciami.

Dojechali do rozdroża, z którego prowadził czarny szlak. Karawana skręciła w prawo.

— Ta droga była mi przeznaczona! — westchnęła Ludmiła i wychyliwszy głowę, obserwowwała miejsce, gdzie niegdyś leżał obóz.

Step był pusty, jednostajny, poszarzały, otulony tajemniczością nocy. Nie oświetlony księżycem szlak wschodni czerniał bez końca. Pośepne, ciężkie od chmur niebo opuszczało się nisko. Taka jest moja przyszłość, pomyślała Ludmiła, patrząc w górę. Na wschodnim krańcu firmamentu wypatrzyła jedyną bladą gwiazdkę i powiedziała do siebie:

— Nazwę ją gwiazdą przyjaźni; dopóki ona tam świeci, nie stracę nadziei na spotkanie z Elżbietą.

Dzień drogi za Bohem<sup>64</sup> kraj zmienił się nie do poznania. Zaroił się tysiącami ludzi i koni; w powietrzu majaczył las dzid i buńczuków. Okazało się, że wojsko tatarskie wyprawia się na Węgry. Oddziały pod przywództwem Batu-chana<sup>65</sup> pojechały przez tak zwaną „Ruską bramę”, czyli przez ziemię Halicką. Te, którymi dowodził Peta, zakreśliły półkole aż przez Małopolskę i Morawy. Trzecie, pod Kajdanem<sup>66</sup>, miały jechać przez Kumanie, aby w samym sercu Węgier połączyć się z pozostałymi.

Ludmiła zadrżała na taką wiadomość. Wszak zaręczano, że Tatarzy uciekli, opuścili i Polskę, i Węgry. W obliczu na nowo zagrażającego niebezpieczeństwa pomyślała o Jasiu. Tatarzy jeszcze daleko, pocieszała się. Nim do Węgier dojdą, Rafał na pewno znajdzie Sulisława. Będą mieli dosyć czasu, aby zastanowić się nad bezpiecznym schronieniem. A może Tatarzy jeszcze nie wiedzą o porażce pod Ołomuńcem? Gdy poznają rozmiary swojej klęski, może stracą wiarę w zwycięstwo i zawrócą z drogi?

Tymczasem jednak wcale nie wyglądali na ludzi, którzy mają „tracić wiarę”. Biegali jak psy węszące obfitą zwierzynę. Śmiejąc się, wyprawiali szalone harce i wyścigi. Szaty książąt kapaly od złota i drogich kamieni. Konie, dobierane ze wszystkich stron świata, były droższe niż owe klejnoty. Nad jednym z książąt niesiono okrągłą sztukę jedwabnej żółtej tkaniny, rozpiętą na prętach i zatknietą na żółtym kij. Był to parasol, jeden z elementów chińskiego ceremoniału, który coraz wszechwładniej panował na dworach chanów mongolskich.

— Cóż to za wódz? — Ludmiła zwróciła się do Beppa. — Ten, którego osłania niewolnik.

— To właśnie Kujuk<sup>67</sup>, syn samego wielkiego chana Ogotaja. Parasol jest oznaką jego dostojenstwa.

<sup>64</sup>Boh — rzeka na terytorium dzisiejszej Ukrainy. Zaczyna swój bieg na Podolu, uchodzi do Morza Czarnego przez wspólny liman Dniepru i Bohu. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Batu-chan (1205–1255) — władca mongolski, wnuk Czyngis-chana, założyciel Złotej Ordy. Kierował mongolską inwazją na Europę w latach 1236–1241. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Kajdan — wódz mongolski, wnuk Czyngis-chana. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Kujuk a. Güyük (1206–1248) — wnuk Czyngis-chana, władca imperium mongolskiego w latach 1246–1248. [przypis edytorski]

— Będzie następcą tronu? — zainteresowała się dziewczyna.

— Jeszcze nie wiadomo. Tu rzecz idzie nie według starszeństwa, lecz według żądania ojca i całej rodziny. Ogotaj ma kilku synów i podobno już innemu przeznaczył po sobie panowanie.

— A ten gruby, kto to taki?

— To Kajdan, główny wódz, także wnuk Dżyngis-chana. Podobno bardzo srogi.

— A po prawej stronie Kujuka, ten przystojny i barczysty?

— Doprawdy nie wiem, kim on jest, ale na pewno nie pochodzi z rodziny chańskiej, bo ma ciemne włosy. Cechą rodziny Dżyngis-chana są szarozółte włosy, dziedziczone przez potomków. Jaki ma piękny pas! Ach, *per Bacco!*<sup>68</sup> Same turkusy! Taki pas pewnie wart... No, mój stryj dalby za niego trzysta... może czterysta florenów<sup>69</sup>.

Beppo nie znał wodza w turkusowym pasie, a był to największy wojownik Mongolii, najslawniejszy spośród behadyrów, Subutaj<sup>70</sup>, zdobywca Chin, który rozsiawszy postrach nad żółtym Hoang-ho, jechał po nowe wieńce na drugi koniec świata, nad Cisę i Wisłę.

Wkrótce wojsko ruszyło w swoją stronę, kupcy w swoją. Trzeciego dnia, przy iskrzącym zachodzie słońca, na widnokregu zajaśniał olbrzymi liman<sup>71</sup> dniewprowy. Ujście Dniepru i zatoka Morza Czarnego, pocięte wyspami, pokrecone w odnogi, były potężne i spokojne jak lew, gdy usypia. Nad wodą czerniały poszczerbione i okopcone zgliszcza jakiejś kumańskiej warowni, która zbudowana na gruzach starych scytyjskich szańców dziś razem z nimi się rozsypywała. Przy niej rozpościerał się leniwie obóz tatarski.

## TARG

Zmrok już zapadł, kiedy kupcy wjechali do obozu; jego zasłona lepiej zabezpieczała niż wszelkie przebrania. Ludmiła bez obawy krążyła po wąskich, wytkniętych pomiędzy jurkami uliczkach i rozpoznawała znajome twarze. Szczęśliwy przypadek czy przecucie zaprowadziły ją wkrótce do celu. Spozstrzegła Ajdara. Stał u wejścia obszernej jurty w zielonym kaftanie, ze złożonymi na piersiach rękami i ze spuszczoną smutnie głową. Był zadumany. Jeśli on tu mieszka, pomyślała Ludmiła, to gdzieś blisko musi być Toktysz z całym swoim dworem.

Istotnie, o kilkadziesiąt kroków dalej spozstrzegła gromadkę namiotów nieco odosobnioną, a przy jednym z nich, na ziemi, u samego wejścia do jurty, siedziała Elżbieta. Ogień palący się w namiocie oświetlał ją z tyłu i mocno rysował chudy, wyciągnięty profil. Była odziana w ubiór prostych sług tatarskich; granatowy chałat z grubej wełny, przewiązany czerwoną taśmą, a na głowie miała spiczasty kołpaczek z czarnej pilśni. Na kolanach trzymała chłopczyka, dużo większego od Jasia, z czarnym potarganym łebkiem, z twarzą płaską, wklęsłym nosem i z ustami od ucha do ucha, które na domiar brzydoty w czasie snu nieco otworzył. Elżbieta kołysała go, śpiewając piosenkę polskich matek i piastunek. Jej szklane oczy utkwione były w jakąś nieuchwytną dal.

W jurcie kręciły się dwie niewiasty. Jedna, stara Ujgurka, z czarną chustą na głowie, warzyła coś w kociołku. Druga, młoda Mordwinka, grzała się przy ogniu. Miała na głowie blaszany diadem, z którego zwieszała się aż do kostek wielka końska grzywa pomalowana na zielono, tworząc na plecach ruchomy trawiasty płaszcz.

Ludmiła nie wiedziała, co ma robić. Nie mogła stać w miejscu i wpatrywać się w przyjaciółkę, więc przechadzała się tam i z powrotem, oglądając się i próbując przyciągnąć jej uwagę. Uporczywa przechadzka w końcu zainteresowała Elżbietę. Podniosła oczy i, mimo przebrania, w rysach i ruchach przechodnia dostrzegła coś znajomego. Uśmiechnęła się do swego złudzenia. Chwała Bogu, pomyślała, że ona już daleko.

Kobiety w głębi jurty znikły między skrzyniami, z których dobywały jakieś paczki, futra i posłania. Ludmiła natychmiast wykorzystała ten moment i podeszła do Elżbiety. Nie zwracając głowy w jej stronę, powiedziała przyciszonym głosem:

<sup>68</sup>*per Bacco!* (wł.) — na Bachusa!; *Bachus* (mit. rzym.) — bóg wina czczony w starożytnym Rzymie, odpowiednik greckiego Dionizosa. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*floren* — moneta bita we Florencji od 1256 r. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*Subutaj* a. *Subedej-bagaatur* (ok. 1175–1248) — doradca Batu-chana podczas pierwszej inwazji mongolskiej na Europę, prawdopodobnie był także faktycznym wodzem tej wyprawy. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*liman* — ujście rzeki o charakterystycznym kształcie, często spotykane na wybrzeżach Morza Czarnego i Morza Azowskiego. Ujście takie tworzy płytką zatokę, zalewaną morską wodą. [przypis edytorski]

— Jaś uratowany. — I poszła dalej.

Na dźwięk polskiej mowy Elżbieta krzyknęła, a potem zerwała się i pobięła za nieznanym. Mały Kałga obudził się rozgniewany, że niewolnica ośmiela się przerywać jego pański sen; zaczął wrzeszczeć, kopać ją i bić piąstkami po twarzy. Wnet obie niewiasty wybiegły z namiotu. Starsza zaczęła łajać Elżbietę, a młodsza chwyciła ją za ramiona i gradem szturchańców zapędziła do jurty. Dzieciak rzucał się i wrzeszczał coraz bardziej. Ludmiła, ukryta za namiotem, zaciskała ręce rozpaczliwie, a kiedy wreszcie krzyki ucichły, odeszła powoli przybita i roztrzęsiona.

— O, jakie szczęście, że tu wróciłam! Trzeba koniecznie wyrwać ją z tego piekła.

Nazajutrz Beppo wybrał ze wszystkich kosztowności dwie sztuki, ale według niego, nieoszacowane: sznur grubych i równych pereł oraz kanak<sup>72</sup> przepysznej bizantyjskiej roboty, wysadzany szafirami i rubinami.

— Aż przykro pomyśleć, że ta szkaradna baba ma nosić takie cuda — wzdychał chłopak.

— Ach, mój Beppo, nie żałuj tych martwych kamieni. Weź jeszcze więcej, weź wszystko, byle targu dobić.

— Nie, *signora*, po co przepłacać. Moim zdaniem, te rzadkości to aż za wiele. Trzeba coś zostawić na drogę; gdybyśmy wszystko rozdali, przyszłoby nam wracać o żebranych chlebie, a droga trudna, wśród nieprzyjaciół, których może nieraz jeszcze wypadnie przepuścić.

Po godzinie wrócił z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

— Ta sprawa potrwa dłużej, niż sądziliśmy. Ciężka przeprawa z tą Arguną. Zamówiłem się do niej pod pozorem, że mam na sprzedaż piękne, tanie towary. Kiedy wpuszczono mnie do jurty, powiedziałem jej w cztery oczy: zacna pani, tu chodzi o inny rodzaj targu. W Hungarii spotkałem małżonka niewiasty, która jest piastunką waszego dziecka. Jej mąż to wielki polski pan, wielki bogacz. Chciałby żonę wykupić i wybrał mnie za pośrednika. Przywiozłem okup, proszę zobaczyć, prawdziwie królewski. Arguna roześmiała się twardo i oświadczyła, że nianki za żaden okup, nawet królewski, nie odda. Czemu? — zapytałem zdziwiony. Przez chwilę zamyśliła się, potem rzekła, cedząc każde słowo: „Mam ważne powody, dla których nigdy nie pozbędę się tej niewolnicy”.

Chcąc ją skusić, wyjąłem sznury pereł, ale ona znów się roześmiała i powiada: „Co mi po tym? Pereł mi nie brakuje”.

Dopiero gdy wyjąłem kanak, oczy jej zablęsnęły, a ręce zaczęły drżeć. Chwyciła go pożądliwie i nie mogła oderwać wzroku. „Zostawcie mi naszyjnik” — rzekła po jakimś czasie, odzyskawszy spokój. „Namysłę się. Mąż mój wyjechał, za kilka dni powróci, muszę się go poradzić...” Chciałem zabrać klejnoty, ale spojrzała na mnie krzywo: „Nie boisz się chyba, że ci tu zginą? Jeśli nie chcesz zostawić, to idź sobie precz i nie wracaj. Nie chcę słyszeć o żadnym okupie”. Poczula się strasznie urażona. Nie śmiałem nalegać. W progu skloniłem się nisko i spróbowałem udobruchać Argunę: zacna matko, czy pozwolisz mi widzieć swego syneczka, dla którego z dalekich krajów przywiozłem upominek? Ten magiczny wyraz otwiera u Tatarów wszystkie jurty. Zaraz wpuszczono mnie do namiotu panicza. O *signora*! Teraz się nie dziwię, dlaczego tak się poświęćacie dla swej rodaczki. To anioł, nie kobieta!

Ofiarowałem chłopcu srebrne, koralikami nabijane brzękadełko. Kiedy dziecko i niewiasty oglądały zabawkę, zbliżyłem się do Elżbiety i przekazałem jej najważniejsze informacje. Na wieść o tym, że *signora* tu jest, zbladła. Najgorsze jest to, że ona nie wierzy, abyśmy ją mogli wykupić. Przy świadkach nie można było swobodnie rozmawiać. Nalegałem, aby powiedziała, gdzie możemy ją spotkać. Po chwili namysłu rzekła: „Do namiotu nie przychodźcie, bo Arguna nie lubi, jak obcy się tu kręcą. Prawie co dzień przechadzam się z dzieckiem nad limanem. Tam przecie każdemu wolno chodzić...”

Przed zachodem słońca Ludmiła i Beppo wybrali się nad liman pod pozorem dostarczenia towaru rybakom. Kiedy stanęli nad wodą, owiało ich morskie słonawe powietrze przepelnione czymś bardzo niemiłym. Ludmiła zapadła w milczącą zadumę. Oczy jej błyszczały z podniecenia. Cały czas wpatrywała się w drogę wdzierającą się w obóz.

— Idzie! — krzyknęła i chwyciła Beppę za rękę.

<sup>72</sup>kanak — tu: naszyjnik. [przypis edytorski]

Istotnie, na końcu mrocznej drogi zamajaczyła postać Elżbiety. Nie była sama; syn Toktysza i Arguny nie mógł się ruszyć bez pańskiego orszaku. Trzymała za rękę Kałgę i szła w ich kierunku. Gdy chłopiec dostrzegł kupca, który podarował mu brzękadełko, natychmiast wyrwał się z uścisku Elżbiety, podbiegł do niego i spytał, czy nie ma nowych cacek. Beppo z wolna obmacywał płaszcz i wydobywał różne drobnostki, starając się jak najdłużej zabawić dziecko. Elżbieta i Ludmiła nie mogły nawet serdecznie się przywitać. Spojrzały sobie głęboko w oczy, jakby w ten sposób chciały powiedzieć wszystko, co kryło się w duszy.

— Dlaczego wtedy nie przysłaś? Co się stało? Wypadek? — pytała chaotycznie Ludmiła.

— Nie, przeszkoda była na pozór mała. Kałga, jakby na złość, nie chciał zasnąć. Kiedy myślałam, że śpi i wstałam, chcąc się wymknąć, on podniósł głowę i pociągnął mnie za suknię. Powiedziałam, że za chwilę wrócę. „Całą noc masz przy mnie siedzieć” — wrzeszczał. Potem udał, że zasypia i kiedy znowu wstałam, chwycił mnie, ugryzł w rękę i narobił okropnego krzyku. Zleciała się cała służba, przybiegła także Arguna, sądząc, że jakaś krzywda stała się jej dziecku. Możesz sobie wyobrazić, co się działo. Pozwolono mi wyjść z namiotu, żeby zatamować krew; dwie kobiety mnie pilnowały. Przed namiotem spostrzegłam dziadzię Szymona i przyszedł mi do głowy pomysł; na białej chuście, którą dostałam od Ujgurki na opatrunek, napisałam do ciebie list. Ujgurce zaś wytłumaczyłam, że jest to błogosławieństwo dla mojego dziecka i że w naszym kraju panuje taki zwyczaj przy pożegnaniu. Przez całą noc truchlałam. Nie wiedziałam, czy stary was odnalazł i czy udało ci się odczytać to, co napisałam. Rano wysłałam drugiego jeńca na zwiady. Wrócił z wiadomością: „wyjechali”. Wtedy złożyłam przysięgę, że będę wszystko znosiła cierpliwie na intencję waszego ocalenia. I Bóg mnie wysłuchał.

Przechadzki nad limanem nie trwały długo; los nie był dla nich łaskawy, odebrał im nawet tę jedyną pociechę. Kałga zachorował i Arguna wpadła w rozpacz. Elżbieta musiała dzień i noc siedzieć przy dziecku. Nikt nie mógł wchodzić do namiotu panicza, tylko służba i szamani.

Kiedy w kilka dni później Beppo przyszedł, by dowiedzieć się, jaką decyzję podjęła Arguna, wypchnięto go ze słowami:

— Pani przy dziecku, nie ma głowy ani czasu na myślenie o zakupach.

Tymczasem w obozie zawrzało.

— Gdzie jest książę Kujuk? — wołał tubalnym głosem zdyszany Kargan. — Prowadźcie mnie do księcia Kujuka! Chan Ogotaj umarł! Wielki chan nie żyje!

Powstało niesłychane zamieszanie. Tatarzy cisnęli się dokoła posłańca.

— Skąd wiesz, Karganie? Czy to możliwe? Nieszczęście! — krzyżowało się tysiące skarg i pytań, a on sam nie wiedział komu odpowiadać.

Wiadomość o śmierci chańskiej spotkała go na wpol drogi do Karakorum, w chwili gdy opuszczał stare ujgurskie miasto Almałyk. Natychmiast zmienił postanowienie: cały zastęp niewolnic w żółtych zasłonach, które w tej chwili już nie miały do kogo jechać, zostawił pod pewną strażą. Sam zaś, dosiadłszy najlepszego konia, wyprzedził wszystkich gońców i pędził w nadziei, że on pierwszy przekaże tę wiadomość Kujukowi. A nadzieja uśmiechała się sutą nagrodą, może wielkim w przyszłości wyniesieniem, bo synów chańskich było kilku, a ten, który zdola braci wyprzedzić, prawdopodobnie osiągnie tron.

Toteż kiedy Karganowi powiedziano, że Kujuka nie ma już w obozie, wódz aż pozieleńiał ze zgrzyoty. Poprosił o czarę kumysu i chciał bez popasania konia gonić księcia, choćby do Baszkirii. Ale mu nie pozwolono. Wódz ostatniego tumanu sam wołał wykorzystać tak wyborną sposobność, by wkraść się w książęce łaski i posłał własnego syna. Rozczarowany Kargan został w obozie. Nie chciało mu się wracać do Almałyku<sup>73</sup> z pustymi rękami. Pomyślał, że dopiero wyruszy w drogę, jak nadejdzie nowy towar. Nie mógł się doczekać dnia, w którym się pojawią od dawna oczekiwane i tak bardzo zachwalane węgierskie niewolnice. Tymczasem zły na siebie i na cały świat chodził od jurty do jurty, od znajomych do znajomych, popijając, klnąc i narzekając, że od jakiegoś czasu mu się nie wiedzie.

<sup>73</sup>Almałyk — miasto powstałe w XIII w. w Siedmiorzeczcu (regionie historycznym na terenie dzisiejszego pogranicza między Kazachstanem a Chinami) jako stolica podległej imperium mongolskiemu dynastii Tughril Chana. [przypis edytorski]

Ludmiła wiedziała, że przyjechał posłaniec z wiadomością o śmierci chana, ale nie przypuszczała, że tym posłańcem jest Kargan. Krążyła śmiało po obozie, przekonana, że nikt jej tu nie zna. Aż któregoś dnia spotkała się z Karganem oko w oko. Natychmiast spuściła głowę i przeszła obok niego bardzo szybko. Na zakręcie uliczki obejrzała się nieco, by kątem oka sprawdzić, czy to naprawdę on. Mężczyzna przystanął i także gapił się na nią. Znikła niezwłocznie, ale Kargan, najwytrawniejszy znawca kobiecych kształtów, od razu zwiertzył podstęp. Rysy twarzy przechodnia i cała sylwetka przypomniały mu znajomą niewolnicę. Nadzieja odnalezienia nieodżałowanej zguby nadała cel jego beczynnym dniom, toteż chodził po całym obozie, szukając jej gorączkowo.

Minęło kilka dni. Karawana kupiecka miała w najbliższym czasie wyruszyć z powrotem do Tany, i sprawa wykupu nie posunęła się naprzód, Ludmiła nie mogła ani jeść, ani spać. Z obawy przed Karganem nie śmiała już nigdzie wychodzić, i przez to i spotkania z Elżbietą stały się niemożliwe.

Zniecierpliwiony Beppo, nie otrzymawszy żadnej wieści od Arguny, stanął u namiotów Toktysza i jego małżonki. Przywitała go stara Ujgurka i po chwili zakłopotania rzekła:

— Pani odmieniła zdanie. Już nie chce waszych klejnotów. Powiada, że woli piastunkę i za żaden okup jej nie odda.

Beppo stanął porażony. Kiedy odzyskał trzeźwość umysłu, pomyślał, że nie może tak odejść, że musi jeszcze próbować namowy, próśb, schlebiana, wszystkich dróg serca i rozumu.

— Moja zacna, mądra i miłosierna niewiasto, wy macie wielki wpływ na swoją panią. Ulitujcie się nad biedną matką, szepnijcie parę słówek pani, a ręczę, że da się namówić. Potrafię się odwdziżyć. Dobre wstawiennictwo także warto okupu... warto pereł i złota.

Ujgurka wciąż kręciła głową. Przy ostatnich słowach jeszcze wyraźniej posmutniała.

— Mój chłopcze, nie rań mi serca próżnymi obietnicami. Gdyby to u mojej pani był zwyczajny ludzki upór, spróbowałabym. I kto wie, może by się udało. Ale to rzecz nadludzka. Szamanowie<sup>74</sup> najwyraźniej zakazali.

— Jakim prawem oni będą zakazywać! — zawołał gwałtownie Beppo.

— Oj, chłopcze, nie gadaj bezbożności. Szamanowie powiedzieli, że ten wykup sprzeciwia się woli wielkich duchów. Ty wiesz przecie, że woli wielkich duchów nie można się sprzeciwiać, to przynosi nieszczęście. Skończona rzecz, nie ma co gadać. — Odwróciła się i chciała zapuścić wołokowe drzwi jurty.

Beppo skoczył za nią i przytrzymał za rękę.

— Niech przynajmniej Arguna odda te klejnoty, które jej zostawiłem!

— A jakże? Już odesłała.

— Komu? Gdzie?

— A no jej wysłaniec zaniósł do waszych namiotów. Nie mogła się ciebie doczekać, więc odesłała razem z odpowiedzią.

— I któż je odebrał?

— Albo ja wiem? Któryś z kupców czy też sług. Idź tam, a na pewno znajdziesz — powiedziała i znikła za wołokiem.

## MAŁY ZDRAJCA

Ludmiła dla zabicia czasu, czekając na Beppę, postanowiła zająć się pakowaniem drobnych, wybrakowanych towarów, których nie udało się sprzedać Tatarom.

Ale *signor* Bartolommeo miał inne plany. Nikogo nie żywił za darmo, toteż często wykorzystywał Ludmiłę do różnych posług; dziś polecił jej odnieść jakieś zawiniątko aż na drugi koniec obozu, i to zaraz. Ludmiła wyszła ze spuszczoną głową. Uwinęła się prędko i już szczęśliwie przebyła połowę drogi powrotnej, przemykając się między namiotami, gdy nie opodał, w gromadce rozmawiających ze sobą ludzi, spostrzegła Kargana. Rozejrzała się rozpaczliwie. Jurta małego Kałgi stała tuż obok, wejście było wpółluchylone. Wbiegła i zapuściła za sobą zasłonę.

Pierwszy raz Ludmiła i Elżbieta były zupełnie same. Rzuciły się sobie w objęcia i zaczęły rozmowę szybką, gwałtowną, choć przyciszoną i przerywaną łzami wzruszenia.

<sup>74</sup>szamanowie — dziś popr. forma M. Im: szamani. [przypis edytorski]



— Moja ty wybawicielko! Uratowałaś moje dziecko. Jakże ci jestem wdzięczna! Ale dlaczego wróciłaś, po co się tak narażasz? A gdyby cię kto rozpoznał?

— Nie wolno tracić czasu na wymówki. Beppo zaniósł okup. Jutro, może jeszcze dziś będziesz wolna! — powiedziała z tryumfem w głosie Ludmiła.

— Więc Arguna przystaje? To dziwne. Mnie się wydawało, że ona nigdy się nie zgodzi...

— Owszem, wyraźnie powiedziała. Wszystko już zaplanowane. Wracamy przez Tanę, przez morze.

— Ach, ten Beppo! — uśmiechnęła się po raz pierwszy Elżbieta. — Jakiż to szlachetny człowiek! Tak się dla nas poświęca. Moja Ludko, czy ty aby doceniasz to, co on dla nas robi?

— Owszem, doceniam... ale nie tracimy czasu, chcę ci opowiedzieć o Jasiu.

— Ach, tak! — ożywiła się Elżbieta. — Musiałaś, biedaczko, mieć z nim dużo kłopotów przez drogę? Pytał o mnie?

— Ciągle! — Ludmiła zaczęła opowiadać o tym, co zdarzyło się w podróży, przytaczała każde słówko Jasia, wiedząc, że właśnie tym sprawi matce największą przyjemność. Mówiła szybko, chaotycznie wyrzucając z siebie wszystko. Elżbieta chłonęła każde słowo i chowała je głęboko w sercu.

Mały Kałga bawił się w pobliżu jurty budowaniem kopców. W pewnym momencie doszły do niego jakieś dziwne, przytłumione głosy. Bardzo go to zainteresowało. Wiedział, że cała służba, zebrana w namiotach matki, zajęta jest szykowaniem ojca do drogi. W jego paniczowskim namiocie piastunka pozostała sama, z kimże więc może rozmawiać? — zastanawiał się chłopiec. I to tak długo, tak szybko. Przecież ona zwykle mówi trzy słowa na godzinę. Niby wygarniając piasek, podpełznął ku namiotowi, położył się na ziemi i wsunął czarną główkę pod wołok. Zdumiał się niezmiernie, gdy zobaczył, że chłopiec, który służy u kupca z brząkałkami, siedzi przy jego piastunce i mówi jasno, szybko i wcale się nie jąka. Kałga ostrożnie się wycofał i chcąc podzielić się swym odkryciem, podbiegł do stojącego w pobliżu Kargana.

— Chodź, pokażę ci coś... Ten chłopak, co nie umiał gadać, teraz gada, i to bez końca, zupełnie jak moja matka — powiedział szeptem, jakby zdradzał największy sekret i pociągnął Kargana za poję kożucha.

Kargan nie wiedział, jak się dzieciaka pozbyć. Dla świętego spokoju postanowił pójść za nim kilka kroków. Między wołkami okrywającymi namiot były szpary, wprawdzie bardzo wąskie, jednak można było przez nie zajrzeć do środka. Mężczyzna spojrział, posłuchał, a potem pogłaskał dziecko mówiąc:

— Dziękuję, żeś mi pokazał. To istotnie bardzo zabawne! — powiedział i odszedł.

Dzieciak sądził, że jego odkrycie wywrze większe wrażenie. Zawiedziony i naburmuszony zaczął sypać nowe kopce.

Kiedy Ludmiła wyszła z namiotu, kilka kroków dalej Kargan zaczepił ją z przymilającym uśmiechem. Mówił do niej na pół z włoska, na pół ze słowiańska:

— Michajlo... Wszak nazywacie się Michajlo? Jesteście z Tany? Słyszałem, że chcecie wykupić niewolnicę Arguny? Bardzo szlachetne przedsięwzięcie. Może i ode mnie kogoś wykupicie? Mam dużo niewolnic. Doprawdy, zazdroszczę Argunie tak wybornego targu.

Szedł obok niej, nie odstępując na krok. Ludmiła zebrawszy całą przytomność umysłu, nie okazała zmieszania. Z wyćwiczonym zająkiwaniem się wycodziła kilka chłodnych, nic nie znaczących odpowiedzi i miała nadzieję, że tym obojętnym spokojem zniechęci natręta. Ale niestety, stało się zupełnie inaczej. Kargan porwał ją w żelazne objęcia, pasem zacisnął jej usta i zaniósł do swego namiotu. W obozie Tatarów bicie i branie ludzi za kark było rzeczą tak zwyczajną, że nie zwracało niczyjej uwagi. I teraz nikt nie spostrzegł porwania Ludmiły.

Tymczasem Beppo odchodził z wolna od Toktyszowego domu. Na myśl, że stanie z taką wieścią przed *signoriną*, w głowie mu huczało, a ziemia zdawała mu się usuwać spod nóg.

Przed jurta Kałgi spostrzegł Elżbietę; siedziała zadumana na ziemi z jakimś dziwnym półuśmiechem na twarzy.

— *Signora* — odezwał się bezbarwnym głosem Beppo — życie jest rzeczą straszną. Arguna odmówiła.

Elżbiecie lzy stanęły w oczach i stoczyły się po bladych licach.

— Tak przewidywałam. Już go nie zobaczę... — Wydawało się, że jest nieobecna, ale po chwili wewnętrznego, duchowego skupienia, złożyła ręce jak do modlitwy i dodała: — Niech się stanie woła boska. Najbardziej boli mnie zgryzota Ludmiły. Na próżno tu wracała! Na próżno podjęła trud i ryzyko!

— *Signora*, może jeszcze znajdziemy jakiś sposób...

— O nie, nie! Nawet nie próbujcie. Na miłość Pana Boga, proszę cię, zacny człowieku, wywieź stąd Ludmiłę jak najprędzej. Chcę być spokojna, że przynajmniej jej nic nie zagraża. Powiedz jej... niech mnie zastąpi... przy Jasiu. Ja będę się tutaj za was wszystkich modliła... — I nie mogąc już powstrzymać płaczu, wbiegła do jurty, gdzie zapadła w tak dziwne odrętwienie, że nawet mały Kałga zląkł się i nie śmiał do niej podejść.

## MIEDZY KROGULCEM A SOKOŁEM

Kargan powrozem związał ręce Ludmiły i białą chustą zaczął wycierać jej twarz. Po włoskich malowidłach nie było już śladu. Mężczyzna wybuchnął dzikim śmiechem, spojrzął na brankę z tryumfem w oczach, po czym klasnął w ręce. Natychmiast wbiegło kilka wysokich, kościstych kobiet, które skłoniwszy się nisko, z wielką pokorą wysłuchały poleceń pana. Po chwili przyniosły misę gorącej wody i bardzo delikatnie i dokładnie zaczęły obmywać twarz, ręce i włosy Ludmiły, a kiedy dziewczyna próbowała się wyrwać i bronić przed nieproszonymi usługami, łagodnie, aczkolwiek stanowczo, potrafiły ją powstrzymać, aż w końcu zrozumiała szaleństwo oporu i poddała się wszystkim zabiegom.

Wnet pod ręką służebnic cera jej zajaśniała dawnym blaskiem, a włosy odzyskały sobolowe połyski. Przyniesiono przepiękny strój niewolnicy — chińskie trzewiczki ze złotymi noskami, perską szatę haftowaną w srebrne i niebieskie kwiatki, a na to wszystko ogromny, ze złotej tkaniny, przezroczysty welon, który ją owinął jak obłok światła. Ręce niewolnicy związane jedwabnym purpurowym sznurem. W tej chwili pojawił się Kargan.

— Powiniem cię zabić — odezwał się bezdźwięcznym głosem. — Nie dość, że sama uciekłaś, to jeszcze uprowadziłaś mego najlepszego sługę, psa Wasyngę, a co gorzej, zabrałaś mi dziecko ze złotymi włosami, cudowne dziecko, za które dostałbym może jeszcze więcej niż za ciebie. Powiedz mi, gdzie jest to dziecko, a wszystko ci daruję.

Ludmiła po raz pierwszy podniosła na niego oczy, a były pełne szyderczej radości.

— Nigdy go nie zobaczysz. Na szczęście jest już daleko!

Kargan przygryzł usta.

— Okradłaś mnie haniebnie, powiniem cię zabić, ale nie mam ochoty tracić zysku, bo masz jeszcze niepoślednią wartość. Wielkiemu chanowi już cię nie mogę ofiarować, bo niewolnica, która zdarła żółtą zasłonę, jest już niegodna chańskiego oka. Poza tym wielki chan umarł. Ale jestem przekonany, że cię dobrze sprzedam któremuś z książąt albo z wodzów.

Kargan, mimo wzburzenia, był wyraźnie zadowolony. Radość z odzyskania kosztownej zguby emanowała z jego oczu. Wpatrywał się w niewolnicę i zastanawiał się, ile będzie mógł za nią wziąć. Gdy tak patrzył, czegoś mu brakowało. Odchylił nieco złoty rąbek i przekonawszy się na własne oczy, że dziewczyna straciła warkocze, wpadł w szal. Ta ostatnia kropla przepełniła czarę goryczy.

— Gdzie są twoje warkocze? Czyż ty, niegodziwa dziewczko, nie wiedziałaś, że one są moją własnością! Przecież to była twoja największa ozdoba. Gdzie są włosy? Powiedz, co z nimi zrobiłaś? — wrzeszczał Kargan.

— Choćbym ci powiedziała, co z nimi zrobiłam, to i tak warkocze nie urosną. Obiecuję je, aby mnie nie rozpoznano. — Ludmiła mówiła spokojnie, z dumą i pogardą w głosie.

— Poczekaj, już ja ci się odwdzięczę. Sprzedam cię Kajkułowi, to miły człowieczek. Słyszałem, że co trzy dni zabija niewolnicę. Będziesz miała trzy dni pięknego życia, a potem piękną śmierć. A ja, swoją drogą, wezmę za ciebie sutą cenę.

Na wspomnienie Kajkuła Ludmiłą wstrząsnął dreszcz, ale zamknęła trwonę w głębi duszy i odrzekła wyniośle:

— Rób, jak chcesz. Jest Bóg na niebie, który wszystkich osądzi.

— A, toś ty taka? Nie wiedziałem, że należysz do niewolnic, które wzdychają za śmiercią. Pomyślę, czym ci dokuczyc...

Ludmiłą potoczyła wzrokiem, szukając ratunku. Dokoła wisiały czarne pilśniowe ścianki. Przez otwór, który służył za okno, dojrzała jurkę Ajdara, stojącą naprzeciwko, zaledwie o kilkanaście kroków. Zapona wejściowa była odsunięta, a w głębi jurty, na bogatej sofie, siedział behadyr. Może ten człowiek będzie litościwszy? Może mnie obroni? Błysnęła jej myśl, która miała się stać ostatnią deską ratunku.

Na oczach Kargana wpadła między wojluki i jak błyskawica przebiegła przestrzeń dzielącą obie jurty. Sama nie mogła uwierzyć, że jest już w namiocie Ajdara. Jej ptasi lot był tak niespodziewany, że Kargan przetarł oczy, myśląc, że to jakiś złośliwy duch oślepią go i ludzi. Po chwili przekonał się, że nie było to złudzenie. Roześmiał się na całe gardło.

— Jaka ona zabawna! Myśli, że jej nie dogonię we własnym obozie — powiedział i jak lew w drapieżnym rozpędzie wyskoczył z jurty, by rzucić się na ofiarę.

Kiedy jednak zobaczył brankę klęczącą przed behadyrem, przestał się śmiać. Zalał się zupełnie, kiedy spostrzegł, że Ajdar wyciągnął rękę nad głowę Ludmiły. Był to u Tatarów znak święty, przysięga niezłomnej obrony. Ten, nad którego głowę gospodarz wyciągnął rękę, mógł spać spokojnie, choćby miał śmiertelnych wrogów.

Ajdar, przekonany, że Ludmiłą na wieki jest dla niego stracona, że jedzie do stolicy pod świętym żółtym rąbkiem, usiłował o niej zapomnieć, choć nie było to wcale łatwe. Nie mógł się pocieszyć po utracie branki i po wstydzie, jaki go spotkał. Kajkuł się na nim zemścił, Kajkuł go upokorzył i nie można było nawet skarżyć się na tę zemstę, imię wielkiego chana czyniło go nietykalnym.

Kiedy gwałtowny szelest, niby wlatującego ptaka, wyrwał go z zadumy, podniósł oczy i oniemiał. Ludmiłą, w kwiecistym stroju, otulona złotym obłokiem, w blasku zachodzącego słońca, przypominała jakąś niezmierną istotę. Padła na kolana, podniosła związane ręce i zawołała mieszaniną wyrazów polskich, ruskich i tatarskich:

— Dobry człowieku, broń mnie! Kargan chce mnie zgubić, ma zamiar oddać mnie Kajkułowi!

Widząc jej spętane ręce, słysząc głos drgający rozpaczą, Ajdar wiedział, że nie jest to złudzenie, ale najprawdziwsza rzeczywistość, która przyprawiła go o zawrót głowy. Wyciągnął rękę nad jej głowę.

— Uspokój się, biorę cię pod moją obronę, ciebie i kogo tylko zechcesz. Obronię cię, choćby mi przyszło zniszczyć i wyrznąć pół świata.

Tymczasem Kargan, stanąwszy u wejścia do namiotu, wołał:

— Niech behadyr nie słucha tej niegodziwej dziewczki! Ona mnie oszukała. Ona mnie okradła.

— Milcz, psie Ujgurze, i nie waż się przestąpić mego progu — zagrzmiął Ajdar. — Bardziej wierzę jej niż tobie. Każdy Ujgur to wąż.

Ludmiłą wstała.

— Możesz mi wierzyć, panie, ten straszny człowiek chciał mnie sprzedać Kajkułowi.

Już po raz drugi imię Kajkuła obilo się o uszy Ajdara. Nagle zrozumiał, że tu będzie mógł nasycić nie tylko miłość, lecz i zemstę. Oczy zapalały mu ogniem i gniewem.

Kargan czuł, że zdobycz wyszłiznęła mu się z rąk. Wpadł w rozpacz; wszedł do namiotu behadyra i skradając się ku Ludmile wołał:

— Ależ ja muszę ją odebrać, ona mi uciekła!

Ajdar zerwał się z miejsca i krzyknął straszonym mongolskim głosem:

— I miała rację, bo przeznaczona była dla wielkiego chana, a nie dla jakiegoś Kajkuła! Kto ci pozwolił sprzedawać ją Kajkułowi? Kto Kajkułowi pozwolił ją kupować? Okradliście wielkiego chana, okradając i mnie. Ustąpiłem pokornie jak dziecko, przekonany, że ustępuję władcy, tymczasem wy uknuście spisek. To zdrada, za którą ciężko odpowiecie. Ja wam obu tego nie zapomnę! Teraz idź precz, pókiś żywy, a branka tu zostanie!

Obyczaje

Kargan był zbity z tropu. Rozsądek nakazywał szybkie ustąpienie z pola walki, jednak chciwość jeszcze raz przemogła. Trzęsąc się ze strachu, przystąpił i błagał:

— Dobrze, niech zostanie, ale wy, zacny behadyrze, zapłaćcie mi za nią, choć cokolwiek. Nie chcecie chyba mojej krzywdy?

W cierpliwości Ajdara przebrała się miarka. Głosem ochrypłym od gniewu zapytał:

— Chcesz jeszcze, abym ci zapłacił? Dobrze! — chwyciwszy Kargana za ramię, wydobyl kindżał i utopił go po rękojeść w gardle Ujgura. A potem, jak prawdziwy Mongoł, obtarł kindżał o pilśniową ścianę i z promiennym uśmiechem podszedł do Ludmiły. — Widzisz, że potrafię bronić. Zabiję każdego, kto by ci źle życzył. Moja dobra, śliczna gołąbko, cieszę się, że wybrałaś właśnie mnie z tylu behadyrów, którzy równie dobrze mogli cię bronić. Wyróżniłaś mnie, wybrałaś mój namiot. Wywyższyłaś mnie nawet... — głos mu zadrżał, jakby przed świętokradztwem — nad wielkiego chana. Ujął jej dłoń i rozplątał węzły purpurowego sznura. — Widzisz, moja śliczna, u nas niewolnica musi być albo zdobyta, albo kupiona. Ja cię już raz zdobyłem, teraz cię kupiłem krwią tego człowieka. Jesteś wywalczona prawdziwie po behadyrsku, po mongolsku.

Ludmiła zmroziła go wzrokiem i z podniesioną głową rzekła:

— Ja mam być niewolnicą? Nigdy!

Ajdar wychowany wśród mordów i gwałtów nie znał innego życia. Jednak jak każdy człowiek snuł marzenia, roił o przyszłym szczęściu. Uległość branek drażniła go i nie raz doprowadzała do szału. Wśród najpiękniejszych niewolnic był samotny, tęsknił za wolnym, szczerym uczuciem i pragnął miłości. Ta kobieta była inna, harda, wyniosła i wspaniała. Jeśli wybrała właśnie jego, to na pewno go lubi, a może z czasem pokocha... Ta myśl rozpromieniła twarz mężczyzny.

— To dobrze, że nie boisz się Ajdara. Ty pierwsza się nie boisz. Niechże stanie się według twojej woli. Wezmę cię za żonę. — Patrzył na nią, oczekując radości i wdzięczności branki za tak wspaniały dar.

Ludmiła zrozumiała nagle, że zaszła straszna pomyłka. Zmarszczyła brwi i zaczęła się zastanawiać. Postawię mu warunki niemożliwe do spełnienia, rozgniewam go, on mnie zabije i wszystko się skończy. Elżbieta, wykupiona przez Beppę, wróci do Polski, do swego Jasia, a ja będę z lepszego świata na nich spoglądała.

Już ułożyła sobie całą przyszłość i śmiało spojrzała Ajdarowi w oczy.

— Dobrze. Zostanę twoją żoną, ale stawiam ci warunek: chcę być żoną jedyną i mieć chrześcijański ślub — wyrzuciła jednym tchem i zaraz zamknęła oczy, czekając na wybuch śmiertelnego gniewu.

Ajdar przygryzł usta, a potem uśmiechnął się jakoś dziwnie, dwuznacznie i powiedział:

— Dobrze. Przystaję na to.

— Jak to? Zgadzasz się, bym została jedyną żoną, po chrześcijańsku?

— Tak. Jedyną, po chrześcijańsku...

Ludmiła skamieniała, a behadyr klasnął w ręce i zawołał:

— Prosić mi tu ojca Gedeona, a jak go nie ma, to innego nestoriańskiego popa. Niech przyjdzie zaraz w odświętnym stroju, bo ma ślub dawać!

Sługa wyszedł.

— Jak to zaraz? — zapytała Ludmiła.

— A na cóż mam czekać? Aby mi kto ciebie porwał? Już dosyć długo czekałem.

Ludmiła czuła, że zaczyna tracić grunt pod nogami. Czepiając się ostatniej isierki nadziei, zapytała:

— A czy jesteś ochrzczony?

— Nie pamiętam. Bardzo możliwe, że już i tego próbowałem. Twoja wiara bardzo potężna, ale i inne nie gorsze. Jest jeden Bóg dla wszystkich!

W tej chwili weszli studzy. Sprzątnęli zwłoki Kargana i zrobili miejsce małemu siwiuteńkiemu staruszkowi. Twarz miał podobną do pyszczka łasicy. Ubrany był jak ksiądz, ale nie był to ubiór księży polskich ani żadna z szat kapłańskich, jakie kiedykolwiek widziała Ludmiła. Jednakże płaszcz przypominał ornat, suto pozłacany, z wyraźnym krzyżem na piersi. Skłonił się behadyrowi bardzo nisko. Pan młody wziął Ludmiłę za rękę i stanął przed kapłanem, który wymruczał długą, jednostajną modlitwę w niezrozumiałym języku. Potem szkarłatną wstążką, na której jaśniały powyszywane perłami krzyżyki, niby

Ślub, Religia

stulą związał ręce młodej pary, dał krzyż do pocałowania i skłoniwszy się jeszcze niżej, wyszedł z łagodnym uśmiechem na twarzy.

Panna młoda przez cały czas obrzędu była zupełnie nieprzytomna, nieobecna. Miała wrażenie, że to jakiś zły sen. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego jest jej tak ciepło w stopy. Gdy spojrzała w dół, spostrzegła, że miękkie chińskie trzewiczki przemokły od krwi Kargana.

Wkrótce namiot zajaśniał czerwoną luną. Weszła gromadka niewolnic o smagłych wschodnich rysach, czarnych, rozwichrzonych włosach i wąskich szatach, nasianych mnóstwem szkiełek i monet. Dwie z nich stanęły przy ścianie, trzymając pochodnie, które migotliwie rozpraszały zapadający mrok. Trzecia siadła na ziemi, wzięła kragławą bandurkę i wnet metalowe struny zamigotały pod jej palcami jak iskry. Inna niewiasta wniosła niski stolik z wieczerzą, który postawiła przed nowożeńcami, a jeszcze inna kosz pełen kwiatów. Na koniec weszło sześć niewolnic przybranych wedle modły zachodniej, w purpurowe gorsety, pasiaste spódnice i złotem wyszywane fartuchy. Musiały to być Rusinki, bo miały białą cerę i jasne włosy opadające długimi splotami, a w oczach wyraz niezmiernego smutku. Wykonywały miękkie, giętkie ruchy układające się w obrzędowy taniec i przy dźwięku bandurki śpiewały, rzucając na pannę młodą białe stepowe kwiaty:

Gdzie moja druhna, gdzie mój bohdanek?  
Sama nad wodą płacząca stoję.  
Z wodą popłynął mój złoty wianek.  
Mój wianek i szczęście moje!

## NA WSCHÓD

Mijały dni i tygodnie. Skończyła się już piękna jesień w nadmorskiej krainie. Koralowe kwiaty burzanów opadły, promienie słońca stygły; nadszła zima, przykra, wietrzna, ze śnieżnymi północnymi nawałnicami. Chociaż Elżbieta i Ludmiła były bardzo wytrzymałe, jednakże kiedy przyszło im tę pierwszą zimę przetrwać bez ochrony murów, pod lekką, chwiejną jurta, na przemarzłej ziemi, wydało im się, że nie dożyją wiosny. Zamiecie świszczały po dzikich polach, w dzień i w nocy drżały pilśniowe ścianki namiotów. Przez otwór wycięty w daszku wpadał albo deszcz, albo śnieg i gasił ognisko, przy którym trzęsły się wółprzytomne branki.

Na skutek bałaganu, nieustannych wojen i monotonii życia koczowniczego niewiasty utraciły zupełnie poczucie czasu. Nie mogły odróżnić dnia powszedniego od niedzieli. Jednakże na datę Bożego Narodzenia jeńcy zgodzili się jednogłośnie. Jedni obliczyli ją według słońca, drudzy według osobistych wspomnień i wszystkim tak samo wypadło. Od tych świąt rozpoczęli nową rachubę, którą sobie rozmaicie zaznaczali, to węzełkami na sznurach, to narzynaniem podróżnych kijów.

W dzień Wigilii, kiedy pierwsza gwiazda błysnęła w zamieci nad białym nieskończonym stepem, Elżbieta i Ludmiła, siedząc w jurcie przy ogniu, roztapiały w kociołku trochę śniegu, aby w nim ugotować parę garści prosa. Przypomniały sobie, jak to rok temu jadły wigilijną wieczerzę u królowej Kingi, jak potem szły na pasterkę z jasełkami.

— Mój Boże! Tylko rok, a jakie zmiany! Zupełnie, jakby człowiek był na innym świecie.

Ludmiła przypomniła sobie, jakim to zabobonnym strachem przejął ją widok wielbłąda, którego widziała po raz pierwszy w życiu. A teraz chodzi wśród wielbłądów jak wśród owieczek. Długo siedziały, wspominając, i zamiast łamać się oplatkiem, podzieliły się łzą niewoli, którą może aniołowie zawiesili nad głową Jasia jako smętną, sierocą gwiazdkę.

W pewnej chwili Ludmiła kątem oka spojrzała na Elżbietę, spuściła głowę i nieśmiało, wstydliwie zaczęła mówić:

— Powiedz mi, jak mam traktować Ajdara? Bo tak naprawdę to go nienawidzę. Jest oszustem, jak wszyscy Tatarzy. Wyobraź sobie, że pewnego dnia wchodzi trzy kobiety, wystrojone, z fałszywym uśmiechem na twarzy i zaczynają mnie ścisnąć. Pytam się, co to znaczy, a ten człowiek odpowiada: „To moje dawne żony, przychodzą powitać nową

Żona, Małżeństwo, Obcy

towarzyszkę”. Zerwałam się i krzyknęłam: „Przecież miałam być jedyną?”. On uśmiechnął się żartobliwie i odpowiedział: „Przyrzekłem, że będziesz jedyną po chrześcijańsku i przyrzekam ci raz jeszcze, że żadnej innej według twojej wiary nie zaślubię. Ale co mam zrobić ze starymi, sama powiedz? Zabić? Wypędzić? Przecież nic nie zawiniły. Zresztą, chyba tobie też nie przeszkadzają, kiedy ja ciebie najbardziej miłuję”.

— Musisz być dla niego dobra, mimo wszystko — rzekła poważnie Elżbieta. — Ajdar może być mężem niewiernym, najgorszym, ale to rzecz jego sumienia. Ty bądź wierną i przykładną żoną. Bóg spyta cię po śmierci, jaką ty byłaś, a nie, jakim on był. — Tajemniczy uśmiech rozjaśnił jej twarz. Po chwili dodała nieco żartobliwym tonem: — A może ty go jeszcze nawrócisz?

Ludmile zabłyśły oczy. Drgnęła, jakby wskrzeszona tą myślą.

— Elżbieto, jesteś wspaniała...

Kiedy Ajdar wrócił do namiotu, Ludmiła przyjęła go łaskawie. Była uśmiechnięta i łagodna. Zdumiony małżonek przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Nagle wybiegł z jurty, padł na ziemię, dziewięć razy uderzył czołem i zawołał:

— O, Tangri! O, najwyższy duchu! Dziękuję ci! Ona się mnie już nie boi!

Przy końcu zimy pojawiali się coraz częściej w obozie gońcy, wysłani z głębin Azji, poszukujący księcia Kujuka. Nie znalazłszy go u brzegów Dniepru, pędzili dalej na Zachód, a przed wyjazdem zostawiali wieści o tym, co się działo w dalekiej Mongolii. Tron wielkiego chana stał ciągle pusty; większa część książąt cesarskich znajdowała się na drugim końcu świata, na węgierskiej wyprawie. Książęta pozostali w kraju nie chcieli sami podjąć decyzji.

Przekazywali sobie osobliwe wieści o pogrzebie wielkiego chana. Były one niewyraźne, przysłonięte jakąś groźną tajemnicą. Branki zrozumiały, że spomiędzy niewolnic i dzieci, tworzących orszak zgasłego monarchy, najpiękniejsze i najlepsze zamordowano, żeby, według uświęconej tradycji, poszły służyć mu na tamtym świecie. Ofiary te podobno ginęły śmiercią niezwykłą, ale nikt nie chciał powiedzieć jaką. Wysłannicy kładli palec na ustach i śmieli się tak, że aż włosy stawały na głowie.

Ajdar kiedyś, wpatrując się z uwielbieniem w Ludmiłę, powiedział:

— Jakie to dla mnie szczęście, że nie pojechałaś pod żółtą zasłoną! Już dzisiaj piłabyś napój śmierci obok wielkiego chana. Na pewno jest to wysoki zaszczyt, ale dla mnie tak lepiej. — Po chwili dodał: — Czy pamiętasz tego chłopczyka z jasnymi włosami, którego wzięliśmy razem z tobą? Ten niezawodnie już na drugim świecie służy wielkiemu chanowi. Tak pięknego dziecka nie omieszkało tam posłać.

Ajdar był pewien, że Jaś znad brzegów Prutu pojechał z karawaną niewolnic do Mongolii. Ludmiła nie wspomniała mu dotąd nawet słówkiem, że uciekła spod żółtej zasłony, zabierając ze sobą dziecko. Tej strasznej zbrodni i świętokradztwa małżonek Mongoł, mimo miłości, nigdy by jej nie wybaczył.

Wiosna przyniosła ulgę. Po nieznośnej porze roztopów branki z wielką radością powitały młodą trawę, ciepłe powietrze i krańniejące pąki na burzanach.

Wojska tatarskie nadciągały z Węgier. Napad Mongołów na Węgry był jeszcze sroższy niż na Polskę i trwał znacznie dłużej. Żołnierze wracali do domów surowi, mściwi, bardziej ponurzy niż kiedykolwiek, przesyleni mordem, okrutni nie tylko dla obcych, ale i dla swoich. Wystraszone żony nie mogły ich rozpoznać.

Przypędzono chmarę nowych branek. Obóz zaroił się od Węgierek; były tam wieśniaczki, wielki panie i mniszki; sam kwiat urody i wdzięku. Mongołowie, oczarowani krasą niewolnic, nie chcieli już patrzeć na swoje północne, ogorzałe małżonki. Wybuchy najdziksze sceny zazdrości. Rozjuszona Tatarki mściły się na znienawidzonych brankach. Do niewoli zabierano również dzieci. Było ich tyle, że nikt nie wiedział, co z nimi robić, gdzie je pomieścić ani czym je wykarmić. Z braku innego pomysłu zaczęto dzieci chrześcijańskie oddawać dzieciom tatarskim na pastwę, żeby te mogły na nich zaprawiać się w celnym strzelaniu ze swych małych łuczków. W całym obozie rozbrzmiewały krzyki, płacz, lament; było jak na samym dnie piekła.

Wśród świeżo przybyłych jeńców branki znalazły Polaków. Dowiedziały się, że Tatarzy wtargnęli drugi raz do Polski. Wprawdzie tylko jeden nieliczny oddział w przelocie zaczępił o Kraków, ale zniszczył i dopalił wszystko, co z pierwszego napadu zostało pod Wawelem.

— I ojciec Paweł!... Mój Boże! Ojciec Paweł tak wspaniałomyślnie uszanowany przez któregoś z chanów, teraz padł pod ciosami nikczemnych żołdaków. Po męczeńskim życiu skończył męczeńską śmiercią — westchnęła Elżbieta i uroniła łzę.

Wkrótce popłynęły inne, jeszcze gorętsze łzy. Okazało się, że Sulisław nie żyje. Zginął, i to dawno, jeszcze pod Chmielnikiem. Wówczas nie wierzyły słowom giermka, ale teraz tę smutną wiadomość potwierdziło kilka osób. Między jeńcami był żołnierz, który walczył z Sulisławem. Opowiadał, że został trafiony tatarskim pociskiem i na jego ramieniu skonał. Elżbieta przypominała sobie, że właśnie o taką śmierć jej mąż prosił Boga. Zamknęła się w głębokiej żalobie ducha, przysypanej popiołem wszystkich zgasłych radości życia. Już dawno straciła nadzieję, przestała wierzyć, że kiedykolwiek spotka się z mężem na tej ziemi, ale Jaś... Uświadomiła sobie, że dziecko zostało sierotą.

— Czuwaj nad nim stamtąd — szepnęła — bo ja tu, sam widzisz, nie mogę...

W namiocie Toktysza także zapanowała żaloba. Podczas wyprawy do Krakowa zginął ojciec Arguny. Nie padł śmiercią waleczną w bitwie, ale haniebną śmiercią grabieżcy. Gorejąca belka jakiegoś domostwa, które sam podpalił, runęła mu na głowę, w chwili gdy skuszony lampką płonąca w alkierzu chciał z wizerunku Matki Boskiej zedrzeć srebro. Czaszkę miał rozbitą i twarz spaloną, że towarzysze ledwie go rozpoznali.

Arguna ze wschodnią przesadą napelniła namiot jękiem. Darła suknie, biła się po twarzy, powtarzając Kaldze:

— Jak dorosisz, musisz pojechać do tego przeklętego Krakowa i pomścić śmierć mego rodzica, śmierć twego dziadka!

Kałga dobrze wiedział, jak może komu dokuczyć. Pobiegł czym prędzej do Elżbiety i powtórzył jej słowa matki dodając:

— Niech tylko dorosnę! Pojadę tam do was, cały Kraków spalę i jeszcze wezmę sobie za niewolnika twego chłopaka, za którym cały czas płaczesz!

Elżbietą, mimo całej swej cierpliwości, gwałtownym ruchem ręki odsunęła dziecko i odwróciła głowę. Boże! Nie pozwól na to, prosiła żarliwie.

Słońce coraz mocniej dopiekało. Koniec wiosny przyniósł nową wiadomość, już nie z Europy, lecz z Mongolii. Zjawili się jeszcze raz gońcy prosto z Karakorum w imieniu rejentki<sup>75</sup> Turakiny, najstarszej z wdów pozostałych po wielkim chanie, matki księcia Kujuka, z zaproszeniem dla książąt i wodzów na kuryłtaj<sup>76</sup>. Na zjeździe powszechnym miał się odbyć wybór nowego monarchy.

Książęta i wodzowie byli ponurzy i niezadowoleni z kampanii polsko-węgierskiej. Wprawdzie przywieźli dużo łupów i niewolników, ale jakie ponieśli straty! Bitwy pod Turskiem i Ołomuńcem ciążyły im na sercu. Tylu behadyrów zginęło! Tak naprawdę nie udało się ująć poddanych w karby posłuszeństwa ani nawet nałożyć na nich stałego lenna.

Toteż po kilku naradach, z początkiem lata wyruszono hurmem do Mongolii. Tatarzy mieli bardzo sprawne, wytrzymałe konie i mogli w kilka tygodni przemierzyć tę olbrzymią przestrzeń. Ale z tłumami niewolników, w większości niewiast i dzieci, tysiącami wozów i wielbłądów obciążonych zdobyczą, trzeba było jechać powoli i długo wypoczywać.

Wszyscy przepowiadali, że czeka ich rok drogi.

## ŚWIĘTE MORZE

Poniżej rozpościerała się pustynia Gobi, szkląca się błękitem słonych jezior, powyżej Ibir-Sybir<sup>77</sup>, największa na świecie na białą pustynia — nigdy nie rozmarzające wieko z lodu. Między nimi ciągnął się węzeł gór poplątanych w kłęby i odnogi, jakby upuszczony pęk łańcuchów, a w nim, w samym sercu Mongolii, leżał Bajkał<sup>78</sup>, Święte Morze.

<sup>75</sup>rejentka (daw.) — regentka. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>kuryłtaj a. kurultaj — w XIII w. zjazd dostojników mongolskich, na którym podejmowano decyzje dotyczące wyboru władcy lub zorganizowania wyprawy wojennej. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Ibir-Sybir — Syberia. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>w samym sercu Mongolii leżał Bajkał — dzisiejsza Mongolia zajmuje terytorium położone znacznie dalej na południe, niż w XIII w. Bajkał znajduje się obecnie na terenie Federacji Rosyjskiej. [przypis edytorski]

Kształt Bajkału, wygięty na grzbiecie Azji półokrągło, przypominał luk na plecach Tatara. Łuk niezmiernie wielki, o długości sześciuset siedemdziesięciu kilometrów i szerokości dochodzącej do dziewięćdziesięciu kilometrów; jego końce zwężyły się jak sierp. Od wschodniej strony góry były przygłaskane w dość łagodne stoki, a doliny otwierały przejścia dla wód nadbiegających z haraczem. Ale od zachodu żadna rzeka nie miała dostępu. Tu Bajkał był zamurowany; olbrzymie półkole z granitu, ścięte prostopadłe jak ściana warowni, zamykało Świąte Morze. W jednym tylko miejscu opoki się rozstępowały, niby jakimś czarodziejskim mieczem rozcięte, i tędy Bajkał wyrzucał z siebie wody, które go przepelniały. Z dwunastu rzek, wpadających z tamtej strony, tu tworzyła się tylko jedna, Angara<sup>79</sup>. Rzeka kipiała, pędziła, wrzała i nawet przy trzydziestostopniowym mrozie nie mogła zamarznąć. Miejsce, gdzie Angara wypływała z jeziora, ludzie nazywali „bajkalskimi wrotami”; były to „wrota”, które zbudowała sama przyroda. Skalisty, cienki jak filar słup wychylał się samotnie z wody i przerzucał aż do brzegu, tworząc arkadę, pod którą przepływali żeglarze; nie tylko podróżnicy i rybacy, ale wszyscy, którzy chcieli albo musieli poddać się próbie. Za „bajkalskimi wrotami”, na środku Angary, leżał święty kamień, z pozoru skała stercząca pomiędzy wzburzonymi falami, który miał nadzwyczajną właściwość: wobec niego nie można było ani krzywo przysięgać, ani fałszywie świadczyć, ani nawet żartem oszukiwać. Duch strzegący kamienia karał wszelkie rozminięcie się z prawdą. Żaden Mongoł za nic na świecie nie skłamał w pobliżu tego urwiska.

Było wokół jeziora jeszcze wiele innych miejsc słynących z tajemniczej potęgi; zawieszony w powietrzu dzioby skał, podwodne labirynty lochów, gdzie działy się niepojęte dla ludzi rzeczy. Zapewne dzięki tym niesamowitym zjawiskom Bajkał został nazwany Świątym Morzem.

W samym środku jeziora leżała wyspa Olchon. Sława jej brzmiała nie tylko nad Bajkałem. Od kraju porcelanowych wież<sup>80</sup> aż do Morza Lodowatego nazwa Olchonu wstrząsała każdym sercem i każde czoło chyliła ku ziemi. Wschodni piaszczysty brzeg wyspy z wolna wznosił się po grubych stopniach aż do dziwnej opoki zwanej „Czaszą Dżyngis-chana”. Im dalej, tym krajobraz był dziwszy, na koniec, u krańca północnego, pojawiła się strzelająca w chmury czarna skała Achu-Czołan, z pieczarą w swym wnętrzu, w której duchy wykłuły sobie świątynię. Tam tłumaczyło się przeszłość, tam odsłaniało się przyszłość, tam znajdowała się stolica szamanizmu.

Poniżej jeziora, na szeroko rozpostartych po obu stronach przestrzeniach, z dawien dawna koczowały niezliczone pokolenia pasterzy. Żywot ich nie był sielanką. Powietrze ostre, ziemia uboga w roślinność czyniły ludzi twardymi. Miłowali jednak to swoje tułackie życie i za nic nie chcieli zmienić na inne, bo dogadzało swobodzie i lenistwu. Żyli więc z dnia na dzień bez większych wymagań, ale w gruncie rzeczy czuli swą biedę i z zawiścią spoglądali na sąsiadów. A sąsiadowali na północy z rzadka rozsianymi wśród lasów syberyjskich ludami, które w Azji nosiły nazwę leśnych, a na południu z niezrachowanym szczeniem chińskim.

Chiny, kraj żywiołu i postępu, były dla pasterzy istnym rajem obfitości — krainą cudów, poczynając od żyznej, urodzajnej ziemi wyglądającej jak jedna kwiecista grządka osiatkowana mistrzowską sztuką nawodnienia, bogatych ogrodów, wygodnych domów o połyskliwych i kolorowych ścianach, dachach grających dzwoneczkami, po wyszukane jedzenie, które byłoby w stanie zadowolić najwybredniejszego smakosza, a kończąc na lekkich jak listek róży jedwabiach, zręcznie skrojonych i cudownie wyszywanych.

W tych oryginalnych domach mieszkali wykształceni mężczyźni, kobiety zgrabne jak figurki porcelanowe. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką żądzą i łakomstwem pastuchowie patrzyli na tę krainę szczęśliwości. Nie nęciły ich prawa ani filozoficzne księgi, ale atłasy i kitajki<sup>81</sup>, malowane misy i złociste parasole.

<sup>79</sup>Angara — rzeka w środkowej części Azji, wypływa z jeziora Bajkał, wpada do rzeki Jenisej. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>kraj porcelanowych wież — Chiny; najsłynniejsza porcelanowa wieża w Nanjing we wschodnich Chinach została wybudowana w XV w. (a więc dwa stulecia po wydarzeniach opisywanych w powieści). Uznawana za jeden z siedmiu cudów średniowiecznego świata, była niemal 80-metrową konstrukcją zdobioną porcelanowymi kafelkami. Służyła jako pagoda. W poł. XIX w. została zniszczona, a w pocz. XXI w. zbudowano jej replikę. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>kitajka (daw.) — jedwabna tkanina a. chusteczka. [przypis edytorski]



Zdawało się, że sama przyroda chciała obronić chińską ziemię, oddzielając ją od pasterzy pustynią Gobi, prawdziwym oceanem pisku. Ale dla jeźdźców otrząskanych ze wszelkimi żywiołami pustynia stała się otwartym gościńcem. Chińczycy, doprowadzeni do rozpaczy, wpadli na śmiały pomysł. Postanowili całą swoją północną granicę obwarować i zamknąć jak twierdzę. Powstał Mur Chiński<sup>82</sup>, jedno z największych dziwów ludzkiej cywilizacji. Obliczono, że materiałem użytym na ten mur można by dwa razy opasać kulę ziemską. Ale i to genialne szaleństwo, z chińską cierpliwością wykonane, okazało się niewystarczające. Pasterze, wśród ciągłych napadów i utarczek, udoskonaliли się w krwawym rzemiośle. Wojna stała się ich głównym celem, namiętnością; nie byli obdartymi rabusiami, ale strasznymi wojownikami wyrastającymi powoli na wielkich zdobywców.

Walka koczowniczych plemion nadbajkalskich ze szczepami osiadłymi na południu Azji stanowiła jedną z najtragiczniejszych kart historii cywilizacji na przestrzeni kilkunastu stuleci. Mocarstwa tureckie, chińskie padały pod zawieruchą pędzącą z północy, powstawały w innej formie państwowej, żeby znów upaść i tak w ciągu kilkudziesięciu pokoleń stanowiły rodzaj drożdży, na których wyrosła Azja, a z nią i reszta świata.

W kierunku południa, poza ścianą gór karakorumskich, spokojnie koczował tatarski naród Cheraitów<sup>83</sup>. Przez długie lata nikt o nich nie słyszał, chyba tylko kilka sąsiednich plemion toczących z nimi zwykle utarczki o pastwiska. Aż niespodziewanie, z początkiem jedenastego wieku, gruchnęła po świecie niezwykła wieść. Król Cheraitów został chrześcijaninem. Co się dalej stało, nie wiadomo. Zdaje się, że misja nestoriańska musiała gorliwie pracować nad utrwaleniem nowej wiary, bo w dwa wieki później na ziemi Chereth byli nie tylko królowie, ale cały naród chrześcijański. Wieść o tym rozeszła się po całym świecie, nawet w Europie krążyły opowieści, że powstało tam królestwo księdza Jana, o którym wszyscy mówią, choć nikt go nie widział, którego szukają, ale nikt nie może go znaleźć.

W każdej opowieści jest trochę prawdy; nad Cheraitami panował wówczas Ong-chan czy Jong-chan<sup>84</sup>. Jego imię mogło Europejczykom kojarzyć się z łacińskim „Johan”. Obraz wielkiej monarchii chrześcijańskiej, świtającej tam, skąd jutrzeńka wschodzi, radował niejedno serce. Chrześcijanie Palestyny, Egiptu i Syrii srodze uciskani przez Saracenów często, choć na próżno, szukali ratunku u braci zachodnich. Obrócili oczy pełne nadziei ku Wschodowi, skąd nowy obrońca z wielkim wojskiem miał lada dzień się zjawić i wziąć Mahometa w dwa ognie.

Krzyżowców także radowała obietnica niespodziewanej odsieczy. Od razu na azjatyckim brzegu wypytywali o królestwo księdza Jana, a nazbierawszy wieści, tym ciekawszych, że podawanych w wielkiej tajemnicy, szerzyli w Europie sławę przyszłego sprzymierzeńca.

Ong-chan ani się domyślał, że z jego powodu jest tyle zamieszania pod zachodnim niebem. Po azjatycku mało troszczył się o sprawę wiary; był zajęty zdobycami, rozszerzeniem pastwisk dla wędrownych obozów. Ujarzmił coraz bitniejsze plemiona, zbierał coraz obfitsze daniny, aż doprowadził ziemię Chereth do rangi prawdziwego królestwa. Najdzielniejszym pomocnikiem w każdym przedsięwzięciu był przywiązany lennik, Temuczyn<sup>85</sup>, wódz biednej hordy Mongołów, człek niezbyt młody i niebogaty, ale genialny w bitwach i mistrzowski w służeniu radą. Król mocno go sobie cenił i okazywał mu wysoką łaskawość.

Ong-chan miał córkę rzadkiej urody i mądrości, zwaną Siurkukteni<sup>86</sup>. Lennik po latach wspólnej pracy, biorąc pod uwagę wielkość i liczbę swych zasług, ośmielił się za-

<sup>82</sup>*Mur Chiński* — znany w dzisiejszej postaci mur zbudowano w XV w., w opisywanych czasach (XIII w.) chińskie fortyfikacje nie były tak rozległe i nie miały ciągłości. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Cheraitci*, dziś *Kereici* a. *Keraici* — lud środkowoazjatycki, pochodzenia mongolskiego a. tureckiego, od XI w. wyznający nestorianizm, walczyli z Tatarami, pokonani weszli w skład imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Ong-chan*, *Jong-chan* a. *To'orit Ong-chan* (zm. 1203) — władca Keraitów (tu: Cheraitów), pokonany przez Czyngis-chana. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Temuczyn* a. *Temudżyn* — imię Czyngis-chana. *Czyngis-chan* (1155/1162–1227) — twórca imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*Siurkukteni* a. *Sorkaktani-beki* (zm. 1252) — księżniczka mongolska, córka chana Kereitów, Ong-chana. Po klęsce ojca w bitwie z wojskami Czyngis-chana została synową zwycięzcy, żoną jego syna Tołuja (tu: Tułuja, ok. 1190–1232), po śmierci męża przez wiele lat zarządzała jego ulusem. Jej synami byli: Mongke (1209–1259),

żądać córki królewskiej dla swojego syna, Tułuja. To żądanie wydało się Ong-chanowi zanadto wygórowane. Odmówił i ostygł w życzliwości. Może lata złagodziłyby tę urazę, ale ludzie zaczęli siać gniew i nieufność między panem a lennikiem, aż doszło między nimi do wojny.

Wojna o piękną królową zakończyła się dla niej i dla jej ojca tragicznie. Król Cheraítów po aktach odwagi położył pod mieczem siwą głowę, a córka razem z królestwem przeszła w moc zwycięzcy.

Od śmierci Ong-chana szcep mongolski wypłynął na wierzch, rozszerzył się jak błyskawica i w zawrotnym tempie stworzył największe w historii państwo. Temuczyn, pozbywszy się zwierzchnictwa, które przez pół życia trzymało go w zależności, poczuł nagle, że rosną mu skrzydła. Zerwał się, pognął tysiąc plemion przed sobą jak chmurę wędrownego ptactwa, zaczął o cesarstwo Kara-Kitaju<sup>87</sup>, gdzie złamał dynastię Żelazną, szerokim półkolem otoczył ciemny Turan<sup>88</sup> i słoneczny Iran, opadł na minarety Bagdadu i okrążywszy trzy czwarte zdruzgotanego świata, wrócił do swoich gór karakorumskich, gdzie ogłosił się nie tylko chanem chanów, ale Dżyngis-chanem.

O zwycięstwach Dżyngis-chana Europa słyszała aż nadto, ale wiadomość o śmierci Ong-chana nie doszła do niej tak prędko. „Książd Jan” żył sobie dalej w legendzie, tajemniczy i nieśmiertelny. A że umysł ludzki musi zawsze poszukiwać, nawet dla najbardziej rozumowań, jakiejś logicznej podstawy, zastanawiano się, jaki cel mogła mieć opatrność, umieszczając królestwo chrześcijańskie tak daleko od reszty współczesnych, w czarnym świecie pogańszczyzny. Wytłumaczenie znaleziono w Apokalipsie i w Biblii, dziwne, aczkolwiek przekonujące. Księgi święte mówiły o straszliwych narodach Gog i Magog, żyjących gdzieś na końcu świata, które, trzymane jak zła bestia w klatce, kiedyś się urwą i wszystko zniszczą, aby utworzyć drogę antychrystowi. Gwiazdy zaczną spadać i nastanie sąd ostateczny.

W czasach kiedy panowało przekonanie, że ziemia jest podobna do płaskiej tarczy, którą otacza ocean na kształt srebrnej obręczy, każdy z niepokojem pytał, gdzie się ona kończy. Według jednej z wielu teorii, brzegi francuskie i hiszpańskie stanowiły jeden koniec świata. Ale gdzie drugi? Karawany podążające ku wschodowi nigdzie nie mogły go znaleźć. Co dziesięć krajów minęły, to znów o dziesięciu innych było słychać; ciągle ziemia i ziemia.

Szerzyły się wieści o Murze Chińskim. Co prawda mętne, bo Chińczyków nikt nie widział. Mówiono tylko, że podróżni, którzy zdołali przejść wszystkie kraje wschodnie, musieli się wrócić, bo trafili najpierw na pustynię, a potem na mur nieprzebyty, wyższy niż nasze kościoły, najeżony szeregiem niebotycznych wież, świecący nieprzepartą bramą. Tak powstało przypuszczenie, że drugi koniec świata jest zamknięty murem.

Ale po co ten mur? I to dało się wytłumaczyć. Mur zbudowano po to, aby Goga i Magoga zamknąć aż do straszego dnia zagłady. Wiedział Pan Bóg, że do każdego więzienia potrzeba dozorczy i na warcie postawił księdza Jana, który zapewne przechadzał się wzdłuż pustyni, odmawiał pacierze i na mur spoglądał. Zaczny książd Jan! Niech mu Bóg da zdrowie i życie jak najdłuższe, bo dopóty będzie spokoj, dopóki on pilnuje.

Elżbieta i Ludmiła przybyły do królestwa księdza Jana. Jakaż była radość, gdy znalazły się między ludem chrześcijańskim i na wielu namiotach dostrzegły zatknięte krzyżyki. Wprawdzie trzej nestoriańscy księża, którzy wędrowali za wojskiem, przez całą drogę opowiadali o tym, ale branki już nikomu i niczemu nie dowierzały, a zresztą, choćby to miało być prawdą, wątpiły, czy potrafią dojść do celu, czy nie umrą w drodze.

Mówiono, że czeka je rok podróży, tymczasem trwała ona dwa lata. Jechały na skrzypiących wozach przez niezmierzone stepy, przedzierały się przez śniegi gór altajskich, przez wąwozy Ujgurów i Najmanów<sup>89</sup>, przeprowały się przez trzydzieści rzek, okrążyły

Kubilaj (1215–1294), Hulagu (1217–1265) i Aryk Böge (1219–1266) (tu: Mangu, Kubilaj, Mogaj i Aryk-Buga). [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Kara-Kitaj* — państwo istniejące na terenie Turkiestanu od ok. 1130 do 1218 r., chanat Zachodniej dynastii Liao, założony przez lud Kitanów, w 1211 r. podbity przez Najmanów, a w 1218 r. wcielony do imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *Turan* — Azja Środkowa. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *Najmanowie* — lud żyjący dziś na terenie Kazachstanu i Afganistanu. W II poł. XII w. wyzwolili się z zależności od Kara Kitaju, a w 1204 r. zostali pokonani przez Czyngis-chana i wcieleni do imperium mongolskiego (ich terytoria stanowiły jego pld.-zach. część). Pochodzenia najmańskiego była najprawdopodobniej Töregene-

pięćdziesiąt jezior, aż na koniec stanęły u gór karakorumskich i w porównaniu z innymi krajami ten wydawał im się bardzo piękny. Wzgórza okrywały bujne lasy, wody były obrzeżone kwieciami. Wszystko dokoła tchnęło barbarzyńskim przepychem. Tutejsze jurty nie przypominały czarnych niskich budek, które można zwinąć i położyć na wózek, to były prawdziwe domostwa, niesłychanie ozdobne i ustawione na wozach o imponujących rozmiarach. Bogaty Mongoł był właścicielem stu albo dwustu takich wozów. Każda z jego małżonek posiadała ogromny dom, za którym jechało wiele mniejszych; mieszkwały w nich służebnice. Dwór bogatego Mongoła wyglądał więc jak miasto. Wnętrze mieszkań łatwo sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę wszystkie zdobycze, jakie z całego niemal świata spływały do mongolskich skrzyń. Szczególnie teraz, kiedy wyprawa powracająca z Polski i Węgier przywiozła nowe łupy, jurty pękały od bogactw. Były to nieprzebrane skarby: chińskie wazony i paryskie naszyjniki zrabowane w bełgradzkich sklepach, tybetańskie tkaniny i krakowskie sukna, weneckie zwierciadła i perskie pancerze, misy z angielskiej cyny i poduszki haftowane w Samarkandzie, rubiny badakrzańskie<sup>90</sup> i polskie bursztyny, Biblie, Korany i księgi Konfucjusza<sup>91</sup>, którymi bawiły się tatarskie dzieci, wydzierając z nich inicjały i obrazki. W nowych warunkach branki znalazły dużo więcej wygód i mogły spróbować europejskiego stylu życia. Kiedy dojechały do brzegów Orchonu<sup>92</sup>, spotkała je jeszcze jedna niespodzianka. Ujrzały miasto już nie na kołach, ale na kamiennych fundamentach, prawdziwe miasto.

## KARAKORUM

Dżyngis-chan od kolebki do śmierci utrzymywał przydomek Niszczyciela. Tysiące miast zburzył, lecz ani jednego nie zbudował. Następca jego, Ogotaj, nie wdychał bynajmniej do chwały ojca. Trzeci z rzędu syn Dżyngis-chana wyróżniał się wśród braci tym, że był ludzki. Obok wielkiej waleczności, której jeszcze za życia ojca dał dowody, posiadał, jak na Mongoła, zdumiewającą łagodność i wyrozumiałość. Nie śmiał postępować wbrew woli rodzica, ale z powodzeń i tryumfów czerpał inne niż on korzyści. Poddął się w sensie duchowym wpływom ludów zwyciężonych i zaczął powoli smakować, jeżeli nie w naukach, to przynajmniej w rozkoszach.

Objąwszy dziedzictwo obciążone przekleństwami, Ogotaj znalazł się w trudnym położeniu. Musiał rozszerzać zabory ojcowskie; nowych laurów i królestw domagała się rodzina, żądał ich cały naród. Nie mógł się obmyć z krwi przodków, ale przynajmniej własną ręką jej nie przelewał. Prowadzenie wojen powierzył braciom, a sam chętnie słuchał roztropnych doradców. Pozwalał, żeby zaprowadzono ład, zmniejszono ucisk, grabież i prześladowania. Protestem przeciwko niszczeniu było założenie stolicy; chan postanowił, że po raz pierwszy coś zbuduje.

Pod górami karakorumskimi, nad pięknym brzegiem Orchonu, istniały jeszcze ślady starożytnej stolicy Ujgurów, słynnego przed pół tysiącem lat Ordu-Bałyku, i właśnie tu chan wznosił miasto godne jego potęgi.

Już z daleka widniał dach Ogotajowego pałacu, zielony i błyszczący, z gzymsem obwiedzionym dokoła srebrnymi wisiorami, dzwonekami i metalowymi trójkątami, które przy najmniejszym wietrzyku potrącały się z cichutkim świergotem, a kiedy nadeszła pustynna zawieja, grały muzyką tęskną jak serce chińskiego mistrza, który je tam zawiesił. Na narożnikach dachu pełzały cztery złote smoki, rozdziawiające paszcze ku czterem stronom świata. Na samym szczycie budowli kilka ogromnych, złocistych strzał powiewało kiściami buńczuków.

---

-katun (Turakina), żona Ugedeja (Ogotaja). Mongolski książę, który pokonał Najmanów, otrzymał dziedziczny tytuł Najman-bega, spadkobierca tego tytułu walczył po stronie Litwinów pod Grunwaldem, a potomkowie sprowadzonych przez niego wówczas Tatarów żyją do dziś na Białorusi i Podlasiu. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>badakrzański, dziś *badachszański* — pochodzący z historycznego regionu Badachschan (dziś na terytorium płn. Afganistanu i płd. Tadżykistanu), ważnego przystanku na trasie Jedwabnego Szlaku i słynnego w średniowieczu miejsca wydobycia kamieni szlachetnych. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Konfucjusz (551–479 p.n.e.) — chiński filozof, twórca konfucjanizmu, doktryny filozoficzno-religijnej polegającej na założeniu, że przestrzeganie obowiązków i zachowywanie tradycji prowadzi do zbudowania idealnego społeczeństwa funkcjonującego w pokoju. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Orchon — rzeka, której źródło znajduje się w centralnej części dzisiejszej Mongolii, a ujście o ponad 1000 km na płn. wschód, wpada do Selengi i z nią do Bajkału. Na rzece znajduje się największy wodospad Mongolii. W dolinie tej rzeki znajdowała się starożytna stolica imperium mongolskiego, Karakorum. [przypis edytorski]

Największym powodem do dumy była sala na tysiąc osób, wysoka jak kościół, podparta dwoma szeregami słupów dzielącymi ją na trzy nawy. Tam Ogotaj siadywał na okrągłej, złotogłowej poduszce wyszywanej perłami, obramowanej dokoła jedwabnym sznurem zakończonym puszystymi chwastami. Przed sobą miał niski hebanowy stolik, wyłożony gorejącą gwiazdą z podłużnych topazów. Obok, na nieco niższej poduszce, królowała pierwsza małżonka chana.

Do podwyższenia, na którym siedziała para królewska, prowadziły schody wysłane bogatymi kobiercami, gdzie w nieustannych ukłonach pełzali podczaszowie; na kłęczkach podawali misy i puchary ciężkie od złota, srebra i klejnotów. Kto śmiało spojrzeć na monarchę, nie widział nic, tylko jedno tęczowe olśnienie.

Po dwóch stronach podium amfiteatralnie piętrzyły się ławy, na których siedziała rodzina cesarska; po prawicy chana synowie i bracia, po lewicy żony i córki. W prawej bocznej ławie siedzieli mężczyźni, sami dygnitarze, doradcy, wodzowie, behadyry<sup>93</sup>, nojany<sup>94</sup>, terchany<sup>95</sup>. W lewej nawie niewiasty, małżonki cesarzy, panie ministrowe i generałowe, każda z orszakiem córek i krewniaczek.

Ściany sali były krwistoczerwone, powleczone chińskim pokostem, który stanowił tło dla złotych motywów: jaskółek, motyli i płazów. Słupy i górne wiązania także kapaly od złota.

Poniżej pałacu, na pochyłej płaszczyźnie zbiegającej aż do Orchonu, rozpościerało się miasto, otoczone wałem ubitym z ziemi, który miał cztery bramy skierowane przez mandaryńskich astronomów w stronę nieba.

W obrębie wałów były dwie dzielnice: muzułmańska i chińska. Pierwsza, przeważnie zaludniona wyznawcami Koranu, stanowiła kupiecką część miasta; tu rozkładały się ogromne bazyry. Indie, Persja i Armenia, ziemie ruskie, a nawet niektóre miasta włoskie miały tu swoich przedstawicieli. W tej dzielnicy, położonej blisko grodu cesarskiego, stały jaskrawo upstrzone dworzyszczka różnych mongolskich potentatów, ogromne budynki kanclerzy, sekretarzy i niezliczonych urzędników. Zarządzanie tylu narodami, przy czynnym udziale Chińczyków, przerodziło się szybko w biurokrację. Druga dzielnica, przyparta do samej rzeki, była siedliskiem chińskich rzemieślników. Każde rzemiosło, przekazywane z ojca na syna, miało tu swoje ulice. Nieustannie leciały wióry spod heblów, zgrzytały nożyce i inne narzędzia, wydawano rozkazy i okładano razami, tylko szczerego śmiechu nie można było usłyszeć.

Za przykładem monarchy arystokracja mongolska budowała się w Karakorum, ale do stałego zamieszkania w stolicy żadna władza, nawet chańska, nie mogła jej przymusić. Sam Ogotaj także nie umiał jeszcze pozbyć się nawyków koczowniczych i przez trzy czwarte roku wędrował z dworskim taborem od Bajkału do Mandżurii. Dopiero z końcem kwietnia zjawiał się w mieście, gdzie spędzał najpiękniejsze miesiące: maj, czerwiec i lipiec, a wtedy stolica brzmiała biesiadami i muzyką. Kiedy ostatnia biesiada ucichła, ludność ze sforami i sokołami wyruszała na dalekie stepy i Karakorum znów zapadało w przerażający dziewięciomiesięczny letarg. Teraz, po śmierci chana Ogotaja, przed zbliżającym się kuryłtajem w stolicy zapanowało ożywienie.

Elżbieta i Ludmiła wjechały do Karakorum zachodnią bramą. Ogromny orszak Ajdara ciągnął przed wrota pałacowe. Behadyr też miał pałac w stolicy, i to w sąsiedztwie grodu cesarskiego. Był ulubieńcem nieboszczyka Ogotaja. W jednej z wypraw chińskich oddał mu wysoką przysługę, nadstawiając własną pierś na strzałę, która miała ugodzić monarchę. Ciężką chorobą przypłacił poświęcenie, ale za to Ogotaj mianował go terchanem, co nie tylko gwarantowało „bezkarność aż do dziewiątego przestępstwa”, ale uwalniało od podatków, przymusowej służby i dawało tysiąc najrozmaitszych przywilejów.

Pałac Ajdara tylko z zewnątrz świecił mnóstwem chińskich ozdób, rzeźb, przystawek i ganeczków, ale wewnątrz komnaty były obdarte i puste. Zewsząd wiało stęchlizną. Branki

<sup>93</sup>behadyr a. bagatur — tur. i mong. tytuł, nadawany przez władcę szczególnie walecznym wojownikom. Źródłosłów polskiego wyrazu *bohater*. behadyry — dziś popr. forma M. lm: behadyrowie. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>nojān a. nojon (mong. ноён) — tytuł szlachecki w Mongolii, używany od średniowiecza do początku XX w. nojany — dziś popr. forma M. lm: nojanowie. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>terchan — wysoki tytuł wojskowy w średniowiecznej Mongolii, nadawany przez chana zasłużonym dowódcom (w późniejszych czasach w cesarstwie rosyjskim tak nazywano ludzi, szczególnie Tatarów, Baszkirów czy Marijczyków, zwolnionych za zasługi od podatków i powinności). terchany — dziś popr. forma M. lm: terchanowie. [przypis edytorski]

weszły do środka i ogarnął je więzienny smutek. Nie było nawet na czym usiąść. Jednakże naprędce zniesiono rogoża i kobierce i po raz pierwszy od trzydziestu miesięcy niewiasty odpoczęły pod dachem, osłonięte ścianami zbitymi z mocnych desek.

Przez całe dwie doby nie można ich było dobudzić; leżały jak martwe. Natomiast Mongołki wstały wcześniej niż zazwyczaj, nie mogły ani spać, ani wypoczywać w takim dziwnym domu, który się nie kołysał. Dusily się, brakowało im rzeźwego nocnego powietrza.

Kiedy Kałga psotami i wrzaskiem przerwał letargiczny sen Elżbiety i Ludmiły, krzątano się w najlepsze koło zagospodarowania nowej siedziby. Trzem pierwszym żonom przydzielono główne izby. Ludmiła jako ostatnia, biorąc pod uwagę datę małżeństwa i prawo, dostała kilka izdebek w bocznej przybudówce.

Kiedy zdobycze Ajdara, przypadające czwartej małżonce, wniesiono do środka, ledwie mogły się pomieścić. Ludmiła chodziła między nimi jak błędna, nie chcąc niczego dotknąć w obawie, by nie trysnęła krew z owoców grabieży. Przybita czarnymi myślami zapadła w odrętwienie. W takim stanie ducha zastała ją Elżbieta. Jak zawsze zaczęła pocieszać:

— Moja najdroższa, pamiętaj, że musisz się przypodobać małżonkowi, tu chodzi o jego nawrócenie. A powiadam ci, obrazisz go, jeśli pogardzisz jego upominkami.

Nazajutrz rano Ludmiła zwołała gromadkę niewolnic i zaczęły najpiękniejszymi przedmiotami przystrajać mieszkanie. Kobierce i makaty zakraśniały na ścianach jak złociste lampy. Pod czarnym stropem zawiesiły połyskujące ozdoby, a sprzęty i naczynia poustawiały na podłodze z bezładem pełnym wdzięku. Wszystko tworzyło bogatą, bajecznie kolorową zbieraninę z różnych krain, stylów i cywilizacji.

Kiedy wieczorem Ajdar przyszedł do pałacu, osłupiał. Ledwie mógł uwierzyć, że w jego domu dzieją się takie cuda.

— Jednak ty jesteś inna niż wszystkie — rzekł i chwycił ją w ramiona.

Na brak miłości Ludmiła nie mogła się skarżyć. Jeśli się skrycie skarżyła, to na jej zbytek, a właściwie na dowody tej miłości. Behadyr kochał ją bardziej niż wszystkie inne żony, przepadał za nią jak za kumysem, traktował ją lepiej niż swego konia, co u Tatarów było czymś niezwykłym. Na pewno ją kochał, jeśli namiętność można tak nazwać, ale porozumiewanie się bez słów, wspólnota dusz, z których powoli wyrasta przyjaźń i przywiązanie, nie mogły się między nimi zadzierzgnąć. Byli sobie bliscy i obcy, jakby za każdym spotkaniem pierwszy raz się widzieli. Ich serca prowadziły jakąś nieustanną walkę, w której skrzydła gołąbki ciągle się wymykały spod skrzydeł sokoła. Dla sokoła ta walka miała urok, podniecała go, dodawała ich małżeństwu świeżego, niewyczerpanego smaku nowości. Ajdar nigdy nie był pewien, czy już zawojował brankę, i choć od ślubu minęło już kilka lat, ciągle na nowo ją zdobywał.

W rozmowach z Ludmiłą coraz częściej poruszał poważne tematy. Czasem nawet żonie zdawało się, że pokrętnymi sposobami szuka u niej rady. Teraz niezmiernie był ciekaw, czy podobała się jej stolica chanów; dla niego była istnym cudem świata. Ale Ludmiła nie śpieszyła się ze zwiedzaniem Karakorum. Ów brak pośpiechu miał swoje źródło w pewnej obawie, która od dawna trapiła branki. Mimo różnych pocieszających pozorów, przekonane były, że prędzej czy później trafią do haremu, jak wszystkie kobiety Wschodu.

Niezmiernie się zdziwiły, kiedy im powiedziano, że mongolskim państwem od kilku lat rządzi kobieta. Kiedy wjeżdżając do Karakorum, spostrzegły mnóstwo kobiet bez zasłon na twarzy, nie wierzyły własnym oczom. Pewnego dnia Arguna przywołała Elżbietę i kazała jej zaprowadzić Kałgę, który był okrutnie ciekaw wszystkiego, do centrum miasta. Chwalić Boga, że choć ona będzie mogła wychodzić, pomyślała Ludmiła. Ale czy pani wypada robić to samo, co służącej? Niepewna, nadto przezorna, aby się narażać na gniew męża i nadto dumna, aby prosić o pozwolenie, nie śmiała się ruszyć z domu. Dopiero kiedy inne żony Ajdara zaczęły się dziwić, że nie odwiedza bazarów, gdy sam Ajdar ją zagadnął pytając, jakie wrażenie zrobiła na niej stolica, zrozumiała, że tu muszą panować jakieś inne prawa. Po tym odkryciu zainteresowała się miastem i krajem, a nawet zaczęła nieśmiało pytać, czy daleko jest ów Chiński Mur. Kiedy dowiedziała się, że o czterdzieści pięć dni drogi od Karakorum, struchlała.

— Jesteśmy na samym końcu świata! — w głosie Ludmiły brzmiała trwoga.

Mąż, Obcy

Kobieta

— Nie można się dziwić, że wojny i nieszczęścia zalały ziemię — odpowiedziała Elżbieta. — Gog i Magog widocznie przełamali zaporę. Już niedługo zabrzmią trąby archaniołów<sup>96</sup>.

Ta myśl była straszna, ale dodawała odwagi. Czy warto się tak troszczyć o doczesne życie, które wkrótce zostanie zwinięte jak wędrowna jurta? Jeszcze trochę pocierpimy, pomyślały branki, lada dzień wszystko się skończy i wrócimy już nie do ziemskiej, ale do niebieskiej ojczyzny.

W celu duchowego pokrzepienia wybrały się do kościoła. Ludmiła jechała konno i z orszakiem, Ajdar nie pozwalał inaczej; Elżbieta szła przy niej w kozuszku i barankowej czapce. Oczy żony behadyra zachodziły łzami; nie mogła się z tym pogodzić.

— Moja Ludko — śmiała się Elżbieta — nie marnuj łez na takie głupstwa.

Oprócz najróżniejszych azjatyckich narodowości, które niewiasty zdążyły poznać w podróży, snuły się tu postaci zupełnie nowe i niezwykle oryginalne. Z bałabajką<sup>97</sup> przewieszoną przez ramię włókł się zamyślony tolholos — poeta mongolski. Z błyszczącą galką na czapce i jedwabnym rękopisem wsuniętym w rękawy kroczył stary, smutny mandaryn. Nieco dalej gołą czaszką błysnął lama, kapłan Buddy, który szedł w żółtym habicie z karmazynową szarfą, z oczami utkwionymi w ziemię. Poważny imam głowę miał ciężką od zwojów, gdzieś tam postukiwał laską duchowny grecki w kołpaku rozłożystym jak czarne wiaderko. Snuli się też kapłani Alanów<sup>98</sup>, przedstawiający odłam wschodniego chrystianizmu, brodacze z dobrodusznymi twarzami, zwykle prowadzący małżonki i dzieci. Najczęściej można było spotkać księży nestoriańskich, za którymi także szły żony.

Gałąź nie odrywa się od pnia bezkarnie. Kacerze, od tysiąca lat osiedleni wśród pogan, przesiąknęli na wskroś pogańszczyzną. Jeden z ówczesnych misjonarzy powiedział boleściwym głosem: „Nestorianie są gorsi od bałwochwalców”.

Elżbieta i Ludmiła ujrzały krzyż zatknięty na przysiadłej szopie i postanowiły udać się w tym kierunku. Przed kościołem, pomiędzy dwoma słupami, wisiała wielka miedziana tablica. Właśnie jeden z księży uderzał w nią czymś podobnym do mosiężnej pałki, nawołując wiernych na nabożeństwo. Kobiety weszły do środka.

Wierni modlili się bardzo długo w języku syryjskim, według liturgii przywiezionej niegdyś z Bagdadu, z której nikt nic nie rozumiał, ale zgromadzeni śpiewali pełną piersią, powiewając złocistymi szatami.

Po skończonym nabożeństwie, kiedy wszyscy wyszli, Ludmiła uchyliła boczne drzwiczki prowadzące, jak sądziła, do zakrystii. Podłoga izby była przysypana mąką, na środku stał szabaśnik<sup>99</sup> buchający zarem, a dokoła kręcili się księża i piekli bułeczki. Gdy niewiasty powiedziały, że chcą przystąpić do Sakramentu Pokuty, księża zaczęli dziwnie na siebie spoglądać, a najstarszy, mierząc wzrokiem bogaty strój Ludmiły, podszedł do niej i rzekł dość uprzejmie:

— Na co wam rozprowadanie grzechów, moja pani? U nas to rzecz nie używana. My mamy lepszy sposób, oto na przykład te święte chlebki. Są tak sławne, że sam wielki chan czasem je od nas bierze i spożywa.

— Cóż w nich świętego? — zapytała Ludmiła.

— My je robimy z resztek mąki, z której był wypieczony bochenek, jakim Zbawiciel łamał się z uczniami na ostatniej wieczerzy.

Ludmiła wzruszyła ramionami.

— Wszak to już tysiąc lat minęło, jak Zbawiciel opuścił ziemię, a wy ciągle pieczecie chleb z owych resztek i wciąż wam wystarcza?

<sup>96</sup>Gog i Magog widocznie przełamali zaporę. Już niedługo zabrzmią trąby archaniołów. — nawiązanie do apokaliptycznych motywów z tradycji judeo-chrześcijańskiej. Gog i Magog są wzmiankowani (lub: wzmiankowane) w kilku tekstach jako osoby, ludy lub ziemie, które mają zagrozić Izraelitom (wg *księgi Ezechiela*) bądź chrześcijanom, a ich pokonanie przez Boga będzie stanowiło wg *Apokalipsy św. Jana* jeden z etapów Apokalipsy. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>bałabajka, dziś bałabajka — instrument strunowy o trójkątnym pudle rezonansowym. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Alanowie — sarmacki lud pochodzenia indoirañskiego. Przewędrowali z okolic Morza Kaspijskiego przez Europę i Półwysep Iberyjski do Afryki Północnej. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>szabaśnik — tu daw. reg.: piecyk, piekarnik (w innym znaczeniu: świecznik używany w tradycji żydowskiej w czasie szabatu). [przypis edytorski]

— A bo widzicie, Duch Święty dał na to radę: ile ujmujemy dawnej mąki, tyle dosypujemy nowej. Tym sposobem nigdy jej nie zabraknie. Tak samo robimy z wonnościami świętej Magdaleny.

— Z jakimi wonnościami? Nic o tym nie wiem.

— Święta Magdalena nie wszystko wylała na nogi Zbawiciela. W amforze alabastrowej, na samym dnie, zostało jeszcze trochę olejku. Chrześcijanie azjatyccy przechowali go i oto my dzisiaj posiadamy tę świętość. Nie uwierzycie, moja pani, jaka to cudowna maść na rozmaite choroby, na rany czy inne bóle. — Uśmiechnął się i figlarnym okiem spojrzął na Ludmiłę.

Ale jej się śmiać nie chciało.

— Ach, Boże! — mówiła zatroskana. — Ile to my już lat bez sakramentów świętych! Ile to już razy w piątek nie przestrzegaliśmy postu!

— A cóż to za grzech? — odparł opryskliwie ksiądz. — Jaki to post w piątek? Rozumiem, post proroka Jonasza, trzydniowy na wiosnę, ten obowiązuje. Ale żeby w piątki nie można jeść mięsa? To stary europejski przesąd. Chyba wy nie tutejsze? — Popatrzył na niewiasty podejrzliwie, a gdy się dowiedział, skąd są, oświadczył stanowczo, że jeśli chcą bywać w domu bożym i korzystać z pomocy duchownych, muszą wyrzec się europejskich błędów i przystąpić uroczyście do kościoła nestoriańskiego, na co jest osobny obrządek, nowy chrzest, kosztujący od trzech bałyszów aż do ćwierć jaskotta, wedle zamożności.

Niewiasty spojrzały na siebie i uciekły przerażone.

## NA BAJKALE

W piękny letni poranek Ludmiła, wracając z bazaru, spotkała w ciasnej uliczce wielkiego dygnitarza. Podczas gdy ich orszaki usuwały się z drogi, by można się było wyminąć, stanęli oko w oko. Jeździec miał ubranie olśniewające, ale rysy szkaradne; przypominał buldoga. Ludmiła wzdrygnęła się i popędziła konia. Tej twarzy chyba nigdy nie zapomni. Był to Kajkuł, ten Kajkuł, który położył rękę na jej głowie, a potem na głowie Jasia. Nieopisane uczucie niepokoju dręczyło ją przez cały dzień.

Nazajutrz Ajdar został wezwany do wielkiego sędziego Mangussara, przed którym drżeli nawet Mongołowie. Zdziwił się niezmiernie, ale po chwili odetchnął z ulgą, przypomniawszy sobie, że jako terchan nie może podlegać żadnej karze. Pojechał z podniesionym czołem. Lecz gdy stanął przed sądem i ujrzał po drugiej stronie Kajkuła, zdrzął na myśl, że tu pewnie chodzi o Ludmiłę. Kajkuł, wysłany do Chin w celu ściągnięcia podatków, wrócił dopiero przed kilkoma dniami. Jego długa nieobecność uspiła obawy, jakie z początku miał Ajdar. Teraz obaj nieprzyjaciele spojrzeli sobie w oczy, a szydarczy wzrok Kajkuła wyraźnie zapowiadał zemstę.

Mangussar, człek ogromny, o płaskiej, prawdziwie mongolskiej twarzy i małych okrutnych oczkach, zauważył tę wymianę spojrzeń, która wróżyła śmiertelną walkę. Zwrócił się do Ajdara:

— Behadyrze, jesteś oskarżony o zbrodnię. Kajkuł powiada, że zatrzymałeś zdobycz przeznaczoną dla wielkiego chana. Sam wybierał dla niego niewolnice, a wczoraj widział, jak jedna z nich jechała przez miasto bez żółtej zasłony i wchodziła do twego domu. Okazało się, że jest jedną z twoich żon. Cóż ty na to?

— Odpowiem prawdę. Ta niewolnica jest rzeczywiście moją żoną, ale oskarżenie Kajkuła spada na jego własną głowę. To on zatrzymał zdobycz przeznaczoną dla wielkiego chana! On ukradł tę niewolnicę i trzymając w ukryciu, przeznaczył ją dla siebie. Przerażona swym losem, uciekła do mego namiotu, pod moją opiekę. Cóż miałem robić? Oddać dworowi już nie mogłem, wyrwana spod żółtej zasłony nie była godna pańskich oczu. Zatrzymałem ją prawem zdobyczy i obrony. A teraz ja oskarżam Kajkuła: jest zbrodniarzem, niech zginie haniebnie!

Kajkuł otworzył osłupiałe oczy. Tyle razy oskarżał niewinnych i bawił się ich rozpazą, a w tej chwili sam poznał to uczucie. Był rzeczywiście niewinny. Nawet mu do głowy nie przyszło, że Kargan chciał mu sprzedać brankę. Obaj nie wiedzieli o jej ucieczce, o jej powrocie, nie znali całej prawdy. Toteż obaj zarzucali sobie winę, przekonani o swej racji.

— Kłamiesz! — krzyknął Kajkuł. — Ja wykradłem ją dla siebie? Wielki sędzio! Bezczelność tego człowieka przechodzi wszelkie granice! Nakaż mu milczenie!

— Ciszej... ciszej... — odparł Mangussar. — Behadyr opowiada bardzo ciekawe rzeczy. Sprawa się wikła, nie taka ona prosta, jak ją przedstawiłeś.

— Ale gdzie dowód? Gdzież ja kryłem tę niewolnicę? Kto to widział?

— Kto widział? Kargan, twój ulubieniec! Trzymał ją w swoim namiocie.

— Chciałbym usłyszeć to z ust Kargana. Ciekaw jestem, czy Kargan ośmieli się przede mną to powtórzyć? Wielki sędzio, wezwij Kargana na świadka.

— Ja go zabiłem! — zagrział Ajdar.

— A! Tyś go zabił — podchwycił sędzia. — Dlaczego?

— Bo mi ją wydzierał, chciał gwałtem zabrać. Teraz żałuję, miałbym świadka. Ale ona sama opowie, przysięgnie, jeśli trzeba.

Wielki sędzia wzruszył ramionami.

— Cóż znaczy przysięga niewolnicy? Powie to, co ty będziesz chciał.

Mangussar był mocno zakłopotany. Żadna ze stron nie mogła postawić przekonującego argumentu świadczącego o niewinności. Nagle przyszła mu do głowy genialna myśl.

— Dobrze! — zawołał sędzia. — Niech przysięgnie, ale na kamień Angary. W tej sprawie tylko duchy mogą rozsądzić.

Ajdar zbladł. Nie mógł odmówić, choć lękał się strasznego kamienia. Kajkuł z radością zawołał:

— Tak! Tak! Na kamień Angary! Teraz już jestem spokojny. Duchy nie mogą się omylić.

— Nie ciesz się tak bardzo — cisnął przez zęby Ajdar. — Pamiętaj, że tu chodzi o gardło.

— Ty również!

— Nie! Ja jestem terchanem, choćbym przegrał, nikt mojej głowy nie dotknie.

— Prawda! Zapomniałem o tym. Nasza sprawa nierówna. To źle... No, ale jak przegram, to stracisz niewolnicę — rozważał Kajkuł.

— Dość pogróżek — przerwał wielki sędzia. — Jutro stawicie się obaj. Jedziemy nad Bajkał!

Ajdar dopadł konia. Z bijącym sercem wpadł do domu. Chwycił Ludmiłę i jednym tchem wyrzucił z siebie:

— Niewiasto, powiedz mi raz jeszcze, ale szczerze, czy uciekłaś do mnie przed Kajkułem? Przed nikim innym, tylko przed Kajkułem?

— Tak. Przed Kajkułem.

— Przypomnij sobie... Może się pomyliłaś? Tam nad limanem wbiegłaś do mego namiotu, gdy Kargan cię gonił, komuż on miał cię oddać? Kajkułowi? Czy pewna jesteś? Może to było jakieś inne imię? Poszukaj dobrze w pamięci... może inne?

— To imię i tę straszną postać dobrze wyryłam w pamięci i chyba już nie uda mi się zapomnieć...

— I mogłabyś przysiąc?

— Przysięgnę nawet na Ewangelię, na księgę mojej wiary.

— Tu nie chodzi o twoją wiarę, tu chodzi o coś większego, straszniejszego. Trzeba przysiąc na kamień Angary. A wiedz, że kto na kamień krzywoprzysięgnie, tego duchy w tej samej chwili ukarzą, spuszcza żywy ogień z nieba albo wciągną w Bajkał. Powiedz, jeżeli nie jesteś pewna, nie narażaj się na próbę. Ja cię ukryję na krańcu świata...

— Ajdarze, jestem pewna. Przysięgnę.

Po zielonych falach Świętego Morza płynęła uroczysta flotylla. Przy sterze długiego, wąskiego czółna sterczał cesarski buńczuk. Na czele siedział Mangussar i podkręcał węża. Przy nim stało kilku oprawców, czekających na skinienie sędziego.

Tuż za czółnem płynęła wielka łódź pokryta czarnym pilśniowym namiotem, w której siedziała Ludmiła, pilnowana przez dwie szamanki, rosłe, śniade niewiasty, z czerwonymi przepaskami na kędzierzawych włosach. Dwa czółna trzymały się łodzi; na jednym siedział Kajkuł, na drugim Ajdar.

Ranek był chmurny i wietrzny, duch Bajkału wyglądał jakoś gniewnie. Wypłynęli o świcie i od tej pory bałwany piętrzyły się coraz bardziej.



Za czterema pierwszymi łodziami płynęło mnóstwo innych. Jechał cały dwór Ajdara, jego żony, złośliwie uśmiechnięte, życzące zguby towarzysze. Obok nich siedziała obojętna na wszystko Arguna. Stał przy niej Kałga i szczyrzył białe zęby w radosnym uśmiechu. Nie rozumiał, z czego się cieszy, ale wszyscy byli bardzo zdenerwowani, więc pomyślał, że na pewno coś komuś zagraża. Na samą myśl o tym zrobiło mu się przyjemnie. Za nim stała Elżbieta; drżała, ledwie mogła utrzymać się na nogach.

Kiedy wpłynęli w łóżyisko Angary, szamanki chwyciły Ludmiłę pod ręce i wyprowadziły z namiotu.

— Wejdz na kamień — rozkazały uroczystym głosem.

Łódka tańcząca po falach to zbliżała się, to oddalała. Ludmiła czekała, sama nie wiedząc na co, a serce jej waliło. Uroczystość przygotowań, czarne spojrzenia szamanek, tajemniczość wód groźnie rozbryzgujących się o skałę wprowadziły ją w niezwykle stan. Nie mogła przemoc dziwnej ociężałości, która ją obezwładniała. Ile razy podniosła stopę, aby wstąpić na kamień, zaraz kamień, rzeka, pokład łodzi, wszystko wirowało w oczach. Na szczęście przypomniała sobie radę Elżbiety; przeżegnała się, oddając sprawę Bogu, i odzyskując spokój, weszła na kamień. Rozejrzała się wokół siebie i spostrzegła dwie łodzie; z jednej patrzył na nią szyderczo Kajkuł. Na drugiej stał Ajdar z kamienną twarzą; zachowywał się tak, jakby żegnał się ze wszystkim, co dla niego najdroższe. Ludmiła wzruszyła się, spojrzała na męża i uśmiechnęła się do niego ciepło i przyjaźnie. Potem złożyła ręce jak do modlitwy i rzekła po mongolsku głośno i wyraźnie:

— Przysięgam na kamień Angary, na którym stoję, że Kargan chciał mnie wydać w ręce obecnego tu Kajkuła i z tego właśnie powodu poprosiłam o pomoc obecnego tu behadyra Ajdara, mojego małżonka.

Umilkła. Zgromadzeni wstrzymali oddech i czekali, co się stanie, czy otworzą się głębiny, czy uderzy piorun z nieba. Ale zamiast piorunów niebo odpowiedziało innym znakiem. Przez chmury przedarł się złoty promień słońca, który oświetlił szczyty gór i Bajkał; zapowiadał się pogodny dzień.

Tymczasem szamanki liczyły do stu; był to czas darowany przez duchy. Za chwilę miał zapasć wyrok.

— Sto! — krzyknęły radośnie. — Przysięga jest prawdziwa!

Wrzawa i okrzyki odbijały się echem od skał. Kajkuł osłupiał; w tej chwili przestał wierzyć w sprawiedliwość duchów. Przetarł oczy i nagle wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Mangussara, który właśnie dawał znak poprawcom.

Ajdar przeskoczył ze swego czołna do łodzi żony i wyciągnął ku niej drżące ręce. Ludmiła oparła się o jego ramię i po raz pierwszy spojrzała na niego czule. Nagle rozległ się okropny krzyk, podobny do ryku niedźwiedzia osaczonego przez obławę.

— Zabijają Kajkuła — powiedział Ajdar, a oczy zabłyśły mu krwawo. Z dziką, prawdziwie mongolską rozkoszą przysłuchiwał się męczarniom wroga.

Serce Ludmiły, które już miało otworzyć się dla małżonka, znów się zamknęło.

Słońce zachodziło, kiedy orszak Ajdara przybił do tajemniczej wyspy Olchon, aby złożyć duchom dziękczynne ofiary za ocalenie Ludmiły. Behadyr, tryumfujący i rozpromieniony, objął kibić swej żony i ostrożnie prowadził ją po skałach. Za nimi szli słudzy i nieśli worki ze skarbami, które Ajdar polecił im wziąć z domu, by w tak ważnym dla niego czasie próby złożyć je jako ofiarę. Szli po coraz dziwniejszych urwiskach, w coraz głębszych ciemnościach, a gdy stanęli na szczycie Achu-Czołan, strasznej skały wysuniętej na kształt zawieszzonego w powietrzu przylądka, wyspa pogrążyła się w ciemnościach. Bajkał wyglądał w dole jak wklęsłe niebo, a niebo roztoczyło się w górze jak sklepienie morze. Podróżnych ogarnął strach; czuli się tak, jakby się znaleźli w nicości. Nagle chuda postać w długim odzieniu wyszła zza skał i spytała grobowym głosem:

— Czego chcecie w Złotej Ordzie duchów?

Ajdar, niezachwiany w odwadze na polu walki, na gruncie sił nadprzyrodzonych utracił wszelką śmiałość. Głosem, w którym dało się wyczuć wzruszenie i zdenerwowanie, powiedział:

— Chcę podziękować duchowi Świętego Morza za to, że litościwie mnie wysłuchał. Przyniosłem dary.

Chuda postać mignęła i znikła w kępie drzew czerniejących pomiędzy głazami. Po chwili usłyszano kilkakrotne uderzenie, jakby młot walił w tarczę. Ten niski i posepny dźwięk rozległ się echem po wodzie i jaskiniach. Na to hasło szereg innych postaci szczupłych i wysokich zaczęło jakby wyrastać spod ziemi. Byli to szamani, którzy ze wszystkich stron, ścieżkami i rozpadlinami, podążali na szczyt strasznej skały, wszyscy w stożkowatych czapkach obwiązanych czerwoną wstęgą, w długich, ciasno przykrojonych szatach w białym i czarnym kolorze. Niełatwo było rozpoznać ich twarze; tylko przy blasku księżyca spod włochatych czapek lśniły oczy zimne jak Bajkał. Stu szamanów rozstąpiło się na dwa półkola. Wzięli między siebie Ajdara i długo śpiewali, a raczej gadali półszeptaną psalmodię.

Nastąpiła chwila ciszy.

Nagle wszyscy razem wykrzyknęli, jak mogli najpotężniej.

— Dziękujemy! Dziękujemy! Dziękujemy, żeś poszczęścił temu oto człowiekowi! A teraz — rzekli do Ajdara — złóż ofiarę. Jeden worek rzuć przed siebie dla ducha wody, a drugi za siebie dla ducha skały.

Ajdar wziął z rąk niewolników dary i stanął na samym brzegu skały ściętej prostopadle do jeziora. Cisnął jeden trzos do wody; lekki plusk oznajmił, że Bajkał pochwyił ofiarę. Ajdar wydał krzyk pół radosny, pół dziki, podobny do krzyku drapieżnego ptaka. Przykleknął, dziewięć razy czołem uderzył o kamienie, a potem nie oglądając się, cisnął za siebie drugi worek. Ten padł między szamanów, którzy tłoczyli się wokół niego, tworząc coraz ciaśniejsze półkole. Po chwili szamani znikli. Ajdar wstał w milczeniu i już chciał wyprowadzić Ludmiłę, kiedy nadbiegła Arguna. Kłaniała się nisko i prosiła:

— Zrób mi tę łaskę... chciałabym zapytać o przyszłość syna. Od dawna marzyłam, aby znaleźć się na Olchonie, tu odpowiedzi najprawdziwsze.. .

— A ja — wtrąciła Zutta, jedna z żon Ajdara — chciałabym wiedzieć, co się dzieje z moją siostrą, której dziesięć lat nie widziałam...

— Ja też chcę o coś zapytać — prosiła druga.

— I ja także! — wołały wszystkie po kolei.

Ajdar uległ prośbom niewiast i zaszedłszy drogę jednemu czarownikowi, przekazał pokornie ich życzenia.

— A jakich szamanów chcecie się radzić? — zapytał czarownik — białych czy czarnych. Biali rozmawiają z duchami życzliwymi, czarni z nieprzyjaznymi.

— Czy ja wiem — zawahał się Ajdar — którzy potrzebniejsi.

— Jedni i drudzy. Dobrze wiedzieć, co się uda, ale też dobrze wiedzieć, co zagraża.

— Ach! — zawołała Arguna — byłoby najlepiej, gdyby można wybrać takiego, który wie wszystko.

— Oho! — rzekł szaman, kręcąc głową — niebagatelne macie wymagania. Musiałby chyba przyjść sam chan szamanów. On jeden zna się ze wszystkimi duchami.

— Ach, poproście, żeby przyszedł! — błagały niewiasty.

— Ja z mojej stadniny — rzekła Arguna — przysłę trzy białe konie na ofiarę.

— A ja — wtrąciła inna — sztukę czerwonego jedwabiu. Może biały lepszy? Jak myślicie?

— Wszystko jedno. Duchom każda ofiara miła. Tylko nie wiadomo, czy chan zechce dzisiaj przepowiadać — powiedział czarownik i zginął w czeluściach pieczary.

Po chwili, która dla oczekujących zdawała się wiecznością, szaman wybiegł z rozognionym wzrokiem wołając:

— Przyjdzie! Wzbraniał się, ale go uprosiłem.

Wtedy na Mongołki padł jakiś strach, którego Elżbieta i Ludmiła nie mogły zrozumieć. Te same niewiasty, które przed chwilą żądały wróżby, teraz cisnęły się jedna za drugą mówiąc:

— Ty pierwsza...

— Nie, lepiej będzie, jak ty pójdziesz pierwsza...

Szamani tymczasem znosili drewno i na środku skały rozniecali ognisko. Wreszcie płomień wybuchnął. Krajobraz, dotąd oświetlony tylko mdłym światłem księżyca, w jednej chwili zajaśniał groźną czerwoną luną, która skakała po urwiskach i wodach Bajkału.

Rozległy się niezwykle głosy dzwonek i z pieczary wyszedł chan szamanów, najmądrzejszy z mądrych. Zdjął czapkę, długą szatę i pozostał w postrzępionych białych i czarnych skórach, typowym stroju wróżbiarskim.

Twarz miał piękną, ale prawie bez koloru, na wskroś zniszczoną przez ascetyzm. Włosy krucze, bujne, zmierzwione, otaczały głowę na kształt czarnej aureoli. Kiedy podszedł do ogniska, podano mu sprężysty łuk i bębenek, zrobiony z trzech gatunków drewna, obciągnięty skórą mieniącą się jak u węża i obity brzękadelkami. Szamani rozstąpili się wielkim kręgiem. Chan zaczął chodzić wokół ogniska powoli, wymawiając półgłosem zaklęcia czy modły i wybijając rytm na bębenu. Niekiedy stawał, podnosił łuk jak różdżkę i kreślił nim jakieś znaki w powietrzu. Krążył tak całą godzinę. Ognisko przygasło. Nagle chan padł na ziemię i zastygł w bezruchu. Dwaj szamani podbiegli, dołożyli szyszek cedrowych i ciernia. Żar syknął i zaczął pełznąć w górę nowym słupem ognia, wydzielając odurzający aromat. Wróżbiarz jęknął jak mordowany człowiek, zerwał się i zaczął biegać wkoło ogniska, coraz szybciej, wydając zwycięskie okrzyki. W końcu puścił się w szalony taniec, który wstrząsał i porywał widzów. Jedni padli twarzą do ziemi i czasem tylko unosząc nieco głowę, spoglądali ukradkiem, inni stali z rękami założonymi i wodzili wzrokiem za szamanem.

Taniec był bardzo wyrazisty i dynamiczny, toteż zmęczeni widzowie zaczęli się zastanawiać, czy kiedykolwiek się skończy. Czarownik nie odczuwał żadnego znużenia, zataczał coraz to większe kręgi, pokazując wszystkim, jaki jest wspaniały i potężny. Nagle zbladł, zamknął oczy i runął na ziemię, wyciągnięty, sztywny. Dwóch szamanów skoczyło z nożami w rękę. Przykłękli i zaczęli ostrzyć jeden o drugi na głowie leżącego. Pod wpływem tego żelaznego zgrzytu wróżbiarz ocknął się, wstał na równe nogi, podniósł bęben i cisnął go za siebie.

Szamani podbiegli ku niewiastom, szepcząc:

— Teraz możecie pytać... prędko, prędko.

Arguna miała podejść pierwsza, ale zaszła nieprzewidziana przeszkoda. Przerażony Kałga nie chciał w żaden sposób zbliżyć się do czarownika, nie śmiał nawet głośno płakać; pochlipywał cichutko, trzymając się sukni Elźbiety.

Chan szamanów stał nieruchomo, oczy miał otwarte, ale nieobecne, twarz kamienną, bez żadnego wyrazu. Czas płynął, szamani się niecierpliwicko. W końcu Zutta podeszła nieśmiało i zapytała z drżeniem w głosie:

— Co robi moja siostra?

— Leży w jurcie nad jeziorem Kulun-Noor. Jest chora... Bardzo chora... poprawia teraz wołok pod głową... boli ją głowa... Przy niej kręci się stara kobieta z niebieską płachtą na plecach.

— Czy ona wyjdzie z tej choroby? Czy ją kiedy jeszcze zobaczę?

— Wyjdzie z choroby, ale dopiero po dwóch obrotach księżycy. A ty ją zobaczysz po dziesięciu obrotach księżycy. Wtedy sama przyjdzie do ciebie i niespodzianie zgubę ci przywróci. — Szaman przestał mówić.

Zutta zastanawiała się, o co by tu jeszcze zapytać, ale tymczasem Biga zajęła jej miejsce. Jakaś zgryzota musiała ją trawić, bo cała się trzęsła. Rzuciła okiem pełnym nienawiści na Ludmiłę i zapytała ostrożnie, ważąc każde słowo:

— Czy odzyskam kiedy to, co utraciłam?

— Odzyskasz, ale odzyskanie więcej ci przyniesie goryczy niż rozkoszy.

Ludmiła odgadła, że Biga chciałaby odzyskać pierwszeństwo w sercu małżonka i ogarnęły ją złe przecucia. W tym czasie Arguna znalazła energię, której nikt się po niej nie spodziewał, bez wahania wzięła Kałgę na ręce i podeszła do wróżbity. Chłopiec bał się, ale stał jak wryty, patrząc, jak szamani chwytają pod ręce jego piastunkę i przemocą stawiają obok niego.

Wtedy Arguna zapytała:

— Czy ta kobieta niesie szczęście mojemu synowi?

— Tak. Wielkie szczęście...

— Cóż ja mam zrobić? Póki mały, niańka może za nim chodzić, ale jak wyrośnie, co wtedy będzie? Czy mają wszędzie prowadzać, na uczty, wojny...

— Po co? Niech chodzi w sukniach, które ona mu uszyje. Póki w nich będzie chodził, póty będzie jadł, pił i zabijał nieprzyjaciół. Jak ostatnią z nich włoży, wszystko się dla niego skończy. — Odpowiedź zadowoliła Argunę.

Ochmistrzyni dworu, stara Ujgurka, podeszła do Elżbiety i szepnęła jej do ucha:

— I ty spytaj o swojego synka. Już ci się drugi raz taka sposobność nie zdarzy. — A widząc wahanie Elżbiety, przypuszczała, że boi się szamana, więc porwała ją za rękę i zaciągnęła do czarownika. — A co robi dziecko tej kobiety?

— Czekajcie... Gdzie jest dziecko tej kobiety? A! Widzę je... Bardzo daleko stąd, ale widzę je, siedzi na tratwie... Tratwa jest na rzece... Na brzegu leżą stosy drzewa ułożone równiutko... dziecko bawi się z braćmi, trzema braćmi... ale smutne i obdarte. Przy ogniu siedzi ojciec tego dziecka i wiąże sieci.

Bojąc się Tatarów, branki nie śmiały w żywe oczy przeczyć. Ludmiła, zawsze harda, zdobyła się na odwagę i zapytała głosem, w którym dźwięczała nuta niedowierzania.

— Jesteś pewien, że to jego ojciec i bracia?

— Słyszę, jak do nich mówi: „ojcze”, „bracie”.

— A jakimże on mówi językiem? — podchwyciła Elżbieta.

— Swoim.

— A ty rozumiesz — rzekła drwiąco Ludmiła.

— Ja wszystko rozumiem — odparł szaman.

Niewiasty podziwiała bezczelność, z jaką wróżbita brnął po błędnej drodze. Oburzone kłamstwem, którego niepodobna mu było dowieść, zamilkły. Nastąpiła chwila ciszy. Nagle szaman, choć nie pytany, zaczął przemawiać:

— Po co wy się mnie radzicie? Jest między wami istota, która wie daleko więcej ode mnie. Niewiasta przynosząca szczęście dziecku, ta niewolnica pogardzana — to wielka szamanka. Dziwna rzecz, ona duchów nie szuka, one jej szukają, stoją wokół niej całymi gromadami. I nie ma tam ciemnych, same jasne... — zamilkł, a wszystkie oczy zwróciły się na Elżbietę z najwyższym podziwem i czcią.

Po chwili wróżbita krzyknął niewyraźnie, upadł i zaczął się wic w konwulsjach. Był to znak, że ekstaza dobiegła końca. Szamani porwali go i zanieśli do pieczary, skąd jeszcze długo dochodziły ciężkie jęki.

Świt szarzał, kiedy podróżni wrócili do łódek. Noc spędzona na Olchonie przyniosła dla branek błogosławione skutki, mimo że wróżby szamana nie zrobiły na nich wrażenia. Osobliwy hold oddany Elżbiecie otoczył ją tajemniczą magią szamanizmu, która miała niezwykle wpływ na Tatarów<sup>100</sup>. Ajdar zaczął okazywać jej szacunek. Arguna była rozdarta między dwoma uczuciami. Chlubila się z posiadania takiej istoty pod swoim dachem, ale nie mogła patrzeć na nią bez lęku. Nieustannie zaklinała syna, aby ostrożnie postępował z piastunką. Uspokojona przepowiednią szamana zgodziła się, by syn pobierał naukę bez niańki. Już go nawet próbowała powierzać innym niewolnicom, a Elżbietę zapędziła do szycia. Branka z prawdziwą przyjemnością podjęła się nowej roboty; po pierwsze uwolniła się od ciągłego czuwania nad niecznośnym dzieciakiem, a po drugie całe dnie mogła spędzać z Ludmiłą.

Pobyty w Karakorum nie trwał długo. Wyruszone znowu, teraz już nie w podróż, ale na koczowanie. Mimo włóczęgi z pastwiska na pastwisko, życie Elżbiety i Ludmiły niewiele się zmieniło. Powoli zaczęły przyzwyczajać się do szarych codziennych zajęć.

W dziesięć miesięcy po niezapomnianym pobycie na wyspie Olchon zaszła przygoda, która mocno zastanowiła branki. Podczas obozowania nad rzeką napotkano szereg wozów. Okazało się, że to siostra Zutty jedzie do męża z całym orszakiem. Zapytana o zdrowie, odrzekła, że teraz czuje się dobrze, ale przed kilkoma miesiącami, stojąc nad jeziorem Kulun-Noor, ciężko zachorowała. Potem z kolei zapytała Zuttę, czy nikt tu nie stracił dwojga źrebiąt, które przybłąkały się do jej taboru. Po sprawdzeniu okazało się, że istotnie zginęły z Ajdarowych stadnin.

<sup>100</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

## KURYŁTAJ

Wiosną 1246 roku został zwołany kuryłtaj, wielki sejm elekcyjny, którego odwiecznych praw Tatarzy<sup>101</sup> twardo strzegli. Chlubili się bardzo, że jak daleko sięgała pamięć ludzka, zawsze wolnymi głosami wybierali przywódców.

Od czasu Dżyngis-chana wybór, z uwagi na wdzięczność i księgę ustaw, zawężił się wyłącznie do jego potomstwa, jednak i tak było w czym wybierać. Liczba kandydatów, rozliczność ich zalet i zasług, czyniła wybór trudnym. Przed dwudziestokilkoma<sup>102</sup> laty elekcja Ogotaja poszła gładko i jednomyślnie. Teraz były inne czasy. Różnice zdań, niepewność powstrzymywały bieg wydarzeń.

Kujuk<sup>103</sup> kończył czterdziesty piąty rok życia, wielki czas na rozpoczęcie rządów. Bardzo tego pragnął, a przy tym nie mógł patrzeć na lekkomyślność regentki Turakiny, która marnotrawiła skarbiec. Księżna Ogul-Gajmisz, pierwsza żona Kujuka, też była spragniona władzy, radziła się ciągle szamanów, a ci wróżyli na dwoje, mówili, że nie widzą jasno. Kujuk jak gracz, który stawia na jedną kartę, chciał już jak najszybciej rozstrzygnąć sprawę. Poprosił matkę o zwołanie kuryłtaju. Co prawda zwoływała go już kilka razy, ale jakoś nie mógł dojść do skutku. Głównie z przyczyny księcia Batego, który od lat wymawiał się ciężkim bólem nogi. Tłumaczył się, że tak daleka podróż, od Wołgi do Bajkału, bardzo nadwyręży jego siły. A że był wielce szanowany, rodzina nie chciała bez niego podjąć żadnej decyzji. Teraz jednak cierpliwość możnowładców zaczynała się wyczerpywać.

— Trudno, przyjedzie czy nie przyjedzie, trzeba radzić! — I gońcy, ogłaszający sejm wyborczy, rozbiegli się nie tylko po Mongolii, ale i po wszystkich zawojowanych ziemiach, co stanowiło więcej niż pół świata.

Cała Azja zaroila się tłumami podróżnych. Ciągnęli królowie, pragnący uzyskać urzędowe przyznanie prawa do korony. Ciągnęły poselstwa od królów państw wolnych, na gwałt szukające zgody z konfliktowym sąsiadem.

Oprócz urzędowych orszaków, jak okiem sięgnąć, wszędzie było widać karawany kupców. Nadciągały na sejm jak paktwo na pole bitwy. Kupców przyciągała nadzieja, że w takim tłumie łatwo będzie sprzedać najdroższe i najrzadsze towary. Szły bez końca muły i osły objuczone skrzyniami i pakami.

Przybyli wszyscy mongolscy cesarzowicze, księżęta i panowie tatarscy. Jechali, ciągnąc za sobą domy, żony, niewolników i trzodę. Karakorum nie zdołałoby pomieścić takiego napływu ludności, więc kuryłtaj zwołano w oddalonym o pół dnia od stolicy Dalan-Daba.

Na ogromnej równinie zbudowano koliste podium opasane ogrodzeniem z chińskiej plecionki. Krąg był tak ogromny, że około sześciu tysięcy osób mogło poruszać się w nim swobodnie. Na środku stał olbrzymi namiot, na dwa tysiące posłów, cały z białego aksamitu ułożonego w dekoracyjne fałdy. Draperie dźwigały kopułę, która zwieńczona była koroną.

Co dzień przybywali nowi goście. Najpóźniej stawiały się znakomitości.

— Czy jest już książę Batu — pytano nieustannie.

— Jeszcze nie, ale obiecał, że przyjedzie, tylko go patrzeć.

Tymczasem ściągali liczni bracia Batego. Przybycie każdego z potentatów budziło zainteresowanie. Ale naprawdę zawrzało, kiedy przybyła księżna Siurkukteni<sup>104</sup>. Powstał zgiewek, harmider i zamieszanie, ludzie lecieli hurmem na jej spotkanie, opowiadali sobie cuda o wspaniałości orszaku, witali jak nową królową Sabę. Wszędzie mówiono:

<sup>101</sup> *Tatarzy* — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *dwudziestokilkoma* — dziś popr. forma N. tego złożonego zaimka liczebnego brzmi: dwudziestoma kilkoma. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *Kujuk* a. *Güyük* (1206–1248) — wnuk Czyngis-chana, władca imperium mongolskiego w latach 1246–1248. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *Siurkukteni* a. *Sorkaktani-beki* (zm. 1252) — księżniczka mongolska, córka chana Kereitów, Ong-chana. Po klęsce ojca w bitwie z wojskami Czyngis-chana została synową zwycięzcy, żoną jego syna Tołuja (tu: Tułuja, ok. 1190–1232), po śmierci męża przez wiele lat zarządzała jego ulusem. Jej synami byli: Mongke (1209–1259), Kubilaj (1215–1294), Hulagu (1217–1265) i Aryk Böge (1219–1266) (tu: Mangu, Kubilaj, Mogaj i Aryk-Buga). [przypis edytorski]

— Na pewno wszystko pójdzie dobrze, kiedy jest mądra księżna. — I było to zdanie nie tylko prostaków, ale ministrów i wodzów.

Księżna Siurkukteni była piękną córką cheraickiego<sup>105</sup> króla Ong-chana<sup>106</sup> (legendarnego księcia Jana), o którą Temuczyn<sup>107</sup> prowadził wojnę. Tułuj, najmłodszy syn Dżyngis-chana, spostrzegłszy w namiotach Ong-chana uroczą królową, wlewającą w złote czary kumys dla bohaterów, rozmiłował się bez pamięci i popchnął ojca do zuchwałej propozycji, którą niestety odrzucono. Lecz przyszedł czas, kiedy Dżyngis-chan i wzgardzony Tułuj zatryumfowali. Po zwycięstwie nad Ong-chanem dumna dziewczyna dostała się w ich ręce. Nie poszukiwali innej zemsty, najgorszą było przymusowe małżeństwo. Piękność i majestat królowy wkrótce rozbroiły zwycięzców.

Zaślubiny były smutne; oblubienicę wiedziono po zwaliskach rodzinnego państwa, po ziemi, na której zginął jej ojciec.

— Któż winien, jeśli nie ty sama? — mówił Tułuj. — Czemuż mnie wcześniej nie chciałaś? Dlaczego jesteś taka, że trzeba albo cię posiąść, albo świat zapalić?

Nie wiadomo, co młoda małżonka odpowiedziała w pierwszej chwili, w każdym razie, po wielu latach ukazała się uśmiechnięta, szczerze czy pozornie pogodzona ze swym losem. I choć na wyprawach wojennych zdobyta, panowała dobrocią, urokiem i rzadką mądrością. Dzięki tym cechom niezadługo stała się najbardziej ulubioną synową Dżyngis-chana. Później chan Ogotaj okazywał jej wyjątkowe poważanie, a po śmierci Tułuja wyprawił poselstwo do wdowy, prosząc o jej rękę dla syna Kujuka.

Gdyby księżnie chodziło jedynie o własne wyniesienie, zapewne poślubiłaby Kujuka, który najprawdopodobniej zapewniłby jej koronę cesarską. Ale już minęły czasy, gdy Siurkukteni myślała wyłącznie o sobie. Ze związku z Tułujem miała czterech synów i ze względu na nich odważyła się po raz drugi odmówić swej ręki mężczyźnie z rodu Dżyngis-chana.

— Bardzo mi przykro — rzekła do swatów — że nie mogę być posłuszną wielkiemu chanowi, ale wychowanie dzieci zabiera mi czas i serce.

Mimo odprawy Ogotaj pozostał nadal w przyjaznych stosunkach z księżną, a Kujuk, mimo pierwszego kosza, ciągle jeszcze żywił nadzieję, że wytrwałością ją zdobędzie.

Księżna tymczasem zajęła się troskliwym i rozumnym wychowaniem synów, z których wyrosli, w azjatyckim znaczeniu tego słowa, ludzie wielcy: Mangu, Kubilaj, Aryk-Buga i Mogaj — to z nimi związała szczęście i przyszłość mongolskiego państwa; życzyła mu wytrwania w świetności, w nadziei, że ta świetność spadnie kiedyś na dzieci. Mówiono po cichu, że księżna Siurkukteni jest główną sprężyną, prawdziwą duszą stronnictwa, które chce potomków Ogotaja pozbawić berła; mówiono, że księżę Batu nie cierpi Turakiny i Kujuka, a przepada za „mądrą księżną” i specjalnie przez całe lata nie przyjeżdża, aby jej zostawić czas do namysłu i rozsądnego działania. Na spotkanie pięknej chatuny wyjechał wspaniały orszak, w którym znalazł się też Ajdar i jego żony. Ludmiła pragnęła poznać księżną, która jako córka Ong-chana była chrześcijanką. Nestoriański chrześcijaństwo zostawiał dużo swobody i tolerancji, ale był bliższy Europejczykowi niż religia Wschodu. Natomiast dla mieszkańców nadbajkalskich państwo Cezarów, królestwo Franków, a zwłaszcza Stolica Apostolska były zakłętymi, gdzieś za morzem, krainami czarów i poezji.

Ajdar przedstawił księżnej swoje żony. Siurkukteni od razu zwróciła uwagę na czwartą żonę behadyra, która posiadała wdzięk i wykwiłtne maniery. Ledwie spojrziała na jej towarzyski, natomiast Ludmiłę wyróżniła rozmową i względami. Ajdarowi aż serce rosło.

Następnego dnia starzy i młodzi dyplomaci zgromadzili się w namiotach księżnej, podczas gdy inni sejmikowali u rejentki<sup>108</sup>. Oczekiwano już tylko księcia kapczackiego. Ranki schodziły na mało ważnych naradach, a po południu obóz oddawał się uciechom i pijaństwu.

<sup>105</sup>cheraicki — związany z ludem Cheraistów. *Cheraici*, dziś *Kereici* a. *Keraici* — lud środkowoazjatycki, pochodzenia mongolskiego a. tureckiego, od XI w. wyznający nestorianizm, walczyli z Tatarami, pokonani weszli w skład imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Ong-chan, Jong-chan a. *Tó'orit Ong-chan* (zm. 1203) — władca Keraitów (tu: Cheraistów), pokonany przez Czyngis-chana. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Temuczyn a. *Temudżyn* — imię Czyngis-chana. *Czyngis-chan* (1155/1162–1227) — twórca imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>rejentka (daw.) — regentka. [przypis edytorski]

Wreszcie postanowiono otworzyć sejm bez księcia Batego. Dzień drugiego lipca został wyznaczony ostatecznie na rozpoczęcie kuryltaju. W tym dniu rejentka Turakina okazała swą niezwykłą hojność. Rozsyłanie szat honorowych było zwyczajem od wieków przyjętym na Wschodzie; rozdawano je przy każdej ważnej uroczystości najwyższym dostojnikom. Turakina poszła dalej, o świcie wysłała szaty z „białej purpury” wszystkim wyborcom, bez wyjątku. Kiedy zeszli się wokół namiotu, widok był imponujący.

Wreszcie zamknięto bramy ogrodzenia. Do południa trwały narady, przemowy, przeglądanie dżyngischanowych ustaw. Po południu bramy otwarto i wybuchnął gwar biesiady. Co w tym dniu uradzono? — to pozostało tajemnicą dla tłumów.

Ajdar wrócił do domu wcześniej niż zazwyczaj. Wszedł do Ludmiły jakiś dziwnie podniecony i patrząc jej przymilnie w oczy, rzekł:

— Wiesz, jaki cię zaszczyt spotyka? Rozmawiałem z chatunami, a tu księżna Siurkukteni podchodzi do mnie i mówi: „Co się dzieje, behadyrze, z twoją piękną żoną? Szkoda, że jej tu nie ma”. Księżna Turakina słysząc to, zawołała: „Tak, tak, terchanie, cuda słyszę o twojej żonie i ja bym chciała ją poznać, i to jak najprędzej. Przyprowadź ją jutro do naszego stołu”. Jutro, jak tylko narady się skończą, przyślę po ciebie. Ubierz się pięknie, bo to nie żarty. Jak żyjesz, nie byłeś w takim zgromadzeniu.

Ludmiła uśmiechnęła się z lekkim przekąsem i rzekła:

— Przecież ja u naszych królów bywałam na ucztach!

Ajdar nieznacznie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Cóż tam twoi królowie obok dworu chanów?”. Jednak nie wymówił tych słów. Nie chcąc ranić serca swojej gołąbki, od razu zmienił temat:

— Już w pierwszym dniu obrad zaszedł nieprzewidziany incydent — opowiadał Ajdar. — Wykreślono z liczby kandydatów małego Szyramuna, Ogotajowego wnuka. Nie pomogły gorzkie lzy matki ani rzewne przemowy jego przyjaciół. Uznano jednogłośnie, że ster wielkiego państwa potrzebuje koniecznie dojrzałej ręki. Teraz więc — ciągnął — pozostaje pytanie, czy książę Kujuk się utrzyma? Ja muszę głosować za nim, bo przysięgam Ogotajowi. Gdyby nie ta przysięga, wolałbym syna księżnej Siurkukteni, która w małym paluszkach ma więcej rozumu niż ta gęś Turakina w stu głowach perskich i tureckich.

— Księżna Siurkukteni jest chrześcijanką. Duch Święty daje jej mądrość. — Ludmiła dyplomatycznie zwróciła uwagę męża na sprawy wiary.

— Gdybym przypuszczał, że ta twoja wiara daje rozum i szczęście, to może... — wahał się Ajdar. Ale nie — dodał, wzdychając — chrześcijanie nie są mądrzejsi ani szczęśliwsi od nas, skoro się dali pobić... To najlepszy dowód! No, ale koniec z tym, lepiej pomyśl o stroju, chcę, byś wyglądała przepięknie i przyćmiła wszystkie chatuny.

## GOŁĘBIE Z DOMU

Ludmiła kazała sobie przynieść wszystkie szaty i kosztowności, aby je przejrzeć, niektóre z nich przymierzyć i stworzyć jakąś gustowną kompozycję.

Jej dom na kołach miał jedną sporą salkę i małą sień, do której wchodziło się od strony zaprzęgu. Komnata była wysłana bagdadzkim dywanem w szafirowe wzory, o włosie tak wysokim, że się ugiął pod stopami. Ścianki, okryte malowaną pilśnią, od wewnątrz zostały wyłożone złotym atlasem. Jakiś chiński tapicer ułożył go w misterne fałdy, a pod dachem udrapował półkoliste wachlarze. Przy ścianie stała niska sofa obłożona perskim kobiercem i walkami, raz na zawsze przybita do podłogi. Nad sofą Ludmiła zawiesiła wizerunek Matki Boskiej. Była to bizantyjska robota. Ten śliczny połączony obrazek znalazła między łupami Ajdara i o dziwo, nikt jej go nie wydzierał z rąk. Na sofie tatarskie panie spędzały zazwyczaj nie tylko noce, ale i dnie. Ludmiła w czasie podróży też najczęściej korzystała z tego sprzętu, bo przy nieznośnym kołysaniu wszystkie nie przymocowane do podłogi przedmioty tańczyły i przewracały się jak na okręcie. Ale gdy tylko wozy stanęły na dłużej, wnet kazała wyjmować ze skrzyń rozmaite rzeczy i dekorowała pokój.

Teraz siedziała na dywanie, otoczona zwojami adamaszków, i otwierała szkatułki wypełnione po brzegi pękami zausznic, łańcuchów i sznurami pereł. Przy tym zajęciu zastała ją Elżbieta.

— Dobrze, Elżuniu, że jesteś. Mam dziś wyglądać jak chatuna — roześmiała się Ludmiła — tak chce mój małżonek. A ty zawsze każesz mi spełniać jego życzenia, więc musisz mi doradzić, co mam na siebie włożyć.

Nie wiadomo kiedy rozmowa o strojach zamieniła się w ploteczki, głównie z powodu pewnej nie sprawdzonej wieści. W obozie od kilku dni opowiadano sobie, że pomiędzy ambasadorami są jacyś „posłowie od Franków”. Na pewno ludzie z Europy. Ale z jakiego kraju? W jakim celu przysłani? Pewien Tatar opowiadał drwiąco, że to posłowie z kraju, którego nie warto podbijać, wychudli, obdarci, powrozem przepasani i w drewnianym obuwiu.

— Może to zakonnicy — zastanawiała się Ludmiła. — Może franciszkanie? Oni właśnie opasują się sznurem i noszą sandały. Ale skądże by się tu wzięli?

— Wiesz co — zaproponowała Elżbieta — wybiorę się na bazar i rozpytam o tych posłów. Postaram się wszystkiego dowiedzieć. A ty zacznij się stroić, bo robi się późno. — Po tych słowach wybiegła.

Zważywszy, że poszukiwania zabiorą pewnie dużo czasu, wołała opowiedzieć się Argunie.

— Proszę pani — rzekła — nasz panicz ma już sporo sukien, ale wszystkie strasznie zwyczajne i proste. Chciałabym zrobić coś ładniejszego, jak przystoi na dziecko pańskie. Umie haftować złotem i jedwabiami. Teraz, kiedy już ma w czym chodzić, mogłabym popracować staranniej, bez pośpiechu. Jeśli pani pozwoli, przejdę się po bazarach i poszukam nici. Są tu różni kupcy z chrześcijańskich krajów, zajrzę do nich, tam najprędzej znajdę to, czego mi trzeba.

— A proszę — ucieszyła się Arguna — idź, gdzie chcesz. Kupuj, szukaj, a jak zrobisz coś ładnego, to dostaniesz nowy kożuszek.

Elżbieta wybiegła jak na skrzydłach. Wkrótce jednak zwolniła kroku i zaczęła się nerwowo rozglądać. Wśród namiotów i wozów było mnóstwo uliczek, ale wszystkie do siebie podobne. Panował straszny tłok i wrzawa. Zatrzymała się przy skoczkach, którzy popisywali się zręcznością, ale zaraz niewolnicy zaczęli rozpędzać pospólstwo; przejeżdżała jakaś ważna osobistość. Na szczęście nawinął się przewodnik. Był nim Filipek, syn złotnika Wilhelma, czupurny dwunastoletni chłopak. Od pięciu lat chowany między pogaństwem trochę przypominał Tatarzątko, a trochę gamina<sup>109</sup> paryskiego. Nikt się tak nie cieszył kuryłtajem, jak ten chłopak o czarnych, rozbieganych oczkach. Wszędzie musiał nos wścibić, wszystko sprawdzić, z każdego pożartować, a przy tym oddawał tysiące usług.

W najlepsze sobie gwizdał, stojąc przed perskim straganem, kiedy zaczęła go Elżbieta.

— Do bazaru? Najlepsza będzie inna droga — powiedział rezolutnie Filipek i już chciał dokładnie wszystko tłumaczyć, kiedy Elżbieta przerwała:

— A tędy dojść nie można?

— Można, ale dużo dalej. Trzeba iść przez obozowisko posłów.

— A puszczą nas?

— Mnie wszędzie puszczą. Niech tylko powiem, że idę od złotnika Wilhelma, to się zaraz rozstępują jak przed jakimś nojanem — przechwalał się Filipek. W pewnej chwili złapał się za głowę i krzyknął: — Dostałem polecenie od ojca, jeszcze wczoraj wieczorem, jak mi święty Dionizy miły, zapomniałem! Tyle tu rzeczy ciekawych, że człowiek o rodzonym ojcu zapomina. Chcecie, to pójdziemy razem, wracać się już nie warto.

— Dobrze. Niech też i ja zobaczę tych posłów. A słyszałeś, Filipku, że podobno są z Francji?

— Bajka, nie z Francji, ale z Rzymu. Ja ich jeszcze nie widziałem, ale Węgrzyn mi mówił, że to są księża przysłani przez samego papieża.

— Ach! — zawołała Elżbieta. — Tak bym chciała, aby to była prawda! Żeby tak można było się wypowiedać, poradzić w trudnych sprawach! Myśmy już pięć lat nie widziały prawdziwego księdza!

Doszli do zagranicznych taborów.

— O, teraz warto spojrzeć! — zawołał Filipek.

<sup>109</sup> *gamin* (fr; wym. *gamę*) — chłopak, dzieciak. [przypis edytorski]



Elżbieta podniosła wzrok i oczy jej zabłyśły. Po prawej stronie drogi, w pełnym blasku słońca, stały pąsowe namioty ze złotymi kiściami i sejwanami. Pod namiotami słały się kobierce jak łąki pełne kwiatów. Wszędzie kręcili się ludzie w długich szatach obszytych najwspanialszymi futrami. Na głowach mieli turbany o tulipanowych zwojach, spięte drogocennymi broszami, spod których strzelały oczy jak czarne diamenty. U boku zwisały krzywe szable wysadzone rubinami i szafirami. Nawet szkarłatne czapraki koni kapwały od perł.

— Chyba przybyli z najbogatszego królestwa na świecie? — zastanawiała się Elżbieta.

— Nie dziwota, mateczko. To poselstwo kalifa Bagdadu. Jest na co patrzeć! Ach, ta szabla tam, widzicie? Niby tylko stal, a jakież to cudowne! Albo ta spinka ze szmaragdów, co za kamienie, co za oprawa! Mój ojciec musi tu koniecznie przyjść i zobaczyć... — Filipek stał, gapiąc się na wszystko jak dziecko i jak artysta.

— No, chodźmy już, chodźmy. — Elżbieta pociągnęła go za rękaw. — Chyba do wieczora nie zajdziemy na ten bazar.

Przechodzili przez obozy coraz to innych poselstw. Tuż za bagdadzkimi namiotami, w niejakim odosobnieniu, stało kilka wózków tatarskich i wychudłe konie, przy których kręcili się jacyś ludzie. Filip, który miał sokole oczy, od razu wypatrzył zakonników.

— Jeśli się nie mylę, to chyba posłowie z Rzymu.

— Gdzie? — spytała nerwowo Elżbieta, rozglądając się i szukając europejskich strojów.

Dopiero gdy chłopiec wskazał tabor, dostrzegła dwie chude, wysokie postaci, które miały w koło podgolone włosy i bose stopy wsunięte w sandały. Brunatne habity z kapturem wisały na nich jak na kołku. Obaj odwróceni byli tyłem i rozmawiali z Azjatami. Od razu rozpoznała habity franciszkańskie. Podbiegła bliżej. Jeden z nich odwrócił się i wtedy dostrzegła twarz zwiedłą i żółtą jak воск, ale tchnącą niewymownym spokojem i dobrocią. Stała jak wryta; chciała krzyknąć, ale głos jej uwiązł w piersiach. Złożyła tylko ręce jak do modlitwy i drżała ze wzruszenia.

Zakonnik przyglądał się jej niepewnie; nie dowierzał własnym oczom, na koniec rozkrzyżował ręce i krzyknął po polsku:

— Pani Elżbieta! Wielki Boże! Niech będzie pochwalony...

## BRAT BENEDYKT

W żółtym atlasowym pokoiku stroiła się Ludmiła. Postawiono przed nią syryjskie srebrzyste zwierciadło, wybornie wygładzone, w miedzianej kunsztownej ramie. Było za nadto ciężkie, by lakowe stoliczki albo cienkie ściany mogły je utrzymać; postawiono je więc na dywanie, trochę skośnie, a Ludmiła, chcąc się w nim przejrzeć, musiała przysiąść nisko na podłodze.

Miała na sobie dwie szaty; pod spodem wzorzystą tunikę, długą aż do ziemi, z chińskiej tkaniny. Na wierzch wdziała chałat wschodni, uszyty z mięsistego tarkułu. Wyglądał on skromnie, był biały, ale tak wspaniale przylegał do sylwetki i tak miękko się układał, że osoba weń przystrojona stawała się od razu posągiem. Toteż chałat Ludmiły, sam przez siebie piękny, nie posiadał żadnych dodatkowych ozdób. Z przodu i na bokach były rozcięcia, więc tunika spodnia wystawała zewsząd, rozweselając barwami i wzorem surową biel sukni.

Niewolnice zasnuwały małe trzewiczki i zaczęły ustawiać na głowie Ludmiły wysadzane klejnotami bottę. Wtem niezwykle hałas przerwał toaletę. Ktoś gwałtownie wbiegł na schodki, trzasnął drzwiczkami, szarpnął zasłony; do pokoju jak huragan wpadła Elżbieta. Rzuciła się na przyjaciółkę. Serce waliło jej głośno, a twarz oblewał rumieniec.

— Jaś! Jaś! O, Boże! On go widział! — krzychała dziwnym głosem, jakby nie swoim.

— Kto go widział? — wyjąkała zdumiona Ludmiła.

— Brat Benedykt!

Ludmiła struchlała na myśl, że niewola pomieszała zmysły biednej Elżbiecie. Bo kto mógł widzieć Jasia? Cóż to wszystko znaczy?

Elżbieta widząc strach i niedowierzanie w oczach przyjaciółki, wybuchnęła radosnym śmiechem.

— Ty nie wierzysz? A ja go widziałam przed chwilą. Tak! Naszego braciszka Benedykta! No, naprawdę go widziałam i ty go zobaczysz.

— Jak to? Więc i on w niewoli?

— Ale gdzież tam? Przyjechał tu z dobrej woli, papież go przysłał. On jest jednym z posłów, którzy przyjechali z Rzymu.

Ludmiła wreszcie zrozumiała i krew uderzyła jej do głowy.

— I ty mówisz, że on widział Jasia? Gdzie?

— A we Wrocławiu, u mojego brata!

— Więc dostał się tam? I żyje? Zdrów?

— Zdrów! Cudownie wygląda! Ciągłe o nas mów.

— O Boże! — krzyknęła Ludmiła. — Jaki Ty jesteś dobry! Ocaliłeś Jasia! Przynajmniej nie na próżno... — przerwała, ale Elżbieta za nią dokończyła:

— Tak, przynajmniej nie na próżno się poświęcałaś. Ty go uratowałaś. Dzięki tobie żyje i chowa się u wuja. Czyż to nie cud prawdziwy, że możemy o tym wiedzieć? Bóg wysłuchał naszej prośby, choć zdawała się czystym szaleństwem.

Niewiasty przeżegnały się i ukryły twarz w dłoniach. Kiedy podniosły głowy i spojrzały sobie w oczy pałające szczęściem, wybuchnęły płaczem.

— Niechże i ja go zobaczę, Elżuniu. Chodźmy tam albo tutaj go sprowadźmy...

W tej chwili zasłona się odchyliła i wbiegła niewolnica wołając:

— Pani, behadyr przyszyła! Kazał powiedzieć, że czeka. Przed namiotem są konie i ludzie.

— Że też właśnie dziś musiała wypaść ta ich uczta — skarżyła się Ludmiła. — Są dni, kiedy nie wiem, co robić z czasem, a dziś, kiedy chciałabym spotkać się z bratem Benedyktem...

— Prawda, że to istna przekora... — mówiła nie mniej zmartwiona Elżbieta. — Mój Boże! Nawet w takiej chwili nie możemy się nagadać, nacieszyć! Ale cóż robić, moja Ludko? Powiem ci na pocieszenie, że braciszek Benedykt właśnie teraz, razem ze swoim towarzyszem, wybiera się do jakiegoś księcia Jarosława.

— Więc jest z nim i drugi? — zdumiała się Ludmiła, poganiając ręką służebnicę, by szybciej przypinały bottę.

— Jest jakiś Włoch, wygląda jak święty. Mówili, że na pewno tam długo zabawią. Dopiero po zachodzie słońca mamy się spotkać...

— Gdzie? U kogo?

— U złotnika Kuźmy<sup>110</sup>. Kuźma prosił, aby słudzy boży wstąpili do niego, choćby późnym wieczorem. Ja przyrzekłam, że przyjdę razem z tobą. Wyszła mi zupełnie z głowy ta uczta...

— Wiesz co, Elżuniu? Może uda mi się wyrwać stamtąd. Może choć na chwilę wpadnę...

— Byłoby cudownie! Ja bez ciebie nawet się cieszyć nie potrafię. Ale przemyśl to, Ludko, zrób tak, aby się mąż nie pogniwał.

— Czego by miał się gniewać? Przecież nie mogę tam całą noc siedzieć i patrzeć na ich pijatykę? On wie, że ja tego nie znoszę...

Przed namiotami Ludmiły stał orszak, jakiego nigdy nie miała. Ajdar wysadził się na ten uroczysty dzień. Kiedy wjechali między obozy, na majdany i targowiska nabite tłumem, Ludmile wydawało się, że fale morza wkrótce ją zabiorą, ale wspaniałość orszaku torowała drogę i przyciągała oczy gapiów. Z obu stron tłoczono się i zasypywano pytaniami:

— Co to za chatuna? Czy to może małżonka którego z chanów?

— Nie — odpowiadali dobrze poinformowani — to żona sławnego i bogatego behadyra Ajdara.

— Szczęśliwy człowiek!

Na ogromnym bazarze, przy greckim straganie, Ludmiła dostrzegła baranią czapkę i wasy Kuźmy, który targował jakieś wąskie gliniane flaszki, zapewne na przyjęcie spodziewanych gości.

<sup>110</sup>*złotnik Kuźma* — postać historyczna, wzmiankowana w relacjach z podróży posłów papieskich, Benedykta Polaka i Giovanniego da Pian del Carpine. [przypis edytorski]

I nagle azjatyckie tłumy, cały kuryłtaj, wszystko znikło. Oczami duszy widziała Jasia z rumianą, radosną twarzą. Uśmiechał się do niej z daleka, z Polski, wyciągał rączki do matki i do niej. Cóż, kiedy nie mógł osiągnąć... Ramiona miłości są długie, ale droga wygnania jeszcze dłuższa.

## DWÓR CESARZOWEJ TURAKINY

W ogrodzeniu były dwie bramy. Obie na oścież otwarte. Przy jednej stały dwoma rzędami strażę uzbrojone w luki, kołczany i miecze. Tędy wchodził wyborcy i zaproszeni goście. Druga brama, przeznaczona wyłącznie dla przyszłego wielkiego chana, nie miała żadnej warty. Nie przypuszczano, aby ktokolwiek odważył się ją przestąpić. Wyglądała jak zaklęta.

Ajdar stał tuż za ogrodzeniem i czekał na żonę; widocznie chciał się nacieszyć widokiem jej tryumfalnego wjazdu. Kiedy zsiadła z konia, zaróżowiona od bystrych, skierowanych na nią spojrzeń, serce małżonka rosło. Podeszedł do niej dumny, uśmiechnięty i otoczywszy ręką jej kibić, wprowadził między zgromadzenie. W oczach Ludmiły zamigotał zachwyt. Wszyscy posłowie wyglądali tak samo; mieli na sobie honorowe szaty z czerwonej purpury. Ajdar na ich tle wyglądał wspaniale. Ludmiła przeniosła wzrok ze swego męża na szczerp turecki, który jaśniał powagą i dostojeństwem. Ale i między rodowitymi Mongołami trafiały się interesujące postaci. Każdy z tych mężczyzn posiadał straszliwą dumę, pogańską zwycięską urodę, jaką nadaje poczucie wielkiej siły.

Przed namiotem, na ołtarzyku przykrytym szkarłatem, leżała złota puszcza wysadzana tęczą klejnotów; z niej wywijają się jakieś skórzane wstęgi, lśniące rzędami złotych zygzaków.

— Co to jest? — zapytała Ludmiła głosem zdradzającym zainteresowanie.

— O! Tędy trzeba przechodzić z uszanowaniem — odpowiedział Ajdar. — To Jassa, księga ustaw, jaką nam zostawił Dżyngis-chan, na każdy kuryłtaj uroczyste przywożona ze skarbcza i otwierana przez najstarszych książąt. Odczytują ją głośno, żeby potomkowie w każdym przedsięwzięciu kierowali się wolą największego z ludzi.

Weszli do namiotu. Wnętrze, obwieszane draperiami z białej purpury, i biała pilśniowa podłoga pływały w mlecznym świetle. Przez ogromny otwór w górze wpadały do sali promienie słońca i rozchodziły się wielkim żółtym kręgiem, tworząc sadzawkę światła. W słonecznym kręgu na podium, do którego prowadziło siedem stopni, stał biesiadny stół. Dalej, już tylko po trzech stopniach, wchodziło się na podwyższenie, na którym znajdował się pierścień miejsc drugorzędnych. Najniżej, bo już na samym pilśniowym kobiercu, ciągnęły się trzy kręgi olbrzymich ław, nakrytych obrusami z białej jedwabnej kitajki<sup>111</sup>. Lśniły naczynia, między nimi nie było żadnej misy, same czary do picia o przeróżnych kształtach. Najwyżej stały kielichy agatowe, onyksowe i złote, wysadzone kamieniami, niżej kubki srebrne z Europy, szklane z Chin i prawdziwe tatarskie, drewniane, oplecione metalową siatką.

Przy wejściach i pod ścianami trzymali straż młodzieńcy w perskich atłasowych strojach wśród lasu buńczuków<sup>112</sup>, które nie były z bawolich ogonów, ale z pięknie farbowanej na szkarłatny kolor wełny; powiewały jak pióra. Za nimi stali muzycanci z długimi surmami<sup>113</sup>, brzuchatymi miedzianymi kotłami, talerzami i chińskimi trójkątami. Nikt nie siedział. Wiele osób spoglądało ku zachodnim drzwiom; wyraźnie na kogoś czekano. Goście stali gromadami, rozmawiając, śmiejąc się i żartując. Stroje niewiast były olśniewające. Ludmiła, jak żyje, nie widziała tylu cudownych tkanin i kosztownych klejnotów. Przepych strojów gasł przy urodzie tych, które je nosiły; była to jakby prezentacja piękności i wdzięku niewiast z całego świata. Jaśniały Gruzinki o dziecięcych twarzyczkach i ogromnych zdziwionych oczach, kobiety z Azji Mniejszej o kameowym profilu i miękkich jońskich kształtach, Turczynki ospałe jak motyl, który się upił wonią kwiatów. Było kilkadziesiąt energicznych Madziarek, mnóstwo okrągłutkich Rusinek z długimi rzęsami, na koniec niezliczone Chinki, uchodzące za najpiękniejsze na świecie.

Uroda

<sup>111</sup>kitajka (daw.) — jedwabna tkanina a. chusteczka. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>buńczuk — drzewce ozdobione końskim włosiem; symbol władzy w wojskach tatarskich, kozackich i tureckich. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>surma — daw. trąba bojowa. [przypis edytorski]

Mimo niebezpiecznego porównania z cudzoziemkami, niezwykle korzystnie wyglądały północne Azjatki, rosłe, zgrabnie zbudowane, ze świeżą cerą i dziwnie przeszywającym, figlarnym spojrzeniem skośnych oczu. Nade wszystko przyciągały uwagę usta, malinowe, zarysowane w kształt serduszka. W tym zgromadzeniu, jak łatwo się domyślić, nikt nie dorównywał im liczbą, przepychem i dostojnością.

Ajdar zmierzał do koronowanych głów. Przeciskając się przez tłum, dotarł do podium i z wielkimi oznakami wdzięczności przedstawił rejentce<sup>114</sup> swoją żonę. Rejentka Turakina była gruba i zamaszta. Szaty tak opięła, okuła blachami, pętlcami, sieciami ze złota i kamieni, że wyglądała jak rycerz w rynsztunku; ledwie mogła się ruszać. Za młodu musiała być ładna i powabna, w czasie gdy Ogotaj wyniósł ją na pierwszą małżonkę. Dziś już nie pozostało śladu piękności w zbyt czerwonej twarzy, w zwiedłych i szponiastych rękach, które tak dobrze potrafiły zgarniać skarby i korony.

Rejentka lekko skinęła głową i rzekła do Ajdara:

— Naprawdę śliczna, wieszę zdobycy. — I wnet odwróciła głowę, by zająć się znaczniejszymi gośćmi.

Ludmiła przeniosła wzrok na postać jaśniejącą tuż obok Turakiny, wspanialszą i wyższą prawie o głowę. Była to księżna Siurkukteni<sup>115</sup>. Wyglądała na prawdziwą cesarżową. Jej strój nie był przeładowany bogactwami, skrojony trochę z europejska; czarny, wyszyty rubinami, rozchyłał się na przodzie, pokazując tunikę ze złotogłowiu, a z tyłu przedłużał się powłóczyście na kształt monarszego płaszcza. Botta nie wznosiła się przesadnie wysoko; na jej czarnym tle, wśród kilku rzadkich klejnotów, błyszczał święty medalik, wyrób mistrza Wilhelma. Ludmiła wpatrywała się w księżną z zachwytem i podziwem. Niedawno powiedziano jej, że Siurkukteni ma już wnuki, tymczasem patrząc na nią, trudno było w to uwierzyć. Włosy czarne, oczy gwiaździste, majestatyczny owal twarzy, wszystko to sprawiło, że jaśniała jak wróżka, która czarami zaklina piękność, nie bojąc się ani lat, ani troski. Księżna musiała dostrzec magnetyczny wzrok Ludmiły, bo skierowała oczy w jej stronę i uśmiechnęła się ciepło i przyjaźnie. Ludmiła odpowiedziała uprzejmym ukłonem. Kiedy podniosła głowę, jej spojrzenie padło na niezwykle wystrojoną kobietę.

— Cóż to za osobka tańczy przy księżnej Turakinie? — zwróciła się do męża.

— To księżna Ogul-Gajmisz, pierwsza żona księcia Kujuka<sup>116</sup>. Jest dziś wesola... — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

— A ta smutna, w sukni obszytej łabędzim puszkim? Chyba płakała, bo ma czerwone oczy.

— O której mówisz? — dopytywał się mąż.

— Spójrz tam, siedzi na poduszkach i bawi się włosami chłopczyka.

— A, widzę! To księżna Ananda, matka biednego Szyramuna, który został skreślony z listy kandydatów na najwyższy urząd. Cóż robić! Tylko jednego można wybrać, więc wielu musi odejść z niczym.

Ludmiła nie mogła oderwać oczu od Anandy. Wśród dumnych i tryumfatorskich postaci ta jedna przyciągała ją swym nieszczęściem. Twarzyczka małego Szyramuna, smutna i znudzona, rozrzewniła ją i przywołała wspomnienia.

W tej chwili Turakina, przechodząc obok chłopca, twardą dłonią poklepała go po policzku i rzekła do matki:

— Nie becz tak ciągle nad nim, bo rozmazgaisz chłopaka. — I poszła dalej podśpiewując.

Ananda na widok rejentki nieco się podniosła i oddała formalny ukłon. Gdy tylko Turakina znikła jej z oczu, połami szaty zaczęła wycierać twarz dziecka, jakby chciała zetrzeć dotknięcie jej ręki. Potem puściła za nią długie, jadowite spojrzenie. Po chwili jednak złagodniała, nawet nieco się rozpogodziła. Podszedł do niej młodzieniec nadzwyczajny.

<sup>114</sup>rejentka (daw.) — regentka. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>Siurkukteni a. Sorkaktani-beki (zm. 1252) — księżniczka mongolska, córka chana Kereitów, Ong-chana. Po klęsce ojca w bitwie z wojskami Czyngis-chana została synową zwycięzcy, żoną jego syna Tołuja (tu: Tułuja, ok. 1190–1232), po śmierci męża przez wiele lat zarządzała jego ułusem. Jej synami byli: Mongke (1209–1259), Kubilaj (1215–1294), Hulagu (1217–1265) i Aryk Böge (1219–1266) (tu: Mangu, Kubilaj, Mogaj i Aryk-Buga). [przypis edytorski]

<sup>116</sup>Kujuk a. Güyük (1206–1248) — wnuk Czyngis-chana, władca imperium mongolskiego w latach 1246–1248. [przypis edytorski]

czaj przystojny i urodziwy. Twarz miał tak rozumną, spojrzenie tak imperatorskie, że Ludmiła nie wytrzymała i znowu zapytała męża:

— Kim jest ten człowiek, który rozmawia z księżną Anandą?

— To syn księżnej Siurkukteni, Kubilaj. Prawda, że niepodobny do innych? Wszyscy nasi książęta mają płowe głowy i zielone oczy, on jeden ma czarne włosy i oczy. Powiadają, że kiedy przyszedł na świat, wielki Dżyngis-chan nie mógł się nadziwić wnukowi. Pewnie po matce odziedziczył włosy, a trzeba przyznać, że i urodę wziął po niej.

— Czy jest chrześcijaninem?

Małżonek wzruszył ramionami i odparł:

— Któż to może wiedzieć...

Tymczasem Kubilaj, rozmawiając z Anandą, złożył powitalny pocałunek na czole Szyramuna i zaproponował matce:

— Zaprowadzę go między młodzież, rozвесelimy chłopca, wszak pozwolisz, chatuno?

Matka skinęła głową; młodzian i pacholę zniknęli w tłumie.

— Patrz — Ajdar zniżył głos — obok księżnej Siurkukteni stanęli pozostali synowie. Ten barczysty, opalony to Mangu, porządny człowiek, już bił się kilka razy wybornie. Ten drugi, ryżawy, kędzierzawy i chudy to Aryk-Buga. Jeszcze młody, nie wiadomo, co z niego będzie, ale mu dobrze z oczu patrzy. Musi być sprytny, bo matka podobno jego najbardziej kocha. Innych już puściła między ludzi, a z nim nie chce się rozstać, mieszkają razem w altajskim ułusie.

Kiedy Ludmiła słuchała ciekawostek opowiadanych przez męża, między zgromadzonymi powstało zamieszanie; wszystkie oczy zwróciły się w stronę drzwi.

— To on, niezawodnie on — powiedział podniesionym głosem behadyr.

W tejże chwili surmy i kotły uderzyły ogłuszającym hukiem, chińskie talerze i trójkąty zaczęły podzwaniać. Wszystkie buńczuki pochylono, a pod ich purpurowym sklepieniem ukazał się Kujuk. Ubrany był w szkarłatny płaszcz, na głowie miał zakrzywiony kołpak. Rękojeść szabli błyszczała przy jego boku jak słońce. W namiocie tłum zafalował, rozstąpił się przed wchodzącym i oddał kilkakrotny pokłon.

Ludmiła niesłychanie zdziwiona tym przyjęciem zapytała prawie szeptem:

— Co to znaczy? Czy on jest już wybrany?

Ajdar mrugnął do niej znacząco i szepnął:

— Już, ale to jeszcze tajemnica.

Tymczasem trąby ucichły, tylko talerze i trójkąty drgały srebrzyście. Tolholosowie szli dwoma rzędami i całą siłą swych potężnych piersi śpiewali:

Witaj, mężny i wspaniały!  
W bojach wartkie twoje strzały  
Nigdy celu nie chybiały.

Dobra wróżba nie omyli.  
Siądź wysoko! Świat się schyli.  
My tymczasem będziemy pili.

Będziem pili za tve zdrowie.  
Niech Bóg nieba i duchowie  
Błogosławią twojej głowie.

Kujuk znalazł się między rzędami śpiewających. Ludmiła była zaskoczona jego uprzejmością; skłaniał grzecznie głowę to w jedną, to w drugą stronę i to nawet z uśmiechem, tak rzadkim na jego marsowej twarzy.

Kiedy zaśpiewano: „Siądź wysoko! Świat się schyli”, Kujuk wszedł po siedmiu stopniach na podium i usiadł. Wtedy pochylono buńczuki, huknęły trąby i na środek namiotu wyskoczyli rażni, strojni chłopcy. Byli to młodzi cesarzowicze, przyszłe pokolenie dżyngischanidów. Wziąwszy się za ręce, rozpoczęli honorowy taniec. Mały Szyramun, znudzony długą ceremonią, skoczył także i stanął w kole. Szmer powstał na sali. Matka, znajdująca

się blisko, porwała go natychmiast za rękę i pchnęła gniewnie między widzów; upokorzona i rozżalona nie mogła pozwolić, by jej syn tańczył na cześć rywala, który pozbawił go korony.

Z rytmu tryumfalnego instrumenty przeszły na żwawą, skoczną melodię. Chłopcy, kręcąc się w ogromnym kole, tupali, gromko klaskali w ręce, potem zaczęli wykonywać różne popis, z których wiele zapożyczył późniejszy „kozak”. Przy każdej trudniejszej figurze wydawali dziki okrzyk.

Potem rozpoczęła się biesiada. Ludmiła skorzystała z zamieszania, by jeszcze raz zapytać męża:

— Powiedz mi, dlaczego ten wybór ma być tajemnicą?

— Bo widzisz, dziś rano książe Kujuk został wybrany większością głosów. Ale według zwyczaju przyjętego między nami, wybrany władca musi długo wymawiać się od zaszczytu i odstępować go kolejno wszystkim starszym lub równym sobie. Szczerze czy nieszczerze, ale tak nakazuje skromność. Książe Kujuk odmawiał, ustępował tronu różnym księżętom, którzy, ma się rozumieć, go nie przyjęli. Na koniec wymamrotał pytanie, czy nie wypadaloby poczekać jeszcze na księcia Batu. Sądzę, że przedstawił tę propozycję tylko dla zwyczaju, tymczasem niespodziewanie mnóstwo głosów uznało uwagę za słuszną. Zdaje mi się, że to robota księżnej Siurkukteni i jej przyjaciół, dla których ta zwłoka jest ostatnią strzałą w kołczanie. Mądry Batu może lada chwila przyjechać i wszystko zmienić. W każdym razie, jak widzisz, nic jeszcze nie postanowiono. Toteż pamiętaj, by o tym nikomu nie mówić.

Tymczasem dostojnicy siedli do stołu. Kujuk, nie posiadając jeszcze korony, nie mógł wyraźnie zabrać pierwszego miejsca; siedział między rejentką a księżną Siurkukteni. Ogul-Gajmisz siedziała nieco dalej, przy niej Ananda, a potem różne starsze głowy, tak że przy najwyższym stole błyszczwały same brylanty pierwszej wody.

Ajdar, chcąc zrobić przyjemność żonie, upatrzył dla niej miejsce obok siedmioletniej dziewczynki, która siedziała na porcelanowej baryłce i machała nóżkami.

— Myślę, że tu będzie ci dobrze. To jest księżniczka Cyryna, córka księcia Mangu, a wnuczka księżnej Siurkukteni. — Ajdar dokonał prezentacji.

— Skąd krzyżyk na jej szyi?

— Bo jej matka także modli się do krzyża. O, patrz, to ta piękna niewiasta, która siedzi tam wysoko. Książe Mangu niezmiernie ją kocha, tak jak ja ciebie.

Ludmiła uśmiechnęła się ciepło do męża, a potem zatrzymała wzrok na sąsiadeczce. Cyryna miała mnóstwo drobnych warkoczyków, na których wisały srebrne i złote bąbelki. Była ciekawa, czy dziewczynka ma jakieś religijne wiadomości, czy słyszała o Jezusie, który kochał małe dzieci? Niezwykle taktownie i delikatnie skierowała rozmowę na ten temat. Cyryna milczała i wytrzeszczała na nią skośne oczęta. Na koniec rzekła:

— Daj mi spokój, mnie się okropnie chce jeść. Dobrze, że już wnoszą! — I klasnęła w rączki.

Rzeczywiście wnoszono misy, a na nich końskie mięso pokrajane w cieniutkie paski. Stawiano jedną misę na kilkadziesiąt osób, z których każda brała tylko jeden kawałek i długo delektowała smak potrawy. Ludmiła nie wyciągnęła ręki do misy. Nie smakowało jej to mdle, ledwie podpieczone i niesłone mięso. A przy tym jakże tu jeść bez noża i serwetki? Wprawdzie przy najwyższym stole były małe szpikulczyki, którymi głowy koronne nadziewały mięso, ale tu, gdzie siedziała Ludmiła, nikt nie bawił się w podobne sztuki. Wszyscy na wyścigi chwyтали pasy mięsa, ciągnęli je, rwali w zębach, a ręce wycierali, gdzie się dało.

Ludmiła nie patrzyła na tę wilczą biesiadę. Przymrużyła oczy i myślami odbiegła daleko. Duszą była przy Elźbiecie i benedyktynach. Wiadomość o ich przyjeździe, myśl, że ich niedługo zobaczy, napęlała ją wielkim szczęściem, które kipiało w niej i promieniowało z twarzy i ruchów. Od czasu wzięcia w jasyr nigdy jeszcze nie zachowywała się równie wesoło i swobodnie.

Ajdar inaczej tłumaczył sobie radość żony. Siedział naprzeciwno i nie spuszczał z niej oka.

— Ciesz się mnie to — mówił z dumą w głosie — że doceniłaś łaskę chatun i czujesz się zaszczycona tym zaproszeniem. No, przyznaj sama, wszak nigdy nie widziałaś czegoś podobnego?

— Mylisz się, Ajdarze — obruszyła się Ludmiła. — W tej chwili wcale nie myślałam ani o kuryłtaju, ani o chatunach. Inny jest powód mojej radości. Dowiedziałam się, że przyjechali posłowie z naszych stron, a między nimi jest kapłan z mojego kraju, dawny znajomy, który widział drogie mi osoby.

Ajdar zmarszczył brwi i spojrzął na nią wzrokiem, który wyrażał niepomierne zdziwienie. Nie pojmował, jak istota, która ma szczęście znajdować się między panami świata, i to w najbardziej uroczystej chwili, może myśleć o czymś innym? Jak istota, która ma zaszczyt być jego małżonką, może tęsknić za kimś innym? Zachmurzył się i zobojętniał. W innych okolicznościach Ludmiła pewnie nie zważałaby na tę chmurę, pewna, że jak tylko zechce, przywróci pogodę. Ale dziś trwożył ją najmniejszy obłoczek, bo właśnie dziś miała zrealizować swój plan...

— No, jednak — rzekła przymilnym głosem — muszę przyznać, że kuryłtaj przepyszny. Byłabym ślepa, gdybym nie dostrzegła tego bogactwa i wspaniałości możnowładców. Ale gdybyś mnie spytał, kto mi się najbardziej podoba, to bym ci nie odpowiedziała...

— Kto? Kto taki? — podchwycił zaciekawiony i chyba trochę zazdrosny mąż. — Chyba mi powiesz?

— Chcesz koniecznie? Więc powiem: behadyr Ajdar.

— Doprawdy? Doprawdy? — zawołał zmieszany, zaskoczony, ale szczęśliwy małżonek.

Ludmiła zapłonęła rumieńcem, wstydząc się słów, które zakrawały na obłudę. Jednak nie były fałszem; w tym towarzystwie on jeden się wyróżniał. Jej zdaniem, był najwspanialszy!

Z kłopotliwego milczenia, jakie między nimi nastąpiło, wybawiła ją zaczepka sąsiadki. Cyryna długo gryzła z rozkoszą swój stepowy befsztyk, a ten widocznie przywrócił jej dobry humor, bo ledwie skończyła, wytarła rączki o jedwabny obrus i zaraz potem chwyciła suknię Ludmiły.

— A z czego to zrobione? Gdzie kupione? A może z wojny? — szczebiotała dziewczynka. Zdawało się, że nie będzie końca natrętnym pytaniom, ale Cyryna nagle umilkła, zdziwiona ciszą, która zapanowała w namiocie.

Ustały rozmowy, wszyscy nasłuchiwali. Z daleka brzmiał religijny, chóralny śpiew. W oczach gości zamigotało podniecenie.

— Już idą! Już idą! — szeptali, czekając niecierpliwie na chwilę, która miała nadejść.

Kilku podczaszych rozsunało w namiocie zapony<sup>117</sup> i ukazał się rodzaj ogromnej alkozy, w której stały stągwie, kociołki i konwie, wszystkie napełnione kumysem. Wschodnimi drzwiami weszli nestoriańscy księża w złocistych, powiewających szatach. Za nimi szli diakoni z księgami. Otworzyli je tuż przed alkołą i zaczęli śpiewać po syryjsku, wyciągając ręce i błogosławiąc stągwie, kociołki i konwie.

Zgromadzeni wyznania nestoriańskiego upadli na ziemię. Księżna Siurkukteni, uwięziona w swojej ciasnej sofie, z wielką skruchą uderzała czołem o stół, a Cyryna biła główką o kobierzec tak zawzięcie, że dźwięczały wszystkie bąbelki na jej warkoczykach. Po błogosławieństwie kapłani siedli za stołem. Za chwilę weszło grono duchownych maho-metańskich z księgami na głowie i pantoflami w rękę; ci najkrócej się modlili. Podczas błogosławieństwa muzułmanie stali złamani w pół, z rękami złożonymi na piersiach, po czym podczaszy zaprosił imamów do uczty. Jeszcze nie zdążyli usiąść, a już do namiotu wpłynął długi, jasny szereg lamów. W rękę mieli sznury z węzłkami, podobne do różańców, a na głowach złote mitry, przypominające biskupie infuły. Lamowie, siadłszy na ziemi przed alkołą, z małych książeczek szeptali modlitwę w niezrozumiałym języku. Tymczasem wszyscy buddyści w namiocie klękli i powtarzali głośno i nabożnie jakieś dziwne wyrazy. Kiedy lamowie skończyli, na ich twarzach, dotąd pełnych namaszczenia, pojawił się towarzyski uśmiech. Jednak podczas modlitwy panowały w namiocie skupienie i powaga. Zwłaszcza rodowici Mongołowie wzdychali żarliwie. Sam Kujuk przy każdym błogosławieństwie schylał głowę z uszanowaniem.

Teraz dopiero zaczęła się prawdziwa uczta. Najstarszy podczaszy wziął złoty dzbanek, zaczerpnął kumysu, wszedł na wzniesienie i napełniwszy agatową czarę, podał ją na kłęczkach Kujukowi. Kiedy książę podniósł ją do ust, trąby zagrzmiały tryumfalną fan-

<sup>117</sup>zapona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

farę, a podczas gdy powoli popijał, jeden z tolholosów siadł na stopniach estrady i zaczął śpiewać pieśń hardą, porywającą o zwycięskich wojnach, w których Kujuk odznaczył się odwagą i bohaterstwem. Gdy się skończyła pieśń, rozpoczęło się podawanie kumysu, tarassunu, araki i wina. Wnet goście się rozruszali, rozwiązały się usta.

Przy stole księcia Kubilaja wszystkie miejsca zajmowali Chińczycy, bo Kubilaj był rozkochany w chińskiej kulturze; wstydił się ciemnoty Mongołów i marzył o ich oświeceniu. Tatarzy oskarżali go po cichu, że jest całą duszą Chińczykiem, a mandarynowie garnęli się do niego jak do gwiazdy zbawienia. Kubilaj, zawsze otoczony uczonymi, kształcił swój umysł, przeznaczając czas na rozmowy z nimi i na czytanie ksiąg. Teraz oto siedział nie na sofie, ale na krześle, pod które co chwila, mimo woli, podwijał nogi. Do jego stołu podawano śliczne, malowane miseczki pełne białych podłużnych ziarenek, które Chińczycy z niepojętą zręcznością wylaliwało kościanymi pałeczkami.

— Co oni tam jedzą? — zapytała Ludmiła.

— Ryż.

— Czy to jest dobre?

— Takie sobie, trochę lepsze od piasku. Może chcesz skosztować? Ty zupełnie jak ptaszek, nie jesz, nie pijesz, może jak ptaszekowi potrzeba ci ziarenek?

— Ach, nie rób sobie kłopotu! — zawołała Ludmiła, ale Ajdar już stał przy stole Kubilaja.

Jeden z mandarynów, uradowany, że może komuś służyć narodową potrawą, podszedł do Ludmiły i po pięciu ukłonach ofiarował miseczkę i patyczki. Nie potrafiła z nich korzystać, ale na szczęście miała przy sobie złotą europejską łyżeczkę znaną między łupami Ajdara, którą przezornie zawsze nosiła na tatarskie uczty. Ryż był wyborny, dobrze przyprawiony i okraszony baranym tłuszczem. Miała ochotę poczęstować sąsiadeczkę, ale gdy się obejrzała, już jej nie było. Dziecko znużone długim siedzeniem wyruszyło na wędrówkę po namiocie i jak czółenka tkackie biegło nieustannie od matki do babki.

Tymczasem czary były coraz częściej napełniane. Ile razy książę wypijał nowy puchar, tyle razy trąby się odzywały i śpiewak występował z pieśnią, która wysławiała to Kujuka, to wspaniałość i hojność Turakiny, inny wspominał zasługi Ogotaja, wreszcie zaczęto śpiewać stare pieśni mongolskie, coraz dziksze, coraz bardziej osobliwe. Po każdej z nich rozlegały się pioruny oklasków i okrzyków; patriotyzm tatarski wybuchał z wielką siłą. Ach, jakże się dziwić? Prawie cały świat leżał u ich stóp.

Branka właśnie kończyła ostatnie ziarna ryżu, kiedy do stołu podszedł jeden z tolholosów i pozdrowił Ajdara:

— Wszelkiego szczęścia, behadyrze!

— I tobie także! A dlaczegoż to dziś nie śpiewałeś? Przecie jesteś najlepszy; ludzie o tym wiedzą od gór karakorumskich do altajskich.

— O czym tu śpiewać? — odrzekł poeta, który miał twarz myślącą i wrażliwą, a przy tym niezmiernie ruchliwą, jak żywe srebro. — Już wszystko wyśpiewane. Step, wojna, zwycięstwo i znowu zwycięstwo, wojna i step, zawsze to samo, jak w modlitwie lamów.

Ajdar zdziwiony tą skargą łamał sobie głowę nad jakąś mądrą odpowiedzią, gdy w tej samej chwili rażnym krokiem podszedł do niego stary generał Czebe. Położył mu ogromne ręce na ramionach i wrzasnął:

— Wreszcie cię znalazłem, terchanie! Ty tu siedzisz między niewiastami, a my cię szukamy i szukamy. Chodźże do stołu wodzów. Subutaj<sup>118</sup> rozesłał niewolników za tobą i zapowiedział, że każe im oczy wylupić, jak cię nie znajdą.

— Dobrze, idę już, idę, — rzekł śmiejąc się Ajdar. Wstał i szepnął do ucha Ludmiły: — Baw się dobrze, zaraz wrócę. — I zginął w tłumie.

Nielatwo „bawić się” osobie pozbawionej z obu stron towarzystwa, ale Ludmiła bardzo prędko je znalazła. Na miejscu opuszczonym przez Ajdara siadł tolholos.

— Chatuna nietutejsza? — zagadał.

— Moim mężem jest behadyr Ajdar, a ja pochodzę z bardzo dalekich stron, jak mówicie, „spod zachodniego nieba”.

<sup>118</sup>Subutaj a. *Subedej-bagaatur* (ok. 1175–1248) — doradca Batu-chana podczas pierwszej inwazji mongolskiej na Europę, prawdopodobnie był także faktycznym wodzem tej wyprawy. [przypis edytorski]



— Doprawdy? I jakże tam jest pod tym niebem? — oczy tolholosa się zaiskrzyły. Jak prawdziwy poeta, chętnie słuchał opowieści o rzeczach dziwnych, tajemniczych, które działały na jego wyobraźnię.

Branka zaczęła opowiadać o cudach nieba zachodniego, o katedrach z tęczowymi oknami, w których modlą się jasnowłose królowe, o zamkach z wieżami, gdzie siedzą rycerze okuci w srebrną łuskę, o cudownych procesjach i pysznych turniejach, a choć jeszcze z niejaką trudnością wyrażała się po mongolsku, tak ją porywały drogie sercu wspomnienia, że słowa same cisnęły się na usta. Na twarzy słuchacza malował się podziw, czasem niedowierzanie.

— Ale tolholosów to pewno nie macie?

— A jakże, i to jakich...

— Doprawdy? I chodzą z bałabajką?

— Nie, u nas noszą lutnie. Bałabajka ma tylko trzy struny, lutnia dużo więcej i dźwięk ma piękniejszy.

— A o czym u was śpiewają?

— Prawie zawsze o piękności i cnotach niewiast lub o stałości rycerzy, którzy ślubują wiarę jednej, tylko jednej!

Tolholos zadumał się. Potem podniósł wzrok na Ludmiłę i stwierdził:

— Ale u nas lepiej?

— O, nie! Przynajmniej nie dla mnie. Wszystko najdroższe sercu człowieka jest tam, gdzie się urodził. Wy tego nie rozumiecie...

— Owszem, rozumiem. I mnie byłoby smutno, gdyby mi kazano żyć w waszych kamiennych miastach. Tu się oddycha pełną piersią. I chatuna to kiedyś zrozumie, jak przywyknie...

W tej chwili zdyszana Cyrynka stanęła przed Ludmiłą wołając:

— Chodź, chodź, babka cię woła! — I szarpnęła ją za suknię.

Po chwili wahania Ludmiła wstała i poszła za dzieckiem, które najpierw wiodło ją między stołami, a potem pociągnęło w kierunku schodów wysłanych błamami gronostajów, prowadząc na podium. Stanęła na szczycie przed księżną Siurkukteni. Ta, zwracając do niej uśmiechnięte oblicze i własną ręką podając kubeczek tarassunu, rzekła:

— Jesteś, moja śliczna. Weź to i wypij na dowód przyjaźni.

Ludmiła, wzięwszy kubek, skłoniła się głęboko i już chciała wrócić na miejsce, ale księżna ujęła ją za ramię i poprosiła:

— Zostań tu ze mną, tak lubię z tobą rozmawiać. — I zaczęła się wypytywać o biesiady królów chrześcijańskich.

Kujuk niedługo pozwolił im się cieszyć swoim towarzystwem. Chciał sam jeden zagnąć czas i uwagę „mądrej księżnej” i niecierpliwiał się, ilekroć rozmawiała z kimś innym. Było w tym niezawodnie dużo politycznego wyrachowania, ale było też sporo prawdziwego uczucia skłaniającego do zazdrości. Czasami gniewał się na swoją słabość. Dobrze pamiętał, że Siurkukteni mu odmówiła. Domyślał się, że w kuryltaju porusza przeciw niemu niebo i ziemię, a jednak ulegał jej czarowi i wciąż jeszcze krzepił się nadzieją tryumfu. Wszystkie inne kobiety go nudziły, bo wiedział, że na pierwsze jego skinienie staną posłuszne. Ona jedna, nieosiągalna, trudna do zdobycia, miała dla niego prawdziwą wartość i nieustannie przyciągała go swym czarem. Te cesarskie zaloty były tak widoczne, że księżna Ogul-Gajmisz gryzła wargi i trącając siedzącą obok siebie Anandę, mówiła:

— Patrz, jak go zawojowała! A to tylko branka, wzięta na wojnie razem z pięknymi końmi i kobiercami... Ta dzisiaj zajmuje pierwsze miejsce, moje miejsce!

— A tamta? — Ananda wskazała rejentkę<sup>119</sup>. — Jego matunia lepsza? Jeszcze mniej warta. Ona nie wyszła nawet z królewskiego domu, a teraz wszystkich dusi, podczas gdy my, czystej krwi Mongolki, musimy połykać lzy upokorzenia. Gdyby władza była w moich rękach, wszystko by się zmieniło. Wydałabym prawo, że nie wolno branki wojennej brać za żonę ani sadzać na tronie. Wszystkie mają być niewolnicami, służyć, i nic więcej.

Gajmisz uśmiechnęła się z zadowoleniem, a po chwili spytała:

— Ale cóż zrobić z tymi, które już zaszły wysoko?

— Wyrzucić. Potopić.

<sup>119</sup>rejentka (daw.) — regentka. [przypis edytorski]

— Dobrze mówisz, Anando, potopić. Zaszyć w worek albo zawinąć w czarny wojskok i wrzucić do Orchon. — Niewiasty, nienawidzące się nie bez powodu (Gajmisz wydarła berło Anandzie), chwilowo się zgadzały, a zapalczliwość uniosła je tak daleko, że gadały i śmiały się coraz głośniej.

Ludmiła odsunęła się z bojaźnią i spojrzała na księżnę Siurkukteni, chcąc wyczytać z jej twarzy wrażenie, jakie zrobiła na niej przypadkowo podsłuchana rozmowa. Ale księżna patrzyła bez emocji i jak zawsze uśmiechała się łagodnie. Za to ksiączę Mangu, który podszedł do niej z jakąś ważną informacją, pobladł i szepnął:

— Słyszysz, matko? Jeśli kiedy dojdę do władzy, zapamiętam tę rozmowę.

Z tłumy wyszedł tolholos i siadł na gronostajach. Promienie zachodzącego słońca przedzierające się przez zachodnie drzwi otoczyły go czerwonym światłem. Chwilę się namyślał, naciągał czarne, długie struny bałabajki i na koniec zaśpiewał pieśń, której melodia wydała się Ludmile dziwna, ale słowa jasne i zrozumiałe:

Czarny chan, mocny pan,  
Ręce miał krzepkie jak łapy niedźwiedzie.  
Głos łomocący jak wóz,  
Jak wóz tatarski, który jedzie  
Przez miast popalonych gruz.

Branki mu sprowadzono  
Z czterech krańców ziemi.  
Przerażone, piękniejsze od bagdadzkich róż.  
Czarę mu podawały rękoma drżącymi.  
On spojrzał raz na każdą i nie patrzył już.

Miał sto królestw, miał sto żon,  
Szczeroturkusowy tron,  
Ludzie przed nim bili czołem,  
Bo był chanem, był Mongołem...

Tolholos umilkł. Nastąpiła cisza.

— To mi dopiero śpiew! — zawołał Kujuk i klasnął w ręce.

Na ten znak, dany z góry, zagrzmiały oklaski; wszyscy zaczęli się tłoczyć wokół poety, chwając go i prosząc o powtórzenie pieśni.

Uczta trwała już kilka godzin. Słońce zaszło i choć na dworze było jeszcze w miarę jasno, w namiocie zapanował mrok. Pachołcy zaczęli wnosić pochodnie. Za nimi jak senne widziadła snuły się nadobne niewolnice w przejrzystych szatach. Jedne trzymały w dłoniach miedziane misy, w których palił się ogień strzelający wonnymi iskrami, inne dźwigały kamienne urny z unoszącym się błękitnawym płomieniem palącego się arjaszu. Płonące misy i urny ustawiano na stołach. Nastrojowe oświetlenie stworzyło zupełnie inną atmosferę. Pańskość i dworskość znikły, ustępując miejsca frywolności i swawoli. Muzyka zabrzmiała, ale już inna, mniej uroczysta. Bębunki i piszczałki nadawały rytm zabawie; coraz częściej sypały się grube żarty, coraz bardziej szkliły się oczy.

Otyli wodzowie i ministrowie, zwykle nadęci i poważni, teraz w najlepsze błaznowali. Młodzi byli mniej gadatliwi, za to tłukli kosztowne szklane kubki i japońskie wazony, a po każdej szkodzie przepaszali rejentkę, śmiejąc się i pokazując białe zęby. Stara cesarzowa wcale się nie gniewała, sama lubiła rubaszne żarty i dziką wesołość. Księżna Ananda także nie odsunęła czary, ale kumys<sup>120</sup> był dla niej milczący i ponury. Za to księżna Ogul-Gajmisz, wzięwszy się zgrabnie pod boki, płaśa drobnymi kroczkami; bo jeśli po trzeźwemu taniec nie uchodził chatunom, w drugiej połowie uczty uchodziło wszystko. Jeśli taki jest początek, to co będzie dalej, pomyślała Ludmiła i spojrzała w stronę podium. Księżna Siurkukteni siedziała uśmiechnięta i cicha. Nagle się podniosła. Kujuk chwycił poję jej rękawa i przytrzymał.

<sup>120</sup>kumys — musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany *mlecznym szampanem*. [przypis edytorski]

— Chatuno, nie odchodź... nie będę już pił, tylko nie odchodź...

— Ależ ja schodzę, aby...

— ...aby nie wrócić. Ja wiem, że ty nie lubisz zakończenia biesiady.

Siurkukteni popatrzyła na niego wzrokiem, który zawierał prośbę i zarazem rozkaz, po czym oddała pokłon rejentce i ruszyła w kierunku schodów. Zstępowała po nich majestatycznie jak królowa, a spostrzegłszy Ludmiłę, szepnęła:

— Już wyjeżdżam i tobie radzę to samo, wyjeżdż... tu będą się działy okropności...

Ludmiła podeszła do stołu wodzów, pochyliła się nad mężem i szepnęła:

— Jeżeli pozwolisz, to się pożegnam. Księżna Siurkukteni chce mnie zabrać...

Ajdar, którego błędne oczy ledwie ją rozpoznawały, zawołał półprzytomnie:

— Już? — Mówienie kosztowało go dużo wysiłku, więc tylko westchnął: — Trudno, nie można się sprzeciwić księżnej... Wracasz do domu? — upewnił się na koniec.

— Nie, pojedę jeszcze do znajomych.

— Oj, to, to — pogroził jej figlarnie palcem — raz się ładnie ubrała i chce się wszystkim znajomym pokazać — powiedział i chwiejnym krokiem odprowadził żonę do wyjścia.

Kiedy Ludmiła spotkała się z orszakiem księżnej, behadyr natychmiast wrócił do przerwanej biesiady, rad, że się pozbył żony, która bądź co bądź kładła pęta na jego swobodę. Teraz był wolny jak ptak.

## RAJSKI WIECZÓR

Orszak Ludmiły zdumiał się niepomierne na wieść, że trzeba się szykować do drogi; właśnie w najlepsze rozpoczynał wieczerzę. Pani, nie chcąc psuć zabawy, zostawiła biesiadników przy kubkach z kumysem i wybrałszy tylko czterech chrześcijańskich niewolników, dosiadła konia. Wkrótce minęła namioty rejentki<sup>121</sup> i znalazła się przed domem Kuźmy.

Stary Kuźma pochodził z Kijowa. Miał tam suty kram, który przyćmiewał wszystkie inne, nawet „Gościnny Dwór”. Przy plądrowaniu miasta przez Tatarów razem ze swoim kramem został zaliczony do najcenniejszych zdobyczy. Odtąd nieustannie ciągnano go za wojskiem. Darzyło mu się lepiej niż francuskiemu złotnikowi, Wilhelmowi Buchier, ojcu Filipka, ponieważ umiał sobie radzić z Azjatami. Kiedy obu mistrzów sprowadzono do Karakorum, Turakina nie wiedziała, którego wybrać. Ciężkie, według bizantyjskich wzorów kowane<sup>122</sup>, szczerolote wyroby Słowianina, ozdabiane klejnotami grubymi jak orzechy, wprawiły ją w nieklamany zachwyt. Natomiast dzieła Wilhelma, filigranowe gotyckie naszyjniki, wydawały się jakies wiotkie i nie dość błyszczące. Wszyscy stwierdzili, że jeśli taki delikatny, to powinien robić cacka dla dzieci. Toteż Kuźma bardzo szybko osiągnął znaczne stanowisko, został nadwornym złotnikiem cesarzowej, a Francuzowi zaledwie pozwolono być u niego czeladnikiem.

— To tutaj, proszę pani, tutaj — prowadził jeden z niewolników, pokazując drogę, na której stała już gromada ludzi.

— A co tu taki tłok? — zapytała Ludmiła.

— To wszystko chrześcijańscy niewolnicy, którzy się z jurt powymykali, by zobaczyć świątobliwych posłów i choć słówko usłyszeć z rodzinnych okolic — objaśniał służący.

— Ach, wreszcie jesteście! — radośnie zawołała Elżbieta, która spostrzegła przyjaciółkę i chwytając ją za rękę, natychmiast pociągnęła ku zakonnikom.

Ludmiła rozplakała się z radości, upadła przed nimi na kolana, całując ich ręce i kraj szaty.

— Niech ci Bóg da siły, niech cię pocieszy w twym ciężkim losie — mówił starszy, wyrażając się francuszczyzną pomieszaną z włoskim. — Ach, jakże to poganie cię wystroiło! — dziwił się zakonnik, patrząc na jej olbrzymią bottę i osobliwy chałat.

— Pani Ludmiła! Pani Ludmiła! — wołał młodszy zakonnik, ocierając rękawem habitu łzy wzruszenia. — Pamiętam panią w bielutkim ochędóstwie na jasełkach. Ach, dobry Boże! Kto by to wówczas pomyślał, że zobaczę panią w tym kraju? Słyszałem o tym, co pani przeszła, o poświęceniu, za które niech Bóg wynagrodzi. Pani Elżbieta opowiedziała nam o wszystkim, a wcześniej ksiądz Maciej i Rafał.

<sup>121</sup>rejentka (daw.) — regentka. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>kowane — kutły, wykonane metodami kowalskimi. [przypis edytorski]

Ludmiła wstała, podniosła oczy i dopiero teraz, opanowawszy się nieco, mogła im się dobrze przyjrzeć. Siedzieli w świetle lampy, w głębi, pod samym obrazem. Starszy mógł liczyć pięćdziesiąt lat. Aureola włosów przeświecała srebrem, ale pierś była wyprostowana, a południowe oczy pałały pod czarnymi jak węgiel brwiami. Oblicze miał piękne i mądre, zdradzające człowieka, w którym „nieśmiertelne” jest silniejsze od „śmiertelnego”. Młodszy to już nie był ten sam wesoły braciszek, który u królowej Kingi całował Betlejemskie Dzieciątko. Dziś był smutny, zamknięty w sobie, zapatrzony w krzyż. Choć jeszcze nie skończył trzydziestu lat, twarz miał zwiędłą i mocniej zoraną niż jego towarzysza; bo mnich włoski patrzył na burzę mongolską z oddalonego brzegu, a polski czuł, jak przechodziła w jego własnym sercu.

Pierwsze pytania Ludmiły dotyczyły Jasia:

— Jak wygląda? Czy zdrowy, wesoły? Czy mnie jeszcze pamięta?

Póki pytała o zdrowie chłopca, brat Benedykt odpowiadał szczerze, ale dalej płątał się, zagadywał, na koniec rzucił w jej stronę porozumiewawcze spojrzenie i dał do zrozumienia, że nie chce więcej mówić. Ludmiła sposepniała i zaczęła wyciągać bolesne wnioski. Gdy tylko zauważyła, że Elżbieta rozmawia z drugim zakonnikiem, natychmiast zaczęła wypytywać o szczegóły.

— Teraz, kiedy Elżbieta nie słyszy, chcę poznać prawdę — powiedziała przyciszonym głosem. — Rozstał się z matką tak dawno, że na pewno już jej nie pamięta. Czas robi swoje...

— O, nie! — odparł żywo mnich. — Niestety nie! Wolalbym, żeby tak było, ale to dziecko wszystko pamięta! Schnie i marnieje z tęsknoty. Podobno był to miły i wesoły chłopczyk, teraz stał się ponury, mrukliwy, siedzi w ciemnym kącie i płacze. Na nikogo patrzeć nie chce. Długo nie mogłem słowa z niego wyciągnąć, na koniec zrozumiałem, że on ma żal do wszystkich, do wuja, do mnie, do całego świata.

— Za co?

— Jemu się wydaje, że to przez nas nie może widzieć się z matką. Ciągłe powtarza, że ona gdzieś na niego czeka. Kiedy mu tłumaczyłem: nie możesz być teraz z matką, ona jest daleko, u pogan. A on na to: „To i ja chcę być u pogan”. Trzeba długich lat pracy, nim się ta skolatana duszyczka uspokoi. Przy pani Elżbiecie nie śmiałem o tym wszystkim rozpowiadać... Lepiej niech ona nie wie...

— A wuj dla niego dobry? — podpytywała Ludmiła.

— Bardzo dobry! Już co do opieki, to chyba i w Żegnańcu nie miał lepszej. Wuj tylko dla niego żyje.

— No, to przynajmniej pociecha. A ten poczciwy ksiądz Maciej, jak się miewa, czy nadal taki rażny i uśmiechnięty?

— O, nie! Zmienił się bardzo... Nie poznałybyście go wcale. Te wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na kraj, zabiły w nim wesołość. W oczach niektórych ludzi może stracił, ale w Bożych niezawodnie zyskał. Usunął się od wszelkiej świeckiej roboty; kiedy księżęta chcą go słać na obce dwory, odmawia pokornie. Ostatnio tak do mnie powiedział: „Teraz dopiero widzę, na co się zdała ta nasza mądra polityka, te mrówcze zabiegi. Myślałem, że jak zadzierzgniemy sojusze z różnymi królestwami, to będziemy i mocni, i szczęśliwi. Serce mi rosło, kiedy miasta wychodziły spod ziemi, gospodarstwa kwitły, a świątynie Pańskie błyszczały jak słońce. A tu Pan Bóg wypuścił pogańską szarańczę i wszystko przepadło. Zostały gruz i trupy, a z królów, którzy się do nas mizdrzyli, żaden nie przyciągnął na ratunek. Lepiej służyć Bogu niż królom”. Jak mówi, tak czyni. Swoje powinności kapłańskie spełnia sto razy żarliwiej niż przedtem, a wolny czas poświęca Jasiowi. Choć między Bogiem a prawdą niewielka pociecha z takiego płacziwego dziecka.

— Ach, Ludko — Elżbieta podeszła do rozmawiających — jakże ja żałowałam, że ciebie tu wcześniej nie było! Ojcowie opowiadali takie ciekawe rzeczy o swojej podróży, zupełnie jakbym czytała żywoty świętych. Gdyby ojciec chciał choć trochę opowiedzieć mojej przyjaciółce...

— To wszystko ciekawe — wtrącił grubym głosem Kuźma. — Miło tego słuchać, ale my kochanym ojcuzłom każemy gadać, a trzymamy ich o głodzie. Trzeba co przekąsić!

— Ależ to niepotrzebne — dziękował dobrotliwie brat Benedykt. — Tatarzy odzwyczaili nas od jedzenia.

— A to właśnie źle! Pogański obyczaj. Nikt nie powie, że u Kuźmy głodno jak u Tatara. Hej! Chłopcy! Dawać mi tu zaraz ten bukłaczek, który dzisiaj kupiłem.

Czeladź Kuźmy rzuciła się do służenia. Przysunięto stół gruby, z desek zбитy, na którym złotnik zazwyczaj pracował. Filipek zgarnął w fartuch świdry, noże i obciążki. Kuźma tymczasem krzątał się w kącie izby, wynosił stamtąd jakieś rzeczy i powoli rozkładał na stole.

— Oto — objaśniał — wino greckie. Słyszałem, że niezłe, ponoć sam cesarz w Carogrodzie takie właśnie pija.

Starszy poseł umoczył usta w podanym sobie pucharku, uśmiechnął się szeroko i podziękował:

— *Grazie! Mille Grazie!*<sup>123</sup>

— A wy, ojciec Benedyktus, może wolicie, po naszymu, napić się ze mną piwka?

— Jak to? Macie piwo?

Kuźma chwycił jedną z wąskich flaszek i zaczął napełniać puchar bladeżółtym, przezroczystym płynem.

— Ależ to na wino wygląda — dziwił się zakonnik.

— I nie tylko wygląda — wtrącił Wilhelm Buchier — ale i smakuje zupełnie jak nasze wino. Gdyby nie pachniało piwem, to trudno byłoby poznać.

— Wyszmienite... — chwalił braciszek, popijając powoli.

— Wyszmienite... — powtórzył gospodarz, wdzięczny za pochwałę. — To nie takie piwko jak u nas, no, ale zawsze lepsze niż ten paskudny kumys<sup>124</sup>.

— Oj, prawda — potwierdził brat Benedykt. — Ja i brat Jan nie możemy w żaden sposób przywyknąć do kumysu, bo to ćmi w oczach i dławi w gardle...

— To prawda — poparła Ludmiła. — Mój mąż sto razy mnie prosił, abym popróbowała, ale nigdy nie chciałam. Nie mogę mu powiedzieć dlaczego, ale to pewne, że nigdy w życiu nie będę piła kumysu.

— A to dlaczego? — spytał Kuźnia.

— Kiedy nas brano do niewoli w Ilży, to była najokropniejsza noc w moim życiu, pewien człowiek zmusił mnie, abym skosztowała kumysu. Odtąd nie mogę patrzeć na ten piekielny trunek. Sam zapach mnie przeraża... zaraz mi się zdaje, że jestem znowu w tej czerwonej izbie, czuję krew...

— Przepraszam! — zawołał Wilhelm Buchier. — Ja tam żadnej krwi nie czuję i ośmielę się powiedzieć, że kumys jest smaczny!

Towarzystwo rozdzieliło się na dwa obozy. Francuzi i Węgrzy otaczali Włocha, który porozumiewał się z nimi trochę z prowansalska, trochę po łacinie. Tam głównie rej wodził Wilhelm Buchier, bo jako niedoszły kleryk potrafił posługiwać się łaciną. Druga gromada, oblegająca polskiego braciszka, była liczniejsza, bo złożona ze Słowian, od których wówczas rola się Mongolia. Branki nie mogły nacieszyć się towarzystwem brata Benedykta na tyle, na ile serce go pragnęło. Kapłan musiał przecie obdzielać wszystkich nieszczęśliwców słowami pociechy.

Elżbieta wydzierała mu każdą wolną chwilę.

— Ojcie najmilszy, jest rzecz, która nas okrutnie przez te wszystkie lata niewoli dręczyła: czy Tatarzy<sup>125</sup> zupełnie od nas wyszli, czy nie wzięli żadnego kawałka naszej ziemi?

— Wyszli i nic nie wzięli! To doprawdy łaska boska! I od nas, i od Węgrów poszli, ani jeden Tatar nie został.

— A nasza księżna Kinga pewnie ratuje nędzarzy?

— Tak, miłościwa pani najbardziej biednych kocha. Pełno ich w całym kraju. Gdzie się ruszyć, wszystko sami nędzarze, a gdzie spojrzeć, to zgłiszcza i rozwaliska.

— Wszak i Kraków się spalił. Spalony ze wszystkim? — dopytywała się Elżbieta. — I z tym prześliznym kościołem, co się wznosił na chwałę Panny Maryi?

<sup>123</sup> *Grazie! Mille Grazie!* (wl.) — dziękuję, stokrotnie dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *kumys* — musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany *mlecznym szampanem*. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *Tatarzy* — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

— Ten kościół nie ucierpiał. I nie tylko ten jeden; wszystkie inne też się uchowaly. Kiedy wyjeżdżałem, to krakowianie się krzątali, jakby nigdy nic, a ksiądz mi mówił, że jak odbuduje miasto, przy boskiej pomocy, to będzie dwa razy wspanialsze niż pierwaj.

— Czy to nie cud prawdziwy, ojcze Benedykcie, że właśnie was tu przysłano, was, a nie innego — wtrąciła się do rozmowy Ludmiła. — I czy to nie drugi cud, żeście przed odjazdem widzieli Jasia?

— O! — rzekł Benedykt — kiedy Pan Bóg plany układa, to wszystko jakimiś tajemniczymi drogami według Jego woli musi się spełnić. Nasz przeor w Krakowie odebrał od Stolicy Apostolskiej pismo. Donoszono mu, że Ojciec Święty wyprawia do Tatarów posła, który ma iść przez Polskę, i nakazywano, aby jeden z nas, braci krakowskiego konwentu, mu towarzyszył. Mówiliśmy sobie: „A toż śmierć i korona męczeńska prawie pewne!”. Ale kogo starsi wybiorą? Radzili przez cały wieczór, a ja się modliłem. Noc przeleżałem krzyżem w mojej celi, prosząc nie wiadomo o co, bo chciałem, ale nie śmiałem błagać Pana o tak wielką łaskę. A jednak mówiłem w duszy: o, Panie, jeśli mogę się tam komu przydać, czy do zbawienia, czy do pocieszenia, wejrzyj na Twojego sługę!... I myślałem o wszystkich moich znajomych wziętych do niewoli, których mógłbym jeszcze raz zobaczyć i pokrzepić słowem... Może też wasze łzy i zasługi wyprosiły mi tę wielką radość? Nazajutrz rano schodzimy się wszyscy, a starsi wymieniają moje imię. Myślałem, że padnę. Kazano mi natychmiast udać się do Wrocławia, bo poseł miał tamtędy przechodzić. We Wrocławiu, ma się rozumieć, odwiedziłem księdza Macieja, a u niego zastałem Jasia, całego i zdrowego. Ażem skamieniał z radości. Myślałem przez chwilę, że i wy wróciliście.

— Ojcze — szepnęła Elżbieta. — Czy powiedzieliście Jasiowi, że spotkacie się ze mną?

— Nie, tego nie mówiłem. Któż mógł wiedzieć, że żyjecie, że się spotkamy... Po co dawać zawodne nadzieje... A poza tym...

— Co poza tym?

— A no, chciałby pójść ze mną.

— Moje kochane dziecko!... — jęknęła Elżbieta, a jej serce pękało z bólu.

Do izby wtargnęła gromadka słowiańskich niewolnic, dzieci i jeńców, którzy dopiero teraz mogli wyrwać się z domu. Otoczyli zakonników, prosząc o błogosławieństwo. Niektóre dzieci urodziły się w niewoli i matki pragnęły je jak najszybciej ochrzcić.

Kiedy polski franciszkanin rozprawiał z nowo przybyłymi, Elżbieta i Ludmiła zaczęły podpytywać jego towarzysza:

— Brat Benedykt opowiadał nam, jak Tatarzy pędzili was do Karakorum. Czy chcieli zagłodzić was, zameczyć?

— Prawdę mówiąc — przerwał złotnik Wilhelm — szalona jazda to u nich nie nowina. Zawsze tak jeżdżą, jak chodzi o jakąś ważną sprawę. A tutaj chodziło o pokazanie znakomitych gości na sejmie. Wiem z dobrego źródła, że poselstwo przysłane aż z Romy niezmiernie im pochlebia.

— Prawda — potwierdził Jan de Caprino. — Ciągłe nam przez drogę powtarzali, że tylko dlatego śpieszą, aby zdążyć na elekcję.

— A ja myślę — sarknęła Ludmiła — że oni nie tylko chcieli na kuryłtaju pochwalić się poselstwem, ile przed posłami pochwalić się kuryłtajem, bo według nich, jak świat światem nie ma równej wspaniałości. Myśleli, że was oczarują, a może przestraszą...

— I po części dopięli celu — odparł zakonnik. — Tak, w skrytości ducha, jesteście nie tylko zdumieni, ale i przerażeni.

— Czym? — dziwiono się dokoła.

— Świat chrześcijański nawet się nie domyśla, co mu zagraża. Nasi królowie mówią: „To prostacy, rabusie, długo się nie ostoja” — ciągnął franciszkanin. — A my tu przyjeżdżamy i znajdujemy mądrych rządców, ludy posłuszne, księgi rachunkowe, ład, cesarstwo co się zowie! I jak się tu nie przerażać?

## ZŁOTE MIESIĄCE

Batu przeciągał strunę. Czas mijał, urażeni wyborcy zaczęli sarkać:

— Czy my jego niewolnicy? Czy on sobie z nas drwi? Nie to nie! Obejdziemy się bez niego. — I nazaczyli koronację księcia Kujuka na piętnastego sierpnia 1246 roku.

Nazajutrz nowy chan wziął wielką bojową chorągiew i zatknął ją na majdanie od strony Zachodu. Był to symbol i cały Wschód rozumiał, co znaczy. Ale Zachód nie powinien wiedzieć o nowym zagrożeniu, toteż posłowie papiescy zostali przeprowadzeni do innej części obozu, do namiotu rejentki<sup>126</sup>, skąd nie mogli dojrzeć tryumfalnej zapowiedzi cesarza. Później dopiero dotarły do nich pogłoski, które zwiastowały chrześcijaństwu nową burzę.

Na kuryłtajowym polu wciąż rozbrzmiewały radosne uroczystości, biesiady, hołdy i pieśni. Po wymianie danin przysła kolej na spotkanie z ambasadorami. Poselstwo papieskie szacownie wyróżniono. Tatarzy, ze zwykłym sobie sprytem, poznali się na jego ważności, wszak przychodziło od „ojca ludów chrześcijańskich”. Mimo początkowego naigrywania się z ich żebraczej szaty, mimo że przychodzili z pustymi rękoma, mimo nawet słów karcących, jakie przynieśli ze Stolicy Apostolskiej, spotkała ich łaska bardzo rzadka. Podczas gdy inni posłowie byli po większej części przyjmowani tylko przez wielkich dygnitarzy, bracia, Jan i Benedykt, zostali zaproszeni przed oblicze samego chana. Ten, pozbywszy się nieco pychy i sztywności, przyjął ich wielce łaskawie i oświadczył, że na listy Innocentego IV dostaną wkrótce piśmienną odpowiedź. Ale zanim w kancelariach carskich wystosowano tę odpowiedź, minęły cztery miesiące. Zakonnicy przybyli na pole elekcyjne w ostatnich dniach lipca, a dopiero z końcem listopada mogli pomyśleć o powrocie.

Ten czas był dla Elżbiety i Ludmiły czasem prawdziwie złotym, szmaragdową oazą na szarych bezdrożach życia. Rzadki był dzień, w którym choć jedna z nich nie odwiedziłaby ojców. Szczególnie Elżbieta garnęła się do nich, tysiąc razy powtarzała te same rady i błogosławieństwa, które mieli przekazać Jasiowi. W końcu przestała liczyć na ich przeciążoną pamięć i postanowiła napisać list.

Ludmiła wystarała się w kancelarii cesarskiej o jedwabny chiński papier, przyniosła atrament i pędzelki i Elżbieta zabrała się do dzieła. Z początku szło jej ciężko. Nie umiała się obchodzić z chińskimi przyborami; w niewoli odwykła od pisania, a poza tym tyle było do powiedzenia! Po miesiącu pracy powstał list, a raczej testament, beładny i wzruszający.

Mój Jasiętku, syneczku jedyny, moja radości, jak się tam miewasz? Nie popłakuj za mną, bo mnie tu nie tak źle, jak ludzie gadają, a łzy dziecka są dla matki jak kamień. Służ wujowi, swojemu dobrodziejowi, i módl się codziennie za panią Ludmiłę, która uratowała tobie życie, a dla mnie straciła wolność. Kochane dziecko, niech cię Najświętsza Pani błogosławi. Pamiętaj, jak będziesz duży, abyś w Żegnańcu nie ciemnił ludzi, bo to wielki grzech.

Jeśli będziesz, jak twój sławny ojciec, wojował, to nie wahaj się ofiarować swej krwi na usługi chrześcijaństwa. A kiedy, co daj Boże, ofiarujesz się cały Panu Bogu, jak wuj czy brat Benedykt, odprawiaj co piątek Mszę świętą za ludzi w niewoli. Pamiętaj, nie wychodź rano z psami w pole, póki nie odmówisz pacierza. Jeśli będziesz budował nowy kasztel w Żegnańcu, niech kaplica stanie uczciwa, trzy czarne kamienie: dla ojca, dla pani Ludmiły i dla mnie, twojej matki. A żyj sprawiedliwie, byśmy się u Pana Boga spotkać mogli.

Niewiasty wpadły na pomysł, aby list na pierwszy rzut oka przypominał talizman; w ten sposób mogły być pewne, że Tatarzy, którzy szanują wszelki zabobon, na pewno go nie tkną. Z pstrej mięsistej kitajki Elżbieta wycięła woreczek, coś na kształt szkaplerza, wewnątrz zaszyła pismo wielokrotnie złożone, na wierzchu wyhaftowała najdziwniejsze znaki, a na koniec nawlokła czarny sznurek.

Tymczasem Ludmiła przy każdej nadarzającej się okazji opowiadała mężowi o zakonnikach.

— Sokole mój — zaczęła — a może chciałbyś ich zobaczyć? Wszak sam nieraz mówiłeś, że kapłani przynoszą szczęście domowi.

<sup>126</sup>rejentka (daw.) — regentka. [przypis edytorski]

— Czemu nie? Przyprowadź ich do mnie, kiedy tylko zechcesz, a posłucham, co też gadają. Ludzie z takich dalekich krajów muszą ciekawe rzeczy opowiadać.

Uszczęśliwiona Ludmiła zaraz nazajutrz rano przyprowadziła posłów do jurty męzowskiej. Terchan powitał zakonników z wielkim szacunkiem; zdaje się nawet, że już wcześniej przygotował się do tej wizyty, bo u wejścia do namiotu, na niskim stole, stało kilka czar z kumysem, tarassunem i ariaszem; znak, że gospodarz oczekuje gości.

Po pierwszych słowach powitania zakonnicy przystąpili, za wcześniejszą namową Ludmiły, do najważniejszego tematu — sprawy nawrócenia. Łatwo im to przyszło. Wspomnieli, że przybywają do Mongolii ze słowami pokoju od ojca chrześcijan i nauką Ewangelii. Zaczęli opowiadać o krzyżu, odkupieniu za grzechy i tajemnicy zbawienia. Podstawy chrześcijańskiej wiary przechodziły przez usta nadobnej tłumaczki i musiały się Ajdarowi podobać, bo ciągle się uśmiechał, niekiedy przytakiwał głową. Wkrótce jednak, jakby znużony, przerwał opowiadanie i zapytał:

— A może bracia zechcą się napić kumysu?

Zakonnicy odmówili, tłumacząc się słabą głową, za to przyjęli po małym kubeczku tarassunu i umaczając usta w tym lekkim napoju, wrócili do przerwanej rozmowy.

Ajdar nagle sposepniał. Czy skąpe używanie poczęstunku zraniło jego stopową gościnność, czy go dotknęło jakieś słowo, trudno zgadnąć. Na próżno żona i posłowie ponawiali szturm do jego serca. Zwróciwszy rozmowę na odmienne tory, zaczął się dopytywać o kraje zachodnie, o wojsko, bogactwa i konie, a czynił to z ironią i przekąsem. Pożegnał gości chłodno i nie ponowił zaproszenia.

Przyszedł w końcu dzień, o którym branki nie chciały dotąd myśleć. Posłowie wrócili od cesarza z ostatniego posłuchania i wyznaczyli dzień wyjazdu. Zaczęli się szykować do drogi, choć serca ich krwawiły na widok ludzi potrzebujących kapłańskiej posługi. Przez te ostatnie dni, częściej niż zazwyczaj, spotykali się z wiernymi i dzielili pociechy, przestrogi, zwłaszcza rady, bardzo potrzebne w tak niezwykłych warunkach.

Dzień wyjazdu zapowiedział się chmurnym porankiem; zamieć śnieżna przesłoniła powietrze. Tatarzy przyprowadzili ręce konie, ale brat Benedykt postanowił, że pierwszy odcinek drogi przebędzie pieszo. Powiesił na szyi „szkaplerz” Elżbiety, przycisnął go do serca i wyruszył. Za nim szedł ojciec Jan, a potem tłumy odprowadzających; długa wstęga czerniała się na białym polu. Ludmiła szła ze spuszczoną głową, Elżbieta gorzko płakała. Ta chwila pożegnania, ich zdaniem, była straszniejsza, niż wzięcie w jasyr, niż pierwsze lata niewoli.

Kiedy człowiek jest smagany różgami, dalsze uderzenia, choćby nawet słabsze, bardziej bolą, bo padają na rany.

## TAJEMNICZA GÓRA

W parę miesięcy po zakończeniu kuryłtaju niespodziewanie umarła Turakina<sup>127</sup>. Dla wielu ta śmierć była wyrazem niebieskiego gniewu. Mimo niesłychanych skarbów, jakie rozrzuciła między rzesze, mało kto żałował eksregentki<sup>128</sup>, chyba tylko grono jej zwolenników, które wnet się rozpieczęściło z popłochem. Kujuk postanowił rozpędzić rząd matki; chciał dowiedzieć, że potrafi panować inaczej, lepiej.

Całe państwo drżało. Nowy chan okazał się surowym strażnikiem starych praw i starego porządku. Wielkorządcy, którzy za czasów rejencji<sup>129</sup> nieomal się otrząsnęli z wszelkiego zwierzchnictwa, teraz, na pierwszą wiadomość o wyborze Kujuka, wracali dobrowolnie w karby posłuszeństwa.

<sup>127</sup>*Turakina, Töregene-katun* a. *Turkiana-katun* (zm. 1246) — żona mongolskiego chana Ugedeja (tu: Ogotaja) i matka jego następcy, Gujuka (tu: Kujuka), jako wdowa w latach 1241–1246 sprawowała, w samodzielny i kontrowersyjny sposób, funkcję regentki imperium mongolskiego. Podejrzewana o otrucie ruskiego księcia Jarosława II Wsiewłodowicza (1191–1246). Według niektórych źródeł jej śmierć mogła być wynikiem konfliktu z synem wkrótce po objęciu przez niego tronu. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*eksregentka* — dziś: eksregentka. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*rejencja* (daw.) — regencja. [przypis edytorski]



Kujuk, wstępując na tron, snuł szerokie plany. Chciał wskrzesić czasy Dżyngis-cha, marzył o chwale, o nowej olbrzymiej wyprawie na Zachód. Śniły mu się po nocach węgierskie winnice, z których go tak wcześniej wyrwała wieść o śmierci ojca, śnił mu się tryumfalny wjazd do Rzymu, o którym chrześcijanie opowiadali, że jest piękniejszy od Karakorum. Postanowił już, że sprawi wielką rzeź na Zachodzie, ale papieżowi wspomniałomyślnie daruje życie, mimo że śmiał mu w liście przesłać nauki. Śmierć kapłanów podobno nie przynosi szczęścia. Wpadł na pomysł, że sprowadzi go do Mongolii, aby mu z lamami i szamanami błogosławił kumys. I żaden już pod słońcem śmiertelnik nie będzie mógł równać się z Kujukiem. Spełnią się słowa pieczęci:

„Na niebie jeden Bóg, na ziemi jeden chan”.

Wszystko też zdawało się sprzyjać marzeniom przyszłego zdobywcy. Nie brakowało bogactw ani wojska, ani ochoty w narodzie. Jedna tylko stawała na drodze przeszkoda, pozornie drobna, ale trudna do pokonania: brak zdrowia. Kujuk nigdy się nie oszczędzał, szalał w młodości, nadużywał trunków. Teraz, targany i złamany cierpieniem, zapadał w jakąś dziwną, coraz cięższą niemoc, na którą szamani nic nie mogli lub nie chcieli poradzić. Cesarz jednak nie wątpił, że szybko wróci do zdrowia. W zimie pocieszał się obietnicami wiosny, z wiosną obiecywał sobie, że go łowy jesienne postawią na nogi. Gorączkowo przejęty zachodnią wyprawą kazał do niej czynić wielkie przygotowania.

Zył w nieustannym niepokoju. Uprzykrzyły mu się brzegi Selengi i Orchonu<sup>130</sup>. Oświadczył, że chce jechać aż nad rzekę Imil, do Ujgurii, której powietrze, jak twierdził, będzie dla niego zdrowsze.

Pojechał z dworem podobnym do wojska i po drodze przygarniał coraz to nowe poczty. Gruchnęła wieść, że ta podróż, przedsięwzięta niby dla zmiany klimatu, jest wyprawą skierowaną przeciwko Batemu, na którego cesarz śmiertelnie się pogniwał. Książę kapczacki, jedyny spomiędzy wszystkich dżyngischanidów, jeszcze nie uznał jego władzy i dotąd się ociągał ze złożeniem hołdu.

Księżna Siurkukteni<sup>131</sup>, dowiedziawszy się o wyprawie cesarza w Góry Altaj, potajemnie posłała Batemu ostrzeżenie. Książę Batu wyszedł na „powitanie” monarchy. Ale do spotkania nie doszło; chan Kujuk umarł w drodze.

Wielu było takich, których owa śmierć radowała. Szamani podnieśli głośny okrzyk tryumfu. Czyż nie spełniła się przepowiednia? Mówili: „Źle się skończy.” I źle się skończyło! Mniej głośno, lecz z nie mniejszą uciechą, tryumfowali wszyscy rywale Kujuka. A już największa, choć najbardziej ukrywana radość zapanowała między chrześcijańskimi niewolnikami, którzy dobrze wiedzieli o krwiożerczych zamiarach cesarza, o jego planach podboju Rzymu i całej Europy. Przez dwa lata się trwożyli; w tych zmianach widoczny był dla nich „palec boży”.

— Gdyby w naszej Polsce i w innych państwach chrześcijańskich ludzie wiedzieli, jakie nieszczęście Bóg od nich odwrócił, dziękowałiby Mu do śmierci i może by zaczęli żyć inaczej... — rozważała Elżbieta.

— Ach, doprawdy, czy warto się na tym świecie o cokolwiek zabijać? — zamyśliła się Ludmiła. — Kiedy sobie przypomnę kuryltaj, te przekupywania, pochlebstwa, troski, zabiegi, tyle szumnych przygotowań, to zastanawiam się, po co to wszystko? Po co Kujuk zabiegał o tron? Żeby umrzeć jako cesarz? I to matka i syn prawie razem!

Na pierwszą wieść o śmierci panującego wszystkie drogi prowadzące do Karakorum zostały zamknięte i otoczone wojskiem. Podróżnych zatrzymano tam, gdzie ich zastała śmierć cesarza, a to z obawy, by nie rozprzestrzeniła się wiadomość, która jeszcze dla wszystkich miała pozostać tajemnicą.

W drodze, w czasie przewożenia zwłok, każdą napotkaną istotę, mężczyznę czy kobietę, starca czy dziecko, nawet zwierzę, wszystko bez wyjątku zabijano. Zabijając człowieka

<sup>130</sup> *Orchon* — rzeka, której źródło znajduje się w centralnej części dzisiejszej Mongolii, a ujście o ponad 1000 km na płn. wschód, wpada do Selengi i z nią do Bajkału. Na rzece znajduje się największy wodospad Mongolii. W dolinie tej rzeki znajdowała się starożytna stolica imperium mongolskiego, Karakorum. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *Siurkukteni* a. *Sorkaktani-beki* (zm. 1252) — księżniczka mongolska, córka chana Kereitów, Ong-chana. Po klęsce ojca w bitwie z wojskami Czyngis-chana została synową zwycięzcy, żoną jego syna Tołuja (tu: Tułuja, ok. 1190–1232), po śmierci męża przez wiele lat zarządzała jego ulusem. Jej synami byli: Mongke (1209–1259), Kubilaj (1215–1294), Hulagu (1217–1265) i Aryk Böge (1219–1266) (tu: Mangu, Kubilaj, Mogaj i Aryk-Buga). [przypis edytorski]

czy konia, mówiono: „Idź służyć na tamtym świecie wielkiemu chanowi”. Między dwoma szpalerami trupów jechał nieboszyk w wąskiej, wysokiej skrzyni, która przypominała kapliczkę; w postawie siedzącej, w swym najbogatszym stroju. Droga trwała długo, gdyż obwożono go po wszystkich ordach, jakie do niego należały. W każdym majątku inna żona przyjmowała go ostatnim poczęstunkiem i śpiewaniem długich lamentacji. Wdowy przyłączały się kolejno do żałobnej świty. Na koniec, w Karakorum, najważniejsza małżonka, fertyczna Ogul-Gajmisz, przyjęła go najsutszą stypą i najgłośniejszymi krzykami, po czym dopiero wyruszone na cmentarz chanów.

Zanim jednak ten wyjazd nastąpił, komisja złożona ze znawców obesła wszystkie najznakomitsze rody mongolskie, gdzie były córki na wydaniu, i wybrała trzydzieści pańien, najpiękniejszych, najbogatszych i najmilszych. Ogłoszono wielką i szlachetną wiadomość, że pójda służyć chanowi na tamtym świecie. Rodzice żegnali je z niejakim smutkiem, ale zarazem z niewymowną dumą. One same szykowały się gorączkowo. Głowę nosiły wysoko i jako przyszłe małżonki chana zabierały najpiękniejsze szaty, najbogatsze klejnoty, odstępowane im na wyciągi przez matki, siostry i krewnie, a niejedna młodsza lub mniej piękna siostra, patrząc na ten tryumfalny wyjazd, nie mogła ukryć zazdrości.

Oprócz tych wolnych oblubienic wybrano także kilkadziesiąt zachwycających niewolnic oraz kilkanaście ślicznych pacholąt. Cały ten „pośmiertny harem” wyruszył za marami. Dodano im straż honorową, złożoną z najwyższych dostojników i najprzedniejszych niewiast. Do grona terchanów i nojanów prowadzących zwłoki należał Ajdar, a do grona niewiast odprowadzających oblubienice — Ludmiła.

Cmentarz chanów leżał daleko na północnym wschodzie, w ojczyźnie Mongołów, na Górze Alchaj należącej do pasma Gór Burchańskich, skąd wypływały Honon i Kerulen, dwie słynne rzeki, nad którymi urodził się, wzrastał i umarł Temuczyn<sup>132</sup>. To właśnie on wybrał sobie tę górę za grobowiec.

Po kilku tygodniach orszak powrócił już bez oblubienic, niewolnic i pacholąt. Ludmiła wpadła do namiotu Elżbiety trzęsąca się, bladezielona, jak przestraszone dziecko.

— Nareszcie się wyrwałam z tego piekła! — odetchnęła z ulgą. — Ach, Elżuniu, czego ja się tam napatrzyłam!

— Mówże, bo i mnie ogień przechodzą... Wyglądasz doprawdy jak wskrzeszony Piotrowin.

— Przez całą drogę bałam się, co to będzie, ale nikt nie chciał mi powiedzieć, każdy spuszczał oczy, kręcił głową, zupełnie jak tam, nad limanem<sup>133</sup>, pamiętasz? Kiedy doniesiono, że Ogotaj<sup>134</sup> umarł... I wiele innych rzeczy mi się przypominało... Oblubienice jechały od stóp do głów okryte żółtymi zasłonami, zupełnie jak my wtedy... Naprzód szli żołnierze, którzy po drodze wszystko i wszystkich mordowali, toteż przed nami ciągle było słyhać krzyk i jęki, potem szli szamani, a za nimi jechały zwłoki Kujuka<sup>135</sup>, przy nich urzędnicy, sami mężczyźni, potem żółte zasłony i my. Chciałam koniecznie wiedzieć, co się stanie z tymi pięknymi dziewczynami. Miałam nadzieję, że Ajdar się wygada, ale byliśmy przez całą drogę rozłączeni. Raz jednak, na wypoczynku, udało mi się do niego zbliżyć. Błagałam, aby mi powiedział, czy zginą, a jeśli zginą, to w jaki sposób. Zaczął mnie uspokajać: „Ależ nie bój się, nie będziemy patrzyli na żadne okropności, nikt ich nie będzie zabijał”. W końcu dojechaliśmy do tej góry. Wyglądała zupełnie jak zaklęta, czarna, porośla niesłychanym lasem. Zaczęliśmy wchodzić... Dzień był jasny i pogodny. W połowie góry zobaczyłam otwór, niby do jaskini. To był ów grób, tylko co wykopany. Zapalono pochodnie i zaczęliśmy iść gęsiego, bo wejście było wąskie jak korytarz, w kilku miejscach się skręcało i na każdym zakręcie były drzwi z mocnych belek, z ciężkimi wrzeczadkami. Kiedy szłam tamtędy, przypominała mi się nasza ucieczka w podziemiach Żegnańca i Ilży. Ach, tam było okropnie, ale i tu... Kiedy otworzono trzecie drzwi, stanęliśmy w dużej pieczarze podpartej złocistymi słupami i wybitej ogromnym namiotem

Pogrzeb

<sup>132</sup>Temuczyn a. *Temudżyn* — imię Czyngis-chana. *Czyngis-chan* (1155/1162–1227) — twórca imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>liman — ujście rzeki o charakterystycznym kształcie, często spotykane na wybrzeżach Morza Czarnego i Morza Azowskiego. Ujście takie tworzy płytką zatokę, zalewaną morską wodą. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>Ogotaj a. *Ugudej* (1186–1241) — syn Czyngis-chana, władca imperium mongolskiego w latach 1229–1241. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>Kujuk a. *Güyük* (1206–1248) — wnuk Czyngis-chana, władca imperium mongolskiego w latach 1246–1248. [przypis edytorski]

ze złotogłowiu. W górze paliło się kilkadziesiąt lamp z wonnościami. Na środku znajdował się tron, także złocisty, przed nim nakryty stół, na którym obok misy z kawałem końskiej pieczeni stał roztruchan<sup>136</sup> pełen kumysu i pereł. Za tronem dwa białe konie ze źrebięciem szykowały się do drogi. Choć wypchane, zdawało się, że na pierwszy znak ruszą z kopyta. — Ludmiła przez chwilę milczała, jakby zbierała odwagę na dalsze opowiadanie. — Kiedyśmy weszli... wniesiono nieboszczyka i posadzono go na tronie...

— Jak to posadzono? Przecież umarł trzy miesiące temu, jeszcze się nie rozsywał? — dziwiła się Elżbieta.

— Nie, wcale. Szamani potrafią robić takie sztuki. Siedział, nie wiem, czy go tam przywiązano, ale siedział. Wyglądał okropnie, twarz i ręce miał czarnosine... Jeszcze na dodatek otworzono mu oczy, białka świeciły, nie mogłam na niego patrzeć, byłam pijana ze strachu.

Szamani odprawili różne modły i obrzędy, kilka razy kazano nam przykłękać i czołem bić przed umarłym. Potem zrobił się jakiś ruch. Szamani ustawiali ofiary... Naprzód u stóp nieboszczyka postawiono skrzynie ze złotem i srebrem, potem wokół stołu pacholeta. Naprzeciwko, za tronem, stanęło w półkolu trzydzieści panien. Już z nich pozdejmowano żółte zasłony; błyszczwały i uśmiechały się jak gwiazdy. Pod ścianami kazano stanąć niewolnicom. Jednej z nich szaman podał swój bębenek i powiedział: „Uważaj, kiedy inne zaczną śpiewać, ty potrząśnij bębniem. Pamiętaj, bo jak tego nie zrobisz, to nie pójdziesz za chanem, tylko czarne duchy cię porwą”. Na koniec najstarszy z szamanów zadzwonił laską z brzękadłami. Wszystkie kobiety i dzieci zaczęły śpiewać chórem coś bardzo radosnego, a nam kazano co prędzej uciekać. Wtłoczyliśmy się do korytarza. Szaman wyszedł i zamknął drzwi na wszystkie wrzeczadze. Uczepiłam się Ajdara i wołałam: Jak to? Czy one tam zostaną? Ajdar odepchnął mnie i powiedział gniewnie: „Cicho bądź! Tu nie wolno gadać!” Zaczął pomagać szamanom w ustawianiu ogromnych luków, które były połączone z drzwiami. W wypadku otworzenia drzwi, napinała się cięciwa luku i wypuszczała strzałę. Kiedy zatknęli cały szereg takich luków, znów nas wypchnęli naprzód i zatarasowali drugie drzwi. Teraz już śpiew dochodził bardzo słabo, jeszcze jednak słyszałam niektóre głosy, szczególnie bębenek. Za trzecimi drzwiami wszyscy porwali łopaty, motyki, rozmaite narzędzia i zaczęli zasypywać korytarz, niewiasty rękami dorzucały ziemi, a tak śpieszono, jakby nas kto gonił. Całe wyjście zasypano kamieniami, przysłonięto darniną, gałęzie posplatano, tak że kiedy się obejrzałam, niełatwo było rozemnać, któredy wyszliśmy. Szaman nakazywał pośpiech i milczenie. Nawet pod górą, kiedy dopadliśmy koni, jeszcze nam kazano uciekać i głowy za siebie nie odwracać.

Pytałam moich towarzyszek: po co ta ucieczka? Po co to ukrywanie grobu? Odpowiedziały mi, że nie wolno zakłócać spokoju umarłym. Mówiły: „trzeba ci wiedzieć, że niełatwo jest przejść na tamten świat i jeżeli nieboszczykowi ktoś przeszkodzi w tak trudnej chwili, to duch jego zostaje na tym świecie i żywym przeszkadza”.

I pomyśleć, że Jasia i mnie czekało to samo w grobie Ogotaja!

— Nie mów, Ludko, nie mów — przerwała Elżbieta i zaczęła nerwowo chodzić po jurcie.

Przez wiele dni nie mogły dojść do siebie. Każdego ranka pytały jedna drugą:

— Czy one jeszcze się tam męczą?

Elżbieta przewracała się w nocy z boku na bok, a jeżeli już udało jej się zasnąć, widziała Jasia w ognistej pieczarze, który dobijał się do zatarasowanych drzwi, lkał i jęczał. Kujuk, pan łaskawy, głaskał go fioletową ręką, a martwe konie urzekały go migotaniem agatowych oczu.

## LATA NIEWOLI

Wszystkie żądze i zakusy o władzę, które wybór ostatniego cesarza na jakiś czas przytłumił, teraz budziły się z podwójną mocą. Wprawdzie Kujuk zostawił dwóch synów, ale ci byli niepełnoletni — tym większa rękojmia dla rywali. Stosownie do starych zwyczajów rejencji<sup>137</sup> powierzono cesarzowej Ogul-Gajmisz, której serce mocniej biło, gdy się do-

<sup>136</sup>roztruchan (z tur.) — kielich; zazwyczaj duży, ozdobny, rzeźbiony, służący do wznoszenia toastów. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>rejencja (daw.) — regencja. [przypis edytorski]

rwiała do władzy. Sądziła, że na wzór Turakiny jej rządy przedłużą się w nieskończoność, ale książę Batu pomieszał szyki. Podczas ostatniej rejencji spostrzegł, że zwlekanie z wyborem cesarza nie doprowadza do pomyślnego rozwoju wydarzeń. Wiadomość o śmierci Kujuka zastała go w okolicach Kajałyku. Tam zatrzymał pochód wojska i zaraz zwołał sejm elekcyjny. Zjechała co prędzej księżna Siurkukteni<sup>138</sup> z synami i większość potomków Dżyngis-chana.

Posłano zaproszenie synom Kujuka i Szyramunowi, który po raz drugi znalazł się na liście kandydatów. Trzej młodzi książęta, nie chcąc opuszczać stolicy, wysłali Temura, wielkorządcę Karakorum<sup>139</sup>, zalecając, aby w ich imieniu podpisał wszystko, na co większość książąt się zgodzi. Nie wątpili, że przysięga złożona niegdyś Ogotajowi zapewni koronę jego wnukom. Zachodziło tylko pytanie, któremu dopisze szczęście.

Nim jeszcze Temur opuścił bramy Karakorum, Ajdar wymknął się cichaczem. Wyjechał ze stolicy z żonami, skarbami, z całym dworem i dobytkiem. Chciał mieć wolny głos w sejmie, a wiedział, że nie podoba się on rejentce ani jej potomstwu. Dojechał szczęśliwie do równin pod Kajałykiem. Branki miały okazję po raz drugi przypatrzeć się kuryłtajowi. Ten wprawdzie nie olśnił ich tak jak pierwszy. Był naprędce zwołany, gwałtownie prowadzony, nie jaśniał przepychem, nie zgromadził tylu ambasadorów.

W pierwszym dniu kuryłtaju zaszły nieprzewidziane wydarzenia. Jak las kłania się w jedną stronę, kiedy nań uderzy niespodziewany huragan, tak zniecka wszystkie głowy wyborców zwróciły się ku księciu kapczackiemu. Po całym zgromadzeniu przebiegł szmer, potem zagrział niesamowity okrzyk i wszyscy Dżingischanidzi z zaskakującą jednomyślnością ofiarowali tron Batemu. Oto największy przyjaciel księżnej Siurkukteni, najwierniejszy dotąd wykonawca jej woli, wystawiony został na próbę przechodzącą zwykle siły ludzkie. Wahał się. Nie wiedział, czy może odepchnąć tron już nie tylko od samego siebie, ale i od potomstwa, odsunąć berło, aby je oddać synowi Cheraitki<sup>140</sup>?

Mimo poczucia całej swej potęgi, księżna zadrżała. Książę Batu przez jakiś czas wahał się decyzyjnie. W końcu ogłosił wszem wobec, że nie przyjmie ofiarowanych mu zaszczytów; dla tej kobiety gotów był do największych poświęceń.

Zmartwieni książęta błagali go, by im przynajmniej wskazał, kogo mają wybrać.

— Choćbym radził, czy usłuchacie? — zastanawiał się głośno Batu.

— Usłuchamy! Usłuchamy! Jeśli nie wierzysz słowom, zaręczymy na piśmie. — I natychmiast spisano umowę, mocą której wszyscy zobowiązali się do wiernego wypełniania rady, jaką im przedstawi głowa rodu.

Batu wziął pismo i powiedział, że musi się głęboko zastanowić... Odszedł niby w tym celu, a w rzeczy samej chciał cyrograf narodu złożyć u stóp księżnej Siurkukteni.

— Czy jesteś zadowolona ze swego sługi, pani? Wszystko dla ciebie poświęcam, niczego nie żądając w zamian.

Nazajutrz, wśród ciszy i nerwowego oczekiwania, książę Batu wygłosił przemówienie, w którym dowodził, że państwem powstałym z wojennych zaborów nie powinien rządzić nikt inny, tylko znakomity wojownik.

— A któż — powiedział na zakończenie — śmiały się równać z wojownikiem, którego imię wielkie czyny rozsławiły już na dwóch krańcach świata. Znają go w Chinach, zna go Polska i Węgry — grzmiał tubalnym głosem, wskazując najstarszego syna księżnej Siurkukteni, księcia Mangu.

Stosownie do przepisów ceremoniału książę wymawiał się z wielką pokorą i skromnością. Każdemu po kolei chciał ustępować tronu, dopiero gdy mu przypomniano, że i on

<sup>138</sup> *Siurkukteni* a. *Sorkaktani-beki* (zm. 1252) — księżniczka mongolska, córka chana Kereitów, Ong-chana. Po klęsce ojca w bitwie z wojskami Czyngis-chana została synową zwycięzcy, żoną jego syna Tołuja (tu: Tułuja, ok. 1190–1232), po śmierci męża przez wiele lat zarządzała jego ulusem. Jej synami byli: Mongke (1209–1259), Kubilaj (1215–1294), Hulagu (1217–1265) i Aryk Böge (1219–1266) (tu: Mangu, Kubilaj, Mogaj i Aryk-Buga). [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *Karakorum* — stolica imperium mongolskiego w XIII w., położona w dolinie rzeki Orchon w północnej części ówczesnej Mongolii (dziś w centrum kraju), początkowo baza wojskowa Czyngis-chana, rozbudowana przez chana Ugedeja. W 1264 r. chan Kubilaj przeniósł stolicę imperium do dzisiejszego Pekinu. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Cheraitka* — kobieta z ludu Cheraitów. *Cheraici*, dziś *Kereici* a. *Keraici* — lud środkowoazjatycki, pochodzenia mongolskiego a. tureckiego, od XI w. wyznający nestorianizm, walczyli z Tatarami, pokonani weszli w skład imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

wczoraj podpisał obietnicę ślepej uległości dla Batego, spuścił głowę i zamilkł. Wszyscy obecni zdjęli pasy i odwiecznym zwyczajem zarzucili je sobie na szyję, po czym przyklękali dziewięć razy, oddając czołobitność nowemu chanowi. W końcu Mangu wypowiedział swoje zamiary wojenne. Były imponujące. Nowy władca postanowił zupełnie zmienić ós państwa. Dotąd zabory tatarskie szerzyły się głównie na zachód. Ciągłe przybywało ziemi w tamtych stronach, tak że Mongolia przybierała kształt wydłużony, nieporęczny do rządzenia. Nowy chan postanowił powiększać swoje państwo już nie wzdłuż, nie na zachód, lecz na południe. W tym celu ogłosił dwie wyprawy. Z jednej strony chciał podbić cesarstwo Sungu, czyli drugą połowę Chin, która jeszcze nie podlegała Tatarom<sup>141</sup>. Z drugiej strony pragnął ostatecznie wcielić do państwa Turkiestan i Persję, które w sercu swoim kryły jeszcze różne potęgi — bagdadzki kalifat, zagrażający duchowym panowaniem, i sektę Izmaelitów, pełzającą żmiję, wiecznie grożącą żądlami skrytych sztyletów.

Przy mianowaniu wodzów Mangu dowiódł, że zna się na ludziach. Pierwszą wyprawę powierzył bratu Kubilajowi ze względu na jego zamiłowanie do chińskiej kultury. Uczynił go wielkorządcą już podbitych prowincji, a na podbój nowych dał mu liczne wojsko.

Wyjazd Kubilaja przyniósł brankom wielką, choć tajoną radość. Z jego orszakiem wyjeżdżał Kałga, który przed kilkoma miesiącami powrócił ze szkół Jeliu-Czusaja, już prawie dorosły i jeszcze bardziej zacięty niż przedtem. Ciągłe krytykował matkę, że niewolnicom i niewolnikom pozwala się próżniaczyć, o stryju mówił, że słaby i daje się za nos wodzić ładnej żonie, słowem w kilka miesięcy zamącił i podkopał spokój i równowagę panującą w obozie. Na szczęście Kałga żądny był rozgłosu, wrzawy, łupów i długo nie mógł usiedzieć na pasterskim wózku. Świeżo zdobyta znajomość chińskiego przybywała w samą porę; został zaliczony do sztabu Kubilaja. Wybierał się na tę pierwszą w swoim życiu wyprawę zupełnie jak do ślubu, dwornio, suto, strojnie, nawet z niewolnicami. Chciał też ze sobą zabrać Elżbietę, jednak Ludmiła zdołała mu to wybić z głowy, tłumacząc, że na rzezi wojennej może ją stracić. Było to bardzo ryzykowne, ponieważ w jej rękach niejako leżało jego życie. Uwaga trafiła do Kałgi, zostawił zatem niewolnicę przy matce, a postanowił tylko zabrać mnóstwo szat, które Elżbieta musiała wykończyć co żywo.

Szycie było coraz trudniejsze; to już nie były małe dziecinne sukienki, ale ogromne chałaty, kaftany, kołpaki, które kazał sobie wyszywać złotem, srebrem, bisiosem, perłami i w dodatku dziesięć razy przerabiać. Elżbieta nie odrywała się od pracy, całymi dniami i nocami szykowała wyprawę Kałgi. Wzrok jej się nadwyrężył, powieki były napuchnięte i czerwone. W końcu zapełniła podróżne skrzynie.

Kubilaj wyruszył z olbrzymią pompą wodza i wicekróla, a przy nim Kałga, ubrany jak bożyszcze, na czarnym rumaku. Matka żegnała go, łamiąc ręce i zaklinając, aby na siebie uważał, Ajdar powtarzał rady wytrawnego wodza, a branki uśmiechały się ze szczęścia, a zarazem truchlały na myśl, że Kałga kiedyś wróci. Z wielką radością dziękowały Bogu za te kilka lat ulgi.

Ludmiła spostrzegła, że Ajdar również tęskni za wojną. Choć wruszał ramionami, udając, że nie jest to dla niego takie ważne, w głębi serca marzył o wyprawie. Pewnego dnia postanowił porozmawiać o tym z cesarzem. Chan, który niezmiernie lubił Ajdara za jego życzliwy stosunek do matki, księżnej Siurkukteni, odpowiedział:

— Wiesz co, terchanie, żal by mi było żegnać tak dobrego i wiernego sługę. Kiedyś wyruszymy razem, na wojnę do Chin, ale pierwszej muszę uporządkować domowy nieład; w tym także mi się przydasz. A jest bardzo dużo do zrobienia...

## JESZCZE RAZ GOŁĄB

Nadszedł 1253 rok, dla Elżbiety i Ludmiły dwunasty rok niewoli.

— Mam przecucie, że coś dobrego się zbliża... — rzekła z zadowoleniem Elżbieta. — Dwanaście to święta liczba, która dobrze wróży. No, zobaczysz, Ludko, ten rok przyniesie nam zmiłowanie Boże...

<sup>141</sup> *Tatarzy* — tu: Mongołowie; w ścisłym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

Łamały sobie głowę, skąd przyjdzie i jakie będzie to zmiłowanie? I nic nie mogły wymyślić. Zdawało się, że widnokrąg ich życia jest zamknięty na zawsze.

Według corocznego zwyczaju, przez pierwsze dwa miesiące roku tabory Ajdara koczowały na południu, w najcieplejszych rejonach Mongolii. Ale w marcu powoli ciągnęły ku północy, żeby w połowie kwietnia stanąć w Karakorum i tam, razem z całą tatarską magnaterią, czekać na przyjazd cesarza, który zwykle w pierwszych dniach maja przybywał do stolicy.

W nocy, w okolicy stosunkowo przyjemnej i zacisznej, odgradzonej od północy pasmem Gór Karakorum, bystre tatarskie oczy wypatrzyły niezwykle zjawisko. Po jednej stronie widnokregu zafalowała dygocąca luna, której blaski różowymi pręgami odbijały się od śniegu. Karawana wyległa przed jurty i wozy, by się temu przypatrzeć. Niektórzy twierdzili, że to zorza północna, inni, że się gdzieś pali.

Ajdar wzruszył ramionami.

— To nieprawda — oznajmił. — Znam się na tym. Zorza, gdy gore, to nie dymi, step nie zapala się pod śniegiem. To jakieś ogromne koczowisko. Dziesiątki, setki, a może tysiące ognisk. To chyba wielki chan.

Rano kilku ciekawskich pognało przodem i wkrótce powróciło z wiadomością, że istotnie widać coś w oddali. Nie są to namioty ani wozy, tylko jakiś stały budynek.

Ludmiła, znudzona jednostajnością koczowania, spragniona osobliwych wydarzeń i nowych twarzy, wybiegła ze swej izdebki, dosiadła konia i wzięwszy małą świtę, pocwałowała naprzód. Wkrótce spostrzegła przestrzeń otoczoną wysokim ostrokołem. Co kilkanaście kroków stał oparty o parkan żołnierz. Zewsząd dolatywały jakieś metaliczne odgłosy, nawoływania, szum jak w ulu.

— Czy mogę tam wejść? — Ludmiła chciała sprawdzić, co dzieje się w środku.

— Nie można. Chańska robota — odpowiedział stanowczo naczelnik straży.

— Co to jest: „chańska robota”? Puśćcie mnie, jestem żoną terchana, wszędzie mogę wchodzić! Zsiadła z konia, a jej niewolnicy, chcąc usłużyć pani, zaczęli rozpychać strażę i kołatać do bramy.

Ktoś uchylił drzwi, zaskrzypiała furтка. Filipek! Raczej Filip, młodzian już dorosły, na twarzy dorodny. Miał poplamione ubranie i zniszczone, spracowane ręce, wyglądał jak człowiek oderwany od ciężkiej pracy.

Każde spotkanie z przyjaciółmi bywa miłe w podróży, szczególnie na wygnaniu. Filip klasnął w ręce i zaczął podskakiwać jak tancerz.

— Papa! Papa! *Dame Ludomille* przyjechała! Chodźcie tu! Prędko, prędko!

Nadbiegł mistrz Wilhelm w fartuchu ze zrudziałej skóry, także umorusany, ale z twarzą promieniejącą.

— A skąd wy tutaj, piękna damo? A to spotkanie! A to gość! — cieszył się mistrz.

— Jak zawsze, ciągniemy z koczowisk zimowych do miasta. A wy, co tu robicie? Czy to więzienie?

— Nie, to mój warsztat.

Z głębi dziedzińca doleciał tak dobrze znany Ludmile głos mistrza Kuźmy. Szedł wolniutko, sapiąc, pokaszując i podpierając się kijem.

Wraz ze śmiercią Kujuka Kuźma stracił stanowisko na dworze. Teraz on służył swemu dawnemu pomocnikowi, ale zmiana fortuny nie martwiła go wcale, przeciwnie, cieszył się pomyślnością przyjaciela bardziej niż własną. Narzekał tylko na zdrowie; nie było takie jak dawniej. Nie mógł już oddychać pełną piersią. Chudł i niknął w oczach. Na jego twarzy, jeszcze nie tak dawno pulchnej, teraz wisały puste fałdy, a niegdyś krotochwilne oczy świeciły teraz jak zamarzniete lzy.

— Co ja słyszę? Pani Ajdarowa! Niechże ucałuję te śliczne polskie rączki.

— Ojczulku, chodźcie jeść! Garnek stygnie — zawołał chłopak.

— Daj mi spokój, ja nie głodzien.

— Ależ jedz, mój bracie — nalegał Wilhelm. — Kazałem dla ciebie zrobić prawdziwy *pot-au-feu*.

Kuźma pokiwał głową i szepnął do Ludmiły:

— Złoty człowiek! Dobrze mi tu jak u Pana Boga za piecem, ale te ich *pot-au-feu* wcale mi nie smakuje... to nie po naszymu... — ponarzekał i poszedł.

— Boję się o niego — rzekł Wilhelm. — Co mogę, to robię, dogadzam, zabawiam, czasem specjalnie dla niego chleb wypiekam. Ale co to pomoże? On tęskni wciąż za swoim chlebem, za swymi polami, za tą waszą zupą, co się tak dziwnie nazywa, jak u nas dzień, *le jour*. Ach, gdybym go miał stracić...

— Nie martwcie się, Bóg go zachowa — pocieszała Ludmiła. Nagle podniosła się. — Ja tu sobie gadam, a na was tam czeka obiad i robota. — Szykując się do drogi, w ostatniej chwili zapytała: — Od dawna tak pracujecie?

— Będzie już prawie sześć miesięcy. Jeszcze parę niedziel upłynie, zanim skończę pracę. Ach, gdyby człowiek miał więcej czasu, mógłby się nacieszyć robotą. Ale w tym szalonym pośpiechu to i nie dośpi, nie doje. Nieraz po całych nocach kujemy. Ani ja, ani mój syn nie mieliśmy czasu odwiedzić naszego kochanego księdza...

Ludmiła wrosła w ziemię.

— Jakiego księdza?

— Jak to? Jeszcze nie wiecie? Jest nowy misjonarz, franciszkanin! — Wilhelm z radością przekazał nowinę.

— Naprawdę! I któż go przysłał? Papież?

— Nie, nasz król. Król francuski, Ludwik. Kilka dni temu odbieram list — ciągnął Wilhelm — podpisany Guillaume Ruysbrouck, Cordelier. Otóż w liście misjonarz wita mnie jako ziomka, bo to człowiek z naszej ziemi, z naszych flandryjskich stron, przesyła mi wszelkie błogosławieństwa i donosi, że przybył tu z drugim zakonnikiem, żeby szerzyć wiarę świętą. Skarży się, że mają tłumacza, pijaka i gbura, co więcej szkodzi, niż pomaga. Słyszał, że mój Filip zna języki i pyta, czy nie chciałbym, aby „szerzył chwałę Bożą”.

— Gdzie mieszka ten ksiądz? — Ludmiła przerwała opowieść Wilhelma. — W Karakorum?

— Nie, w obozie chańskim, przy samym chanie.

— Niech ci Bóg da zdrowie! — krzyknęła na pożegnanie i popędziła ku taborom.

Naprzód z radosną wiadomością wpadła do Elżbiety, potem do męża, ale tu ogarnęła ją trwoga i wahanie. Ajdar siedział w jurcie przy ognisku i oglądał jakąś nową czeczugę. Popijał jak zawsze z dwuszyjkowej czary.

— Mężu... — zaczęła ostrożnie.

— Co takiego?

— Widziałam... Obóz chana jest bliźiutko. Może byśmy tam pojechali...

— Po co? — zdziwił się Ajdar.

— A no, żeby złożyć hołd chanowi.

— Nie ma czasu. Stada chańskie wyjadły wszystką trawę. Trzeba nam jak najprędzej stąd uciekać, inaczej stracę swój dobytek.

— To wyślij trzodę i stadninę przodem. A my trochę zostaniemy. Straszliwie się wynudziłam na stepie, chciałabym zobaczyć cesarzową Siurkukteni, chatuny... — Oparła dłoń na jego ramieniu i zaglądając mu w oczy, przymilnie rzekła: — Skarżysz się wiecznie, że cię o nic nie proszę. Otóż teraz proszę...

Jeszcze tego samego dnia stado i trzoda Ajdara wyruszyły w stronę stolicy, a on sam ze swoim orszakiem zajechał do koczowisk chańskich.

Przy wejściu na majdan cesarski strażę powiadomiły Ludmiłę, że misjonarz zamieszkał przy mnichu Sergiuszu, którego kapliczka znajduje się tuż przy głównej bramie. Mnich ormiański, Sergiusz, pojawił się na dworze mongolskim przed kilkoma miesiącami. Mieszkał długo jako pustelnik w okolicach Jerozolimy i tam zrozumiał wolę Pana — ma nawracać monarchę Mongołów. Pustelnik ruszył w drogę i stanął przed chanem, który swoim zwyczajem przyjął go wybornie. Mógł się Sergiusz podobać poważnemu władcy. Wyglądał nadzwyczaj ascetycznie, dzień spędzał na modlitwach, a noc na pokutach. Szeptano sobie nawet, że nic nie je przez dwa miesiące. Chętnie przyjmował dary od chana i członków rodziny cesarskiej. Wkrótce urządził sobie prześliczną kapliczkę, którą woził za dworem.

— To musi być tutaj — powiedziała do siebie Ludmiła, spostrzegłszy dom na kołach, na którym tkwił krzyżyk. Odsunęła nieco zasłonę wejściową i znalazła się w tajemniczej kaplicy.

Na środku wisiała ośmioramienna lampa, której drgające płomyki rzucały słabe światło. Z początku Ludmiła nic nie mogła rozeznaczyć. W głębi, nad ołtarzem, połyskiwała

złota tkanina. Ludmiła podeszła bliżej i spostrzegła na tym tle wąskie a wysokie figury Pana Jezusa, Najświętszej Panny, świętego Jana Chrzciciela i dwóch klęczących po bokach aniołów; twarze i ubiory tych postaci były zarysowane perłami. Na samym oltarzu, wśród mnóstwa ozdób, świecił duży srebrny krzyż, którego środek i cztery końce nabite były drogimi kamieniami.

Po chwili, gdy jej oczy oswoiły się z półmrokiem, spostrzegła, że w kaplicy nie jest sama. Pod ścianą siedział mnich przyodziany w ostrą włosienicę sięgającą kostek, która była zaciśnięta nad biodrami rudym żelaznym pasem. Na wierzchu miał czarny płaszcz, podbity wełną, a na kolanach wielką otwartą księgę. Czy z niej czytał, czy tylko rozmyślał — trudno zgadnąć. W każdym razie wzrok miał utkwiony nieruchomo w księgę.

Zakłopotana Ludmiła, po chwili oczekiwania, podeszła do niego i zapytała po mon-golsku:

— Ojcie Sergiuszu... — Milczenie. — Ojcie Sergiuszu! Chciałabym się widzieć z kaplanem, który przybył od króla Franków.

Mnich, nie podnosząc oczu, odpowiedział grobowym głosem:

— Brat mój, Gwilelm, poszedł do chorych. Nie ma go teraz tutaj.

— A kiedy będzie można go zobaczyć? — zapytała nieśmiało, ale on jej nie słuchał. Powoli podniósł oczy i utkwił w niej błędne, nieprzyjemne spojrzenie.

— On chodzi do chorych, aby ich spowiadać i namaszczać, a ja się tu za nich modłę. Jednych moimi modlitwami uzdrawiam, a drugich zabijam.

Ludmiła cofnęła się przerażona.

— Jak to? Co wy mówicie? Czy chrześcijaninowi wolno modlić się o czyjąś śmierć?

— Niewiasto, jeśli mają grzeszyć i prześladować sługi boże, to dla nich lepiej, by zdechli. — Wstał, zamknął księgę i odsunął czarną zasłonę, która zamykała ciemny kąt przy oltarzu. Była tam wnęka, gdzie na blaszanej misie płonął ogień. Nad nim, na trójnogu, wisiał mały kociołek, a w nim bulgotała czarna polewka.

Sergiusz schylił się nad cieżką i powoli mieszał ją krzyżykiem, mrużąc jakieś pacierze.

— Słuchaj, niewiasto — rzekł uroczyście — głos Boży mnie ostrzega, że mój brat, Gwilelm, wraca.

Ludmiła i bez objawienia boskiego wiedziała o tym. Przed kaplicą słychać było kłapanie sandałów po zamarłej ziemi. Nie żegnając się z Sergiuszem, wybiegła z kaplicy jak wichry i stanęła twarzą w twarz z misjonarzem.

Był to człowiek w sile wieku o niezmiernie ujmującej powierzchowności. Mimo czarnej, pustelniczej brody i zniszczonego habitu, miał w sobie coś pańskiego, wytwornego, co wskazywało, że nie zawsze chadzał w takiej odzieży.

Jeszcze przed kilku laty Guillaume Ruysbrouck, odziany w jedwabie i pióra, jaśniał między dworzanami Ludwika IX. Dowcipny, towarzyski, błyskotliwy, pierwszy był na turnieju i do serenady. Ale przyszedł nagle „głos powołania”, który idzie jak wietrzyk, a porywa jak huragan. Skąd przyszedł? Nie wiadomo! Może od króla, który swoim przykładem krocie dusz uświęcał, może od jakiejś bliskiej sercu osoby, która go skłóciła z ziemskim szczęściem? Skądkolwiek przyszedł, sprawił, że pewnego poranka Ruysbrouck zrzucił jedwabie i popłynął na wyprawę krzyżową wraz z królem Ludwikiem; już nie w pancerzu i piórach, ale w brunatnym habicie „Cordelierów”. To właśnie brzeg tego habitu ucałowała Ludmiła, witając misjonarza.

— Przezacny ojcie! Sam Bóg was tutaj sprowadza! — powiedziała łamaną francuszczyzną.

Na dźwięk rodzinnej mowy twarz zakonnika pojaśniała.

— Skąd przybywasz, moja damo?

— Jestem polską chrześcijanką wziętą do niewoli już kilkanaście lat temu. Potrzebuję sakramentów świętych, wszystkiego co święte... Przyjechałam tutaj, żeby was powitać, ojcie. Ach, jakże byłabym szczęśliwa, gdybyście chcieli zająć do mnie w gościnę, choćby zaraz, bo nie wiem, jak długo będzie wolno mi pozostać... Potrzebuję duchowego wsparcia, słów pociechy! I nie tylko ja, lecz i moja przyjaciółka, Elżbieta.

— Teraz nie mogę — odparł stanowczo franciszkanin. — Muszę zajrzeć do mego towarzysza podróży, brata Bartolomea, który ze znużenia się rozchorował; leży u mnicha Sergiusza. Muszę także wstąpić do pewnej niewolnicy staruszki z ostatnią posługą kapłańską. Ale myślę, że za jakąś godzinę będę wolny.

Asceta, Śmierć, Modlitwa,  
Obyczaje



— Ach! Dzięki! — zawołała Ludmiła.

Zostawiła jednego z niewolników, żeby misjonarzowi wskazał drogę, a sama popędziła do domu. Gdy tylko przekroczyła próg mieszkania, kazała je sprzątać, przystrajając i zastawiać suty podwieczorek.

Męża nie było w domu. Ludmiła pomyślała, że może to i lepiej, bo od kilku lat Ajdar nie znosił osób, które opowiadały o chrzcie lub o innych chrześcijańskich obrządkach. Pod tym względem stał się tak zawzięty, że branki zaczęły wątpić w jego nawrócenie.

Któregoś dnia powiedział do żony:

— Módl się, ile chcesz, spraszaj sobie kapłanów, ale już więcej nie gadaj o tej waszej „wodzie oczyszczającej”, bo jak się rozgniewam, to jestem gotów cię zabić, a potem byłoby mi przykro, doprawdy bardzo przykro!

Minęła godzina... przeszło jeszcze pół godziny... W końcu nadszedł oczekiwany gość. Elżbieta podsunęła mu jedyny w namiocie europejski sprzęt — gotyckie krzesło, a sama siadła na sofie. Rozpoczęło się przyjęcie na polski sposób, od poczęstunku. Gość nie odmawiał, był niezmiernie spracowany i głodny. W jego zachowaniu branki dostrzegły wytworność i elegancję, świadczącą o wysokiej kulturze, ową francuską *urbanité*, która pozwala na prostotę, szczerłość i swobodę. Nie minęło pół godziny, a wszyscy troje rozmawiali, jakby się znali od lat.

— Ojcze, proszę zjeść jeszcze trochę sera!

— Dziękuję. Doskonały, ale już mam go dosyć. Jakże on się nazywa?

— Gryjut, według mnie za ostry. Cieszę się, że przynajmniej ojcu smakował. — Ludmiła z wdziękiem pełniła obowiązki pani domu. — A z napojów, czym mogę wam służyć? Kumysu nawet nie proponuję, bo pewno nie będziecie chcieli...

— Czemu nie? To wyborna rzecz! Jest u nas we Francji prowincja nazwana Szampanią, sławna ze swoich winnic. Otóż wydaje mi się, że wasz kumys jest bardzo podobny do naszego szampańskiego wina. Tak samo się pieni, z początku trochę szczypie w język, ale potem zostawia smak słodkawy, jakby po mleku migdałowym, i „rozwesela ludzkie serca”, wedle słów Salomona. Mówiono mi nawet, że upija. Czy to prawda?

— Jeszcze jak! Ludzie się tu strasznie upijają kumysem<sup>142</sup>. A my go nie znosimy! Może dlatego, że tatarski.

— Rozumiem. Ja przyszedłem tutaj z dobrej woli. Pragnę do końca moich dni tu zostać i szerzyć wiarę świętą. Chcę sobie ten kraj upodobać, wszystko tu dla mnie dobre, niekiedy sobie wmawiam, że dobre... Ale w niewoli to co innego... Musiałyście wiele wycierpieć.

Niewiasty milczały. Tyle było do powiedzenia, że nie wiedziały, od czego mają zacząć.

— Wokół bezbrzeżne pustynie — ciągnął franciszkanin. — To straszne! Ani miast, ani wiosek, ciągle koczownicze życie na wózkach!

— Po kilku latach przywykłyśmy do życia na wózkach — rzekła Elżbieta. — Teraz, kiedy nam przyjdzie spędzić część roku w Karakorum, to nie możemy wytrzymać między czterema ścianami. Wyrażnie nas duszą; czujemy się tak, jakby dach walił się na głowę. Nocujemy w krążgankach, aby mieć więcej powietrza.

— Doprawdy? Dziwna rzecz, jak to człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić.

— Oj, nie do wszystkiego, nie! Są rzeczy, do których nigdy nie przywykniemy. Na przykład do przerażającej nędzy, jaka panuje wśród jeńców. Śmierć głodowa to u nich rzecz codzienna. Czy wy wiecie, ojcze, że są między panami tatarskimi tacy, którzy swoim niewolnikom i niewolnicom nie dają nic do jedzenia, ale to naprawdę nic — opowiadała Elżbieta. — A swoją drogą ci nieszczęśnicy muszą ciężko pracować. Czym się mają żywić, to już jest ich zmartwienie. Toteż jedzą rzeczy, nie do wiary... Sama widziałam, jak niektórzy łowili myszy, piekli je i ogryzali...

— Wiem — rzekł Ruysbrouck, a twarz jego, dotąd mile uśmiechnięta, nagle spoważniała i zaszła ołowianą chmurą smutku. — Wiem. Niewolnicy opowiadają mi o tym wszystkim. Wyznają z płaczem, że muszą niekiedy okradać swoich panów, żeby nie umrzeć z głodu i mrozu, bo nie tylko nie mają pokarmu, ale nieraz i ostatnia odzież się podrze.

— Ach, ojcze, jaka jest na to rada?

<sup>142</sup>Ludzie się tu strasznie upijają kumysem — kumys, musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawiera od 1% do 3% alkoholu. [przypis edytorski]

— Ja im powiadam: bierzcie tyle, ile trzeba, żeby nie umrzeć. Jeśli weźmiecie tyle, nie więcej, to nie będzie grzechu. Grzech zostanie przy waszych panach, co mają święty obowiązek zachować was przy życiu. Życie w niewoli, jesteście zmuszani do nadludzkiej pracy, bici i jeszcze odmawiają wam najniezbędniejszej stawy, gorzej niż psu, niż bydłociu! Tego już za wiele! Wiem, że niektórzy tutaj gniewają się na mnie, ale ja nie ustąpię. Przed samym wielkim chanem gotów jestem bronić niewolników.

— Ojcze! Jak to dobrze wiedzieć, że znalazł się ktoś odważny, kto chce przemawiać w naszym imieniu — rzekła wzruszona Elżbieta.

— Jest jeszcze jeden poważny problem. Jeńcy ciągle pytają: „Każą nam iść na wojnę i zabijać chrześcijan. Co mamy robić?” Odpowiadam: Nie idźcie! „A jakżeż — mówią — nie mamy iść, kiedy nas przymuszają i męczą?” To dajcie się męczyć, ale nie idźcie. Lepiej zginąć śmiercią męczeńską, niż walczyć przeciw Chrystusowi. I tu znów powtarzam: gotów jestem przed samym chanem bronić świętych racji! — W głosie franciszkanina zabrzmiała uroczysta nuta, zupełnie jakby składał przysięgę.

— A jak was chan przyjął, ojcze? — zainteresowała się Ludmiła.

— No... dość uprzejmie. Na samym wstępie szafarze zaczęli częstować nas najrozmaitszymi napojami. Ja tylko kilka kropel wypilem, przez grzeczność, ale tłumacz tak sobie podchmielił, że kiedy mu przyszło powtarzać nasze słowa, to plątał się i w żaden sposób nie mógł się wysłowić. A kiedy Mangu zaczął nam odpowiadać, to wtedy już nikt niczego nie rozumiał, bo i chan był trochę podcięty.

— A więc nie mogliście zdać sprawy z waszego poselstwa.

— Prawdę mówiąc, nie miałem żadnego poselstwa.

— Jak to? Przecież jesteście posłem od króla francuskiego.

— I tak, i nie. Bronię się usilnie od nazwy posła, bo wiem, że oni biorą każde poselstwo za dowód lennictwa i za obietnicę haraczu. Zresztą szczerze mówiąc, byłem wysłany nie do chana Mangu, lecz do Batego.

— Doprawdy? Jak to było? — dopytywała się Ludmiła.

— Kiedy dopłynęliśmy do Palestyny — ciągnął franciszkanin — w Akrze rozeszła się wiadomość, że książę Sartak, syn Batego, został chrześcijaninem. Nasz przezacny król Ludwik ucieszył się z całego serca, bo byłby to wypadek niesłychanej wagi, z jednej strony ochrona od okrucieństwa Mongołów, z drugiej gotowy sprzymierzeniec przeciw Saracenom. Król napisał bardzo mądre listy do Batego i do Sartaka i mnie z nimi posłał. A Batu zamiast wprost odpowiedzieć, wysłał mnie tutaj, do wielkiego chana. Nie wiem po co. Czy chciał się poradzić, jaką ma przesłać odpowiedź?

— No, a cóż ten Sartak? Naprawdę jest chrześcijaninem?

— Gdzie tam! — zachnął się misjonarz. — Nie rozumiem, skąd powstała ta bajka. Rozmawiałem z nim i jedno tylko zmiarkowałem, że sobie ze wszystkich drwi. Tak jak i wasz chan Mangu. Oj, ten człowiek to chodząca zagadka. Kto by go chciał nawrócić, musiałby chyba mieć potęgę Mojżesza.

— Tak — westchnęła Ludmiła — nawrócić Tatara to rzecz niezwykle trudna.

— Wszystko jest możliwe, jeśli taka jest wola Pana Boga — wtrąciła cicho Elżbieta.

— Wprawdzie — opowiadał dalej Ruysbrouck — brat Sergiusz obiecywał już sto razy, że w dzień Trzech Króli ochrzci chana Mangu. Ja go prosiłem: bracie, niech zobaczę to na własne oczy, abym po powrocie do krajów chrześcijańskich mógł zaświadczyć, że chan jest naprawdę ochrzczony. Przyrzekł mi uroczyście, ale jak nadeszło święto, poszedł beze mnie do dworu, a potem nestorianie mówili, że nic tam innego nie robił, tylko kumys dla chana błogosławił. Przez jakiś czas mnie unikał i strasznie się wstydził.

— Ten Ormianin to dziwny człowiek... — zastanawiała się Ludmiła.

— Tak, wiele rzeczy mi się w nim nie podoba. Ale cóż robić. Trzeba żyć w zgodzie. Obchodzę się z nim jak z biskupem, choćby dlatego, że zna język i że mi tu służy za przewodnika. Służy nawet gorliwie, muszę przyznać.

— Czy to prawda, ojcze, że on nic nie je?

— Nikt nie widział, żeby jadł, to prawda. Długo też nie mogłem zrozumieć, czym ten człowiek żyje, ale w końcu znalazłem pod ołtarzem w kapliczce koszyk pełen migdałów, daktyli i rodzynek. Pomyślałem sobie, że modli się i wcina te bakalie.

— Cha, cha, cha! To taki z niego cudotwórca! — zaśmiały się niewiasty.

Swobodni, rozbawieni, gwarzyli w najlepsze, kiedy nagle odezwało się gromkie stąpanie po schodach, ktoś energicznym ruchem otworzył drzwi i prąd zimnego powietrza wionął do środka. Wszedł Ajdar. Ludmiła nieco się zmieszala, a Elżbieta zwróciła się do zakonnika:

— To małżonek pani Ludmiły.

Ruysbrouck wstał uprzejmie i dworskim ukłonem powitał Ajdara. W tym czasie Ludmiła opanowała się nieco i już odważnym, spokojnym głosem powiedziała do męża:

— Przepraszam cię, że podczas twojej nieobecności przyjmuję nie znanych ci gości, ale to kapłan z naszych stron, człowiek świętobliwy.

— Wiem. Chan mówił mi o nim i chwalił, że to człek poczciwy. Powiedz mi, dlaczego on nie dba o swoje nogi? Taki mróz, a on chodzi boso.

— Widzisz, mężu, u nas ludzie świętobliwi zadają sobie takie umartwienia.

— Więc u was nie męczą drugich, lecz siebie. Dlaczego?

— Żeby odpokutować za grzechy, swoje... czasem cudze...

— I to pomaga?

— Bardzo. Jeśli za życia dźwiga się jakiś krzyż, to Bóg po śmierci jest łaskawy.

— Trzeba przyznać, że to wielcy ludzie... Łatwiej męczyć drugich niż siebie. A powiedz mi, co on pije?

— Kumys.

— Jak to? Prawdziwy tatarski kumys?

— A jakież może być inny? Pije kumys i nawet go bardzo chwali.

— Więc jaki to ksiądz?

— Prawdziwy chrześcijański kapłan.

Ajdar wstał w milczeniu, podszedł do Ruysbroucka i wzięwszy od niego nie dopity napój, skosztował go.

— Prawdziwy kumys — szepnęła z niedowierzaniem. — Potem nalał kubek po brzegi.

— Żono, powiedz mu, aby wypił przy mnie, ja chcę widzieć to na własne oczy.

— Ojcie, mój małżonek prosi, abyście jeszcze wypili. Nie rozumiem, dlaczego nalega, pewnie z gościnności.

— A ja rozumiem — zawołał zakonnik. Z radością porwał czarkę i wychylił ją duszkiem. Potem sam ją po brzegi napełnił i z wymownym spojrzeniem podał gospodarzowi.

Ajdar pił powoli, smakował i wciąż spoglądał spod oka na zakonnika. Gdy skończył, obaj głośno się roześmieli i podali sobie dłonie, ściskając się długo i serdecznie.

— I ty powiadasz, że to dobry kapłan i chrzest od niego dobry, niefałszywy?

— Chrzest? Najlepszy, jaki tylko być może.

— Wiesz co, moja gołąbko? Gdyby ten mnie chciał ochrzcić, to przystałbym z przyjemnością.

Nastąpiła chwila ciszy, obie niewiasty osłupiały. Elżbieta ze złożonymi rękami podeszła do Ajdara i zapytała drżącym głosem:

— Powiedz nam, behadyrze, co się stało? Przez tak długie lata odmawiałeś. Brata Benedykta słuchać nie chciałeś... Czy to cud boski?

— Tak, to cud! Cud! — szepnęła Ludmiła i runęła u kolan Ajdara. Włosy rozsypany się na jej ramionach, okrywając ją ciemnozłotym płaszczem i na wpół zasłaniając rozplamioną twarz, po której toczyły się gorące łzy szczęścia.

Ajdar mocno zdumiony, podniósł żonę, ujął jej mokrą od płaczu twarz w dłonie i żarliwie ucałował.

— No, już nie płacz... Jak ty się dziwnie cieszysz — szukał słów, chcąc uspokoić Ludmiłę. — Zaraz o wszystkim opowiem. Długo nie chciałem mówić, ale teraz powiem... Bardzo dawno temu, zaraz po naszym przyjeździe do Mongolii, kiedy mi się ciągle z tym chrztem naprzykrzałaś, pewnego dnia powiedziałem sobie: trzeba ucieszyć gołąbkę. Szukałem waszego kapłana. Nie chciałem iść do tych z chlebkami, bo mi mówiłaś, że to udawani. Znalazłem takiego alańskiego...

— Ach, to kacierz...

— A któż to wiedział, że u was tylu nieprawdziwych? Idę więc do niego i mówię: Ochrczuj mnie, bo mi niewiasta głowę suszy. Dziad z ogromną brodą, wspaniałą, jakby jaki szaman, odpowiedział grubym głosem: „Dobrze, ale musisz mi natychmiast przysiąc, że póki żyjesz, nie będziesz pił kumysu”. Kiedy to usłyszałem, to jakby mnie kto wrzątkiem

oblał. Ojciec — powiadam — jak Mongoł może wyżyć bez kumysu. Toż to będzie moja śmierć! A on jak mnie nie zacznie lając: „Ty grzeszniku! Ty pijaku! Wolisz kobyle mleko niż boską prawdę? Pamiętaj, że jak wypijesz jeszcze jedną kroplę kumysu, to pójdziesz na wieczne męki”. Zmiłuj się — prosiłem — wszak sam widziałem takich, co się kłaniali przed krzyżem, a jednak pili kumys. On mi na to: „To pójda na wieczne męki.” Na koniec wpadłem w szal i strzeliłem dziada tymi trzema palcami po brodzie, aż rymnął o ziemię.

— Czemu mi zaraz tego wszystkiego nie powiedziałaś?

Ajdar przygryzł wargi.

— Bo widzisz, kobiecie nie można tak bardzo wierzyć... Na pewno byś gadała: „Nie wiem... Zobaczymy...” A jakbym się ochrzcił, to każdy kubek odejmowałabyś mi od ust.

— Jakże mogłeś przypuszczać...

— No, słuchaj dalej. Kiedy przyszedli do nas ci wasi kapłani z końca świata, wiesz... ci dwaj, tacy chudzi...

— Wiem, posłowie od papieża.

— Tak. Wtedy powiedziałam sobie: może ci będą lepsi. Trzeba zrobić próbę. Pamiętasz, zapraszałem ich, częstowałem kumysem, a ci patrzyli w ziemię, składali ręce i przez zęby cedzili: „My nie pijemy, nie możemy...” Aha! Nie możecie? Jesteście tacy sami! Pomyślałem, że już nie ma o czym gadać i od tego czasu o żadnym chrzcie nie chciałem słyszeć. Ale teraz widzę, że nie wszyscy u was tacy srodzy. Oto ten braciszek przyjął ode mnie kumys. No to ja przyjmę od niego waszą wodę. — Ajdar roześmiał się i po chwili szepnął żonie do ucha: — Tylko proszę cię, urządz to wszystko w jakiś mądry sposób. Nie nudź mnie długimi naukami, już ja się od ciebie dosyć nasłuchałem.

## JUŻ PO WSZYSTKIM

Minęło dwanaście lat, na pozór jednostajnych. Były nowe wydarzenia, zmiany, coraz to inne konstelacje na widnokręgu Elżbiety i Ludmiły. Ajdar przyjął Chrzest święty, ale prawdę mówiąc, niewiele się zmienił. Jeszcze w pierwszym roku mógł uchodzić za chrześcijanina. Czasem modlili się wspólnie z Ludmiłą, dawał biednym jałmużny, surowo zachowywał posty. Jeśli chodzi o posty, to był dla niego jakby jeden zabobon więcej. Nie śmiał jeść mięsa w piątek, jak nie odważył się włożyć noża w ogień ani się oprzeć na biczu. Były to wszystko rzeczy, które według niego, mogły przynieść jakieś nieszczęście. Ale kiedy po roku zdechł mu ukochany koń, kiedy w jednym z ułusów padło bydło, Ajdar zaczął się opuszczać w modlitwach i postach i niedługo Ludmiła spostrzegła, że po staremu wraca do szamanów, przy których, jak twierdził, lepiej mu się wiodło.

Pod jednym tylko względem trzymał się uporczywie zasad chrześcijańskich — nie chciał mieć wielu żon. Ten zakaz wypadł mu na rękę i pozwalał pozbyć się starszych żon, którymi się nie interesował, bo już dawno straciły urodę. Pragnął im jednak osłodzić los i pozostawił je w ułusach, w których dotąd gospodarowały, pod jednym warunkiem — nie chce ich widzieć na oczy. Opuszczone niewiasty rozmaicie znosiły swoją dolę. Ludmiła tryumfowała, nareszcie pozostała jedyną panią myśli i serca Ajdara. Cieszyła się, że wreszcie pozbyła się rywalek, choć nie podejrzewała męża o idealną, nieposzlakowaną wierność, o jakiej śpiewali trubadurzy. Było to niemożliwe w kraju pełnym pięknych niewolnic i wcale tego nie żądała. Wiedziała, że po wojennych wyprawach i miłosnych przygodach zawsze do niej wraca. A co więcej, wracał coraz bardziej stęskniony, rozkochany i przywiązany. Sam dobrze nie rozumiał, jak to się działo, że ta kobieta wydawała mu się jakby z lepszej gliny ulepiona.

Wokół niej nieustannie panowała jakaś ciepła, życzliwa atmosfera. Mieszkanie było zawsze czyste i piękne; w żadnym innym domu nie panował taki porządek. Do tego jeszcze pańskie maniery, wdzięk i mądrość. Na koniec zjawisko najdziwniejsze, które mogło ujść za tajemnicze i nieprawdopodobne — piękność jej ciągle rosła.

Azjatki starzeją się wcześniej niż Europejki. Teraz, po dwudziestu czterech latach niewoli, skończywszy czterdzieści lat, Ludmiła wchodziła w ostatni, ale najpyszniejszy rozkwit swej urody. Zdawało się, że życie koczownicze jest dla niej stworzone. Jak niegdyś, w czasach pierwszej młodości u ojca, tak i tu ciągły pobyt na otwartej przestrzeni i wieczny ruch cudownie utrzymywały jej zdrowie i sprawność. Nic nie mogło jej zmęczyć, ani dziki rumak, ani step, nic jej nie szkodziło, ani wichry, ani słońce — jej uroda zawsze

Żona

biła olśniewającym blaskiem, świeżością rumieńców i purpurowych ust. Była jak bogini, która panuje nad siłą żywiołów i czasem.

Zupełnie inaczej niewola podzialała na Elżbietę. Gruba odzież, ciężka strawa, siedzący tryb życia i mozolna, nużąca praca szybko wyniszczyły tę delikatną istotę. Niegdyś wiotka, stała się teraz chuda i kanciasta. Biała, przejrzysta cera z trudem znosiła skwar i huragany pustyni; zwiędła i pomarszczyła się przed czasem. Elżbieta, która kończyła czterdziesty piąty rok życia, skulona i zaszuszone, wyglądała tak zagadkowo, że nikt nie wiedział, czy jej dać trzydzieści czy sześćdziesiąt lat. Ale nie martwiła się tym, że tak szybko straciła urodę. Nawet w głębi duszy dziękowała Bogu mówiąc:

— Ty wiesz, co robisz, Panie. Zachowałeś, a nawet przymnożyłeś wdzięków Ludmile, bo wiedziałeś, że jej będą potrzebne, a mnie zeszczyliś i nie mogłeś mi większej łaski wyświadczyć...

Istotnie, ta przedwczesna starość obroniła Elżbietę przed największym niebezpieczeństwem w niewoli — pożądlivością mężczyzn zagrażającą z wielu stron, zwłaszcza ze strony Kałgi, który był panem jej życia i śmierci. Na szczęście nim Kałga dorósł, nim wrócił z pierwszej wyprawy, Elżbieta poszarzała, zbrzydła, tak że młodzieńcowi nawet przez myśl nie przeszło, aby jego nianka mogła jaśnieć kiedyś między pięknosciami. I oto szła nad przepaścią otulona w szary mrok straconej urody, który uczynił ją dla ludzi jakby niewidzialną.

Teraz miała więcej czasu i swobody. Panowie, Ajdar i Kałga, coraz częściej i coraz dłużej bawili w dalekich stronach, Arguna już od kilku lat nie żyła. Ciężki był dla niej koniec. Kałga zatrul matce stare lata obojętnością i niewdzięcznością. Twarda Mongołka, zraniona i zawiedziona w swej jedynej i bezgranicznej miłości do syna, zamknęła serce i usta na żelazne wrzeczadze. Nie oskarżała go, ale stała się smutna i ponura. Umarła w osamotnieniu, nie wspominając nawet ukochanego syna, którego nie było przy łożu śmierci.

W tym samym roku w swoim ułusie nad Donem zmarł Subutaj<sup>143</sup>, najstarszy i największy z behadyrów. Teraz niedawno doszła wieść, że książę Batu skończył życie nad Wołgą i jeszcze naród po niej nie ochłonął, już przyszła druga, że i Sartak poszedł za ojcem. Nastawały jakieś inne czasy. Po szczyblach władzy wspinali się nowi ludzie; synowie, lub nawet już i wnukowie tych, z którymi branki przybyły do Mongolii.

W roku 1259, po niecałych ośmiu latach panowania, cesarz Mangu zmarł gdzieś daleko w Chinach; nie zdążył się jeszcze nacieszyć zwycięstwem, jakie właśnie odniósł przy podbijaniu wielkiego cesarstwa Sung. Zabił go klimat południowy, jedyne wróg, wobec którego Tatarzy<sup>144</sup> byli bezsilni. I znów zwłoki cesarskie powracały długą drogą, i znów śmierć codziennie zbierała obfite żniwo. Niektórzy zaczęli wątpić, czy te krwawe hołdy były miłe nieboszczykowi. Cesarz Mangu w ostatnich latach życia dowiedział, że nie jest zwolennikiem obyczajów przodków. Wojnę chińską prowadził w zupełnie nowym duchu, nie pustoszył miast, nie palił wiosek, po zdobyciu największych grodów tylko ich dowódcy padali pod mieczem, ludność pozostawała przy życiu, zachowując mienie.

Wkrótce po śmierci chana pod murami Karakorum ogłoszono kuryltaj elekcyjny. Ściągnęli prawie wszyscy książęta i zgodnie wybrali księcia Aryk-Bugę, który miał największe wpływy. Nieboszczyk Mangu, wyjeżdżając na chińską wyprawę, właśnie jemu powierzył zarząd Mongolii. Ale w tym samym czasie Kubilaj, pozostający z wojskiem w Chinach, zwołał tam drugi sejm złożony głównie z wodzów i został okrzyknięty chanem. Nastąpił przełom w państwie. Dobrze, że księżna Siurkukteni<sup>145</sup> nie doczekała tej strasznej chwili, kiedy doszło do wojny między synami.

<sup>143</sup>Subutaj a. *Subedej-bagatur* (ok. 1175–1248) — doradca Batu-chana podczas pierwszej inwazji mongolskiej na Europę, prawdopodobnie był także faktycznym wodzem tej wyprawy. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ścisłym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Siurkukteni a. *Sorkaktani-beki* (zm. 1252) — księżniczka mongolska, córka chana Kereitów, Ong-chana. Po klęsce ojca w bitwie z wojskami Czyngis-chana została synową zwycięzcy, żoną jego syna Tołuja (tu: Tułuja, ok. 1190–1232), po śmierci męża przez wiele lat zarządzała jego ułusem. Jej synami byli: Mongke (1209–1259), Kubilaj (1215–1294), Hulagu (1217–1265) i Aryk Böge (1219–1266) (tu: Mangu, Kubilaj, Mogaj i Aryk-Buga). [przypis edytorski]

Zwycięzcą został Kubilaj. Nie na próżno los mu sprzyjał; ledwie zasiadł na tronie, odwrócił całą kartę dziejów Mongolii. A na nowej karcie nie było już dziejów Mongolii, zaczynały się dzieje Chin.

Aby zupełnie zerwać z ciemną przeszłością, aby odciąć się od krwawej historii i wejść na nową drogę, Kubilaj potrzebował niesłychanej odwagi. Naprzód, pierwszy z potomków Dżyngis-chana, porzucił politykę religijnej obojętności i przyjął wyznanie Buddy. Ta jedna zmiana spowodowała nieobliczalne następstwa: smętny i łagodny buddyzm, zabraniający przede wszystkim zabijania, szukający spokoju i tylko spokoju, skutecznie ujarzmił dzicz północną niż całe miliony wojska.

Kubilaj przybrał sobie nowe imię chańskie, a cały naród Dżyngischanidów nazwał dynastią „Yuan”. Tu złożył najwymowniejszy hołd cywilizacji: zamiast mongolizować Chiny, postanowił schińszczyć Mongolię, wołał należeć do dwudziestej dynastii państwa oświeconego niż do pierwszej dynastii barbarzyńców. Na koniec, zdając sobie sprawę z tego, że tam, gdzie stolica, tam serce monarchii, przeniósł stolicę z Karakorum do Pekinu, wówczas zwanego Chambalykiem. Od panów tatarskich zażądał, żeby w nowej stolicy budowali sobie pałace. Kiedy zwrócił się z tym do Ajdara, stepowy behadyr posmutniał, ale nie śmiał odmówić chanowi.

Branki przyjęły wiadomość z głęboką boleścią. Cóż z tego, że ludzie opowiadają dziwy o szklanych pałacach, o kaflowych miastach, o aromatycznych napojach, pięknych roślinach, jakie tam rodzi ziemia. Ale czy to na pewno jeszcze ziemia? Przecież świat kończy się Murem. Te wszystkie dziwy, czy to nie piekielna mamona, którą posługuje się szatan? Tu, co prawda, smutne i wietrzne pustynie, ale przynajmniej otwarte daleko, aż gdzieś ku ojczyźnie, jak gdyby ogromny dziedziniec, po którym błądzą marzenia o powrocie.

W ich pamięci tkwiło jeszcze wspomnienie, które mogło służyć za podporę nadziejom, wspomnienie wątłe jak nić jedwabnika, blade jak promień księżyca, jednak pocieszające. Proroctwo ojca Pawła. Pamiętały doskonale każde jego słowo. Przewracały i nicowały je na tysiące sposobów, chcąc odkryć właściwe znaczenie. Wszak na samym końcu powiedział: „A kiedy powrócicie, odnajdziecie skarb utracony”. Więc wróć! Ale skąd? Do jakiego życia przystosować tę wróżbę? Do jakiej ojczyzny, doczesnej czy wiecznej?

Póki jeszcze nie przeszły owego nieszczęsnego Muru, póty mogły się spodziewać jakichś wydarzeń umożliwiających powrót do kraju: wielkich wojen, przybycia nowych misjonarzy. Ale teraz już po wszystkim!

## SEN

Pewnego wieczora Ajdar i Kałga stanęli w ulusie, oznajmiając nowiny. Hulagu, coraz mocniej uwikłany w perską wojnę, słał gońca za gońcem do Kubilaja, prosząc o nowe posiłki. W odpowiedzi na to żądanie cesarz wyprawił tam Ajdara z kilkoma tysiącami doborowych żołnierzy. W poufnej rozmowie z Ludmiłą Ajdar się przyznał, że sam poprosił cesarza o tę łaskę.

— Póki mam jeszcze siły — zwierzał się żonie — wolę czynnie służyć monarsze, niż po próżniaku błyszczeć na jego dworze. A przy tym... ten dwór jakoś mi do serca nie przypadł. Może to wszystko bardzo mądre i piękne, ale ja już się nie przyzwyczaję do tych cudzoziemskich nowości. Wychowałem się i wyrosłem w huku wojen, wśród wichrów pustyni; marmurowe pałace i posiedzenia z mandarynami usypiają mnie, zabijają. To wszystko nie Mongolia. Niech młodzi zachwycają się chińszczyzną, kiedy cesarz tak chce. Ja wolę po staremu pić kumys<sup>146</sup> z drewnianej czary, niż smakować pachnące ziółka z porcelanowego kubka, wolę bić się, niż nad księgami suszyć sobie głowę.

Branki ucieszyły się niezmiernie. Pomyślały, iż widocznie takie jest przeznaczenie, że zamiast ruszyć na wschód, ruszyły na zachód. Wprawdzie Persja także strasznie daleko od ojczyzny, zawsze to jednak pociecha iść w tę stronę. Gdzieś za Persją podobno leży Ziemia Święta. Może szerzy się tam nowa krucjata? Może jakiś rycerz wzięty w niewolę, jakiś nowy Henryk Sandomierski<sup>147</sup>, przyniesie im upragnioną wieść?

<sup>146</sup>kumys — musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany *mlecznym szampanem*. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>Henryk Sandomierski (ok. 1130–1166) — książę sandomierski, syn Bolesława III Krzywoustego. Uczestniczył w wyprawie krzyżowej w 1154 roku. [przypis edytorski]

Jechali więc wszyscy razem, choć dość daleko od siebie, bo Kałga, chcąc pokazać, że jest już dorosły, samodzielny i nie potrzebuje opieki stryja, wykorzystywał każdą okazję, by oddalić się z taborem. Ten pochód był zupełnie inny niż dotychczasowe koczowanie. Szli z wojskiem, więc wszystko tchnęło wojskowym porządkiem. Śpieszono się bardzo, bo Hulagu prosił o szybką pomoc. Toteż drogę zazwyczaj półroczną przebyto w dwa miesiące i w połowie lipca 1265 roku tabory Ajdara i Kałgi znalazły się w okolicach Kaszgaru<sup>148</sup>. Miasto było wprawdzie jeszcze daleko, ale już gdzieś tam pojawiały się zabudowania. Znalezione wyborne pastwiska i dowódcy zarządzili trzydniowy wypoczynek. Konie były mocno zabiedzone z powodu wyczerpującej jazdy i chudej paszy spod altajskich stepów.

Nazajutrz po rozbiciu namiotów, około południa, Ludmiła dosiadła konia i skierowała się ku stanowiskom Kałgi, które znajdowały się na przednich strażach obozu. Wszedłszy do jurty niewolnic, znalazła Elżbietę. Była bardzo zatroskana. Robota leżała przed nią, ale ona zdawała się jej nie widzieć; opuściła ręce na kolana, nieobecny wzrok utkwiała gdzieś daleko, patrzyła jakby w nieznaną przyszłość.

— Co tobie, Elżuniu? Pewnie znowu oczy cię bołą.

— Nie... — Elżbieta, jakby wyrwana z letargu, mówiła cicho i powoli: — Miałam sen... taki wyraźny, że wydawało mi się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Był bardzo błogi, zachwycający... ale przy tym taki straszny, że dotąd nie mogę ochłonąć. Zastanawiam się, co znaczy...

— Opowiadaj — ponagliła Ludmiła.

— Byliśmy tutaj, ale bez wojska, zupełnie same. Siedziałyśmy na trawie i patrzyłyśmy w dal. Na samym końcu tej łąki, tam gdzie niebo spotyka się z ziemią, rozpościerał się Kraków. Był on niezmiernie daleko, ale bardzo wyraźny; widziałyśmy Wisłę, Wawel — taki piękny, z wieloma wieżami połyskującymi w słońcu. Powiedziałaś do mnie: „To dziwna rzecz, ciągle nam obiecywano, że dotrzemy do Kaszgaru, a to jest Kraków”. Dla mnie było to tak oczywiste, że odpowiedziałam: „Cóż dziwnego? Widocznie taka jest wola Boga”. Kiedy to mówiłam, stanął przed nami anioł, bardzo piękny; miał zielone skrzydła i ogromną czerwona gwiazdę nad czołem...

— Cóż chcesz — przerwała Ludmiła — to bardzo dobry znak widzieć anioła.

— Ale posłuchaj do końca. W rękę miał wielką czarną różgę. Podniósł ją i zaczął cię bić, od stóp do głów, ale tak straszliwie, że cała się zamieniłaś w jedną ranę. Bił cię i pędził przed sobą, a ty jęczałaś okropnie i szłaś, oglądając się na mnie. Ja chciałam krzyknąć, ale nie mogłam z piersi wydobyć głosu, wiesz, jak to we śnie bywa. Chciałam biec za tobą, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa, więc tylko złożyłam ręce i szepnęłam zdławionym głosem: „Aniele, święty aniele, czemu ty ją tak bijesz?” On spojrzał na mnie dość surowo i pokazując Kraków, powiedział: „Bo chcę, żeby tam doszła”. Wtedy odzyskałam głos, wyciągnęłam ręce i prosiłam: „Ach, to już i mnie uderz, bo i ja chcę tam iść”. Kiwnął głową mówiąc: „Jeśli chcesz, to dobrze”. Zawrócił i mnie uderzył. Powiadam ci, to było straszne. Zerwałam się i biegłam do ciebie. Uciekałam przed różgą, która jednak ciągle mnie siekła. Rany krwawiły. Krew zaczęła tryskać na przydrożne kamienie. Widząc, że anioł jeszcze się zamierza, powiedziałam trochę zniecierpliwiona: „Po co? Po co nas tak pędzisz? Przecież z dobrej woli tam pójdziemy”. Anioł uśmiechnął się, ale ten uśmiech był jakiś dziwny, tajemniczy. Opuścił różgę i powiedział: „Spróbujcie”. Próbujemy, a tu nie sposób. Wyraźnie wrastamy w ziemię, nie możemy ruszyć ani ręką, ani nogą, zupełnie jakbyśmy skamieniały. Wtedy zaczęłyśmy go błagać: „Bij nas, jak długo zechcesz, bylebyśmy tam doszły”. Nie dał się długo prosić i znów nas pędził. My jednak, dziwna rzecz, nie czułyśmy już bólu. Radość przepelniała nasze serca, bo powolutku zbliżałyśmy się do Krakowa. Nagle anioł zniknął, znalazłyśmy się pod Wawelem, padłyśmy na twarz, całowałyśmy ziemię jak jakieś relikwie. Obudziłam się szczęśliwa, ale i przerażona. Do tej pory się trzęsę, jak sobie przypomnę tę okropną drogę.

— Dziwny sen — rzekła zamyślona Ludmiła. — Co on może znaczyć? Czyżby nam wróżył śmierć, dzięki której oczami duszy będziemy mogli widzieć ojczyznę? To był chyba anioł śmierci?

<sup>148</sup>Kaszgar — miasto w płn.-zach. części dzisiejszych Chin, obecnie zamieszkanе głównie przez Ujgurów wyznających islam. [przypis edytorski]

— Nie wiem, Ludko, nie śmiem nawet zgadywać. Ale przypuszczam, że jest to przepowiednia czy też przestroga. Zwyczajny sen nie zostawia takiego wrażenia.

Siedziały długo, snuły lękliwe domysły, czasem milczały bądź rozważały przyszłość. Na koniec Ludmiła potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić przykre myśli i rzekła nieco weselej:

— Z tego wszystkiego zapomniałam, po co do ciebie przyszłam. Zgadnij, kto dziś rano wszedł do mego namiotu. Nie uwierzysz, trzecia Ajdarowa!

— Biga? Chyba żartujesz, Ludko, skąd ona się tu wzięła?

— Wyobraź sobie, że cały czas jechała za nami ze swym taborem, ale nikt do tej pory o tym nie wiedział. Kiedy spostrzegłam ją, pomyślałam, że znowu chce mi dokuczać. Nie wiem, czy łaska boska ją dotknęła, czy jakiś cud odmienił, bo weszła drżąca, skruszona, ukłękła przede mną i szlochając prosiła, abym jej przebaczyła. Powiada, że umiera ze zgryzoty, że już dawno chciała się ze mną pogodzić, tylko brakowało jej śmiałości. Ale ktoś jej powiedział, że chrześcijanie przebaczą najcięższe winy, więc zdobyła się na odwagę; chce mnie przeprosić i błagać o zgodę w imię mojego Boga. Podniosłam ją i zaczęłam ścisnąć, zapewniać, że wszystko będzie dobrze. Ale ona jeszcze nie mogła się uspokoić. „Nie uwierzę — mówiła, że zapomniałaś urazy, dopóki nie wyświadczysz mi łaski. Kiedyś tak niegodziwie poszarpałam na tobie suknię. Teraz przynoszę ci inną. Uszyłam ją własnymi rękami, płakałam nad nią. Przyjmij ją ode mnie na znak, że mi przebaczasz. Przyjdź do mnie dzisiaj i spożyj wieczerzę przy moim ognisku”.

Wyjęła duże zawiniątko, w którym znalazłam bardzo piękny, nowiuteńki popielaty chałat z futerkiem i długą czerwoną koszulę z kaszmirskiej wełny. Koszula nie była świeża. Biga zaczęła mnie przeproszać, że ją nieco przybrudziła w mozolnej robocie. Jeśli mam szczerze powiedzieć, wątpię, aby to była praca jej rąk. Nigdy nie widziałam, żeby Biga haftowała.

Ale wszystko jedno, czy sama szyła, czy kazała uszyć, zawsze chęci się liczą. Toteż obiecałam, że włożę ubranie i przyjdę wieczorem. Ośmieliłam się tylko zapytać, czy Ajdar jest też zaproszony na wieczerzę. Odpowiedziała mi z wielką pokorą, że ona już nie myśli walczyć o serce męża, bo dobrze wie, że człowiek, który został chrześcijaninem, nie może mieć więcej niż jedną małżonkę. „Jednak — dodała — jeżeli pozwolisz, to po starej przyjaźni i jego zapraszam, aby tym uroczystej, przy świadku, potwierdzić naszą zgodę”. Rozstałyśmy się bardzo czule. Byłam przez chwilę szczerze uradowana. Jednak po głębszym namyśle to wszystko wydaje mi się bardzo dziwne. Trudno mi w to uwierzyć, więc przyszłam, żeby się z tobą naradzić. Co o tym myślisz?

— Musisz pójść do niej. Jednak boję się o ciebie... Bądź ostrożna. Jedz i pij mało albo nawet wymów się zupełnie. Jest to niewiasta pełna zdrady, nieraz już doświadczyliśmy jej podstępności. Ale zachowuj się życzliwie, aby nie spostrzegła, że ją podejrzewasz, bo jeśli jest niewinna?...

Ludmiła już siedziała na koniu, a Elżbieta jeszcze jej przypominała:

— Pamiętaj, bądź ostrożna. Nic nie jedz, nic nie pij. Mam jakieś niedobre przeczucia...

— Bądź spokojna! Zastosuję się do twoich rad — krzyknęła Ludmiła, choć tak naprawdę tego popołudnia straciła spokój ducha. Puściła cugle i wolno ruszyła przed siebie.

## ANIELSKA RÓZGA

Nazajutrz rano Elżbieta niecierpliwie czekała na Ludmiłę. Przez cały dzień była bardzo zajęta, nie mogła zlekceważyć swych obowiązków. Ale gdy tylko zapadł zmierzch, zdołała się wyrwać i pobiec do taboru Ajdara. Kiedy weszła do namiotu Ludmiły, spostrzegła, że przyjaciółka leży na sofie z twarzą rozognioną i zamglonymi oczami.

— Co ci, Ludko? Jesteś chora?

— Nie, nie jestem chora, tylko jakaś nieswoja. Nic mnie nie boli, sama nie wiem, co mi jest... Po co przyszłaś, moja droga? Ja bym się przecież do ciebie wybrała... No, a tak, jeszcze Kałga gotów cię ukarać za to, że przerwałaś robotę.

— Na dziś skończyłam. Już ciemno.

— Co ty mówisz? Ciemno? — Podniósłszy się nieco na łokciu, wsparła się na wałku i rozglądała dokoła. — Prawda, to już wieczór! A ja myślałam, że to mnie w oczach



tak ciemno, bo dziś kilka razy, kiedy chciałam wstać, to w głowie mi się kręciło, jakoś dziwnie... Już wieczór? Musiałam cały dzień przedzierać...

— Oj, Ludko, Ludko, na pewno nie dotrzymałaś obietnicy i wczoraj wieczorem wypijałaś albo zjadłaś coś niezdrowego! — Elżbieta starała się nadać swemu głosowi odcień żartobliwy, ale serce waliło jej młotem. Była śmiertelnie przerażona i roztrzęsiona.

— Nie, moja droga, nie martw się o mnie. — Ludmiła ścisnęła przyjaciółkę za rękę i szczerze się uśmiechnęła. — Dotrzymałam święcie obietnicy, nic nie jadłam i nic nie piłam. I nawet łatwiej mi to przyszło, niż sądziłam. Biga, czy w dobrej wierze, czy dla oddalenia podejrzeń, wcale nie nalegała. Jak tylko jej oświadczyłam, że nie jestem głodna ani spragniona, odsunęła ode mnie wszystkie miski i kubki. Powiedziała nawet z pewnym naciskiem: „W takim razie nie wolno się zmuszać, to bardzo niezdrowo”.

— Cóż mogło ci zaszkodzić? Bo na pewno zaszkodziło...

— Albo ja wiem? Może droga mnie wyczerpała. Wprawdzie dotąd dobrze znosiłam podróż, no, ale całe życie tak być nie może, każdy musi swoje odchorować. Zresztą, czy to choroba? Kilka dni wypocznę i znów będzie dobrze. — Istotnie, podczas rozmowy rozbudziła się i ożywiła nieco. Ach, Elżuniu — ciągnęła Ludmiła — nie uwierzysz, jak zachowywała się wczoraj Biga! Ajdara przyjęła z wielkim szacunkiem, w stosunku do mnie była mniej pokorna niż rano, ale życzliwa. Mówiła, że chce się z nami pogodzić, aby spokojnie umrzeć, bo może nas już nigdy nie zobaczy. Tutaj ma zabawić tylko przez kilka dni, a potem, jak my wyruszymy do Persji, ona powróci do Mongolii, do swego „wdowiego ulusu”. Ajdar był wzruszony i trochę zakłopotany, a ja byłam zupełnie upokorzona taką szlachetnością.

Do namiotu Ludmiły wszedł Ajdar. Zdziwił się niezmiernie, zastając żonę cierpiącą. Przywykł do jej żelaznego zdrowia i teraz nie wierzył w jej chorobę.

— Pieści się — powiedział żartobliwie — wie, że jej wszystko wolno. Ale weź się w garść, ptaszku, bo cóż to będzie, jak wjedziemy do kraju, gdzie trwa wojna? No, prześpij się teraz, a jutro bądź mi zdrowa jak rybka.

Nazajutrz rano Ludmiła chciała wstać, jak zawsze, ale zataczała się i słabła w oczach. Odprawiono ją znowu na sofę. Mąż przyszedł pogodny, ale wyszedł pochmurny i zły. Ajdar był póty wesoły i dobry, póki wszyscy wokół niego się uśmiechali i kwitli zdrowiem. Niedomaganie Ludmiły go niecierpliwiło. Właśnie tego dnia chciał z nią jechać w góry na polowanie, a wieczorem wyprawić małą pożegnalną biesiadkę dla Bigi. Ludmiła psuła mu wszystkie szyki. Przywołał jednego z szamanów, którzy towarzyszyli wojsku, i rozkazał mu, aby prędko, jak najprędzej wyleczył mu żonę. Szaman nawarzył ziół, zaczął zamawiać zaklęcia, szeptać jakieś tajemne słowa. Potem napełnił kubek miksturą i podał go Ludmile. Mimo wstrętu, wychyliła go odważnie.

Elżbieta przybiegła o zmroku. W namiocie przyjaciółki zastała Bigę. Wprawdzie trzecia Ajdarowa nie usługiwała chorej, ale siedziała obok i bawiła ją najdziwniejszymi tatarskimi opowieściami. Wpatrywała się w nią z niezmierną troskliwością. Nie brakowało Ludmile domowej posługi, ale jedna tylko Elżbieta umiała naprawdę chodzić przy chorej. Chciała zmienić pościel na sofie, o czym nikt jeszcze nie pomyślał, i bieliznę. Ludmiła zaraz po pamiętnej wieczery położyła się do łóżka w podarowanej przez Bigę koszuli i leżała w niej do tej pory. Jednak w żaden sposób nie dała się namówić na zmianę bielizny.

— Dobrze... — szepnęła — trochę później... nie teraz... — Odwróciła głowę i zasnęła.

Ta choroba przebiegała dziwnie; nie było gorączki, majaczenia, jakiegoś określonego bólu, tylko ospały smutek. Według Bigi, był to dobry znak.

— Dajcie jej spokój — zalecała stanowczo i przekonująco. — Choremu nie wolno prześcielać łoża ani zmieniać odzieży, bo w tej chwili duch zimna może najłatwiej w niego wstąpić, a duch zimna, jak wiecie, jest największym wrogiem, poprzednikiem ducha śmierci.

Wysłuchano rad Bigi, które miały swe źródło w starych tatarskich wierzeniach, i tego dnia nikt już nie chciał zmieniać ani bielizny, ani pościeli. Ludmiła przeważnie spała. Ta noc przeszła dużo spokojniej niż pierwsza. Elżbieta nad ranem wymknęła się z namiotu w nieco lepszym nastroju. Wydawało się jej, że kryzys minął. Szaman tryumfował. Ale w ciągu dnia wszystko się zmieniło. Ajdar był zrozpaczony. Siedział przy żonie i patrzył na nią z serdeczną trwogą. Myśl, że Ludmiła ciężko zachorowała, że może umrzeć, wreszcie

do niego dotarła i napełniła go strachem. Nagle zrozumiał, że może ją stracić. W tej chwili uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha.

Tymczasem Elżbieta padła do nóg swemu panu i błagała, aby pozwolił jej czuwać przy chorej.

— Chociaż na kilka dni — prosiła — zwolnijcie mnie z szycia. Ja potem w dwójnasób, w trójnasób wam to odrobię.

Kałga roześmiał się i odtrącił ją nogą.

— To i tak wielka łaska, że pozwalam ci w nocy opuszczać obóz. Jak będziesz zmęczona, niewyspana, stracisz oczy, to kto mi uszyje suknie, od których zależy moje życie?

Elżbieta znowu po całych dniach ślęczała nad robotą, płakała, gryzła się, wyczekując zmroku jak zbawienia i wspominając z żalem dobre czasy, kiedy to Arguna pozwalała brankom przebywać razem. Tymczasem przed namiotem Ludmiły zatknięto włócznię z czarną chorągiewką na znak, że każdy, kto może pomóc chorej, niech przychodzi i radzi. Zajrzało kilku starych doświadczonych żołnierzy, którzy widzieli niejedną chorobę i nieraz pomagali towarzyszom, kiedy szaman nie raczył się nimi zająć. Ale tu, nie widząc żadnej rany, żadnego uszkodzenia, wyszli i zaręczyli, że to minie, że „nic nie będzie”. Spędzano z okolicy stare baby; kręciły tylko głową i dawały leki. Chora przyjmowała wszystko, ale coraz bardziej skarżyła się na ból głowy, coraz częściej wstrząsały nią dreszcze. Twarz miała zmienioną, rozpaloną, a któregoś dnia na policzku pojawiła się plama na kształt różowego półksiężyca. Przywołany szaman najpierw popatrzył się, potem zbladł, przygryzł wargi i oświadczył, że nic nie może poradzić. I od tej pory nie chciał już wchodzić do namiotu Ludmiły.

Czas wyznaczony wojsku na spoczynek dawno już minął; żołnierze byli gotowi do wymarszu, konie się podpasły. Ajdar, jak mógł, przedłużał pobyt na pastwiskach.

— Jeszcze dwa dni tu zostaniemy — zdecydował. A po dwóch dniach: — Jeszcze tylko przez jutro. I takie „jutro” powtarzało się kilka razy.

Czynił to z niejakim narażeniem swojej dobrej sławy, bo u Tatarów naznaczano dowódcom z góry czas i etapy pochodu. Wojsko szemrało na wodza, który naruszał porządek dla jednej niewiasty. Nie było rady. Przyszła chwila, w której Ajdar musiał dać hasło wyjazdu.

Pierwszy o świcie wyruszył Kałga z przednimi hucami. Za nim szły wozy pełne niewolnic, wśród nich jechała splakana Elżbieta, pocieszając się myślą, że wieczór znów połączy wszystkie tabory. Ajdar jeszcze odwlekał chwilę wyjazdu, wysłał przed sobą całe wojsko, sam chciał wyruszyć dopiero z tylnymi strażami. W końcu przyszła kolej na ostatni oddział.

Słońce już zaczynało się pochylać, kiedy małeńki wózek zajechał po Ludmiłę. Tu już nie było wygodnych domów kołowych, zostawiono wszystkie w Mongolii. Na wyprawę wojenną zabrano tylko przenośne jurty i lekkie dwukolne<sup>149</sup> arby<sup>150</sup>. Ajdar kazał wymościć miękkie, wygodne siedzenie, po czym wszedł do namiotu. Za nim szła Biga, nieustannie towarzysząca chorej.

— Moja biedaczko, nadszedł czas wyjazdu. Musisz wstać i siadać na wózek. Już dłużej nie możemy tu zostać.

Ludmiła posłusznie się podniosła i chcąc zejść z sofy, oparła się o wałek.

— Coś mnie uwiera... — jęknęła z bólu.

— Gdzie? Gdzie? — zawołała Biga.

— Tu, gdzie się ręka zgina.

— Pokaż no, co to takiego?

Ludmiła odwinęła rękaw i pokazała łokieć, zwykle biały, toczony jak gałka ze słoniowej kości; teraz wokół niego występował różowy pierścień. Biga przyjrzała mu się, potem mocno chwyciła Ajdara i odciągając go na drugi koniec namiotu, wrzasnęła:

— Uciekaj! Ta kobieta ma trąd!

Religijne zabobony ludów północnej Azji głosiły, że istota nawiedzona tą plagą nie tylko musiała obrazić bóstwo, ale stała się już na zawsze mieszkaniem „nieczystych du-

<sup>149</sup>*dwukolny* — dziś: dwukołowy. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*arba* (tur. z arab.) — wóz o bardzo wysokich kołach, używany dawniej w Azji Środkowej, najczęściej jednoosiowy. [przypis edytorski]

chów”. Toteż wszystkie uczucia i obowiązki wobec niej wygasły. Wyrok, wydany przez niebo, był widoczny i nieodwołalny.

Ludmiła została sama.

Ajdar siedział na ziemi i płakał głośno jak skrzywdzone dziecko.

— Żegnaj, moja gołąbko! Żegnaj, moje szczęście! Wolałbym sypać ziemię na twoją trumnę, niż zapuszczać wojłok na twoją jurkę, dla mnie już słońce nigdy nie zaświeci!

Biga siedziała przy nim, kojąc go najczulszymi słowami:

— Mój ty biedny, kochany Ajdarze, szkoda twoich cudownych oczu na płkanie. Jakież to szczęście, że ja przy tobie jestem, inaczej zostałbyś sam, zupełnie sam.

— Tak... to szczęście... — powtarzał głosem bez wyrazu, jak martwe echo. Nagle podniósł na nią oczy. — Powiedz mi, skąd mogło przyjść to nieszczęście?

— A skądże ja mogę wiedzieć? — odparła zmieszana Biga. Po chwili dodała: — Nie-trudno się domyślić. Ściągnęła go sobie sama, przez tych wszystkich żebraków, którymi tak często się otaczała. Pewno któryś z nich napędził jej złego ducha. Ci chrześcijanie to szaleńcy!

— Być może... — jęknął boleśnie Ajdar, a potem podnosząc zaciśnięte pięści ku niebu, wołał: — Po co ja się chrzcilem? Ten Bóg z krzyżem nie może być dobry, skoro oddał tak piękną niewiastę na pastwę nieczystym duchom, nie może być mocny, kiedy nie umiał jej obronić.

— Cha! Cha! — Biga uśmiechnęła się jadowniczo: — Może to kara za odstąpienie naszych duchów?

— Ależ ja ich nie odstępowałem! Ja czciłem je, karmiłem po dawnemu, tylko mi się zdawało, że jeden duch więcej, to więcej błogosławieństw... Ach! Ja byłem pewien, że Bóg Ludmiły będzie zsyłał nam szczęście!

Złamanego, wracającego na nocny postój Ajdara spotkała Elżbieta. Na okropną wieść o trądzie zbladła, stanęła jak słup, a potem bez słowa poszła na spoczynek. Ale kiedy nad ranem zaczęto gotować strawę i szykować się do wymarszu, nikt jej nie mógł odnaleźć. Przestraszona służba nie chciała jeszcze powiadomić Kałgi. Szukano jej po całym obozie. Na próżno. Elżbieta uciekła.

## NA ZACHÓD

Po żółtym piasku pustyni szły dwie trędowate niewiasty. Jedna miała na twarzy czarną zasłonę z wyciętym otworem na oczy. Druga wspierała się na kijach, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ręce ich były pokryte białymi plamami, ubiory, pozszywane z wypłowiałych szmat, zwisały się w podartych strzępach.

— Już nie mogę iść — narzekała pierwsza, podpierając się na dwóch kosturach. — Nie mam siły...

— Zaraz odpoczniemy, Elżuniu — odpowiedział drugi głos. Choć wydobywał się spoza osłony, jakby zza grobu, był miękki, ciepły i jak zwykle życzliwy. — Siądźmy tu w cieniu i zastanówmy się, gdzie jesteśmy. Spójrz, coraz tu ładniej, coraz więcej wody i zieleni. Jak pod tymi palmami przyjemnie! Nareszcie jest czym oddychać!

— Strumień — zawołała radośnie Elżbieta. Czyściutki strumień! Jak dobrze, że niko-go tu nie ma. Może nikt z niego nie czerpie... Będziemy mogły się napić bez przeszkody.

Siadły. Ludmiła wyjęła z zanadru małą drewnianą czarkę i wydobyła okrawki chleba.

— Dobra rzecz chleb, święta rzecz. Tak długo nam go brakowało u Tatarów<sup>151</sup>! Choć prawdę mówiąc, najlepiej smakuje na własnej ziemi. Czy kiedyś będziemy go tam jadły?

— Wiesz — odparła Elżbieta — gdyby nie przepowiednia ojca Pawła, na pewno nie zniósłabym takiej drogi. Ale to prorocstwo trzyma mnie przy życiu. Wrócić tam, odnaleźć nasz skarb, a potem umrzeć...

— Prawda, moja Elżuniu, tak będzie. Złe się sprawdziło, to i dobre się sprawdzi. Tylko nie wolno nam zgubić drogi. Żeby tak dostać się między narody chrześcijańskie! Ale wydaje mi się, że coś tam się czerni daleko... Chyba mury...

<sup>151</sup> *Tatarzy* — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średnio-wieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

— Tak! — Elżbieta wpatrywała się uważnie. — To miasto. Trudno się będzie nawet dowiedzieć o nazwę. Wszyscy przed nami uciekają.

— Niech sobie uciekają — odparła sucho Ludmiła. Po chwili dodała cieplejszym głosem: — Pan Bóg nam nie ucieknie i my od siebie nie uciekniemy. Czego nam więcej potrzeba do szczęścia?

Elżbieta zwróciła ku niej swoje niebieskie, duże, rozrzuwione oczy, otoczone różowymi kołami.

— A może to Jerozolima? Ale nie. Jerozolima stoi na Syjonie, a to miasto nie wznosi się na górze. Jakoś się dowiemy — powiedziała z nutą optymizmu w głosie i zaczęła starannie zbierać okruchy chleba. Jeszcze nie skończyła tej ważnej dla nędzarzy roboty, kiedy nagle w ziemi spostrzegła coś niezwyklego. Rozgarnęła piasek i wyjęła małą, wyschlą roślinkę zwiniętą w kłębuszek. — Patrz, co znalazłam! Zupełnie taka sama gałązka jak ta, którą nam przyniósł pielgrzym, pamiętasz? To róża jerychońska!

— Prawda! Zupełnie taka sama — zachwycała się Ludmiła, biorąc roślinkę do ręki.

— Jak to dobrze, że ją znalazłyśmy! — Elżbieta nie mogła oderwać wzroku od róży. — Tyle już lat minęło, a ja nigdy nie mogłam się pocieszyć po stracie tamtej. Przypomnij sobie, od dnia, kiedy ją zgubiłam, zaczęły się wszystkie nasze nieszczęścia. Teraz, kiedy znalazłam nową, może przyjdzie szczęście albo przynajmniej nadzieja?

Nagle odezwał się chrzęst kolczug i tętent koni. Dwóch rycerzy pędziło w ich stronę. Mieli na sobie czarne płaszcze z zielonym krzyżem wyszytym na piersiach. Prerażone niewiasty, widząc ich nieostrożność, podniosły ręce, wymachiwały nimi, dając znaki, aby się nie zbliżali, a gdy to nie pomogło, chwyciły za grzechotki wiszące u pasa i energicznie zaczęły nimi obracać. Ale im szybciej kręciły się kołatki, tym szybciej rycerze zbliżali się w ich stronę.

— Uciekajcie! Nie zbliżajcie się do nas! — zawołała błagalnie Elżbieta. — Czyż nie widzicie...

— Nie tak łatwo się nas pozbyć — zażartował rycerz po francusku i uśmiechnął się dobrotliwie. — Mamy zaszczyt wojować pod chorągwią świętego Łazarza. Należymy do zakonu braci szpitalnych i ślubowaliśmy obronę i pielęgnowanie chorych pielgrzymów, a zwłaszcza trędowatych. Radujemy się i dziękujemy opatrności, że sprowadziła nas na waszą drogę. Jesteście miłe Chrystusowi, kiedy zesłał na was chwałę świętego Hioba. Pozwólcie, abyśmy odtąd służyli wam pomocą. Każdy chory i ubogi to nasz pan, a my jesteśmy jego pokornymi sługami.

Niewiasty spojrzały po sobie. Wzruszenie odebrało im głos. Milczały, tylko po policzkach spływały im łzy szczęścia. Pierwszy raz od wielu lat zdrowi ludzie podeszli do nich bez lęku, a nawet się uśmiechali. W ich zachowaniu było tyle łaskawości, pokory, czci dla ich cierpienia.

— A skąd to Bóg was prowadzi? — zapytał drugi rycerz.

— Z Karakorum<sup>152</sup>.

— Skąd?

— Z Karakorum — powtórzyła Ludmiła. — Ze stolicy wielkiego chana tatarskiego. Tam byliśmy w niewoli.

Rycerz spojrzął na towarzysza, jakby pytał, czy niewiasty są przy zdrowych zmysłach.

— Co to znaczy — szepnął — Karakorum? Czy jest takie miejsce na świecie?

— Przypominam sobie... — odparł drugi mężczyzna po chwili namysłu. — Słyszałem o czymś podobnym. Opowiadał mi pewien kleryk, który czytał opis franciszkanina. Tak, właśnie, Kara... Karaka... to gdzieś niedaleko królestwa księdza Jana... Ależ to jest na końcu świata, musieliście iść chyba rok?

— Gdzież tam rok! — odparła urażona Ludmiła. — Myśmy szły chyba z dziesięć lat.

— No, Ludko, to chyba za wiele — przerwała z uśmiechem Elżbieta. — Ale sześć albo siedem to na pewno.

— Nawet nie liczyliście?

<sup>152</sup>Karakorum — stolica imperium mongolskiego w XIII w., położona w dolinie rzeki Orchon w północnej części ówczesnej Mongolii (dziś w centrum kraju), początkowo baza wojskowa Czyngis-chana, rozbudowana przez chana Ugedeję. W 1264 r. chan Kubilaj przeniósł stolicę imperium do dzisiejszego Pekinu. [przypis edytorski]

— Po co? Pan Bóg je policzy. W niewoli liczyliśmy wiosny, doliczyliśmy się do dwudziestu pięciu. Ale w drodze to już trudniej. Bywało tak, że jedna z nas bardziej za-  
niemogła i pół roku leżała w jakiejś opuszczonej chałupie; druga ją pielęgnowała, pocie-  
szała. Potem znów szliśmy dalej. Czasem trudno było odnaleźć drogę. Pytałyśmy zawsze  
o Jerozolimę i oto jesteśmy w Palestynie.

— Ale że wytrzymałyście to wszystko, to nie do uwierzenia! I nie pomarliście z głodu,  
i dzikie zwierzęta was nie dopadły! Nie do wiary! — nie mógł nadziwić się rycerz.

— Ach, mój panie, człowiek nigdy nie może powiedzieć: „Ja tego nie wytrzymam,  
ja tego nie przeżyję”. Wytrzyma! Sto razy będzie konał i nie skona, jeśli mu Bóg długie  
życie przeznaczył. Jeden cel nam przyswiewał — dotrzeć do kraju. Nie bałyśmy się dzikiego  
zwierza, bo szliśmy najczęściej w gromadzie trędowatych; przymusowe towarzystwo, ale  
co zrobić, kiedy z innymi nie wolno przestawać. Bywało ciężko, niejeden oszukał, okradł,  
do złego namawiał... Z jedzeniem była najmniejsza bieda, trędowaci nie skarżą się na głód.  
Każdy co prędzej daje strawę i jałmużnę, byle się pozbyć, byle taki nie przestąpił progu  
domu. Rzucą jak psu i uciekają. Nie tak jak wy, mój zacny panie.

Rycerze spojrzeli po sobie. Choć mężczyźni, twardzi, oswojeni z cierpieniem, poczuli,  
że serce im krwawi.

— No, a teraz — rzekła Ludmiła — wszystko będzie dobrze. Dostałyśmy się między  
pocziwych ludzi. Byle jeszcze dojść do Jeruzalem, tam może sobie wymodlimy powrót  
do naszej ziemi, do Polski.

— To wy z Polski? Gdzie ta Polska?

— Dość daleko. Za krajami niemieckimi, na północ, tam, gdzie Wisła płynie.

— To gdzieś koło Hiperborejów<sup>153</sup>. Tam podobno ludzie śpią pół roku? Może potra-  
fimy ułatwić wam powrót, bo najważniejsze, aby dostać się do Europy; tam znajdziecie  
pomoc i przytułek. My od czasu do czasu wyprawiamy okręt przeznaczony wyłącznie  
dla trędowatych pielgrzymów, który płynie albo do Marsylii, albo do Amalfi. Niekiedy  
wprawdzie trzeba i parę lat poczekać, nim się zbierze załoga z chorych, ale dla was to  
może i lepiej? Tutaj między nami nabierzecie sił, wydobrzejecie, a przy tym zwiedzicie  
miejsca święte. No, ale teraz pozwólcie, abyśmy zawieźli was do Jerycho<sup>154</sup>, to bliżutko,  
stąd widać miasto.

— Ach, więc to Jerycho? Sławne w Biblii z trąb Jozuego! Sławne w Ewangelii z uzdro-  
wienia ślepego! — zawołała Elżbieta z pobożnym uniesieniem.

— A tak, właśnie. W Jerycho<sup>155</sup> mamy lazaret, w którym znajdziecie odzież, posilek,  
lekarstwa i zacne niewiasty do posługi. Może też da Bóg, że dojdziecie tam do zdrowia.

Rycerze zdjęli płaszcze i zrobili z nich miękkie siedzenia na siodłach. Ludmiła, ru-  
chem przypominającym dawną sprawność, wsiadła na wierzchowca, ale biedna Elżbieta  
nie mogła się dźwignąć.

— Pozwólcie, mateczko, że was podniosę — zaofiarował pomoc starszy rycerz.

— Jak to, panie, wy się nie boicie? — niewiasta cofnęła się przestraszona.

On z uśmiechem odwinął połę rękawa i pokazał na swoim ręku plamy zeschnię, świe-  
cące jak pergamin.

— Byłem waszym bratem w cierpieniu. Nasz mistrz także. Według reguły, mistrz  
naszego zakonu musi koniecznie być trędowaty, żeby lepiej czuł i rozumiał męczarnię  
tych, którym służy.

— Cóż to za wspaniały zakon — rzekła Elżbieta. — Czy pamiętasz, Ludko, królowa  
nam o nim opowiadała? Nie spodziewałyśmy się wówczas, że kiedyś przyjdzie nam go  
błogosławić!

— Królowa? — powtórzył niedowierzająco młodszy rycerz, mierząc spojrzeniem wi-  
szące na nich łachmany. — Znałyście jakąś królową?

— A jakże — odrzekła z dumą Ludmiła. — Musieliście chyba słyszeć o sławnej  
księżnej polskiej, Kunegundzie, córce króla węgierskiego, Andrzeja? Ona nas łaskawie  
przyjmowała na swym dworze, gdzie było tak pięknie, jak w raju.

— Mój Boże! — westchnął rycerz. — Dawniej znaly się z królami, a teraz?...

— A teraz — odparł starszy brat — są bliższe królestwa niebieskiego.

<sup>153</sup>Hiperboreje a. Hiperborejczycy (z gr.) — mityczny lud mieszkający na północy. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>do Jerycho — dziś popr. forma odmienna: do Jerycha. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>w Jerycho — dziś popr. forma odmienna: w Jerychu. [przypis edytorski]

## MIĘDZY SWYMI

Elżbieta i Ludmiła szły gościńcem wijącym się nad brzegiem Odry. Każdy przechodzień już z daleka rozpoznawał ich nieszczęście po znaku, jaki miały na piersiach. Była to ręka z białej wełny, z palcem wyciągniętym jak na drogowskazie. Ale gdyby nie ten znak ostrzegawczy, byłoby trudno się domyślić, że są one ciężko chore; szły rażno i wesoło.

W Ziemi Świętej bardzo długo czekały na odpłynięcie okrętu, potem wędrowały przez Włochy, Francję i Niemcy. Ale te lata, zamiast przymnożyć im wieku i cierpień, odrodziły je i odmłodziły. Czy im pomógł długi odpoczynek w Palestynie, czy siarczane wody Jordanu, same dobrze nie wiedziały. W każdym razie dzisiaj czuły się i wyglądały o wiele lepiej. Elżbieta szła dosyć równo, oparta tylko na jednym kosturze. Ludmiła zamiast czarnej, okropnej zasłony miała na twarzy biały, półprzezroczysty rąbek. Pogodziła się z tym, że już nic nie wróci jej urody. Dziękowała Bogu, że mniej cierpi, że odzyskała dawny wzrok i głos. Niewiasty już od dłuższego czasu nie nosiły ohydnych lachmanów; miały teraz na sobie szare ciepłe sukmany z kapturami, lśniące skórzane pasy, a na ramieniu sakwy pełne denarów i żywności.

Była to zupełnie inna podróż niż w Azji, wśród hord stepowych lub wrogich muzulmanów. Tutaj co kilkanaście kilometrów spotykały klasztor, a w nim przytułek, dach, pożywienie i leki.

Europa XIII wieku zaczynała patrzeć na trędowatych już nie jak na wyrzutki społeczeństwa, ale jak na wybrańców Boga, którzy swoją męką mają okupić grzechy ludzi zdrowych. Rzesza trędowatych stała się w rodzinie chrześcijańskiej kalekim dzieckiem, które właśnie z przyczyny swego kalectwa jest najbardziej kochane. Cały Zachód porastał murami lazaretów.

Po jałmużnie pogan ofiarowywanej ze strachem, rzucanej z odwróconą głową, jałmużna chrześcijan, podawana z serdecznym współubolewaniem i słowem pociechy, wydawała się czymś szlachetnym i wspaniałym.

Ale od czasu gdy Ludmiła znalazła się wśród ludzi pokrewnych duchem, na ziemiach, które niegdyś słały się przed nią pszenicznym złotem i kwiatami, cała przeszłość stanęła jej w oczach. Teraz dopiero zmierzyła przepaść dzielącą dwie Ludmiły i ta druga wydała jej się dziwnie poniżona przez Boga i ludzi. Nie potrafiła żebrać. Grosza podanego zbyt skwapliwie, który upadł na ziemię, nie chciała pokornie podnieść, nie umiała podziękować inaczej, jak tylko jakimś mruknięciem, które oziębiało serce ofiarodawcy.

Na uwagi Elżbiety odpowiadała:

— Masz rację, Elżuniu, jak zawsze masz rację. Ale ty już świętej ze mnie nie zrobisz. — Postanowiła jednak wykorzystać tę odrobinę dawnej pychy.

Sposobności do okazania pokory było wiele. Drogą nadjeżdżał jakiś orszak, liczny i strojny. Niewiasty ustąpiły z gościńca i przystanęły z boku, przyglądając się z zainteresowaniem.

Ludmiła wyrwała z rąk Elżbiety koszyczek z brząkałkami i rzekła:

— Poczekaj, ja poproszę.

— Dobrze, dobrze — odparła z uśmiechem Elżbieta i podała jej swój kostur. Ludmiła zawiesiła na nim koszyczek i wyciągnęła kij ku drodze, by odebrać jałmużnę. Ale kij zaczął drżeć w jej dłoniach, na widok orszaku ożyły wspomnienia.

— Czy słyszysz? Czy poznajesz tę piosenkę? — szepnęła i kurczowo chwyciła ramię Elżbiety.

Istotnie była znajoma. Gdzie i kiedy ją słyszały, nie mogły sobie przypomnieć, ale z melodią wiązał się jakiś obraz bardzo dawny i jakieś bardzo miłe wrażenie.

Świąteczny lub weselny orszak wyglądał imponująco. Na czapkach podróżnych, nawet na łbach końskich, zatknięte były zielone gałązki. Wszyscy śpiewali pojedynczo lub chórem. Właśnie teraz jakiś srebrzysty głos młodzieńczy zanucił słowa:

Poznaj drzewa ojczyzny swojej.  
Klasztorna wieża dzwonem go wzywa.  
Przed nim Regina w światłości stoi,  
— Regina, czyś ty nieżywa?

Choroba, Ofiara,  
Miłosierdzie

I cały chór powtórzył:

Regino, czyś ty nieżywa?

Niewiasty spojrzały po sobie i lzy błysnęły im w oczach. Orszak zaczynał się zbliżać. Przodem jechali małżonkowie, niezbyt już młodzi, ale zamożni, pięknie ubrani. Mężczyzna był pasowanym rycerzem, bo jechał za nim giermek, który wioził zbroję pańską starannie spowiniętą; kopii nie mógł schować, więc trzymał ją w toku. Za nimi, na mniejszych konikach, jechała młodzież, zapewne dzieci; dwie panienki w różowych kapturach, z których ciekawie wyglądały różowe buzie, a między nimi starsza ochmistrzyni z białą podwijką wokół żółtej twarzy. Za panienkami harcował młodzieniec, syn pański. Po lewej stronie panicza jechał starszy człowiek z ogoloną głową, w długiej sukni; znać, że kleryk albo nauczyciel. Po drugiej stronie — młodzian, który śpiewał i przygrywał. Miał skrzypceki zwieszane przez ramię i po każdej zwrotce rznął cieką przygrywkę. Za nim jechało jeszcze dwóch trębaczy, dalej służba i konie objuczone zapasami.

— Matko Boska! — zawołała małżonka rycerskiego pana, przejeżdżając obok niewiast. — Cóż to za biedactwa! Musimy je wesprzeć, i to hojnie.

Małżonek zwrócił głowę w tył, ku klerykowi, i krzyknął:

— Słuchaj, wasze, rzuć jałmużnę tym niewiastom, a sowitą, bo to Łazarzowa świętość.

Kleryk zatrzymał konia i zaczął rozwiązywać sznury torebki, które mu się, jak na złość, zasupły. Od czasu do czasu spoglądał spod oka, zastanawiając się, czy dosięgnie do koszyczka Ludmiły. Ale ta już dawno go odrzuciła. Zainteresowana i urzeczona śpiewem chwyciła znów ramię Elżbiety i zawołała:

— Słyszałaś? To piosenka mistrza Gaudentego! Piosenka o rycerzu Silentusie!

Młody śpiewak, który właśnie w tej chwili przejeżdżał obok niewiast, usłyszał te słowa. Zdumiał się niesłychanie, aż mu ręka ze smyczkiem opadła na końską szyję. Przystanął i zawołał:

— Boże wielki! Jak to szeroko idzie sława mistrzów, kiedy to jeszcze w drugim i trzecim pokoleniu nawet żebraki mówią: „Oto piosenka Gaudentowa”!

— Młodzieńcze! — odparła z podniesioną głową Ludmiła. — Nie zawsze byliśmy żebraczkami. Niegdyś słyszałyśmy tę piosenkę z ust samego mistrza, na komnatach królowej Kingi.

— Ehe, matusiu, wolne żarty... — naigrywał się młodzieniec.

— Jesteście młodzi, to jeszcze nie wiecie, jak dola bywa przewrotna! — tłumaczyła Ludmiła, boleśnie ugodzona słowami chłopca.

Elżbieta, chcąc przerwać zbyt ostrą wymianę zdań, zagadnęła łagodnie:

— Łaskawcze, a nie moglibyście nam powiedzieć, co się stało z mistrzem Gaudentym? Czy on jeszcze żyje?

Śpiewak milczał przez chwilę. Zastanawiał się, czy ma się wdawać w rozmowę z żebraczkami. Ale w ich ruchach, w mowie było coś niezwykłego, coś, co go przyciągało i budziło dziwną ciekawość.

— Szczęśliwie z was niewiasty — odrzekł — że znałyście mistrza Gaudentego! Ja go osobiście nie znałem, ale w jego piosenkach tak się kocham, dalibóg, więcej niż we własnych. Czy żyje? Ach, i tego nie wiem. Prawią ludzie, jakoby okrutnie miłował jakąś białogłową, ale imienia jej nigdy nie zdradził. I usychał z miłowania, aż nasza królowa Kinga dała mu radę: „Pójdź do Grobu Pańskiego, a Pan cię uleczy”.

— I cóż? Poszedł?

— Pojechał z krucjatą i nie wrócił; dawno temu. Niektórzy gadają, że Saraceny go zabiły jako męczennika, inni znowu prawią, że śpiewając umarł przy Grobie Jezusa.

— A księżna Kinga<sup>156</sup> żyje?

— Czemu ma nie żyć? Siedzi sobie w sądeckim klasztorze. Ludzie nawet gadają, że święta, bo tam cuda się dzieją.

— W klasztorze mówicie? A jej małżonek, książę Bolesław?

<sup>156</sup>Kinga (1234–1292) — córka króla Węgier Beli IV, żona polskiego władcy, Bolesława V Wstydlivego, święta Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

— A skąd wy przychodzicie, że o niczym nie wiecie? Książę Bolesław już od roku spoczywa w grobie.

— Mój Boże, jaka szkoda! — utyskiwały niewiasty. — A kto sprawuje teraz rządy w Krakowie?

— Któż ma sprawować? Książę Leszek<sup>157</sup>.

— Aha, Leszek. Jaki Leszek?

— Ten, co go Czarnym zowią. Jego książę Bolesław za syna przybrał.

— Jezu miłosierny! Wszystko inaczej. Jedni powymierali! Drudzy powyrastali, niczego nie można poznać!

Tymczasem kleryk rozsypał worek. Elżbieta wzięła koszyczek i pokłoniwszy się za hojny datek, zapytała:

— Dobrodzieju, powiedzcie nam jeszcze, jak na imię temu miłociwemu panu, abyśmy się mogły za niego pomodlić.

— Nazywa się rycerz Sylwester.

— Sylwester... A skąd on?

— Skąd jedzie? Z Kalisza! — kleryk opacznie zrozumiał pytanie. — Z wesela. Z dwóch wesel! Właśnie brat księcia Leszka, ów, co ma przezwisko Łokietek<sup>158</sup>, brał dziewczę po księciu kaliskim<sup>159</sup>. A drugą brał książę legnicki. Więc my naprzód odprowadzili jedną parę do Brześcia, a drugą do Legnicy, a potem zabawiliśmy u księcia we Wrocławiu, a teraz jedziemy do domu, bo gadają ludzie o wojnie z Halickim, czas panu jechać do chorągwi. A wy, dobre matki, skąd idziecie, czy nie z pielgrzymowania? Może z Loreto?

— Oj, nie, dobrodzieju. Wracamy z niewoli, od Tatarów.

Słuchacze osłupieli. W tej chwili przycwałował panicz.

— Jak dobrze, że jesteście tu jeszcze — zawołał. — Siostry, jak zaczęły szukać po węzłkach, tak znalazły jałmużnę. — I sypanął białe pieniądze do koszyka. — No, a wy, co tak stoicie? — zwrócił się do jeźdźców.

— Dziwimy się... — odparł kleryk. — Te niewiasty prawią, że wracają od Tatarów...

— Oj, szkoda, że pana ojca tu nie ma. On także był wzięty do niewoli tatarskiej. Dawno, dawno temu, ale im się wysliznął szczęśliwie. Sto razy nam opowiadał, jak to z rozłupaną głową przeprowadził się wpływ przez rzekę... jaka to jej nazwa? A niechże ją...

— Przez Prut — odpowiedziała Elżbieta.

— A juści! Prut! Prut! — A skąd wy to wiecie?

— Znałyśmy pańskiego ojca. On wtedy miał wasze lata.

Chłopcu zaiskrzyły się oczy. Ale w tej chwili zabrzmiała trąbka.

— Oho! Pan ojciec nas przyzywa! Trza lecieć, bo się będzie gniewał. — panicz co żywo zawrócił konia.

Śpiewak rzucił niewiastom uprzejme: „Szczęść Boże!” i puścił się za paniczem, tym bardziej, że trąbka coraz niecierpliwiej nawoływała rozpierzchniętych jeźdźców. Kleryk jechał najwolniej.

— Dobrodzieju! Dobrodzieju! — wołała Ludmiła, biegnąc za nim.

— Czego jeszcze?

— Wy z Wrocławia jedziecie. Tak? A daleko ten Wrocław?

— Tam, za lasem! Będzie jakieś dziesięć pacierzy od czasu, jak wyjechaliśmy z bram. — Spiał konia i ruszył galopem.

Jeźdźcy zniknęli w żółtych kłębach pyłu.

— Wrocław! Wrocław! — krzyczały niewiasty, ściskając się i całując na środku gościńca. — Nareszcie się dowiemy, co z Jasiem!

— A może — zaczęła ostrożnie Elżbieta — może on tam będzie? Może opiekuje się starym wujem, który mu był jak rodzony ojciec?

Szły szybko, coraz szybciej z bijącym sercem. Weszły w las, za którym ukazać się miało miasto dobrych wieści.

<sup>157</sup>Leszek Czarny (1241–1288) — książę sieradzki i łęczycki, następnie inowrocławski (w latach 1273–1278), wreszcie książę krakowski i sandomierski (od 1279), wnuk Konrada I mazowieckiego oraz Henryka II Pobożnego, przyrodni brat Władysława Łokietka. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Władysław I Łokietek (1260 a. 1261–1333) — król Polski od 1320 r. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>brat księcia Leszka, ów, co ma przezwisko Łokietek, brał dziewczę po księciu kaliskim — Władysław Łokietek ożenił się z Jadwigą, córką księcia gnieźnieńsko-kaliskiego Bolesława Pobożnego. [przypis edytorski]



— Pamiętasz tego rannego giermka? — zaczęła Ludmiła. — Teraz jest bogatym panem, rycerzem. Bóg mu poszczęścił!

— A syn — mówiła Elżbieta — od razu go poznałam, to wykapany ojciec! Tylko tamtego widziałam rannego, a ten zdrow i wesół.

— Wszyscy tu jacyś weseli — rzekła pochmurnie Ludmiła. — Nikt nie wspomina braci jęczących pod batem pogańskim! O, gdyby oni wiedzieli... może by im się wracać odechciało!

— Prawda — westchnęła Elżbieta. — A jednak, Ludko, na pewno są tacy, którzy wspominają i tęsknią, tylko nie na gościńcach, nie przed ludźmi, jeno w samotności albo przed krzyżem Pańskim. Zauważyłaś, oni byli młodzi. Niczego nie widzieli, nic nie pamiętają...

Wyszły z lasku i na widnokręgu ujrzały miasto z kilkoma wieżami szarzące warownym zamkiem. Elżbieta nagle stanęła.

— Co ci jest, Elżuniu? — spytała zaniepokojona Ludmiła.

— Sama nie wiem. Boję się... Tyle ludzi umarło. Strach mnie ogarnia. Może mego brata już nie ma? Często młodszy przed starszymi odchodzą... A Jaś... Jeszcze nie wiemy, do czego nam tak śpieszno...

Ludmiła w pierwszej chwili nie wiedziała, jak pocieszyć przyjaciółkę. Chcąc jednak dodać jej odwagi, zaczęła szukać mądrej odpowiedzi.

— Jaś żyje, musi żyć, bo po co by nas Pan Bóg tu sprowadzał? Aby nam zgotować krwawą niespodziankę?

— Moja droga, wyroków Bożych nikt nie może przewidzieć ani sądzić — powiedziała poważnie Elżbieta.

— Tak, ale po co by ojciec Paweł prorokował, że skarb się odnajdzie? Bo przecież „skarb” nie może nic innego znaczyć. Niech nam tu kto sypie góry złota i drogich kamieni, nogą je pchniemy i powiemy: dla nas tylko jeden skarb na świecie.

— To prawda, przepowiednia wyraźna — rzekła pokrzepiona Elżbieta. — Zresztą, cokolwiek się stało, lepiej wiedzieć. — I wzięwszy się pod rękę, szły w milczeniu.

## Z PRZESZŁOŚCI

Wśród pagórków i dolin pokrajanych w szachownicę zielonych pól ciągnął się wesóły gościniec. Wszystko tętniło życiem; pachniały sady, świergotały ptaki, wioski były coraz bardziej ruchliwe, na drodze coraz więcej ludzi, a wszyscy strojni i zadowoleni. Śmiały się cały krajobraz ślicznych krakowskich stron, tylko dwie niewiasty były smutne. Już nie podążały tak radośnie, jak do Wrocławia. Ledwie powłóczyły nogami. Nadzieja, która przez długie lata podtrzymywała ich nadludzkie wysiłki, zachwiała się. Niewiasty bały się, że za chwilę może runąć.

Jaś zaginął księdzu Maciejowi zaraz po przyjeździe do Wrocławia. Stare czasy. Wspominało je wiele osób. Każdy chciał coś o tym zdarzeniu opowiedzieć. Ale co to było za gadanie... „Czekajcie, wiem, że się z tym chłopcem przytrafiła jakaś niezwykła przyгода”. Różnie powiadali, że utonął, że go dziki zwierz pożarł, że go ktoś wykradł. Jedno było pewne: dziecko wyszło któregoś dnia z domu i nie wróciło, a ksiądz Maciej poruszył bezskutecznie niebo i ziemię, żeby je odnaleźć, i wkrótce umarł ze zgrzyoty.

Elżbieta znowu ciągnęła dwa kostury, oczy wbiła w ziemię. Choć zawsze była pokorna, tym razem bała się wznieść oczu do nieba w obawie, by wzrok jej nie błysnął wyrzutem. A Ludmiła? Cały czas dziwiła się i oburzała z powodu Bożego wyroku. Gdyby o nią jedynie chodziło, rzekłaby sobie: — No, nieraz grzeszyłam krnąbrnością serca, niech mnie Bóg ukarze, ale Elżbieta? Za cóż ją to spotkało? — To pytanie przepelniało Ludmiłę goryczą, której nikt już nie potrafił z jej serca wyrwać. Nawet Elżbieta nie miała dość siły, by walczyć z buntowniczym duchem przyjaciółki.

Najczęściej obie milczały, bo o czym tu mówić? Przez dwadzieścia pięć lat niewoli mówiły o Jasiu, przez kilkanaście lat podróży mówiły o Jasiu. Teraz był to temat zakazany. A cóż ważniejszego było na tym świecie, co mogło je bardziej obchodzić? Nie odważyły się mówić o dobrych rzeczach, nie chciały przewidywać złych, nie śmiały zamienić słowa z obawy, by nie uciekła nadzieja, tak wątła, że tylko ruszyć, a rozprysła się jak dmuchawiec.

Ludmiła nieustannie łamała sobie głowę nad znalezieniem słów pociechy. Ale wobec cierpienia wszystkie słowa były puste. Od czasu do czasu powtarzała:

— Jednak ojciec Paweł obiecywał... To, że Jaś zginął, że się gdzieś zapodział, to jeszcze nic nie znaczy. Na pewno żyje.

Elżbieta za każdym razem odpowiadała:

— Ludko, ufajmy Bogu i szukajmy. — Szły dalej milcząc. — A czy to już Kraków? — zapytała niespodziewanie Elżbieta.

— Nie, to nie żadne miasto, to jakaś duża wioska. Elżuniu, jesteś wyczerpana, ja to widzę. Ach, Boże, kiedy będzie Kraków? — denerwowała się Ludmiła. — Musimy trochę odpocząć.

— Patrz, Ludko, tam jest Męka Pańska. Siądźmy pod figurą, a jak będzie ktoś przechodził, spytamy, czy jeszcze daleko?

Z wioski dochodził gwar, jakiś chóralny śpiew, bardzo smutny, który się powoli przybliżał. Nagle spomiędzy chałup wyszła osobliwa procesja. Mężczyźni i niewiasty, młodzież i starcy szli parami, po pas obnażeni. Każdy w rękę trzymał bicz o kilku powrózkach, którymi smagał plecy poprzednika. Mimo ciętości razów, na które aż przykro było patrzeć, smagani wcale się nie skarżyli, ale z wielkim namaszczeniem śpiewali pokutne psalmy.

— Biczownicy! — zawołała Ludmiła.

Nieraz już, pielgrzymując przez Europę, spotykały biczowników i zawsze patrzyły na nich z pewnym współczuciem i obawą.

Czego ta biedna ludzkość już nie próbowała? Jedną z najdziwniejszych i najrozmaiciej sądzonych prób była owa sekta, założona w czystym i szczerze ofiarnym duchu. Chciała przywrócić pokuty pierwszych wieków kościoła, w nadziei, że powrót surowości rozbroi zagniewane niebiosy.

Niepowodzenia ostatnich wypraw krzyżowych, utrata Grobu Pańskiego, straszliwie rosnące zabory mahometan, walka w samej Rzeczypospolitej chrześcijańskiej, gdzie cesarstwo coraz groźniej mocowało się ze Stolicą Apostolską, szerzący się trąd, a na koniec wisząca wciąż od Wschodu, z niczym nieporównywalną potęgą Tatarów<sup>160</sup>, która wciąż groziła nowym potopem, wszystko to przejęło naród przerażeniem.

Nie wiadomo skąd, ale wszędzie, jakby spod ziemi, pojawiali się ludzie z biczami, którzy opuszczali rodziny, majątki, wygody. Brali chłostę za siebie i za drugich, powiadając, że trzeba się co prędzej kajać, bo koniec świata bliski, sąd Boży nieuchronny, a złość ludzka już przepęlnia miarę i przepęlni ją niechybnie, jeśli nie odprawi się wspólnej pokuty. Z początku nie można było nic zarzucić tym ludziom, którzy niczego nie pragnęli, tylko płaczu i cierpienia. Jednak duch nowych stowarzyszeń szybko się zmienił. Mimo srogich pozorów, pokuta wymagała jedynie pewnej wytrzymałości fizycznej, którą łatwo było wyrobić w wojennych i ascetycznych czasach. Toteż niedługo oprócz szczerze pokutujących, wyruszających z pierwszymi procesjami, zaczęły się tam garnąć szumowiny społeczeństwa, ludzie nie mający nic do stracenia, noszący niejedną plamę na swej przeszłości i honorze. Teraz, w zamian za kilka codziennych plag, zdobywali sobie aureolę męczeńską i głosili się wybawicielami ludzkości.

Przeciwko nim powstało duchowieństwo. Ze wszystkich kazalnicy zabrzmiały słowa przestrogi. Męczennicy zostali uznani za sekciarzy. Stracili dużo w oczach tłumu, ale w swoich własnych urosli. Już teraz jęczeli nie tylko jako pokutnicy, ale jako prześladowani. Odpychano ich od kościołów, miasta zamykały przed nimi bramy. Włóczyli się zatem po lasach i polach. Szeptano sobie, że pod płaszczykiem nabożeństwa kryją swawolę i zgorszenie. Nikt jawnie ich nie popierał, jednakże gdziekolwiek się pojawili, wszędzie jeszcze znajdowali ciekawskich, czasem wzruszonych widzów. Wszelki dowód odwagi, ból dobrowolnie zadawany i pokornie znoszony bądź co bądź budził uznanie.

Ze wsi krakowskiej cała ludność wysypała się za biczownikami. Widok sińców i krwi na posiekanych plecach wywoływał różne reakcje. Niektórzy tylko głową kręcili, mówiąc:

— Po co to robić przed ludźmi? Jeżeli kto chce się biczować, to niech się zamknie w komorze i czyni to dla Pana Boga. Poszaleli!

<sup>160</sup> *Tatarzy* — tu: Mongołowie; w ścisłym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

Ale kilka innych głosów, szczególnie kobiecych, oburzało się na te słowa. Pewien starzec, który dużo po świecie wędrował, ośmielił się powiedzieć:

— Kto ich tam wie, może oni i święci? Abo to jeden święty uchodził za wariata, dopóki żył. A jak umarł, zaczął cuda robić, tak ludzie dalejże na kolana.

Biczownicy doszli do przydrożnego krzyża i zakończyli swoje przedstawienie. Pochowali biczyki, a na zbolące ramiona i głowy nałożyli ciemne kapice, po czym uklękli gromadnie przed krzyżem i uderzyli w głośny płacz. Dotąd śpiewali psalmy po łacinie, teraz rozpoczęli modlitwę różnojęzyczną, gdyż byli tam ludzie z rozmaitych krajów: z Niemiec, Węgier, Czech, Flandrii, nawet z ziem francuskich i włoskich. Każdy modlił się po swojemu, z czego powstał niesamowity gwar. Mieszkańcy wioski tymczasem z litości wsuwali im do rąk jałmużnę, za którą biczownicy nie umieli czy nie chcieli inaczej dziękować, jak tylko mocniejszym wybuchem pokutniczych jęków.

Elżbieta i Ludmiła przyglądały się im z rozczuleniem; widok cudzych łez zawsze budził u nich współczucie. Uwagę Ludmiły przyciągnęła pewna niewiasta, dojrzała, ale ładna i przystojna, nosząca ślady pańskości. Miała spódnicę wytartą, ale ciężką, jedwabną, ze strzępami kosztownego futra. Była przewiązana litym pasem w srebrne i modre wzory, a na jej piersiach wisiał złoty krzyżyk z turkusami, który przy każdym przyklęknieniu wysuwał się spod kapicy. Modliła się najgłośniej ze wszystkich; co chwila padała na kolana i wstawiała, głową biła o ziemię i żegnała się nieustannie.

— To jakaś osobliwa chrześcijanka! — rzekła Ludmiła. — Ona tak bije czołem o ziemię jak Tatarzy<sup>161</sup>. Czyżby to była nestorianka?

— Gdzież tam! — odparła Elżbieta. — Czy wiesz, kogo mi ona żywcem przypomina? Wasyngę i jego Dżjafirkę; oni się modlili zupełnie tak samo.

Na te słowa biczownica zwróciła głowę ku niewiastom.

— O kim wy mówicie?

— Przepraszamy — rzekła zmieszana Ludmiła. Właśnie wspominałyśmy naszych znajomych.

— Ja się nazywam Dżjafira, a mój ojciec nazywał się Wasynga.

— No tak, ale tamci byli aż z Chazarii<sup>162</sup>.

— Ja też pochodzę z Chazarii, mego ojca zabrali stamtąd Tatarzy.

— Tatarzy! — krzyknęły niewiasty. — Dobry Boże! Więc to Dżjafirka! A czy pamiętasz dwie branki u Tatarów, Elżbietę i Ludmiłę?

— Jak to, czy pamiętam? Przecież to nasze dobrodziejki, nasze wybawicielki! Mój ojciec do śmierci je błogosławił i mnie kazał się za nie modlić.

— To właśnie my nimi jesteśmy.

Na te słowa biczownica osłupiała, potem dziko wrzasnęła i jak pierwszej przed krzyżem, tak teraz przed Elżbietą i Ludmiłą padła czołem, tarzała się po ziemi i nie zważając na trąd, chciała całować ich ręce i nogi. Drzewa rosnące wokół krzyża zasłaniały je nieco przed oczyma ciekawskich. Niewiasty, chcąc jednak swobodnie porozmawiać, cofnęły się za stóg siana i tam padło mnóstwo pytań bez odpowiedzi, radosnych okrzyków i żalonych westchnień.

— Więc jesteś Dżjafirką, tą samą, którą wiozłam na wielbłądzie? — wołała Ludmiła, nie mogąc się nadziwić.

— To ja! Patrzcie, mam jeszcze ten złoty krzyżyk, prezent od was. Noszę go jak relikwię. Wszystkie klejnoty straciłam, a tego nie chciałam się pozbyć, nigdy!

— Ale cóż to znaczy? — zapytała Elżbieta, zaskoczona widokiem jej ubóstwa. — Cóż to znaczy, że cię spotykamy wśród tych biednych ludzi? A gdzież ojciec? Żyje? Opowiedz nam wszystko! — nalegała.

<sup>161</sup>Tatarzy — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>162</sup>Chazaria — w VII w. terytorium między Morzem Czarnym a Kaspijskim zajmował Kaganat Chazarski, państwo, które w następnych wiekach znacznie zwiększyło swoje terytorium i stało się wieloetniczne i wielowyznaniowe. Władcy początkowo zostali zmuszeni przez Arabów do przyjęcia islamu, ale w IX w. przeszli na judaizm. W X w. państwo zostało stopniowo rozbite przez książąt kijowskich, a wielu wyznających judaizm Chazarów przeniosło się na Krym, inni rozproszyli się na zachodnich terytoriach powstającego imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

— Co tam o mnie gadać... — Dżjafirka nie dała się namówić na zwierzenia. — Lepiej wy powiedzcie, co się z wami działo przez te wszystkie lata. Kiedy uciekłyście?

Opowiedziały jej krótko swoje dzieje. Dżjafirka żegnała się ciągle ze zdumienia, w końcu zapłakała na wiadomość, że zaginął złoty Jaśko, który się z nią bawił jak braciszek.

— A może ty nam potrafisz powiedzieć coś o Jasiu — rzekła Elżbieta. — Przecież widziałas go dłużej niż my.

— Wiem niewiele więcej, ale co pamiętam, to i powiem.

Tu zaczęła swoją opowieść, dosyć trudną do zrozumienia. Nie mówiła po polsku, ale mieszaniną słów tatarskich, niemieckich, kumańskich i węgierskich. Przy tym często się zaciniała, nie kończyła rozpoczętych myśli. Ale Elżbieta i Ludmiła pochwyciły główny wątek.

Po rozstaniu z Ludmiłą na Węgrzech uciekinierzy szczęśliwie dotarli do księcia Bolesława, który z księżną Kingą i garstką wiernych ukrywał się w warownym Turoczu. Tam w strachu, często o głodzie, jednak przy łasce boskiej przetrwali nawałnicę, a kiedy pogaństwo zaczęło ustępować, Rafał co prędzej wybrał się do Polski, aby Jasia oddać wujowi, a dla Wasyngi przywieźć obiecane skarby. Wasynga postanowił z nim pojechać, chciał zaraz osiąść w zamku Ludmiły, ale Rafał straszył, że tam będzie mu źle, że w Polsce jeszcze zimniej niż w Chazarii.

— Nie wiem, czemu takie rzeczy gadał — zauważyła z przekąsem Dżjafirka. — Teraz, kiedy tutaj przyszłam, widzę, że u was bardzo ładnie, ciepło.

— No, może teraz — z uśmiechem odparła Ludmiła. — Ale tego ciepła będzie ledwie na cztery niedziele; u nas istotnie ciężko, w zimie aż kamienie pękają. Lepiej, że zostaliście na Węgrzech.

Wasynga martwił się i kłął, już był pewien, że go Rafał oszukał, że nigdy nie wróci. Jednak wrócił, i to z niemalymi skarbami. Wnet zaczęto szukać zamku, koniecznie z wieżą, bo takie było marzenie Wasyngi. Marzenie prędko się ziściło. W kraju straszliwie splądrowanym było mnóstwo posiadłości po rozproszonych lub wyrżniętych rodzinach. Ziemię i gruz brał, kto chciał, za bezcen. Wynaleziono zamek z wieżą na skale. Wprawdzie straszył pustkami, pola nie były obsiane, winnice zdeptane, wsie wyludnione, ale wkrótce ściany porosły kobiercami, a ludność, chciwa chleba, ciągnęła do nowego pana.

— Wtedy — mówiła Dżjafirka — zaczęło się dopiero dla nas życie. Mieliśmy chłopów i dworzan co niemiara. A gości. Dzień i noc nakrywano stoły, grano na trąbach i fletach. W takim domu się wychowywałam. Miałam bogate suknie, piękne zausznicę, pasy, pełno dziewczek na usługi. Grałam na lutni; ojciec nawet sprowadził mi karła. Jak dorosłam, goście zaczęli się zjeżdżać jeszcze częściej, zalotników huk. Czekali długo. Na koniec wybrałam sobie męża Niemca. Zdawało mi się, że będzie dobry. Włosy miał jak len, a na koniu wyglądał jak królewicz z bajki. A co to było za wesele! No, chyba tylko z cesarskim można porównać. Bawiliśmy się cały tydzień, beczek z piwem i winem nikt nie mógł się doliczyć! Mój mąż przepadał za łowami i uctowaniem, a nade wszystko lubił grać w kości. Ojciec zaniemógł, czuł się coraz gorzej.

— Chorował? — zainteresowała się Ludmiła.

— Nie, ale bardzo się martwił. Przypominał sobie różne okropne rzeczy...

— Aha! Pewno te, do których zmuszali go Tatarzy...

— Tak. Martwił się, że pijał z nimi kumys<sup>163</sup>. Chyba wiecie, że kto pił kumys, ten nie może być zbawiony. No, podobno jest to bardzo trudne, potrzeba strasznej pokuty.

— E! Tylko kacerze tak mówią. U nas nikt w to nie wierzy — zachnęła się Ludmiła.

— Księża węgierscy także zaprzeczali — ciągnęła Dżjafirka. — Chcieli ojca pocieszyć, ale nie mogli. Po nocach nie sypiał. Zawsze jakieś czarne i czerwone osoby przychodziły, żeby go katować. Na koniec znalazł sobie lekarstwo. Jak się napił wina, to zapominał o wszystkim i usypiał. Więc już potem leżał ciągle przy kominku albo w sadzie pod starą śliwą, a zawsze dżban stał przy nim. Co się obudził, to pociągnął, uspokajał się i zasypiał. Tak było przez kilka lat. Aż tu raz przychodzę, a on siny, jakby go kto zbił. Wołam, ani drgnie. Już się nie obudził. Nieraz mawiał: „Dżjafirko, ty masz duszę niewinną, pokutuj za mnie, abym nie poszedł do piekła.” Ale mnie wtedy nie chciało się myśleć o pokucie.

<sup>163</sup>kumys — musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany *mlecznym szampanem*. [przypis edytorski]

Po śmierci ojca rozpaczalam. No cóż, ale nawet mi płakać nie pozwalano. Mąż gniewał się, kiedy bylam smutna, spraszał gości. Mnie już coraz mniej to bawiło, a jego coraz więcej. Hulał, aż zmarnował wszystko. Sprzedał naprzód winnice, potem pola, zamek i znów przez jakiś czas mieliśmy za co pić, grać i częstować. Pewnego dnia okazało się, że już nie mamy nic, tylko mój krzyżyk. Mąż wsiadł na konia i powiedział do mnie: „Moja kochana, szukaj sobie chleba, rób co chcesz, ja muszę jechać w świat, gonić szczęście”. I rzeczywiście pojechał, a ja zostałam sama, w pięknych szatach, ale bez dachu nad głową.

— Ach, biedaczko — przerwała Elżbieta — pewnie było ci bardzo ciężko wziąć się do pracy?

— Ja? Do pracy? Wychowana w jedwabiach, na zamku? Nie! Wołałabym z głodu umrzeć, niż się spodlić. Ale ludzie mi poradzili, abym się zaciągnęła do biczowników. I dobrze poradzili.

— Więc nie żałujesz?

— O, wcale nie! Cieszę się, kiedy pomyślę, że mogę pomóc duszy ojca, że odpokutuję grzechy i jego, i moje. A przy tym... nigdy nie bylam taka szczęśliwa... — oczy jej zabłyły i rumieniec wystąpił na twarz.

— Ale jednak — rzekła Ludmiła — te rany na plecach to nie żarty...

— Człowiek się przyzwyczaja. Zresztą, zależy jakiego się ma sąsiada. Jedni biją zawzięcie, drudzy miło... chciałam powiedzieć miłosiernie. Ale najboleśniejsza jest niewdzięczność ludzi, za których cierpimy. Ten wasz Kraków to niedobre miasto. Nie chciano nas tam wpuścić!

— Więc byłaś w Krakowie. Kiedy?

— Właśnie stamtąd idziemy... Złe miasto. Zły wiek. Świat się musi skończyć! Biada światu, który nie tylko tonie w grzechach, ale jeszcze odpycha tych, którzy mogliby go uratować. — Jej twarz stała się ponura, jak w dzieciństwie między Tatarami.

Nagle zza drzew wyszedł jeden z biczowników, młody Węgier; miał czarne wąsy i mieniące się tygrysie oczy. Ruchoma twarz Dżjafirya wyszła nagle z mroku nocy i powitała dzień; zapłonęła dziwną mieszaniną strachu i radości. Biczownik uderzył ją po ramieniu i powiedział czule, a zarazem groźnie. Ona złożyła ręce, jakby go przepraszała. Kiedy odszedł, rzekła z pośpiechem:

— Ach, mogłabym z wami i trzy dni przegadać, ale nie mam czasu. Stefan mnie woła.

— A kim jest ten Stefan? To twój mąż?

— Niech Bóg broni! Mój mąż dawno umarł... to brat...

— Doprawdy? Miałaś brata?

— No, to jest brat w Chrystusie. My, biczownicy, wszyscy się nazywamy „braćmi” i „siostrami”. — Potem raz jeszcze uderzyła czołem o ziemię i zawołała: — O, niechże wam Bóg błogosławi! Niech przywróci wam dziecko, choćby tylko za to, że Wasyndze uratowałyście córkę od więzów pogańskich! — I zerwawszy się, pobiegła za biczownikami, którzy ruszyli przed siebie w dwóch równych rzędach, śpiewając pokutny psalm.

Niewiasty także wstały. Pokrzepione i nieco weselsze ruszyły w stronę Krakowa.

— Widzisz, Elżuniu, wszyscy się znajdują — rzekła Ludmiła. — Nawet Dżjafirka, po której wydawało się, że ślad zaginął. Ale smutny jej los. Choć mówi, że szczęśliwa... Jeżeli z powodu modlitwy i pokuty to pięknie, ale jeżeli... no, wołam nie posądzać. A ten Wasynga? Naprawdę chciałam ich uszczęśliwić, ale jakoś moje chęci nie wyszły im na dobre. Nie na próżno ludzie mówią, że skarb, który wpadnie w splamione ręce, nie dotrwa do trzeciego pokolenia. A nasz biedny Chazarczyk, trzeba przyznać, miał sporo na sumieniu...

— Tak — westchnęła Elżbieta — prędzej czy później sumienie się odezwie. A on, zamiast żałować, zagłuszał je winem.

Kiedy doszły do niewielkiego pagórka i podniosły wzrok, spostrzegły przed sobą miasto, które błyszczało w słońcu. Na zielonym wzgórzu stał zamek, a u jego stóp płynęła rzeka.

— Kraków! — krzyknęły prawie jednocześnie.

Tak, to był Kraków, z Wisłą i Wawelem.

— Prawdę mówił anioł! — zawołała Elżbieta. Przypędził nas aż tutaj swoją straszłą różgą.

Cierpienie, Pokuta, Pokusa,  
Plotka

— Ach, Elżuniu, chyba nie na próżno? Czyżby przeprowadził nas przez tyle niebezpieczeństw, aby nam pokazać, że nikt na nas nie czeka? Jaś musi tu być! Jeśli gdziekolwiek jest, to właśnie tu! — Obie uklęknęły, rozciągając się krzyżem, i ucałowały ziemię, świętą ojczystą ziemię.

## CZY TO KRAKÓW?

Zgryzota i wyczerpanie podróży spowodowały wzmożenie się trądu i ledwie niewiasty doszły do celu, choroba powaliła je na twarde lazaretowe łoża. Krakowski lazaret był bez porównania zasobniejszy niż wrocławski; schludny, porządkowy, ale zimny. Ruch stołeczny czuło się nawet pod tym dachem; rwał i studził wszelkie stosunki. Zarządcy lazaretu, znużeni pracą przy chorych i nieskończonym przepływem włóczęgów, nie mieli ani czasu, ani głowy, aby kimkolwiek zająć się w szczególny sposób. Z początku Elżbieta i Ludmiła znalazły trochę współczucia. Kilku duchownych wzruszyło się ich losem i rozesłało po mieście listy. Odbiorcy listów odpowiadali zgodnie, że Jasia nie widziano w Krakowie. Świadectwo straszne, bo przecież syn Sulisława, panicz możny, z zacnego rodu, nie przeszedłby niepostrzeżenie w stolicy. Zasługi ojca dobrze pamiętano, każdy mówił:

— Tak, to ten Sulisław, który zginął pod Chmielnikiem. Ale syn? Czy on miał syna?  
— Wszyscy dziwili się, zaprzeczali.

Powszechny niechętny stosunek do poszukiwań zachwiał wiarę w opowiadania podróźniczek. Słuchano niechętnie, zaczynało nawet wątpić, czy były one naprawdę u Tatarów. Bo też ich opowieści brzmiały tak nieprawdopodobnie! Albo to raz widziano trędowatych, którym choroba pomieszała zmysły? A może specjalnie wymyślały takie bajki, aby wzbudzić litość łatwowiernych? Niezrozumiane, wyśmiane nawet przez towarzyszy niedoli, w końcu przestały przekonywać i zamilkły.

Wkrótce jednak znalazły przyjaciela. Był nim posługacz szpitalny, Brunon, człowiek bardzo stary, jednak jeszcze krzepki i energiczny. Już od ponad trzydziestu lat chodził przy chorych, spełniał posługi, jakich się wszyscy inni bali. Sam ani razu nie zachorował. Im większy lazaret i nędzarz, tym większą obdarzał go troską. Takie poświęcenie budowało. Brunon, jak głosi plotka, żył podobno niegdyś na dworach bogato i szumnie. Mówiono, że pewnego dnia, bardzo dawno temu, nagle wszystko porzucił, majątności rozdał ubogim, a sam poszedł do lazaretów, aby usługiwać trędowatym. Ludzie, widząc jego cnoty, namawiali go, aby został księdzem. Podobno przed laty sam biskup Prandota chciał go wyświęcić i postawić na świeczniku, ale Brunon odmówił, tłumacząc się, że jest wielkim grzesznikiem i nie godzien zaszczytu kapłaństwa.

Niewiasty długo się nie domyślały, że ten mężczyzna to dawna dworska znajomość. Ale pewnego dnia ktoś wspomniał brata Benedykta. Twarz staruszka pojaśniała, złożył ręce i zawołał:

— To święty człowiek! On mnie nawrócił! I czym? Nie uwierzycie, jednym uściskiem!

Tu zaczął opowiadać swoją przygodę z braciszkiem, a niewiasty z najwyższym zdumieniem poznały, że to ów młodzieniec, którego przedstawiono im niegdyś w komnatach królowej Kingi, Rynhold — awanturnik i rozpustnik, a dziś bardziej anioł niż człowiek.

— Od tej chwili — ciągnął Brunon — coś się we mnie przewróciło, jakby mi kto duszę przenicował. Nagle zobaczyłem pustkę mego życia. Z początku brała mnie rozpacz judaszowa. Myślałem, że już nie ma sposobu. Ale Bóg wyciągnął mnie z przepaści. Niechże będzie na wieki uwielbiony, że zostawił czas do pokuty.

Niewiasty ucieszyły się niezmiernie; pomyślały, że Brunon znajdzie brata Benedykta i to może niedługo, bo jeśli brat jeszcze żyje, to na pewno po staremu, w konwencie krakowskim. Ale Brunon potrząsnął głową i odrzekł:

— Widywałem nieraz ongi mego *benefactora*, mego *salvatora*. Wiedziałem dobrze, że brat szuka jakiegoś sieroty, a dziś rozumiem, o kogo mu chodziło. Szukał i szukał, aż na koniec, jakieś trzy lata temu, złożył ślub, że pójdzie do grobu świętego Franciszka, do Asyżu, na intencję, aby się dziecko odnalazło. Poszedł i dotąd go nie ma. Czy żyje jeszcze — nie wiem.

Brunon całą duszą ofiarował swe usługi Elżbiecie i Ludmile. Od rana do nocy biegał po Krakowie, chcąc trafić na ślad Jasia. Mieszczanie byli w większości ludźmi niedawno

przybyłymi, a ze starszych i dostojników, jak na przekorę, nikt w tym czasie nie bawił w mieście.

Tymczasem nadeszła zima, nastał 1281 rok. Około wielkiego postu minęła okrągła czterdziestka od czasu, jak branki zostały wzięte w niewolę. Przewracając się na swoich ostrych, wyleżanych siennikach, szeptały słowa już sto razy, tysiąc razy powtarzane: „Jako Izrael czterdzieści lat błąkał się na pustyni, taka przyszłość wasza. A kiedy powrócicie, nie poznacie ani nieba, ani ziemi, ale odnajdziecie skarb utracony”.

Pewnego dnia jeden z księży zawiadujących lazaretem podszedł do niewiast i rzekł:

— Moje staruszki, dobrze wiem, że wam u nas ciężko. Za wielki tłok, za dużo przechodnych żebraków. Wam, coście chleb dworski jadły, musi takowe sąsiedztwo dokuczać. Obmyśliłem wam inną dolę. Jest niedaleko stąd, pod Krakowem, spokojny Zagościnniec. Tam rycerze świętego Łazarza założyli dom dla trędowatych. Jeśli chcecie, wyproszę dla was izdebkę i będziecie mogły do śmierci mieszkać tam w spokoju.

Ksiądz może pragnął spełnić miłosierny uczynek, a może chciał pozbyć się dziwa-  
czek, bo lazaret był już nadto przepelniony. W każdym razie sądził, że ucieszy niewiasty. Tymczasem one posmutniały i pokornie błagały, aby jeszcze pozwolił im tu zostać. Były bliżej bram Krakowa, tu łatwiej mogły się czegoś dowiedzieć, a poza tym miały Brunona. A zamieszkać w tym zamkniętym, dalekim Zagościńcu, to jakby zapaść się w grób.

— Nie! — zawołała Ludmiła — jeśli mamy iść, by samotnie zakończyć życie, to pójdziemy do moich włości albo do twojego Żegnańca. Wszak masz prawo tam wrócić. Zamek spalony, zniszczony, to prawda, ale tam będziesz przynajmniej na własnej ziemi. Odnajdziesz chłopów, oni może z gruzów odbudują nam choć jedną wieżę i zamieszkamy, wprawdzie same jak pustelnice, ale na żegnanieckiej górze. A jeśli nowi ludzie tam osiedli, może nam odstąpią choćby najlichszą chałupinę.

— Prawda — rzekła Elżbieta. — A wiesz, co mi przyszło do głowy? — Oczy jej błysnęły niespokojnie. — Może tam odnajdziemy Jasia? Może on w najlepsze mieszka sobie w starym gnieździe, a my go Bóg wie gdzie szukamy? — Ta mało prawdopodobna myśl zagościła w sercu Elżbiety. Ale trudno uwierzyć, aby potomek rycerskiego rodu zmarnował całe życie na gospodarce. Jednak była to jeszcze jakaś nić nadziei, z którą niewiasty wiązały najdroższe wspomnienia.

— Pójdziemy do Żegnańca — postanowiły.

— Teraz próżno rwać się do drogi, moje matki — mówił kręcąc głową Brunon. — Roztopy wiosenne świat zalały i nie przebrniecie przez bagniste puszcze. Poczekajcie, aż ziemia wyschnie. A tymczasem musicie sprawdzić, czy potraficie jeszcze chodzić. Bo to ważna sprawa. Zbliża się dzień Zmartwychwstania Pańskiego, chcę zaprowadzić was do Krakowa.

Istniał w Europie zwyczaj, że na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, przez cały wielkanocny tydzień i we wszystkie znaczniejsze święta wolno było trędowatym wchodzić do miast i kościołów. Nikt nie chciał ich skazywać na wieczną samotność i radować się bez nich samolubnie. Święto powinno być świętem dla wszystkich, nawet dla trędowatych. W owe dni zdrowi ludzie mieli się na bacności. Do kościołów wpuszczano chorych przez boczne drzwi do odosobnionych miejsc modlitwy. I teraz, na początku Wielkiego Tygodnia, Kraków otworzył się dla mieszkańców lazaretu. Do jego bram podążały Elżbieta i Ludmiła. Za nimi sygnęli się inni trędowaci. Kto tylko mógł jeszcze nogami powłóczyć, ten korzystał z upragnionej łaski. Brunon szedł na przodzie z grzechotką, żeby ostrzegać przechodniów, którzy natychmiast się usuwali, spoglądali z litością, czasem rzucili jakiś datek.

— No i co? Wyładniał nasz Kraków? — zwrócił się Brunon do niewiast. — Jest na co popatrzeć i czym się pochwalić.

Zadna jednak pochwała nie przeszła im przez usta. Patrzyły z niedowierzaniem i pewnym rozczarowaniem.

— Czy to nasz Kraków? — wzdychała zawiedziona Elżbieta.

Niczego nie mogły poznać. Ani budynków, ani ludzi, ani ich strojów, ani nawet mowy. Co chwila dolatywały do uszu nawoływania, obce krzyki kaleczone łamaną polszczyzną. Co chwila przesuwały się postaci długowłosych cudzoziemców, w płaszczach spletych z niemiecka na lewym ramieniu. Przed sieniami stały płowe Niemki w złocistych

Obcy, Miasto

czepkach i sztywnych sukniach. Tu stąpał tłusty, ubrany w cienkie sukno Flandryjczyk, ówdzie kręcili się brodaci Ormianie we wschodnich szatach, gdzieś błysnęła żółta jarmulka Żyda. Cudzoziemszczyzna raziła, pozbawiała miasta cech narodowych, tym bardziej że chwilowo nie było księcia Leszka i jego rycerstwa.

— I to ma być Kraków! — oburzały się niewiasty. — Tyle narodów, zupełnie jak w Karakorum. Wszystkich tu widać oprócz swoich!

— Cóż było robić? — rzekł Brunon. — Tatarzy raz i drugi miasto spalili, jednych wycięli, drugich w jasyr wzięli. Książę Bolesław wrócił jak na cmentarz. Czekał, spędzał ludzi, ale nie wszyscy chcieli wracać na zgliszcza. Więc zaczął zapraszać obcych, byle załudnić pustki. To pracowici ludzie, jak pszczoły, i zasiedzą się, zobaczycie. A nie myślcie, że swoich tu nie ma. Są, tylko jakoś ich nie widać, bo co swoje, to nie włązi w oczy. No, ale że tu ładnie, to musicie przyznać. Z księcia Bolesława był tęgi gospodarz! Wziął mu czart jedno miasto, on urobił drugie, na kształt placka, i przy boskiej pomocy wyrosło jak na drożdżach, a takie udane, że nie żał starego!

Kiedy Elżbieta i Ludmiła znalazły się na Rynku, nie mogły własnym oczom uwierzyć. Król Bolesław pozwolił sobie na rozmach i nie pożałował placu. Rzadko które średniowieczne miasto posiadało tak obszerny Rynek.

Dookoła biegły domy, nie jak dawniej przysiadłe, ale wszystkie wysokie a wąskie, o jednym lub dwóch oknach, o spiczastym, trójkątnym szczycie, coś na kształt oka opatrności, a wszystkie stały karnie, pod sznurem i pokazywały tylko pół „twarzy”, jak ludzie idący za procesją. Większą część tych domów sklecono po staremu z drzewa, jednak między nimi było już trochę kamienic, a nawet domów murowanych z cegły. Na ten zbytek pozwoliło sobie kilku bogatych przybyszów. Wszędzie wisiały wizerunki świętych, różne godła, rzeżane i pięknie malowane znaki. Na dachach skrzypiały chorągiewki wycięte w kształcie kogucików i śmiesznych bestyjek. Z gzymsów dachowych sterczały rynny o smoczycach paszczekach, a z wyższych pięter wystawały podpórki do zaczepiania opon<sup>164</sup> i chorągwi w czasie uroczystości. Niżej, na wąskich, łukowato wyciętych drzwiach, czerniało mnóstwo żelastwa; krzyżowały się wrzeciądze i antaby, zasuw i kołatki, a wszystko usiane gwoździami jak brylantami, wyrżnięte w różne stylizowane liście i kwiaty. Tuż koło drzwi, na ścianie, wisiały pierścienie, do których goście albo kupujący przywiązywali konie. Nie błądzili już oni między przenośnymi budami, ale kierowali się do domów. Tam na dole były kramy, gdzieś nawet już prawdziwe sklepy, izby niskie, sklepione, zabezpieczone przed ogniem i złodziejami, zatarasowane w nocy okiennicą, którą w dzień do połowy opuszczano na ulicę i od razu tworzyła stół targowy. W oknach złotników i lichwiarzy supłały się misterne kraty.

Czasem z kramów doleciał zapach wschodnich aromatów i korzeni, który przypominał niewiastom azjatyckie wędrówki. Gdzieś zawrotnymi schodami ziała czeluść gwarnej, gościnnej piwnicy. Przybysze siedzieli tam jak diabły i szwargotali, popijając świdnickie piwo. Brunon oprowadzał swoją gromadkę po nowiuteńkich, jakby z igły zdjętych Sukiennicach. Ale niewiasty słuchały go z roztargnieniem. Bardziej interesował je niedaleko szarzejący kościółek świętego Wojciecha, który nic a nic się nie zmienił. Oto przynajmniej choć jeden świadek przeszłości! Brunon, widząc ich oczy skierowane w tę stronę, rzekł:

— Chodźmy pokłonić się męczennikowi. Patrzcie! — dodał, pokazując przystawkę z kamienia przytuloną do ściany kościółka. — Tu, w tej komórce, do niedawna żył męczennik. Tatarzy go zabili, a teraz pobożni krakowianie zmienili tę celę na kapliczkę. Widzicie? — mówił, uchylając drzwiczki. — Światło pali się przed obrazem świętego Pawła, bo pustelnik nazywał się Paweł. Może chcecie wejść i pomodlić się trochę?

Ale Elżbieta i Ludmiła nie chciały wchodzić do środka, nie chciały nawet patrzeć na celę. Były rozżalone. To miejsce wiązało się z zawodnymi przepowiedniami. Spojrzały na kościół Panny Maryi. Było trochę zmian, jednakże nie tak dużo, jak się spodziewały po całych czterdziestu latach. Pomyślały, że dwukrotne zniszczenie stolicy musiało zahamować budowę. Wodząc oczami po murach świątyni, szukały kamiennej cierniowej korony, którą kiedyś podniosły z ziemi, ale nie mogły jej znaleźć. A może była to korona, widziana czystym sercem, którą anioł już dawno temu włożył na głowy niewiast?

<sup>164</sup>opona — tu daw.: zasłona. [przypis edytorski]



— Że też tych dwóch wież nie wyprowadzą równo! — rzekła Ludmiła, którą denerwował widok nie dokończonych budowli. — Jedna wystrzeliła hen w obłoki, a druga przysiadła. Kiedy to skończą?

— Pewno nigdy — odparł Brunon półgłosem. — Czart wmieszał się w tę sprawę. Na tej drugiej wieży ciąży niewinna krew.

— Boże miłosierny! Co za krew? — zatrwożyła się Ludmiła.

— Trzeba wam wiedzieć, że całą tą robotą rządziło dwóch braci.

— Wiemy, wiemy — ożywiła się Elżbieta. — Widzieliśmy ich kiedyś. Bracia, ale niepodobni do siebie, jakby dzień i noc.

— Trafne słowa — ciągnął Brunon — „jakby dzień i noc”. Jeden był dobry, że do rany przyłóż. Drugi miał czarne włosy i taką samą duszę. Pierwszemu Pan Bóg błogosławił, co pomyślał, to zrobił. A budował cuda; ludzie go za to miłowali i sławili. Czarny zazdrościł mu wszystkiego, najbardziej zaś talentu i sławy. Gdy tedy przyszło do stawiania wież, powiedział tak: „Niech każdy zrobi swoją, zobaczymy, kto lepszy”. I pomyślał sobie: „Teraz choć raz ja będę lepszy”. Ale tamtemu wieża szła do nieba, prościutko jak ów dym z Ablowej ofiary, a temu szła niesporo, diabeł mu przeszkadzał, bo chciał go na brata rozsiedzić. Wzięła go kainowa zazdrość. Pomyślał: „Niedoczekanie twoje! Nie skończysz tej wieży”. I nagle brat się gdzieś zapodział, i nawet ciała jego nie odnaleziono. „Kain” już sam jeden kończył budowę. Wieża była bardzo piękna; lud go chwalił i składał cześć. Właśnie w dzień, kiedy go tu na rękach noszono i kiedy mu dziewczki rzucały wianki, przeszła obok niego jakaś panienska w czerwonej sukni i niebieskim płaszczku. Raz na niego spojrziała z okrutną żalością i wtedy pobladł, zaczął ludziom lecieć przez ręce i padłszy na klęczki, wyznał z płaczem: „Nie zasłużyłem na to, albowiem zabiłem mego brata, aby odebrać mu sławę”. Tedy wszyscy odstąpili ze strachem i pytali: „Jak go zabiłeś?” Dobył nóż z zanadru i powiedział: „W miejscu bezludnym, tym oto nożem”. Patrząc na jego krwawe ostrze, zaczął krzyczeć głosem przeraźliwym, po czym wbił go sobie w gardło i padł trupem. — Przerżone niewiasty zakryły oczy. — Patrzcie, matki! Ten nieszczęsny nóż wisi w bramach Sukiennic na wieczną ludziom przestrożę.

— A cóż to była za dziewczka? — zapytała z zainteresowaniem Ludmiła.

— Jedni gadają, że on nie tylko sławy zazdrościł bratu, ale dziewczki, którą sam miłował. Drudzy mówią, że to nie była prosta dziewczka, jeno sama Panna Maryja, która wyszła ze swego kościoła, aby grzesznika skruszyć. Ale on zamiast skruchy, wpadł w szaleństwo i zamknął sobie ostatnią bramę ratunku.

Zapanowało milczenie, ciężkie jak kamień. Wszyscy spoglądali kolejno to na straszliwy nóż, to na nierówne wieże. Na koniec Elżbieta rzekła:

— Pójdźmy pomodlić się za grzeszników. — Weszli do kościoła Panny Maryi.

Gromada wracała znów przez miasto, a Brunon kazał ciągle przystawać, coś oglądać i coś podziwiać. Ale Elżbieta i Ludmiła, mimo wszystkich pochwał i dumy z nowego Krakowa, żalowały starego. Człowiek wracający z długiego tułactwa zawsze chce odnaleźć to wszystko, co zostawił i wcale nie inne, ale właśnie takie, jakie zostawił. Wszelka nowość, chociażby i lepsza, zasmucała, psuła przeszłość, była martwa, bo nie posiadała wymowy pamiątek. Przez tak długie lata nosiły w duszy obraz dawnego miasta; tłoczego, bezkształtnego i bezładnego, ale weselszego, ale swojskiego. Teraz te cudzoziemskie twarze, proste ulice wydawały się im sztywne i napuszone. Budynki, z drzwiami na krzyż okuwanymi i z zakratowanymi oknami, wyglądały jak więzienie. Z oględzin stolicy wyniosły wrażenie smutne i przygnębiające. Tym bardziej, że przekonały się, iż nie mogą już odbywać tak długich wędrówek. Ta jedna wycieczka po mieście znużyła je śmiertelnie. Jakże tu iść do Żegnańca pieszo i znów o żebranym chlebie? — pomyślały i ręce im opadły.

Brunon drapał się w głowę i kłopotał, jednak jego zmartwienia nie trwały długo; był człowiekiem bardzo pomysłowym. Posiadał też osobliwy dar zbierania jałmużny. Okazało się, że Bóg cudownie szczęści, kiedy się ją zbiera nie dla siebie, ale dla bliźnich. Otóż, jak zaczął chodzić po ludziach, tak w kilka tygodni, jeszcze przed Zielonymi Świątkami, zjechał do bram lazaretu wózkiem góralskim zaprzężonym w łaciatego chłopskiego konika. Koń był stary i troszeczkę ślepy, ale Brunon pomyślał, że taką podróż przetrzyma.

— Wstawajcie, maceczki! Mamą wóz i konia, zawiozę was do tego Żegnańca.

Wspomnienia

Kobiety popłakały się ze wzruszenia. Wózek był wysoki, schorzałe niewiasty nie mogły się podźwignąć, więc Brunon włożył je tam jak dzieci w kolebkę. Sam siadł na przodku i świsnął z bicza. Wyruszył w piękny majowy dzień, pędząc raz jeszcze za uciekającym bez końca widmem nadziei.

## W GNIEŹDZIE SĘP

Wózek przedzierał się przez gęstą, szumną, wysoką puszcę. Ludmiła poznawała pokrzywione pnie, rozdroża między steczkami, gdzie niegdyś czuła się jak we własnej komnacie. Mój Boże! Tyle się zmieniło w ich losach, one same tak bardzo się zmieniły, a ta puszcza jak szumiała, tak szumi nie zmieniona, tylko tyle że jeszcze gęstsza i wyższa.

Za zakrętem nad drzewami zamajaczyła baszta. Nieco dalej puszcza zaczęła rzednieć i oto na wyniosłości pokazał się żegnaniecki zamek. Kto go odbudował? Kto w nim mieszka? Trudno zgadnąć! Sam widok tych murów był pokrzepiający. Elżbieta, która dotąd siedziała skulona, podniosła się, składając ręce. Ludmiła objęła ją w uścisku i obie zawołały radosnym, drżącym głosem:

— Żegnaniec, nasz kochany Żegnaniec!

Brunon zaciął konia i podjechał pod górę, ale widząc ścieżkę dosyć wąską a stromą, powiedział:

— Tam nie wjedziemy, trzeba wysiąść.

Kiedy przyszło iść pod górę, niewiasty spojrzały na siebie z przestachem i nagle się zatrzymały.

— Czy możemy wchodzić bez pytania? Wszak nam nie wolno, ale nim się opowiemy, ludzie nas wypędzą.

— Prawda — rzeki Brunon — poczekajcie, ja pójdę naprzód i zasięgnę języka. Dowiem się, kto tam mieszka i powiem, kogo przywożę.

Poszedł wąską, wijącą się ścieżką, wkrótce znalazł się na moście, długo rozmawiał z odźwiernym, na koniec furtka skrzypnęła i zniknął w ciemnej bramie.

Elżbieta i Ludmiła rozglądały się dokoła, a w ich sercu było tyle samo radości, co smutku. Zamek był na pewno zamieszkały. Drogi do niego nie zarosły trawą i wartownik, jak niegdyś, krążył za blankami baszty. Widać, że mieszkańcy nie lubili porządku i gospodarności. Wjazdowej drogi nie obsadzono żywopłotem, pod narożną wieżyczką zamiast kwiatów rosło zielsko. Po ganeczku, tej kamiennej kropielnicy, która zdobiła wieżę, nie było śladu! Drzwi do ganku zabito deskami. Czas zrobił swoje. Zamek sposepniał, poszarzał, gdzieniegdzie zostały ślady pożogi, które przy nowo wzniesionych murach wyglądały jak szerniałe blizny. Dalej, pod lasem, tuliły się chaty chłopskie, ale nie takie porządne jak dawniej. Rozwalone, z dziurawymi strzechami, wyglądała z nich oplakana nędza; widać, że pan zamku nie troszczył się o biednych.

Elżbieta patrzyła zatrwożona i myślała sobie: jeżeli to Jaś, niech mu Bóg wybaczy!

Furtka znowu skrzypnęła i wybiegło dwóch ludzi; Brunon, a za nim inny mężczyzna w sile wieku. Miał ubiór długi, z brunatnego sukna, przewiązany zielonym pasem. Wyprzedził towarzysza i rozkrzyżowawszy ręce, pędził z góry, wołając radośnie:

— Pani! Nasza pani wróciła! — Ale kiedy stanął przed niewiastami, choć uprzedzony o trądzie, struchlał i nie mógł opanować wzruszenia. — O, mój Boże! To nasza pani, taka niegdyś piękna! A teraz, co się z nią zrobiło. — Zmieszany i smutny, zamilkł.

— Kto tu mieszka? Człowieku, na miłość boską, gadaj, kto tu mieszka? — dopytywała się nerwowo Elżbieta.

— A no, mój pan, Zyndram.

To imię padło na ich głowy jak góra lodu.

— Tu siedzi jakiś Zyndram — poinformował zadyszany Brunon, który właśnie w tej chwili podbiegł. — O dziecku nikt nie wie, nikt nie słyszał. A ten poczciwy służący powiada, że panią znał niegdyś.

— Tak — mówił mężczyzna w zielonym pasie. Jestem Wicus, ten którego pani z górą uratowała. Pamięta pani Wicusia z Kacprowej chałupy? Byłem wtedy dzieciak, jeno trochę większy od panicza, ale dobrze pamiętam, jak pani nasza, niczym anioł w niebieskiej sukni, schodziła z zamkowej góry. A gdy byłem chory, pani całutką noc przesiadła przy mnie na słomie...

— Ale panicz? Gdzie on jest? Nic nie wiesz o paniczu?

— Jak to? Cóż mam wiedzieć? Wszakże, gdyby panicz żył, to by tu siedział. — Logika tych słów dobiła niewiasty.

Elżbieta dławiała się od łkania. Oparła głowę na ramieniu Ludmiły.

— A Zyndram? Dawno tu siedzi? — zapytała szorstkim głosem Ludmiła.

— O, dawno! Już trudno połapać się w latach. Kiedy tylko usłyszał, że pan Sulisław zginął na wojnie, a nasza pani z paniczem zagnana do pogan, zaraz zjechał. No, czynił wedle słuszności, bo był jedynym, sprawiedliwym dziedzicem. Zamczysko znalazł zniszczone, spalone. Wszystko, co drewniane, zgorzało, ale mury i wieże kamienne zostały. Kazał szkody naprawić, nie bardzo ozdobnie, bo mój pan o to nie dba, jeno mocno. I oto nie wiem już, ile lat siedzimy tutaj. Pan czasami jeździ do innych wsi i zamków, ale mnie zawsze zostawia, bo ja tutejszy i od maleńkości u pana służę.

— Tak, tutejszy — potwierdziła Ludmiła. — Przypominam sobie małego, pucołowatego Wicusia z Kacprowej chaty. Ale jakimże cudem tyś ocalał? Ja myślałam, że Tatarzy wszystkich wycięli albo wzięli w łyka.

— Tylko tych, co się schronili w zamku. Ale niektórzy uciekli do boru i tych kilkoro Pan Bóg uratował. Moja matula na pierwszy głos o Tatarach porwała mnie i dalej w puszcze, gdzie oczy poniosą. Żyliśmy długo w jamach, nic nie jedząc, jeno dzikie jagody i korzonki, i trzęsąc się ze strachu. A kiedy krzyki przycichły, wszystko się uspokoiło, to po wielu niedzielach przyzwlekliśmy się tutaj. Zamczysko było rozwalone, pustki, strach, ani żywej duszy. Rychło pan Zyndram zjechał, zaczął odbudowywać, urządzać i moje matczysko wziął do kuchni, ale wkrótce zmarło się nieboracze. Ja służyłem naprzód za pacholka, potem różnie, a teraz pilnuję komory.

— A dobra służba u tego pana? — zapytał Brunon, który chciał wymiarkować, z kim będą mieli do czynienia.

— Oj! — Wincenty machnął ręką. — Między Bogiem a prawdą, służba ciężka. Twardy pan, nie grzech wyznawać, wszak w okolicy wszyscy narzekają. Ludzie gadają, że nasz pan tak podobny do swego brata nieboszczyka, jak sęp do sokoła. Za czasów pana Sulisława dobrze się działo w chałupach i na zamku, a teraz wieczna bieda i pomstowanie. A od śmierci syna...

— On miał syna? — przerwała Ludmiła. — Więc był żonaty?

— Tak, ale to już dawne dzieje. Ledwie zamek naprawił, zaraz przywiózł żonę. Była młodziutka i tak cieniutka, jak łątka. Przy tym zawsze wystraszona. Rok jeno z sobą żyli. Powiadają, że ją pan zamęczył, zahukał, ja nie wiem na pewno, boć to już trzydzieści lat z górą minęło, byłem wtedy głupi. I tak nasz pan ostał się wdowcem, ale na pociechę miał syna, którego okrutnie miłował. I nie dziwota, jedynek. Panicz strasznie swawolił; co z nami wyprawiał, to i strach pomyśleć. Pan był szczęśliwy, spraszał gości, synkowi urządzał popisy konne, harce, aż grzmiało na zamku. Ale gdy panicz skończył czternaście lat, właśnie pan miał go wieźć do króla i sprawił mu złoty pancerz, przyszło nieszczęście. Panicz zachorował, ciało pokryły wrzody i wkrótce poszedł na tamten świat za matką. Od tego czasu pan Zyndram nie może sobie dać rady, nie chce ludzi widzieć. Nawet sam do kielicha zagląda. Nie wiem, jak może mu smakować takie picie! Jedyna jeszcze rozrywka, z której nie zrezygnował, to łowy. Teraz też jest w puszczy, jeno go patrzeć, bo już słońce zachodzi, a powiedział, że na noc wróci. Kazał sobie wieczerzę przygotować. A toż się ucieszy, gdy panią zastanie!

Ludmiła dobrze pamiętała Zyndrama, więc zapytała z niedowierzaniem:

— Tak myślicie? Ucieszy się i puści nas do zamku?

Wincenty zawsze postępował wedle zasad prostej uczciwości, więc zdumiał się jej powątpiewaniem. Składając ręce, zawołał:

— A chyba by nie miał sumienia, gdyby się nie ucieszył tak cudownym powrotem. A jakoż ma nie przyjąć? Wszak pani wraca do siebie.

Przekonanie Wincentego pokrzepiło Elżbietę i Ludmiłę. Rozgadały się ze służącym na dobre. Chciał koniecznie wiedzieć, jakim to sposobem uszły z niewoli. Nagle strażnik na wieży uderzył w trąbę.

— Oho! Pan jedzie! — zawołał Wincenty.

Z lasu wyjechała gromadka myśliwych. Ileż wspomnień ten obraz przywiódł na pamięć Ludmiłę! Tą samą drogą, tylko w bogatszym orszaku, niegdyś ona wracała z łowów

strojna i dumnie patrząca na młodego Zyndrama. Teraz ujrzała wysokiego, chudego i kościstego starca. Jego profil, podobny do drapieżnego ptaka, z latami zarysował się jeszcze ostrzej. Nie było przy nim żadnych panów, żadnych gości, tylko trochę sokolników i psiarczyków, ponurych i biednie odzianych.

— Panie! Co za szczęście! Nasza pani wróciła! — krzyczał radośnie Wincenty, biegnąc naprzeciw jadących.

— Co ty gadasz? Co za pani? — zdziwił się Zyndram, ściągając szare, najeżone jak szczecina brwi.

— Elżuniu! Rusz się, Zyndram jedzie! — Ludmiła błagalnym wzrokiem patrzyła na przyjaciółkę.

— Ach, nic mnie już nie obchodzi, kiedy Jasia tu nie ma. — odparła zrezygnowana Elżbieta.

— Nie mów tak, Elżuniu. Przecież musisz się upomnieć o swoje prawa! A może on wie więcej niż Wincenty?

To ją ruszyło. Podniosła głowę i ujrzała starego, zgorzkniałego mężczyznę.

— Bracie kochany! — zawołała wyciągając ręce. — To ja, Elżbieta. Wracam z niewoli. Powiedz, czy wiesz coś o moim...

Zyndram nie dał jej dokończyć zdania. Uskoczył w bok i wrzasnął:

— Precz stąd, trędowata babo! Kto ci pozwala zbliżać się do mnie? A ty, głupcze — krzyczał na służącego — jak mogłeś ją tu wpuścić?

— Ależ panie, wszak to nasza pani Elżbieta! Wdowa po nieboszczyku, panu Sulisławie!

— Kto? Ta żebraczka? Ten strach na wróble? To ma być moja bratowa? I ty, osłe, w to wierzysz? Wiedz, że od Tatarów nikt nigdy nie wraca!

— Wróciłam, cudem boskim wróciłam! — wołała Elżbieta.

— Łżesz! — krzyknął piorunującym głosem. — Nie oszukasz mnie, włóczęgo. Moja bratowa dawno umarła w niewoli, wiem o tym dobrze. Może chciałabyś jeszcze, abym cię wpuścił na zamek, abym ci wypłacił wiano? — Tu zwrócił się ku łowcom: — Rozpędźcie natychmiast tych obdartusów.

## Z WIEŚCIĄ

— Wiśta! Rychlejże, mój koniku! Rychlej! Wiesz przecie, że to dzisiaj święto. No, prawda, ty tego nie wiesz, ale ruszaj się, to i prędzej odpoczniesz, bo dziś i tobie należy się wypoczynek. — Brunon odwrócił głowę i dodał: — Nie warto przystawać. Już tylko kilometr do Krakowa. Zobaczycie, że jeszcze zmówimy trzy pacierze i dojedziemy, nim procesja wyruszy.

— Procesja — westchnęła Ludmiła. — Jeszcze nigdy nie widziałam procesji... Za naszych czasów jej nie było. Nieprawdaż, Elżuniu, jeszcze nie było?

Elżbieta tylko skinęła głową. Od wyjazdu z Żegnańca nie powiedziała ani słowa. Leżała wyciągnięta na słomie z zamkniętymi oczami, nie reagowała nawet na silne wstrząsy wózka, który podskakiwał po kamienistych krakowskich drożynach i rzucał nią jakby martwym ciałem. Ludmiła ciągle ją otulała, podsuwała słomę pod głowę, chroniąc od stłuczenia. Czasem brała Elżbietę za rękę i zagadywała, aby przerwać to śmiertelne milczenie.

— A kto wie? — odezwał się znieczeka Brunon. — Może zobaczymy to wszystko? Może uda się nam zdobyć jakowy kącik pod kościołem?

— Słyszysz, Elżuniu, zobaczymy procesję! Wiesz, że dzisiaj Boże Ciało?

— A, święto! — Uśmiechnęła się gorzko, jakby chciała powiedzieć: „Dla mnie już nie ma święta”.

— Tak, nie dla wszystkich radosne! — Ludmiła, odpowiadając na jej myśli, ciągnęła: — Myślę o tych, którzy się spalili...

Elżbieta podniosła błędny wzrok i zapytała z roztargnieniem:

— Kto się spalił?

— Jak to? Już nie pamiętasz? Przecież tej nocy, kiedy jechaliśmy nad parowem, pokazała się za lasami wielka luna. Musiały się spalić jakieś ludzkie siedliska. Ach, ta luna była okropna... Przypomniała mi... — tu Ludmiła nagle zamilkła, nie miała odwagi dokończyć zdania.

Pożar przywiódł jej na myśl tatarskie luny, które ją nieustannie ścigały niegdyś na drodze do Żegnańca, ale nie chciała wspominać ani Żegnańca, ani tamtych czasów.

Sytuacja Ludmiły była bardzo trudna. O czym tu mówić z Elżbietą? Jakąkolwiek strunę potrać, każda jęczała. W przeszłości same rany, w przyszłości — pustka. Szukając pogodnego, a raczej obojętnego przedmiotu rozmowy, potoczyła wzrokiem wokoło. Po prawej stronie drogi ciągnęły się uprawne pagórki, po lewej szumiał gęsty, wyniosły las; do samego Krakowa prowadziły odnogi puszczy. Nad lasem widać było grube kłęby dymu, a nawet woń sadzy zalatywała w powietrzu.

— Dziwne — rzekł rozglądając się Brunon. — Może ludzie w lesie wypalają węgle? Ale jakoś dużo tego dymu... Czy mi się zdaje, ale słyszę krzyki. — Powstrzymał nieco konia i nasłuchiwał.

Istotnie, przeraźliwe krzyki rozdzierały powietrze. Po chwili z lasu wybiegło dwoje ludzi. Starzec nie mógł nadążyć. Zdyszana kobieta z roziskrzonymi oczyma wracała się, ciągnęła go, ponaglała. Była jeszcze dosyć daleko, ale podniosła obie ręce i krzyczała wniebogłosy:

— Uciekajta! Tatarzy!<sup>165</sup>

Jadący spojrzeli po sobie. Chyba się przesłyszeli? Jak to? Teraz, kiedy nigdzie nie słychać o wojnie, kiedy ludzie w najlepsze pracują i świętują? I jeszcze w okolicach Krakowa; to jakby piorun spadł z nieba, na którym nie ma żadnej chmury.

Kobieta przez chwilę patrzyła to na wózek, to na starca, zastanawiając się, czy nie lepiej uczepić się wasągu<sup>166</sup>. Ale gdy spojrzała w stronę lasu i zobaczyła jeźdźca na krępym koniu, w żółtawym kożuchu, ze spiczastą czapką na głowie, pędzącego w ich stronę, wpół objęła towarzysza i uciekła na przełaj między pagórki, gdzie oczy poniosą.

Ten widok przywrócił przytomność podróżnym. Niewiasty poderwały się z krzykiem, Brunon puścił konia w cwał. Pędzili jak wichra, ale koń Tatarów był szybszy. Już dopędzał wózka, już para z jego nozdrzy otaczała ramię Ludmiły, która w ostatniej chwili bezwiednie zdarła z twarzy rąbek i obejrawszy się ku Tatarowi, pokazała mu twarz, straszną, poszarpaną szponami trądu. Jeździec zbladł. Z takim wrogiem nie mógł walczyć. Zawrócił konia i uciekł do lasu.

Elżbieta, jakby wskrzeszona niebezpieczeństwem, porwała wpół Ludmiłę, ściągnęła ją do głębi wózka i nakryła swym płaszczem.

— Chodź, ja cię ukryję... Nie mogą mi ciebie zabrać...

Ludmiła spoglądała z przerażeniem w stronę lasu.

— Są daleko — szepnęła. — Ale gotowi strzelać za nami. — Dobrze знаła zwyczaj tatarskie; prawie w tej samej chwili żmijowy świst przeszył powietrze, kilkanaście strzał mignęło obok wózka.

Niewiasty wcisnęły się jeszcze głębiej, skuliły się w kłębek i drżały ze strachu. Brunon wciąż zaciął konia. Nagle obejrzał się i dziwnym głosem zabełkotał:

— Biercie lejce... żywo... bo... ja... nie mogę... — Zachwiał się i upadł na siano zaścielające dno wózka. Nie było czasu do namysłu. Ludmiła chwyciła lejce. Elżbieta, widząc, że strzała na wylot przebiła pierś Brunona, delikatnie ułożyła głowę rannego na swych kolanach i płaszczem zaczęła tamować krew. Od grotu rozchodził się krwawy pierścień, który zamieniał się w coraz obfitsze strugi. — Jezus, Maryja! — jęczał Brunon — Józefie Święty! Wspomóżcie mnie grzesznego! — Spojrzał w niebo szklanym wzrokiem i zamknął oczy.

Ludmiła tymczasem, stojąc na wózku, batem zaciągała konia. Odnalazła w tej chwili całą odwagę i biegłość w kierowaniu zaprzęgiem. Stary, ale jędrny jeszcze konik poczuł tę mistrzowską rękę i poleciał jak błyskawica. Las został w tyle, po bokach migała tylko zieleń pagórków i zagajników. I nagle na tle nieba zarysowały się wieże.

— Dobry Boże! Wszak to Kraków!

<sup>165</sup> *Tatary* (gw.), *Tatarzy* — tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>166</sup> *wasąg* — prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

## TATARZY

Procesja dochodziła do ostatniego ołtarza. Miasto wyglądało odświętnie.<sup>167</sup> Najpiękniej były przyozdobione przedsionki głównych kamienic, dwoma lub czterema słupami oparte o Rynek, w których urządzono ołtarze. Wisiały tam najcudniejsze flamandzkie kobierce, jedwabne płaszcze i złociste rąbki, stanowiące tło świętych obrazów. Na stopniach i dookoła ołtarzy pełno było przedmiotów nie należących właściwie do sprzętu kościelnego, ale znoszono je tam, aby dodać blasku uroczystości. Stały rozmaite naczynia złote, srebrne, miedziane, skrzynki połyskujące rzeźbą i emalią, ryszunki jeszcze z czasów Chrobrego, cudem uratowane od tatarskich rozbojów. Cały Rynek przepęniał aromat ziół i kwiatów. Drogi, po których już przeszła procesja, były usypane różanymi listkami, tak że aż na sąsiednich ulicach pachniało. Na tych ziołach i kwiatkach klęczał wielotysięczny tłum. W święto Bożego Ciała ściągnęli do Krakowa okoliczni włościanie. Wprawdzie w tym roku procesja była pozbawiona większości świeckich blasków, bo książę Leszek załatwił porachunki z Haliczaninem i jeszcze nie wrócił do stolicy. Podczas nieobecności księcia i dwór się rozpieczęścił, mało więc było pań ubranych w baronowskie lub komesowskie korony, mało dworskich paniczów w pelerynkach wycinanych w zęby i bucikach zakończonych szpicem. Brakowało też rycerstwa, którego połyskliwe zbroje, powiewające na wietrze pióropusze i malowane tarcze dodawały świetności corocznemu obrzędowi. Nie było nawet kasztelana, pana krakowskiego, który wyjechał właśnie w tym czasie na Sądeczynę z jakąś pilną sprawą do byłej królowej.

Ale za to mieszczaństwo, nie przyćmione żadnym innym blaskiem, czuło się bardziej niż kiedykolwiek u siebie. Gospodarzyło całym sercem. Już nie wielcy panowie i rycerze, ale członkowie rady i cechu wodzili prawdziwy rej w pochodzie. A pochod ów nie był wcale bezładny i nie uporządkowany. Społeczeństwo średniowieczne składało się z istnej lamigłówki stowarzyszeń wybornie rozgraniczonych, tak że każdy wiedział, jak ma się ubrać, gdzie stanąć i kogo się trzymać. Zgromadzenia szły w niezwykłym porządku; na czele dwóch seniorów, dalej parami stąpali majstrowie, ludzie przeważnie tuści, ze spojrzeniem nieco ostrym i twardym, jakby stworzeni do rozkazywania. Najmłodszy z braci niósł cechową chorągiew, prawdziwe arcydzieło. Za majstrami rażno szli towarzysze, czyli czeladź, jeszcze smukli, ruchliwi, energiczni, tytani pracy. Na koniec tłoczyli się uczniowie, chłopczyka strzelający filuternym okiem, bardzo zabiedzeni, w czapkach przekrzywionych na jedno ucho. Na samym końcu klębił się tłum tak zwanych „włózków”, ludzi, którzy nie mieli określonego rzemiosła, tylko włóczyli się, szukając pracy. Najczęściej spławiali drewno na Wiśle. Nie byli w żadnym cechu, ale nie chcąc jednak wypaść gorzej od innych, dziś na wysokiej tyce zatknęli sobie jakąś poźółkłą szmatę i nieśli ją z powagą, choć niektórzy bogatsi mieszczenie drwili z tej niezwyklej chorągwi. Byli obdarci, zabiedzeni i wyglądali przygnębiająco. Stanowili prawdziwie „szary koniec”, ale za to, gdy huknęli pieśń nabożną, to było ich lepiej słyszeć niż wszystkich innych razem.

Na czele pochodu dostojnie kroczyło wyższe duchowieństwo. Było wiele twarzy opasłych, ale też i wiele oczu mądrych i głów nie od parady. A co za ubiory! Jakie na brzegach sukien koronczarskie cuda, jakie krzyże z szafirów i szmaragdów na piersiach, jaki szron z pereł na ornatach i stułach! O ile ziemia może dworować niebu, znać, że to pierwsi dworzanie Króla Niebieskiego. A najgłębiej, najdalej, wśród migotliwości złotych frędzeli, z wolna kołysał się purpurowy baldachim. W zastępstwie wojewodów i kasztelanów nieśli go konsulowie miasta, towarzyszyli im rajcy, najprzedniejsi kupcy, kwiat obywateli. Wszyscy w długich, różnobarwnych żupanach ściśniętych srebrnymi pasami; w ręku dzierżyli laski ze srebrnymi ptaszkami. Cera u tych mężów była nieco poblakła i nalana od ciągłego siedzenia w ciemnych, sklepionych izbach, ale uśmiech przyjemny i dyplomatyczny, a ruchy dygnitarские. W większości byli to ludzie na drodze do wielkości, protopląści; z nich wywodzili się ci, którzy podnieśli mieszczaństwo krakowskie do prawdziwego patrycjatu. Jedni trzymali złote drzewce i sznury baldachimu, inni troskliwie podpierali znużonego już celebrysa, który się ugiął pod ciężarem złotogłowej kapy naszytej mnóstwem węgierskich klejnotów, jakie królowa Kinga złożyła w darze. Pod jego

<sup>167</sup> *Procesja dochodziła do ostatniego ołtarza. Miasto wyglądało odświętnie.* — opisywany tu atak Mongołów na Kraków w rzeczywistości miał miejsce nie w dniu święta Bożego Ciała, tylko w wigilię Bożego Narodzenia 1287 r., podczas III najazdu mongolskiego na Polskę. [przypis edytorski]

Mieszczanin

stopy wciąż sypano płatki i listki róż. Najmłodsze i najpiękniejsze dziewczynki z krakowskich rodzin pełnymi garściami nabierały je z koszyków i idąc drobnymi kroczkami, co jakiś czas odwracały się z wdzięcznym ukłonem i rzucały je na chwałę Pana. Wkoło, ze złotych gotyckich trybularzy, kłębamii rozchodziła się woń kadzidła, które tajemniczym obłokiem przesłaniało monstrancję.

Niebo, jak gdyby chciało błogosławić ludziom, wyłocilo się przepiękną pogodą. Czyste powietrze niesło pełno radosnych dźwięków; wszystkie dzwony krakowskie były, wszystkie usta śpiewały. Ludzie zapomnieli o krzywdach, troskach dnia codziennego, żadna chmura nie przesłaniała ich oblicza.

Naraz dzwony ucichły, chóry zamilkły. Wierni padli na kolana. Celebrans wziął monstrancję świecącą jak słońce i podniósł wysoko w górę błogosławiąc miastu. W tej ciszy ozwał się huk daleki, podobny do grzmotu. Niektórzy podnieśli oczy, sądząc, że nadchodzi burza. Powstało zamieszanie, ludzie zerwali się z kłęczek, zaczęli się rozstępować, tłoczyć, niektórzy przeciskali się przez ciżbę, torując drogę. Od strony ulicy Wiślanej z szybkością pioruna pędził wóz. Koń był okryty pianą, zziąjany, ciągnął wasąg<sup>168</sup>, który podskakiwał na wyboistej drodze. Na przodzie stała istota o nieczłowieczej twarzy; świstaniem bicza rozpędzała tłum, krzycząc:

— Z drogi! Z drogi!

Kilku śmielszych chłopców skoczyło do konia. Byli przekonani, że poniósł i chcieli chwycić za uzdę, ale w tej samej chwili spostrzegli, że galop jest kontrolowany. Powożąca niewiasta, dojechawszy do Rynku, silnie ściągnęła lejce. Koń stanął jak wryty, trzęsąc się i parskając.

— Ratujcie się! Tatarzy idą! — wrzasnęła nieludzkiem głosem.

Ludzie spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Kilku mężczyzn się roześmiało.

— Wariatka czy co? Skąd by się wzięli Tatarzy?

— Kto ich widział? — zapytał jakiś głos z tłumu.

— My ich widzieliśmy. Gonili nas! Już są na przedmieściu! Zaraz tu będą! Myśmy ledwie uciekli z życiem i to nie wszyscy. Patrzcie! — tu Ludmiła podźwignęła Brunona i zgromadzeni wokół wozu ludzie spostrzegli jego zakrwawioną pierś przeszytą tatarską strzałą.

Wtedy padł na nich strach graniczący z obłędem.

— Jezus, Maryja! Kto nas będzie bronil? Nieszczęśliwa godzina! Zginiemy! Jezu! Jezu! — Tratowano się, pchano, próbowano ratować się ucieczką, ale panika była paraliżująca; tłum wirował w miejscu.

Położenie było naprawdę bez wyjścia, bez nadziei. Choć Tatarzy byli dopiero na przedmieściach stolicy, przerażeni ludzie wszędzie już widzieli tatarskie kołpaki. Pod kościołem Panny Maryi jeden z włóczków, porwawszy chorągiew cechu, powiewał nią, jak mógł najwyżej, nad głowami zgromadzonych i wołał donośnym głosem:

— Co nam przyjdzie z krzyku? W imię Boże, toć przecie trza coś robić! Damy się zarznąć jak te barany? Czy to koniecznie trza mieć blachy na piersiach i wiechę na łbie, aby się bić? A mało tu kramów z żelastwem? Diabeł im pomaga, ja to wiem, ale my mamy Pan Boga. Westchnijmy do Niego, a na pewno nam pomoże. — Śmiałego włóczka wnet otoczyła garstka młodych, odważnych ludzi. — Kto w Boga wierzy, za mną! Chłopy i chłopaki, do kupy! A w garść brać, co się da, a wy, niewiasty, znoście siekiery, noże, a choćby kije i kamienie, co kto znajdzie, jeno żywo! Na miłość boską, żywo!

— Chodźta prędzej! — jedni nawoływali drugich.

— Gdzie? Po co? — dopytywali się ci, którzy nie wiedzieli, co się dzieje.

— Tam się zbroją, każą się bić.

— Kto kazał?

— A no, nie gadajcie, jeno lećcie.

Ile pierwaj było zamętu i osłupienia, tyle teraz zuchwałaj ochoty. Zewsząd wyciągnął się las rąk, chwytano broń, która znalazła się jak na zawołanie. Rzeźnicy pędzili z toporami, płatnerze otworzyli sklepy i wyrzucali miecze, koncerze, łuki, a też i niewiasty, i dziewczki nie próżnowały, znosiły siekiery, młoty, ogromne klucze, różne stare, pogięte żelaziwa i kamykami nabijane pałki.

<sup>168</sup>wasąg — prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

Włóczyk się niecierpliwił, tupał nogą, chorągwią bił o ziemię i krzyczał:

— No! Idziemy! Pozostali nas dogonią. Hej, słyszycie — zwrócił się do spóźnialskich — podążajcie za nami, jeno trzymajcie się kupy. A teraz w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — Rozwinął chorągiew, oparł na ramieniu ciężki berdysz i ruszył sążnistym krokiem, porywając za sobą pierwszy oddział.

## OSWOBODZICIEL

Gromada kobiet i dzieci schroniła się w świątyni Mariackiej. Ten przytułek stał najbliżej, a poza tym wielkie skarpy nowiuieńkich murów i potężne, świecące nowymi, solidnymi okuciami drzwi dawały rękojmię bezpieczeństwa. Siedzieli już trzy godziny. Panowało grobowe milczenie od czasu do czasu przerywane śpiewem pokutnych psalmów lub płaczem dzieci.

— Już nie wrócą. Za długo ich nie ma — prorokował jakiś głos.

— Módlmy się za zabitych. Niedługo i na nas przyjdzie kolej — dodał ktoś inny. Po modlitwie odmówionej szeptem znowu zapanowała cisza.

Wszyscy nasłuchiwali. Niektórzy przyłożyli ucho do ściany, ale grubość murów pochłaniała wszelkie odgłosy. Ktoś zaproponował, by wyjść na wieżę i rozejrzeć się po okolicy, ale okazało się, że dzwonnik zabrał klucze od wieżycowych schodków i przepadł gdzieś bez wieści. Pewnie także poszedł się bić. I w tej ciszy rozległ się dźwięk dzwonu, który drżał w powietrzu czysto i radośnie.

— Gdzieś dzwonią? — zainteresowały się niewiasty.

— Ajuści, dzwonią. Ale gdzie?

— Ja powiadam, że to u norbertanek — stwierdziła jakaś rezolutna białogłowa. — Słuchajta, jak bije równiuteńko, jakby na jakie święto uroczyste!

— Czyżby nasi wygrali? — Niektóre twarze zaczynały nieśmiało się rozjaśniać.

— A może to Tatarzy — ktoś rzucił podejrzenie — chcą nas zwabić w pułapkę. To majstry we wszelakich zdradach.

Oczy znów przygasły, oblicza posmutniały. A dzwon wciąż bił równo i radośnie. Po chwili ktoś mocno zastukał do kościelnych drzwi.

— Boże miłosierny! To Tatarzy! — krzyczały przerażone niewiasty.

Tymczasem dobijano się coraz gwałtowniej, a głos za drzwiami krzyczał:

— Chwalić Pana Boga! Zdusiliśmy ich! A, do licha, otwórzcież! Lecę z taką nowiną i nie chcecie mnie wpuścić! — Głos był młodzieńczy, dźwięczny, drgała w nim jakaś wysoka nuta wyrażająca radość i dumę.

Jednakże ludzie, nadto świadomi piekielnych wybiegów tatarskich, nie chcieli uwierzyć. Ludmiła przypomniała sobie z przerażeniem owe pokrwawione kobiety, które wprowadziły pogan do witowskiego klasztoru. Zerwawszy się ze złożonymi rękami, zaczęła wołać błagalnym głosem:

— Nie otwierajcie! To podstęp! Ja widziałam już takie rzeczy!

Nikt się nie ruszył, tylko jeden z księży podszedł bliżej drzwi i zapytał:

— A ktoś ty taki? Na jakiego świętego cię chrzcili?

Ale chłopak widocznie się niecierpliwił, bo ksiądz nie usłyszał już odpowiedzi. Po chwili wysoko w oknie kościelnym ukazała się jakaś głowa, wszyscy usłyszeli brzęk tłuczonego szkła, a potem ten sam głos:

— Czy już wszyscy pozdychali ze strachu?

Jedna ze starszych niewiast zdobyła się na odwagę i podniosła oczy.

— Matko Boska, co ja widzę! A toż to Grzesio! Czeladnik od nas!

— A dyć prawda! Grzesio! A po co ty tam włożył?

— Nikt ani piśnie, chciałem zobaczyć, czy jeszcze żyjecie? No, wyjdziecie czy nie wyjdziecie? Bo jak nie, to bierz was licho. I bez was będą gody! — To mówiąc wycofał głowę.

Ale wewnątrz kościoła co żywo odsuwano sztaby, drzwi się rozwarły i wszyscy powoli zaczęli opuszczać świątynię. Elżbieta i Ludmiła podniosły oczy do nieba.

— O, Boże! Dziękujemy, że dałeś nam dożyć zwycięstwa naszych!

Przy blasku słońca, wśród rozpromienionej, strojnej rzeszy, wróciła świadomość kalectwa. Struchlały na myśl, że ludzie mogą je odpędzić, nie pozwolić na uczestniczenie



w tej powszechnej radości. Patrzyły dokoła, szukając wnęki czy niszy w murze, gdzie mogłyby się schronić.

Nagle Ludmiła przystanąła.

— Jest! Cela ojca Pawła! Tam jest okienko...

Uradowane zatrzasnęły drzwi za sobą, weszły na kamienną ławę, twarze przysunęły do kraty i powinszowały sobie szczęśliwego pomysłu, bo z tej wysokości wszystko było widać.

Rynek coraz bardziej się zaludniał. Ulice wypełnione były szeleszczącym, tętniącym, barwnym korowodem niewiast i dzieci. Wszyscy pędzili ku Wiślanej, by odszukać ojców, braci, mężów, kochanków. W ich sercach było tyle samo radości z ocalenia miasta, co strachu i niepewności o swoich drogich bliskich, bo gdzież jest zwycięstwo nie okupione stratami?

Na plac, naprzód pojedynczo, potem coraz większymi grupami, zaczęli nadciągać obrońcy; pokrwawieni, usmoleni, w poszarpanych ubiorach, na ciele tu i ówdzie krwawiły rany, ale dusze były pijane ze szczęścia, a piersi biły młotem od uniesienia i tryumfu.

— Chwała Bogu i Pannie Najświętszej! Kraków ocalon!

— I jakoż to tam było? — pytano zewsząd.

— Już to szelmstwo wdzierało się do klasztoru norbertanek! Jedna chwila i furta by pękła — opowiadał jeden z bohaterów.

— A trza wiedzieć — dodał inny — że jedni wdzielali się do klasztoru, a inni bieżeli tutaj, prościutenko na miasto. Ulica pusta, wszystkich wymiotło. Alić przyczaili się my w bramach i jak zastąpili drogę, tak dopiero łotry zdudziały.

— Aha! — rzekła dumnie jedna z niewiast. — Nie spodziewali się zbóje takowego uroczystego przyjęcia!

— Zara też głowy potracili — ciągnął. — Już potem kaźden ich wybijał jak mdłe robactwo.

— Eee, bzdurstwa gadacie — przerwał jakiś okrągłuchny korzennik. — Jakie robactwo? Nie wierzta mu, ludzie, to wcale nie tak łacno poszło; co się na którego natknąłem, to wielkolud. Co za wąsiska! Co za łapy! Ten z przodu rwie, ten z tyłu kole! Powiadam wam, gorzej niż ze stadem wilków. Już to między Bogiem a prawdą było im niewygodnie. Nie mogli sobie strzał puszczać z daleka bezpiecznie, bo my ich politycznie zapędzili w ciemne zaułki. Trzymali się dosyć długo. Próbujem i tam, i siam, ani rusz. Dopiero jak im wojewodę zabili, wszystko się rozsypnęło, jakby im głowę uciął.

— Jak to? Więc wy zabili samego wojewodę?

— A jakoż? Ten włóczek Kulisa go zabił, własną ręką. Piękny widok, nie ma co gadać, pieszy z konnym, człek bezbronny z uzbrojonym Tatarem — to niby Dawid z Goliatem. Alić mu się piękny łup dostał.

— Jakowy łup? Gadajcie!

— A no, koń i ubiór po tym Goliacie. Co za koń! Powiadam wam i nasz biskup na lepszym nie jeździ. A ten ubiór! Jeszczem podobnego nie widział, mieni się cały od srebra i złota jak ornat.

— I wy mu to wszycko dali?

— A jakoż nie było dać? Sam przecie mógł wziąć, kiej zdobył. Ale my jeszcze lepiej zrobili! Zdarli my te cudne sukienki z Tatarzyna i ubrali w nie Kulisa, choć się nieborak bronił, potem wsadzili my go na konia, na tego po Goliacie i tak kazali jechać. Boć to wstyd po wygranej wracać z przywódcą w lachmanach, a tera i my mamy wojewodę, i to jakiego wyzłoczonego jak sam król.

— Ale gdzież jest ten włóczek? Ten wybawiciel? — dopytywali się wszyscy.

I w tym momencie usłyszeli huk podobny do wzbierającej wody. Miasto wypełniła głośna, łoskotliwa muzyka; jedni grali na trąbach, piszczalkach, inni na dudach. Niezbyt zgodnie, ale szczerze, ze wszystkich sił, z całego serca przygrywali zwycięskiemu pochodowi. W stronę Rynku walił niezrachowany tłum. Na czele szli księża, powagą i dostojeństwem torując drogę, za nimi, przez dziesięć rąk niesiona, wieńcami obwieszona, powiewała owa nędzna włóczkowa chorągiew, której spłowiałych barw nikt już teraz zdawał się nie dostrzegać. Za chorągwią, na przepięknym tarantowym koniu, w siodle o wysokim łęku wysadzonym turkusami jechał tryumfator. Miał na sobie tatarski haftowany chałat ze skrzącymi guzami, na głowie spiczastą czapkę obwieszoną perłami,

a w rękę trzymał buławę najeżoną mnóstwem kolców i nabijaną złotem. Był to człowiek w średnim wieku, nieco szczupły, o rysach szlacheckich, w których było dużo siły, ale jeszcze więcej dobroci. Włosy jasne, prawie płowe, po chłopsku w kwadrat obcięte okalały mu twarz, dodając jej pogody i blasku. Obok niego, tuż przy koniu, szedł rosy starzec o twarzy starganej trudem i płakał z radości. Zwycięzca patrzył na niego czule i dobrotliwie.

— No, cóż, ojciec, radzi wy temu wszystkiemu? — zapytał z uśmiechem na twarzy.

— To jego ojciec, Matiasz Kulis — szeptano dokoła.

— Kto, ten stary?

— Tak, ja go znam, on moje drzewo spławił. Całe życie będę klepał, a teraz widzi syna w królewskich szatach. No, kto by pomyślał...

Nagle pochód stanął. Tryumfator wstrzymał konia i wodząc oczami po rzeszy, zapytał:

— A gdzie są te niewiasty, które nas ostrzegły? — Zaczęto szukać, pytać, ale nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Wtedy włóczyk spojrzął w niebo i dodał: — To chyba byli aniołowie, których Pan Bóg zesłał z cudownym ostrzeżeniem!

— A powiadajcież nam — zapytał jeden z rajców, chcąc zaspokoić ciekawość — jak wy zmocowali onego dowódcę tatarskiego? Boć to jednakże nie lada zwycięstwo!

— Proszę dobrodziejów, sam nie wiem. Może dlatego, że ja zawdy modłę się do Najświętszej Pani, to jakoś łąco mi poszło. Wyrwałem mu to oto młocisko i kropnąłem go raz i dwa, że już jeno zipnął. A ja go jeszcze raz po głowie i powiadam: Naści za moją matkę!

— Jak to za matkę?

— A... bo moją matusię Tatarzy wzięli do niewoli, jak ja był jeszcze dzieciak.

— Mój Boże! I wy już jej nigdy potem nie widzieli?

— Nigdy!

— E... cóż to za gadanie? Koszałki-opalki! — zwrócił się jakiś włóczyk do starego Matiasza Kulisa. — A bo to ja raz spotkał waszą babę? Wszak to jej się niedawno zmarło we własnej chałupie? Kto widział, aby ją poganie wzieni?

Matiasz zakłopotany kręcił czapkę w rękę. Na koniec podniósł oczy i nieśmiało powiedział:

— A bo to... to nie mój rodzony... to dziecko znalezione...

— Doprawdy? — zewsząd dobiegały okrzyki zdziwienia. — I nikt o tym nie wiedział?

— A po co miał wiedzieć? Żeby się chłopak sam tera nie wygadał, to by do sądnego dnia żywy duch nie wiedział.

— Ale dlaczego?

— No, już ja wiem dlaczego...

— Ale gdzie wy go znaleźli, Matiaszu? — nalegali ludzie zdjęci ciekawością, ale widząc, że stary nie bardzo chce mówić, zaczęli wypytywać zwycięzcę. — No, gadajcie, gdzie wy się rodzili?

Zanim włóczyk otworzył usta, stary mruknął:

— Okrutnie długa przygoda... I jeszcze może na złe wyjdzie rozgadywać?...

Ale zwycięzca nalegał:

— Tatulu, my już tyle lat cicho siedzimy i cóż nam z tego przyszło? Może kiej ludziom raz powiemy, to i sami na koniec czegoś się dowiemy?

— A no, dobrze... Dziś ty jak król... wszyscy muszom cię słuchać, nawet stary ojciec.

Jan Kulis zaczął opowiadać, ale opowieść rwała się co chwila. Zgiełkliwy tłum napierał coraz bardziej. W gromadce ludzi stojących na uboczu ktoś się odezwał:

— Najlepiej by go było postawić gdzieś wysoko, aby wszyscy mogli słyszeć!

— Wiecie co — wtrącił sprytny czeladnik — wprowadźmy go na wierzch szopy, ona jest umyślnie zrobiona do gadania, każdziutkie słowo stamtąd słyhać, aż het, po rogach Rynku.

— Przednio wynalazł! — I zaraz kilku silnych mężczyzn porwało Jana Kulisa na ramiona. — Tu, tu, nasz łaskawcze. Siądź i rozpowiadaj, ale od samiuchnego początku, bo my wszyscy chcemy słyszeć. Wszyscy! Tu czleka widać po wszach stronach, jak onego bociana, co stoi wedle strzechy.

Zwycięzca pokazał się na ganeczku. Tłum powitał go nowym, jeszcze radośniejszym okrzykiem.

## SPOTKANIE

Włóczek, spojrzawszy na morze głów ludzkich falujące w dole, trochę się zakłopotał. Ścisnął kurczowo dłonie i po chwili zdobył się na odwagę.

— No, i co ja mam gadać? — zaczął nieśmiało.

Jeden z bliżej stojących zawołał:

— Gadaj wszystko!

I wiele innych głosów poparło:

— Tak, wszystko! My chcemy wiedzieć, gdzieś rodzon? Jakowys chleb jadał? Jak ty żył do dzisiejszej chwały? Chcemy wszystko wiedzieć, aby po wiek wieków świat cały pomniał, jaki to człek naszego Krakowa broniał.

Włóczek przesunął ręką po jasnych włosach.

— A juści — odparł — i ja miał ochotę to wszystko wam opowiedzieć, jeno teraz ochota odeszła, bo to... widzicie... bardzo maluśko wiem o sobie, a jeszcze i ta krzynka wygląda jak wierutna bajka. Pan Bóg widzi, że nie kłamię, ale nie kaźden da mi wiarę i jeszcze gotów rozgadywać, że ja zmyślam takowe cuda, aby się ludzie nade mną dziwowali.

— Ale gdzież tam! — oburzyli się mieszczenie, a najbardziej włóczkowie. — Powiadasz: „prawda”, to i prawda. A kto by miał rozgadywać, że Jan Kulis kłamię, na tego my huzia jak na Tatara.

— Tedy słuchajcie. Gdzie się rodziłem, nie wiem, to jeno wiem, że nie tu, w Krakowie.

— O... szkoda! — jęknęli mieszczenie. — Szkoda, że to nie swojak... A z jakowegoż ty miasta?

— Właśnie że nie z miasta. Najdawniejsza rzecz, jaką se przypominam, to wielkie, ciemniusieńkie lasy, a między tymi lasami góra, a na tej górze jakiś dom z wieżami, gdzie ja biegał w cieniuchnych, wyszywanych przyodziewkach. Kręciło się tam dużo ludzi, ale najbardziej pamiętam prześliczną niewiaścę w miękkich sukniach i z perlami na głowie. Ta mnie brała na kolana, do niej mówiłem „matusiu”. I miłowałem ją tak okrutnie... — tu mówca zatrzymał się, jakby połykał krztuszące go łzy.

Słuchacze zaczęli szeptać między sobą:

— Patrzajta go! W kasztelu się rodził, na wieżach mieszkał... Matka jego chadzała w perłach... Sprawiedliwie gadał, że to będzie jak ona bajka o zaklętym królewiczu...

— Była tam i druga białogłowa. Może siostra mojej matki? Gładka dziewczka z długimi, grubymi warkoczami. Ona wymyślała wiecznie ucieszne igraszki. Ach, Boże, jak my się bawili!

Tu znów przerwał, a jeden ze słuchaczy stojący bliżej rusztowania zapytał:

— I same białogłowy siedziały w onym zamku? Męża ni jednego? Nie pamiętacie ojca?

— Ojca? Przypomina mi się jakowys mężczyzna cały w srebrnych blachach, z okrutnym pierzem na głowie. To pierze najlepiej pamiętam, bo zawdy chciałem je złapać, a było za wysoko. Rycerz rzadko przesiadywał w domu, widzę go jak za mgłą; raz jeno nieco lepiej. Było jakoś dużo śniegu, on siedział na koniu i mnie całował, a matusia stała obok i strasznie płakała. Z tego wszystkiego mnie się widzi, że to był ojciec.

— A jakoż się ten rycerz nazywał? Jak się ta góra nazywała? — zapytał jeden z rajców.

— A, żeby to ja pamiętała! Oddałbym połowę żywota, aby wiedzieć, z kim to było i gdzie? Ale nie wiem nic a nic. Byłem wonzas okropnie mały i głupi. Góra to góra, matusia to matusia, ja więcej nie wiedział, o nic się nie troskał. Sprawiedliwie wy powiedzieli: żył ja sobie w rozkoszach jak królewicz. Musiało też być za wiele tego szczęścia, bo je Pan Bóg zabrał od razu..

— I cóż się stało? Kto was po świecie rozniósł? — pytali na wyścigi słuchacze.

— Już tego to wam dobrze nie opowiem. W moich wspominkach leży gęsta, czarna plama. Coś okropnego się porobiło w naszym domu. Pamiętam krzyki, ciemności, to znów czerwone łuny. Kryli my się w jakichś grobach, uciekali, ale gdzie i przed kim? Nie wiem. Według tego, co mi ludzie gadali w późniejszych czasach, to był napad tatarski.

— Aha! Aha! — przytakiwali słuchacze. — A juści! Toć nie mogło być nic innego. No, a potem?

— Potem niby to gdzieś jedziemy. Raz na koniach, to znowu na wozach, a ja zawdy na kolanach u matki. Co się obudzę, spojrzę, to przy nas kręcą się jakoweś czarne strachy. Wszelako z całej ucieczki pamiętam jeno to, że mi było zawdy głodno. Nawet płakać ja nie śmiał, bo matusia precz gadała: „Jasiu, cicho... cicho, jak będziesz płakał, to źli ludzie nas zabiją”. Ach! Między Bogiem a prawdą ja wtedy nie miał czego płakać, jeszcze byłem z matką! Ale i to się skończyło... — westchnął żałośnie. — Matki już nie widzę... Jeno moja ciotka czy jakaś krewniczka wiezie mnie gdzieś przez ogromne pola. A na czym wiezie, to iście śmiech powiedzieć... A prawda czyściuteńka — na wielbłądzie. Wówczas — dobrze pamiętam — tom ja już płakał bez ustanku, bo się precz rwałem do matki. A ciotka wciąż obiecywała, że wrócimy do niej. Ale to było kłamstwo. Do matusi nie wróciłem, a wkrótce i ciotka gdzieś przepadła.

Tu znowu nie mogę dojść do ładu z moimi wspominkami. Kręci mi się po głowie pełno miejsc i ludzi. Naraz jestem w mieście, ale nie tu, w Krakowie, lecz u jakiegoś księdza, który mi powiada, że jest moim wujem. Cudnie tam było u onego wuja! Ławy rżnięte jak w kościele, ksiąg z malunkami całuchny rząd stał na policy<sup>169</sup>. A już sam ksiądz to czysty anioł. Co dnia mi łakocie znosił, a głaskał, a huśtał na nogach. Alem ja mu się źle odpłacał; zawdy byłem nadęty i zabeczany, bom miał złość do ludzi, że mi matkę zabrali. Do wszystkich, nawet i do tego pocziwego księdza, choć nigdy mnie nie mamił. Jakem go sto razy dziennie wypytywał, gdzie zobaczę matusię, to zawdy odpowiadał: „u Bozi”. Więc wziąłem go za rękę i ciągnę do Bozi, a on biedak płacze nade mną. Nie wiem, jak długo siedziałem u tego wujcia — ciągnął włóczek — wiem tylko, że duszno mi było w onych sklepionych izbach. Mnie się chciało pachnących lasów, niebieskiego powietrza, koni. Pewnego dnia przyjechał do wuja obcy mężczyzna i kazał, abym go nazywał stryjkiem. Tego tom się kaducznie bał, bo chłop jak wieża, strasznie suto się nosił i zawdy kupę sług przyprowadzał. Po całych dniach gadał z wujem, a sługi opowiadali, że chce mnie do siebie zabrać, ale wuj się nie zgodził, więc stryj się pożegnał i pojechał precz. Kiedyś wyglądam sobie oknem, a tu idzie sługa stryjowski. Zobaczył mnie i kiwa ręką. Wymknąłem się cichutko z domu, a on powiada: „Znalazłem twoją matkę, czeka na nas pod lasem”. Przeszliśmy mosty i bramy, weszli do lasu, ale zamiast matki znaleźli się tam jakowis ludzie z końmi. Sługa stryjowski siadł na konia, wziął mnie przed siebie i pojechaliśmy gdzieś, ale gdzie, to nawet nie wiem, bo mnie zaraz okręcił płaszczem.

Na trzeci albo i czwarty dzień, już pod zachód słońca, stanęli my nad wielką rzeką. Teraz wiem, że to była Wisła. Na brzegu kolebała się łódź, a w niej siedział mój stryjek. Sługa wniósł mnie do łodzi. Z początku byłem senny, ale pomału świeże powietrze roztrzeźwiło mnie i zacząłem pytać: „Stryjku, czy my jedziemy do matusi? Gdzie matusia?” I tak wkoło. Stryj z początku jeno głowę odwracał, potem raz i drugi mnie odepchnął, aż na koniec złapał mnie i cisnął niby kamieniem. Zrobiło mi się przeraźliwie ciemno, zimno, a potem nie wiem, co się działo.

— I cóż się stało? — dopytywali się słuchacze, czekając na dalszy ciąg opowieści.

— Stryjek po prostu wrzucił mnie do Wisły — odparł Jan Kulis.

— Jak to wrzucił? Przypadkiem czy naumyślnie?

— Chyba naumyślnie. Niech ojciec powie!

— Dajże pokój, chłopcze! — stary Kulis opierał się, jak mógł. — To wstyd wyciągać przed narodem...

Starszyna cechowa obstała mównicę, nalegając:

— No, stary, powiadajcie, jak to było, skąd wyście się tam wzięli, jak na zawołanie?

Zakłopotany włóczek długo się wzdragał, czapkę kręcił w rękach. Powoli jednak uśmiech młodzieńczych wspomnień rozjaśnił jego zwiędłą twarz i wkrótce zaczął cedić słowa przez ramię przybranego syna.

— Dobrodzieje, iście było to dziwowisko, a lepiej powiedziawszy, wyraźna wola boska. Mnie się nie śniło, aby ja kogo miał ratować. Coś inszego leżało mi na sercu. Ja wtedy smalił cholewki do Kachny z Józefowego młyna. Kiej zmierzch zapadał, jam sobie cichutko na tratwie przypluwał, kryłem się w trzcinie, a Kasia przybiegała gaikiem. Tedy m sobie siedział w zaroślu schowany niczym kaczką, serce mi skakało — czekałem na Kasię. Wtem patrzę, ciągnie po Wiśle krypa, a na niej dwóch przewoźników, pośrodku

<sup>169</sup> *polica* (daw.) — półka. [przypis edytorski]

kilku zbrojnych, a wszystko nieznajome. Dziwuję się, bo znam ludzi z jednego i drugiego brzegu. Oni mnie przyczajonego nijak nie mogli widzieć, ale ja ich widział, kieby namalowanych na kościelnych oknach, bo z onej strony, od zachodu, jeszcze trochę dnia czerwieniało. Zobaczył ja tedy, jak jeden z nich w płaszcz zawinął dzieciaka, rozmachał i buch do wody. W imię Ojca i Syna... myślałem, że mi czart figla płata w ślepiach? A tu nie. Dzieciak jeszcze pokazał głowinę z wody, jeden raz, drugi, i już go nie ma, a krypa dalej popłynęła. Wyraźnie usłyszałem, jak jeden ze zbrojnych pytał się zabójcy: „A gdzie się dziecko podziało?” Tamten roześmiał się od ucha do ucha jak wilkołak i powiada: „Jużem się go pozbył”. Ten pierwszy złapał się za głowę i zawołał: „O la Boga! A nuż kto widział?” A wilkołak powiada: „Głupiś! Kto miał widzieć. Ciemno, nie ma żywego ducha. Wszak dzieciak musiał zginąć, nie dziś, to jutro, nie jutro to za kilka niedziel. A toż — powiada — lepiej schować go w wodzie, niż krew przelewać albo go w lochu morzyć głodem”. Aż mnie włosy na głowie stanęły. W tej chwili kępa drzew zakryła krypę, a ja buch do wody. Znałem dno jak własną chałupę. Nie ma tam tęgiego prądu, jeno mielizny i dziury, kiej co rzucisz, to grzęźnie. Dziecko utknęło na piachach w takowym wkleśnięciu, jakby mu anioł kolebkę wyciosał... — Tu stary się rozplakał i podniósł złożone drżące ręce. Wzruszenie odebrało mu głos.

— Czy aby to wam się nie przyśniło — odezwał się jeden z opartych o mównicę podsędków z kpiącym uśmiechem niedowiarka.

Słowa te ubodły młodego włóczka. Zarumienił się z oburzenia, obu rękami chwycił za poręcz i odparł:

— O nie! Wielkie miłowanie przyśnić się nie może! A ja dziś jeszcze miłuję matkę, jakbym wczoraj się z nią rozłączył! Pamiętam sądny dzień tego rozstania. Był namiot, czarny niczym z kiru, wkoło nas ludzie. Matka stała przed namiotem i trzymała mnie na ręku. Wtedy przystąpił do nas jakowyś człek w złotych łańcuchach i błyskających drogo-cennościach i wyciągnął rękę. Nie wiem czemu położył mi ją na głowie. Przestraszyłem się, zacząłem płakać, w tym samym momencie ktoś porwał mnie i wniósł do czarnego namiotu... Usłyszałem jeno, jak matusia krzyknęła rozzwierającym głosem, jeszcze dziś, kiedy wspomnę, to przeszywa mnie dreszcz, krzyknęła: „Jasiu!” — I już jej nigdy nie widziałem.

W tej chwili od strony kościółka świętego Wojciecha dobiegł rozzwierający kobiecy krzyk:

— Jasiu!

Włóczek zbladł jak ściana. Jego twarz pałała od burzliwych emocji.

— To ten sam głos! — zawołał. — To głos mojej matki!

W tej chwili drzwiczki od celi ojca Pawła otworzyły się z trzaskiem i wybiegła z nich Elżbieta z podniesionymi rękami, wołając:

— Jasiu! To ja, twoja matka! Jasiu! Już jestem! Jestem!

Jan pędem błyskawicy znalazł się na dole, ale stracił ją z oczu. Chciał się przebić przez tłum, który ich rozdzielił, ale podsędek chwycił go za ramię i zaklinał:

— Człowieku, co ty robisz? Tobie się wydawało, toć to czyste szaleństwo!

— Nie! Nie! — krzyczał włóczek. — To nie mogło się wydawać! Takiego głosu nie ma nikt na świecie! Puście mnie! Ona tu gdzieś jest... — Przedzierał się przez tłum, który ciasno go otoczył. Ludzie z przerażeniem wołali:

— Uciekaj! To trędowata!

— Żeby miała i sto trądów, puście mnie... Wszak to moja matka!

W końcu przebił się przez ciżbę, spojrział w twarz Elżbiety i padł przed nią na kolana. Wybuchnął rzewnym płaczem.

Elżbieta pochyliła się nad nim, utulała go, szepcząc:

— Jasiu! Moje dziecko, moje najdroższe dziecko! Wstań, niech cię zobaczę! Niechże cię ucałuję!

## ŚWIĘTO

Ludzie, którzy na widok trędowatych rozstąpili się, tworząc ogromne koło, teraz zaczęli podchodzić bliżej, coraz bliżej, żeby nasycić oczy rozczulającym widokiem tego powitania i usłyszeć rozmowę między matką a synem.

— Tedy powracacie aż stamtąd? — zapytał wzruszony Jan.

Niewiasty odpowiedziały:

— Tak, wracamy z niewoli tatarskiej.

Słowa te magiczną siłą przyciągnęły serca. Wszyscy rzucili się ku niewiastom, powtarzając:

— Chyba cudem jakowymś, bo stamtąd nikt nie wraca.

— Oto cud, który nas tu przyprowadził. Elżbieta obnażyła nieco ręce. — Dla trędowatych wszystkie drogi są wolne. Żaden człowiek nie znalazłby sposobu, a Pan Bóg znalazł. To prawda, że sporo wycierpiałymy, ale warto było i dziesięć razy tyle cierpieć, byle doczekać takiego dnia! Prawda, Ludko?

Przyjaciółka nie mogła odpowiedzieć. Ta zawsze silna i harda Ludmiła teraz topniała we łzach. Ze wszystkich trojga, kto wie, czy nie ona była najszczęśliwsza. Czula za troje.

— Ludka! — podchwycił Jan. — To gładkie imię, któregom sobie nigdy nie mógł przypomnieć... Ludko, jakaś ty dla mnie była dobra!

— I dla mnie! — dodała Elżbieta.

Stary Matiasz przypatrywał się w milczeniu pątniczkom. Nagle przetarł oczy i zawołał:

— Patrzajta, ludzie! My chyba oślepli? Przecie to te same niewiasty, co z wózka nas ostrzegły, że Tatarzy idą!

— Prawda, prawda! — wołano dokoła. — Gdzie my mieli oczy? Wszak to nasze wybawicielki!

Wtedy pękła ostatnia zapora. Wiadomo, że uroczystość wielkanocna łączyła zdrowych z chorymi, a cóż dopiero taka cudowna chwila! Wdzięczny tłum zapomniał o niebezpieczeństwie zarazy i rzucił się ku niewiastom. Nowy zawrót ogarnął wszystkie głowy. Jasia gwałtem wsadzono na tatarskiego rumaka, a dla niewiast sprowadzono wózek. Przykryto go kobiercami, uwito na nim baldachim z zieleni, a lud zaprzęgił się do ukwieconego dyszla. Nawet dla Matiasza w rajcowskich stajniach znalazł się piękny wierzchowiec, wprowadzie bez turkusów u siodła, ale z karmazynowym czaprakiem. Znowu huknęła muzyka, znowu chorągwie się podniosły i ten ogromny tryumfalny pochód zaczął przeciągać już nie tylko po Rynku, ale po wszystkich ulicach miasta.

— Niech żyje nasz wybawca!

— Niech żyją branki, które nas uratowały!

— Niech żyje stary Matiasz! — rozbrzmiewały wiwatuujące głosy.

Niektórzy nawet na poczekaniu składali i śpiewali piosenki:

O koniku Tatarczyku

I o włóczku waleczniku

I o matce, i o synku,

Co spotkali się na Rynku.

Inni znów podśpiewywali na skoczniejszą melodię:

Hajda, hajda, jedzie włóczek,

Co Tatarom sprawił huczek.

Hej go weźcie i obnieście,

Po Krakowie, sławnym mieście.

W tłoku, gdzie nie dałoby się wetknąć szpilki, niełatwo było o miejsce odosobnione. Ludmiła co i rusz skłaniała głowę w coraz to inną stronę i odpowiadała na lawinę pytań. Elżbieta rozmawiała tylko z synem. Wpatrywała się w niego bez końca, chciała w tym męskim, dojrzałym obliczu odnaleźć rysy twarzyczki swego Jasia. Nagle spojrzała na ubranie syna i nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie chciała wierzyć własnym oczom.

— Co to, matusiu — zapytał Jan — podobają ci się te pogańskie złotości? Wszak musiałaś się takowym dosyć napatrzeć.

— Nie! To nie to — rzekła Elżbieta i zamilkła. Powstrzymywała ją niepewność. Rumieniła się i bladeła na przemian jak osoba, która odkrywa coś nadzwyczajnego, a temu

odkryciu nie chce wierzyć. Na koniec chwyciła rękę Ludmiły i szepnęła: — Patrz, Ludko, to zupełnie jakby moja robota. Może mnie się tylko zdaje, ale mam wrażenie, że to jedna z onych sukien, które szylałam dla Kałgi.

Ludmiła, przyjrawszy się haftom, zawołała:

— Prawda! Czyżby ktoś wyszywał podobnie, a może to... — tu niewiasty spojrzały po sobie.

— Pokaż rękaw... rękaw... — ponagliła matka. Chwyciła bogato naszyty narożnik rękawa i zawołała: — Jest! Patrz, Jasiu! Oto tu, maczkowym ścięciem wypisałam: *ŚWIĘTY BOŻE BRONŃ KRAKOWA*. Dawaj drugi rękaw... Tu znowu o tobie: *MARYJO I ANIELI STRZEŻCIE JASIA*. To moja robota! Jam na każdej sukni wypisała niemi jakowąś modlitwę i Pan Bóg wysłuchał! Ach, czyż ja mogłam się spodziewać, tam w jurcie dymnej na mrozie i o głodzie, gdy robiłam te ścięgi łzami zraszane, że szyję suknię dla mojego syna? I jeszcze jaką? Suknię zwycięstwa!

Niepiśmienny włóczyk patrzył z pełnym podziwem na tę misterną robotę, ale prawdę mówiąc, nie wiedział, o czym matka mówi.

— Więc tę suknię zdarłeś z przywódcy Tatarów?

— A no tak — powiedział Jan.

— I jakże się ten przywódca nazywał?

— Tęgo, matusiu, nie wiem. — I nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

— Już wiem, co trzeba zrobić! — Ludmiła klasnęła w ręce. — Zapytajmy jeńców, oni nam powiedzą, czy ich dowódcą był sam Kałga, czy też jakiś inny.

Zaczęto szukać niewolników. W okolicach klasztoru nikt o nich nie słyszał. Dopiero gdy pytanie doszło do gromadki czeladników, ci wybuchnęli śmiechem i odrzekli:

— Gdzie są? Tam, gdzie dla nich sprawiedliwe miejsce, w piekle.

— Jak to? Zabiliście ich?

— Ale, skąd znowu? Niełatwo było pilnować ich w tłoku. Takowe ptaszki trza zawdy trzymać w klatce. My zawlekli ich do szopy, do tej przegródki z płomykami. Teraz cały rynek cieszy się onym widowiskiem. Cha, cha, cha! Już za życia siedzą w piekle!

— Wszystko dobrze — odrzekł ktoś ze starszych — ale teraz tu są potrzebni. Wódz chce z nimi pogadać.

Tatarzy, znalazzszy się przed obliczem zwycięzcy, powzięli przekonanie, że już przyszła ich ostatnia godzina. Dumnie podnieśli głowy i z zaciśniętymi zębami czekali na wyrok. Ale zamiast katów pojawiły się dwie niewiasty i przemówiły do nich w tatarskim języku. Dźwięk ojczyściej mowy poruszył jeńców do głębi. Ich stężale rysy w mgnieniu oka odtajały, zmiękły i coś na kształt uśmiechu rozpromieniło surowe twarze Tatarów.

— Jak się nazywał wasz dowódca? W imię wielkiego Tangri zaklinamy was, powiedzcie tylko jego imię.

— Kałga — odrzekli Tatarzy.

Ludmiła jeszcze chciała się upewnić.

— Dobrze... Kałga, ale z jakiego rodu? Czy syn Toktysza i Arguny?

— Tak właśnie, syn Toktysza i Arguny, skąd wy to wiecie? Skąd umiecie mówić po naszymu? — dziwili się jeńcy.

Ludność Krakowa osłupiała, widząc, że niewiasty rozumieją Tatarów. Ten dowód rozproszył ostatnie wątpliwości i nawet podejrzliwy podsędek uwierzył, że branki naprawdę wracają z jasyru.

One tymczasem chciały wy badać, jakim sposobem Kałga znalazł się w Krakowie. Jeńcy długo milczeli, czy z przyrodzonego Tatarom zwyczaju „trzymania języka za zębami”, czy z istotnej nieświadomości, w jakiej prosty żołnierz zwykle pozostaje względem zamiarów i myśli zwierzchnika. Na koniec jeden z nich, zapewne powiernik dowódcy, wyznał, że Kałga od wielu lat marzył o zdobyciu Krakowa, o którym jego nianka opowiadała cuda. Marzył zaś nie bez powodu, niegdyś bowiem w onym Krakowie jego dziad zginął straszną śmiercią i od tamtej pory szukał okazji, by się zemścić. W tym celu, po niemałych wysiłkach, za pozwoleniem wielkiego chana przesiedlił się nad Morze Czarne i wszedł w służbę chana Nogaja<sup>170</sup>. Długo namawiał go na wielką wyprawę do Polski, ale rada nie

<sup>170</sup>Nogaj a. *Kara Nogaj* (zm. 1299) — prawnuk Czyngis-chana, emir Złotej Ordy, organizator m.in. najazdów na Kraków w 1259 i 1287 r. Nie był chanem, ale przez wiele lat sprawował faktyczną władzę w Złotej Ordzie,

zgadzała się, jak widać, z tajnymi zamysłami chana, bo przez całe lata Nogaj nie chciał słuchać o wyprawie nad Wisłę. Na koniec przyszła stosowna pora: książę Halicki zażądał tatarskich posiłków. Nogaj wysłał mu na pomoc trzy oddziały pod przywództwem Kończaka, Kozieja i Kubatena. Kałga ze swoim poczem przyłączył się do nich i już myślał, że pomstę trzyma w ręku. Tu jednak los mu ją usunął. Polski książę Leszek<sup>171</sup> zabiegł drogę wcześniej, niż się można było spodziewać. Ledwie Haliczanie i Tatarzy uszli trzy kilometry za Sandomierz, już pod Goślicami zostali rozbici do szczętu. Ów wymarzony Kraków ciągle pozostawał niedościgły. Kałga widział, że wojna ma się ku końcowi i wtedy postanowił na własną rękę zrobić wycieczkę do Krakowa. Nic nie mówiąc nikomu, nawet księciu Halickiemu, przeprowadził to zuchwałe przedsięwzięcie.

— Ale od wczoraj — ciągnął Tatar — wódz zwątpił we wszystko, i słusznie. Wy temu nie wierzycie, ale ja wam powiadam: czary są nieomyłne. Owa niańka, o której mówiłem, szła dla Kałgi ubrania. Od nich zależało jego życie. Nasi szamani powiedzieli, że kiedy Kałga wdzieje ostatnie z tych ubrań, wszystko się dla niego skończy. Toteż pielęgnował swe szaty, woził je wszędzie i zdawało się, że żyć będzie długo, bo zostało mu kilkanaście. Leżały zwykle w dobrze zamkniętej skrzyni, na osobnym wozie otoczonym strażą. I cóż? Wiózł je szczęśliwie od świętego Bajkału aż tutaj. A wczoraj w nędznej wiosce zginęły! Wieczorem gromada chłopów napadła na nasz tabor. Porwali nam kilka wozów, a wśród nich i ten, na którym były owe święte suknie. Zawróciliśmy natychmiast i dopadliśmy ich w samą porę, właśnie gdy sobie spokojnie wchodzili do wioski. Zdawało się, że wszystko jest w porządku. Jak zwykle podpalono chałupy, ale na nieszczęście ogień rozprzestrzenił się za wcześnie, pierwiej, niż zdołaliśmy odbić nieoceniony łup. Chłopi wyginęli co do nogi, wieś cała poszła w perzynę, ale spłonęły też wozy! Jak żyję, nie widziałem naszego wodza w takim gniewie. Własną ręką pozabijał tych, którzy źle pilnowali wozów i tych, co za wcześnie podłożyli ogień. Ale niewielką odniósł pociechę; ich krew nie przywróciła straconego skarbu. Dziś nad rankiem, kiedy jechaliśmy przez las, obrócił się do mnie i powiedział: „Słuchaj, Tołgan, muszę umierać. Suknia, którą mam na sobie, jest ostatnia. Duchy są nieubłagane... Jeśli już taki wyrok, chcę przynajmniej zginąć walecznie, po mongolsku”. I spełniła się wola duchów — zginął. A ową nieszczęsną suknię widzę na ramionach waszego przywódcy! — Tu zamilkł i rzucił na włóczka jadowne spojrzenie.

Branki słuchały w milczeniu. W tej opowieści była częśćka ich życia. Nie potrafiły wyrazić słowami tego, co czuły. Ludmiła odezwała się pierwsza:

— Więc jednak szaman mówił prawdę?

— Tak — odparła zamyślona Elżbieta. — I także wtedy, kiedy opowiadał o Jasiu. Widział go na tratwie, między rybakami, bo Jasio był już u Matiasza. Dziwny człowiek ten szaman!

## BLISKO NIEBA

Książę Leszek Czarny, ukończywszy wojnę, z wielkim hukiem zjechał do Krakowa na rozprawę.

— Godzi się to w obliczu boskim i książęcym, aby człowiek, który chciał zgładzić moje dziecko, spożywał nadal owoce swego postępku? — pytała Elżbieta. Jej serce spełniała macierzyńska troska i dlatego zdobyła się na pokorną prośbę, aby jej synowi zostało zwrócone dziedzictwo po ojcu.

Książę uznał słuszność żądania, obiecał niezwłoczny zwrot Żegnańca i wszelkiego mienia po Sulisławie, o ile tylko da się to prawnie załatwić. Ale ze stroną prawną było trudniej. Posławszy do Zyndrama list, w którym rozkazywał, aby wszystkie majątności po Sulisławie oddał wdowie i synowi, otrzymał hardą, a nawet oskarżającą odpowiedź:

Czyż mogłem się spodziewać, że mnie, stojącego nad grobem, spotka taka zniewaga? Co za lotr spotwarza moją dobrą sławę? A syn Piastów, którym

w końcu został pokonany przez chana Toktę (zm. 1312) i stracony. Jego zwolennicy utworzyli osobną Ordę Nogajską, a ich potomkowie, lud Nogajów, żyją do dziś na Kaukazie Północnym. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Leszek Czarny (1241–1288) — książę sieradzki i łęczycki, następnie inowrocławski (w latach 1273–1278), wreszcie książę krakowski i sandomierski (od 1279), wnuk Konrada I mazowieckiego oraz Henryka II Pobożnego, przyrodni brat Władysława Łokietka. [przypis edytorski]



ja tyle lat wiernie służyłem, nie dosyć, że mnie pod swoją tarczę obronną nie bierze, to jeszcze mnie potępia bez nijakiego posłuchu.

Na koniec Zyndram pytał z szyderstwem, jakie księżę ma dowody na to, że Elżbieta jest wdową po Sulisławie, a obdarty włóczek jego synem?

Dowodów na szlacheckie pochodzenie Jana nie było. Pogrążyło to obie niewiasty w nieopisaną zgrzyzotę. Nie chodziło im tyle o sam Żegnaniec, co o ludzki szacunek. Nie chciały być obarczone zarzutem oszustwa. Pewnego wieczora wojewoda Krystyn wraz z Janem i niewiastami debatowali nad sposobem rozwiązania tej sprawy. Rozmowa jednak obumierała.

— Ach, jaka szkoda — westchnęła zrezygnowana Ludmiła — że już nie żyje księżę Bolesław, mój zacny opiekun! Ten by nas od razu poznał. Mogłabym mu przypomnieć, o czym ze mną rozmawiał, jak się przekomarzał... To prawdziwe nieszczęście, że po tak długim żywocie zmarł tuż przed naszym powrotem. Teraz wszystko nowi ludzie, nie pamiętają tamtych czasów. Nawet biskup Prandota odszedł na tamten świat. Wszyscy... — tu Ludmiła nagle zamilkła, jakby oszołomiona wielkim odkryciem. — Co ja też gadam? Nie wszyscy! Wszak królowa Kinga żyje! Często prowadziłyśmy z nią poufne rozmowy. Niech jej tylko te rzeczy przypomnimy...

Kasztelan zerwał się i klasnął w ręce, wołając:

— Victoria! W księżnej Kindze ostatnia nadzieja. Już nieraz jednym słówkiem kończyła sprawy, których nasze sądy nie mogły w żaden ludzki sposób rozwiązać. Jedźmy do niej! Co żywo! Wszyscy!

Po niedługich przygotowaniach wyruszono do sądeckiego klasztoru. Schorzałe niewiasty jechały na wózku, mężczyźni konno, Jaś na zdobytym tatarszym<sup>172</sup>. Kasztelan wziął ze sobą kilku sędziów i ławników, bo chciał, aby świadectwo zabrzmiało przed pełnym audytorium; wyjeżdżano więc tłumnie, gwarnie i gorączkowo. Nowy promień nadziei wydobył z serc zapal i siły.

Po drodze wszędzie napotymano ślady po najeździe Tatarów. Ludzie, słysząc o ich ponownym nieprzewidzianym wtargnięciu, wpadli w popłoch. Ciągłe drżeli w obawie, by nie powtórzyła się krwawa niespodzianka. Niejedna wieś świeciła pustkami; mieszkańcy uciekli do obronnych zamków. Na polach rzadko można było spotkać chłopów, a ci, którzy pracowali, odwracali głowy z przerażeniem, nasłuchując tętentu końskich kopyt. Jeden z przypadkowo spotkanych wieśniaków poinformował podróżnych, że księżna Kinga przebywa w Sączu. Spłoszona wieścią o poganach, schroniła się w warownym zameczku w Pieninach razem z kilkudziesięcioma klaryskami. Zmieniono więc drogę i skierowano się ku surowym, dzikim i lesistym Pieninom.

Długa i ciężka podróż bardzo utrudziła niewiasty. Największą przeszkodą były skały niezbyt wysokie, ale spiczaste i pocięte kaskadami z głazów i żwiru. Poniżej szumiał Dunajec, pędzący wąskim wartkim korytem, czasem rozlany w ciche, zdradzieckie jeziora, pod którymi wrzały skryte wiry. Nad jednym z takich ciemnognatowych zwierciadeł zamkniętych górami, wśród lasu i skalistych maczug, znajdowała się niezwykle kształtna opoka. Wąski jej wierzchołek ledwie wystarczał na objęcie warowni, której mury prostopadłe do góry ścięte tworzyły naturalne przedłużenie skały. Mury te były bez okien, ślepe, mroczne, gdzieniegdzie tylko mrugające ciemniejszymi kreskami rozsianych nierówno strzelnic, podobnych do przyrodzonych szczelin w opoce.

Spoza ścian wystrzelała ku niebu jedna jedyna wieża, również pozbawiona okien, bezbarwna, wyglądająca jak iglica wśród najeżonych ostrych szczytów. Budynek wyglądał na nie zamieszkały, martwy. Jednak spoza strzelnic, z owej głuchej wieżycy, niejedno pewnie oko patrzyło podejrzliwie i badało wszystko, co się dzieje w okolicznej krainie, która musiała być stamtąd widoczna jak na dłoni.

Trudności rosły. Do twierdzy prowadziła jedna tylko steczka na kształt wielozwojowej śruby okręcającej się wokoło góry. Tu już wózka nie można było wciągać. Jeśli chodzi o Ludmiłę, znalazła się rada, przywiązano ją do konia i prowadzono z wolna. Ale Elżbieta miała chore nogi i nie mogła podróżować w ten sposób, nie mogła też utrzymać się na koniu. Jan nie zastanawiał się długo, zeskoczył z Tatarszyczka, dźwignął matkę na ramiona i ruszył pod górę, zjednując sobie poklask rozrzuconych towarzyszy podróży.

<sup>172</sup>tatarszyk — tu: koń tatarski. [przypis edytorski]

Długo stali u bramy. Jednakże kiedy kasztelan wymienił swoją godność, kiedy wytłumaczył, że chodzi o rozstrzygnięcie losu nieszczęśliwych, furtka się odchyliła. Widok wnętrza przyjemnie ich zaskoczył. Znaleźli tu życie i ruch jak w ulu, których nikt za murami się nie domyślał. Dziedziniec był przedzielony wieżą i ścianą z kamienia na dwa mniejsze. W pierwszym kręciły się strażę, które miały tam swoje mieszkania, składy żywności i broni, w drugim, wewnętrznym, przebywały mniszki. Podróżni minęli furtkę i weszli na drugi dziedziniec, nadobniejszy niż pierwszy, okolony krużgankami o rzadkich szerokoramiennych słupach, za którymi snuły się klaryski w szarych habitach. Pojawiały się i znikwały jak cienie. Właśnie w tej chwili z głębi lochów zamkowych wyszła stara mniszka zgięta pod naręczem drzewa. Szła w kierunku kuchni. Spostrzegłszy nadchodzące niewiasty, ustąpiła z drogi pokornie i patrząc na nie, uśmiechnęła się, jakby znała je od dawna.

Była bardzo wychudła. Rysy, mocno już wiekiem zaostrome, zdradzały wszakże ślady niepośledniej urody; czarne, powłóczyście spojrzenie zachowało jeszcze cudne błyski. Od całej postaci biła jakaś surowość, którą nieco łagodził miłosierny wyraz twarzy. Przepuściwszy gromadkę, znikła w półmrocznym wnętrzu kuchni, a podróżni wstąpili po schodach do gościnnej izby, gdzie wyszła na ich spotkanie inna zakonnica, stara i mocno brzydka. Zwano ją siostrą Agnieszką.

Kiedy kasztelan opowiedział, że przybyli do księżnej Kingi, aby zasięgnąć jej rady w trudnej sądowej sprawie, siostra Agnieszka wybiegła na krużganek i przechylona przez poręcz zawołała:

— Matko Kingo, to do was goście.

— Zaraz idę, Jagusiu, zaraz — powiedziała stara mniszka, wyjrawszy z kuchni.

I podczas gdy na dole odpasywała fartuch, w izbie górnej podróżni wołali z oburzeniem:

— Czy to możliwe? To jest księżna? I ona drwa nosi? I wy na to pozwalacie?

— Łatwo gadać, moi łaskawcy! — odparła siostra Agnieszka wesoło. — A czy ona pyta o nasze pozwolenie? Ba! Nie tylko drwa nosi, ale pali w piecach, misy umywa. Wszystkie najpodlejsze zajęcia bierze na siebie. Gdzie chodzi o pokorę albo też o umartwienie, tam potrafi oszukać nawet najmądrzych księży. Kiedyś spowiednik kazał jej, aby koniecznie nosiła trzewiki, bo jak chodzi boso, to zaraz okrutnie kaszle. Cóż zrobiła Kinga? Wycięła z nich podeszwy... Tak więc chodzi w trzewikach, ale zarazem boso, jest posłuszna i jednocześnie umartwiona — opowiadała siostra Agnieszka, śmiejąc się serdecznie z rodzajem figlarnego, dzieciennego tryumfu.

Słuchacze mieli ochotę zapytać, co też spowiednik powiedział na ten osobliwy rodzaj posłuszeństwa, ale w tym czasie weszła Kinga. Najpierw podeszła do Elżbiety i Ludmiły, jak gdyby nie zauważyła w pokoju innych, ważniejszych osób, i przywitała się z nimi serdecznie, przygarniając je do siebie i całując. Obie niewiasty drżały w objęciach księżnej. Kasztelan, sędziowie i inni dostojnicy obserwowali w niemym osłupieniu, jak Kinga podnosząc rąbki, odsłaniała kolejno twarze trędowatych i całowała je na powitanie. Potem, nie zważając na ogólne zdumienie, podeszła do pozostałych gości, przywitała się z nimi i poprosiła, aby siedli. Sama wybrała najniższą ławę, ale choć siedziała na szarym końcu, wyglądała jak prawdziwa królowa. Siermiężny habit drapował się na niej bardziej majestatycznie niż dawna purpura. Biała zawijka błyszczała przy jej skroniach, tworząc jakby krąg ze światła.

Kasztelan przedłożył wszystkie trudności związane z odzyskaniem Żegnańca. Kinga słuchała uważnie. Przywykła do trudnych spraw, bo małżonek i dostojnicy zawsze lubili zasięgać jej rady w podobnych sytuacjach.

— Spróbujemy — rzekła — może potrafię wam pomóc.

Tu zwróciła się do Elżbiety i Ludmiły, ale rozmowa szła tępo, niewiasty zachowywały się dziwnie, jak gdyby były nieprzytomne. Wszystkich uderzyła ta zmiana.

— Matusiu, gadajcież śmielej — szepnął przestraszony Jaś. — Ludzie gotowi pomysleć, że my to wszystko nakłamali!

Elżbieta niezwykłym wysiłkiem woli otrząsnęła się z osłupienia i przypomniała sobie kilka szczegółów z poufnej rozmowy, jaką niegdyś w zamkowej komnacie odbyła z księżną. Dokładnie pamiętała ten dzień, kiedy chciały uratować Ludmiłę przed zalotami Zyndrama.

Asceta

Ludmiła dorzuciła ze swojej strony rozmaite słówka i żarty księcia Bolesława. Kinga wszystko potwierdzała. Sędziowie już zaczynali oddychać swobodniej. Jednakże księżna nie dała za wygraną.

— To wszystko — rzekła — nie dosyć. To są dowody dla mnie, a prawdę mówiąc, mnie nie są potrzebne. Ja was bez tego rozpoznałam od razu...

— Jakim sposobem? — pytali ciekawscy.

Ale księżna nie mogła czy też nie chciała tego wyjaśnić; natychmiast wróciła do zasadniczego tematu.

— Tu nie chodzi o mnie, jeno o sędziów. Dla nich trzeba zdobyć dowód, który można dostrzec, rękoma namacać, aby sumienie mogło w nich się ostać bez nijakiej obrazy. Szukajmy jeszcze, na pewno Pan Bóg pomoże. — Tu zwróciła się do Jana. Wyciągała zeń kolejno wszystkie wspomnienia z dziecięcych lat, ale, jak wiemy, te wspomnienia były mętne i w obliczu prawa bezpodstawne.

Kinga potrząsała głową szepcząc:

— To nie żaden dowód... To nam się nie przyda...

Na koniec trafiła na szczegół, który ją zastanowił. Bardzo chciała wiedzieć, czy Jan pamięta napad Tatarów na zamek w Żegnańcu.

— Między Bogiem a prawdą — stwierdził Jan — nie przypominam sobie tego napadu... Strach pomieszał mi w głowie. Ale dobrze pamiętam jedną rzecz, która się stała tegoż dnia i zostawiła mi ciężkie wyrzuty sumienia...

— Jak to? U małego dziecka zgryzota? — dziwiła się księżna. — To budujące!

— A no tak. Wyplatał ja wtenczas matusi psotę. Nie była ona wielka... bywały większe, ale za tamte zawdy przeproszałem, a po tej ostatniej nie miałem czasu ani na wyznanie, ani na przeproszanie...

— I cóż to za psota? — pytano dokoła.

— Matusia miała jakowys zeschnięty kwiat i nie pozwalała, abym się nim bawił. Otóż ja właśnie onego dnia wykradłem go i schowałem.

— Ach, moja róża jerychońska! — krzyknęła Elżbieta. — A ja się tak martwiłam! Nie mogłam w żaden sposób zrozumieć, gdzie ona się podziała. I gdzie ją schowałeś?

Tu Jan opowiedział, jak w sali kolumnowej znalazł kryjówkę, której nigdy pierwiej nie widział, jak wzięła go pokusa pobawienia się zakazanym kwiatkiem i jak przerażony głosami nadchodzących wyrzucił go do kryjówki.

— Więc ona musi tam być — przerwała mu Kinga.

— Ale gdzież tam, proszę księżny. Zamek był spalony, zniszczony. Wszystko zginęło.

— Dlaczego miało zginąć? Wszak ściany były, jak mówicie, z kamienia. Sam opowiadałeś, że stryj tylko naprawił zamek. Musiało się tam wiele ostać. Czemu szukacie innej drogi, kiedy Pan Bóg tę pokazuje? Cóż byście powiedzieli, panowie ławnicy, gdyby się znalazła ona kryjówka, a w niej róża? Wszak to byłby jawny dowód, że Jan włóczek to nikt inny, tylko Jaś, dziedzic Żegnaniński.

— A, juści. To by już było jasne jak na dłoni — odrzekli jednogłośnie sędziowie.

— Cudowny pomysł — zawołały niewiasty. — Jedźmy jak najprędzej do Żegnańca!

Ale Jan nie podzielał ich zapału.

— Czy to można puszczać nasze losy na takowe niepewne próbowanie? A czy to stryjek pozwoli, aby my obszukiwali zamek? Czy da tam wejść, choćby za bramę? A nuż on sam wynalazł kryjówkę...

Kinga położyła mu po macierzyńsku rękę na ramieniu i rzekła:

— Człowieku, uwierz. Do zamku wejdziecie, czy tą, czy inną drogą. Ta kryjówka jest i róża tam jest. I ta róża nie tylko wam się odnajdzie, ale jeszcze się zazieleni.

— Wybaczcie, miłościwa pani! — zaśmiał się kasztelan. — To niemożliwe, aby suche zielsko miało po czterdziestu latach zakwitnąć. To już ponad wszelką wiarę!

— A my wierzymy! — zawołały niewiasty. — Wystarczy, że księżna Kinga to mówi! Wierzymy i będziemy tam szukać onej róży.

Już była pora do wyjścia, bo właśnie przytłumionym głosem odezwał się maleńki dzwonek.

— Oho, czas na modlitwę. — księżna zerwała się skwapliwie i w mgnieniu oka znikła w krążgankach, przez które długim sznurem ciągnęły zakonnice.

Elżbieta i Ludmiła także wyszły. Zbiegły ze schodów bez niczyjej pomocy. Wyprzedziły wszystkich i znalazły się przez chwilę same na środku dziedzińca.

— Czy czujesz to samo? — zapytała Elżbieta.

— To samo... Jezu Chryste! Kiedy mnie całowała — mówiła ożywionym głosem Ludmiła — to wyraźnie czułam, jakoby piorun przeszył mnie całą, od stóp do głowy. Wstrząsnęły mną dreszcze, do tej pory się trzęsę...

W tej chwili nadeszła reszta podróżnych. Kiedy mijali pierwszą furtę, już płynął przez powietrze chór głosów niewieścich. Przytępiony grubością murów brzmiał tajemniczo, jakby pochodził z nieba. Stanęli za bramą warowni. Ludmile podano konia, Elżbietę syn znowu chciał wziąć na barki.

— Czekaj... Spróbuję, chyba potrafię sama. — I wzięwszy się z Ludmiłą pod rękę, szły przodem, z początku nieśmiało, z wolna, sprawdzając swoje siły, a potem coraz raźniej i radośniej.

— Co się stało? Możecie chodzić? Co to znaczy? — towarzysze podróży zasypywali je pytaniami.

— Same nie wiemy, co to znaczy... Od czasu jak nas księżna Kinga pocałowała, jakoś nam się polepszyło...

## RÓŻA JERYCHOŃSKA

Już od trzech dni pod Żegnańcem obozował kasztelan z przyboczną drużyną. Wszystko wskazywało na to, że środki wojenne staną się niedługo potrzebne, bo bramy były zamknięte, zamek milczał jak zaklęty.

Przewidujący lub potajemnie ostrzeżony Zyndram już od wielu dni przygotowywał się do tych „odwiedzina”. Kazał zgromadzić zapasy żywności, spędził do zamku okoliczne chłopstwo, opatrzył solidnie bramę, a mając w obrębie murów studnię, siedział sobie beztrząsco, pewien, że wytrzyma i szturm, i oblężenie.

Zaraz pierwszego dnia kasztelan wysłał chorążego, któremu polecił, by jak najlepiej spełnił swoje poselstwo. Chorąży, człek z przyrodzenia krotochwilny, podjechałszy pod szanice z białym proporczykiem w ręku, oznajmił, że przybył do przesławego pana Zyndrama, pana Czerwonej Rudy, Żegnańca i wielu innych kradzionych imion<sup>173</sup>. Dodał, że przemawia w imieniu kasztelana, który przyjechał w gościnę i prosi o wpuszczenie do zamku. W odpowiedzi usłyszał, że jeśli kasztelan chce być mile przyjęty, niech przybędzie jeno z dworzanami, jak przystało na czas pokoju, a nie z wojskiem jak Litwin albo Tatar.

Te słowa niezmiernie oburzyły posła. Chorąży nagłym ruchem ręki zdarł biały proporczyk z drzewca i depcząc go, zawołał:

— Niech no wasz hardy pan otwiera nam, póki kołatamy, bo jak sobie otworzymy, to będzie źle! Powiadam wam, źle!

Znowu odpowiedziano drwinkami. Rozmowa była bardzo ożywiona, ale bezskuteczna. Brama się nie ruszyła. Zniecierpliwieni rycerze kolejno podjeżdżali pod zamek, wyzywając dzikusa i tchórza, który nie umiał ich ani gościnnie przyjąć, ani swej waleczności dowieść. Nagle pokazał się za blankami sam Zyndram w pełnym rynsztunku, z przyłbicą na głowie i zaczął wyśmiewać rycerzy, którzy zdecydowali się bronić starych, trędowatych bab. Przez długi czas, wedle panującego zwyczaju, wyzywano się i naigrywano wzajemnie. Kiedy zabrakło kłatw i obelg, Zyndram schował się za murami, które zdawały się drżeć od jego śmiechu, a rycerze wrócili do kasztelana, pełni gniewu i zapału do natychmiastowego szturmu.

— Zaczyna kasztelanie — wtrąciła nieoczekiwanie Elżbieta. — Chyba znalazłam sposób, by dostać się do zamku. Przypomniałam sobie podziemne tunele, które prowadziły z Żegnańca do Ilży. Tamtędy właśnie uciekałyśmy, kiedy nas zaskoczyli Tatarzy...

— A gadajcież, kochane matki! — zawołał kasztelan. — Taka nowina to prawdziwy skarb. A to zrobimy staremu niespodziankę!

— I co najważniejsze — dodał jeden z sędziów — zdobędziemy dowód, według mnie, całkiem dostateczny, na to, że zamek należy do tej niewiasty.

Kiedy się ściemniło, kasztelan zostawił większą część wojska pod zamkiem, a sam, wzięwszy niewiasty, Jana, rycerzy i sędziów, z pocztym zbrojnym puścił się lasami do

<sup>173</sup>imię a. imienie — tu daw.: majątek, posiadłość. [przypis edytorski]

Ilży. O świcie byli na miejscu. Kasztelan kazał obudzić dowódcę załogi. Ten zerwał się, zdziwiony i trochę zdenerwowany niespodziewanym przybyciem dygnitarza. Zapytany o podziemne przejście, otworzył szeroko oczy.

Rozmawiano z wysłużonymi żołnierzami, przywołano też starych mieszczan, ale wszyscy tylko wzruszali ramionami. Jednakże pewien staruszek przypomniał sobie, że słyszał od ojca, iż niegdyś pod zamkiem w Ilży ciągnęły się wielkie lochy, które podobno miały osiem czy nawet dziesięć kilometrów długości. Po napadzie Tatarów miasto przez kilka lat leżało w gruzach, okolica zupełnie opustoszała i gdy później ludzie przyszedli na zwaliska, nikt nie mógł owych podziemi odnaleźć.

— Żebyście przynajmniej pokazały — rzekł dowódca z niejakim przekąsem — z której strony miasta czy też zamku schodziło się do tych lochów.

Ale niewiasty nie mogły pokazać. Wyszły z nich wśród pożogi, przerażone i oszołomione tym, co zaszło, poza tym na dworze panował zmrok. Teraz stały niezwykle zakłopotane i rozglądały się dokoła. Wreszcie zatrzymały wzrok na grubej starej baszcie, której kształt wydawał się im dziwnie znajomy. Wskazały na nią mówiąc:

— Kto wie, czy to nie tam?

— Bardzo możliwe — podchwycił dowódca, który już przestał wierzyć w odnalezienie lochów. — Jeśli to przejście gdzieś istnieje, to na pewno w Piekło.

— Jak to w piekło? — zdziwiła się Ludmiła.

— A no tak, ta wieża ma takowe przewanie od czasu onego napadu. Kiedy poganie ją zdobyli, to podobno wyrabiali tam okropności. Ludzie gadają, że było tam istne piekło. A jeżeli tam, jak mówicie, znajduje się wejście, to powinniśmy je znaleźć, bo ta baszta jak stała, tak stoi, wcale nie ruszana — oznajmił dowódca i poprowadził wszystkich w kierunku baszty.

Niewiasty aż krzyknęły z przerażenia. Dobrze pamiętały tę ośmiokątną sklepioną izbę, w której rozegrała się ich życiowa tragedia.

— Piekło — szepnęła Elżbieta. — Prawdziwe piekło! I myśmy były w tym piekło. O, tu na środku stał stół, przy którym pili Tatarzy, tam w rogu płakały dzieci... A tu ława, chyba ta sama co teraz... Pod nią leżały trupy...

— A gdzież jest zejście do lochów? — pytał zniecierpliwiony dowódca.

— Któryś z tych kamieni się podnosi — zastanawiały się niewiasty i przebiegały oczami posadzkę, która była ułożona w czworokąty ze starych, już wyslizganych kamieni.

— O, to ten... niezawodnie ten! — zawołała Ludmiła, tupiąc nogą w jeden z bocznych kamieni. Był nieco ciemniejszy i na brzegach miał ślady wyżłobień.

Natychmiast znalazło się żelastwo i drągi. Mężczyźni zabrali się do pracy, ale głąz się nie zachwiał. Szpary wypełniała ubita ziemia. Trudno było podważyć krawędź. Na koniec z twardym, ostrym zgrzytem kamień podniósł się niczym wieko sarkofagu i ukazał próżnię, czarną jak studnia. Zimne, spleśniałe wyziewy przedostały się do izby.

— Światła! Światła! — krzyknął kasztelan.

Wnet przyniesiono mnóstwo pochodni, świec, huczywa. Oświetlono wejście i powoli zaczęto schodzić po ślimakowych schodach, zatapiając się w czeluści. Niewiasty nieco się zawahały. Ta chwila wiele im przypominała. Ale jakże była odmienna! Teraz już nie Elżbieta niosła Jasia, lecz Jaś sprowadzał matkę, silnie i troskliwie.

— Pamiętasz kapelana? — odezwała się Ludmiła. — On tutaj nas jeszcze, na tych schodach, bronił swym krzyżem. — Nagle uderzyła się w czoło i rzekła: — Za chwilę możemy trafić na niemałą zaporę. Pamiętam, że po dwóch stronach tunelu znajdowały się drzwi. Jeżeli Zyndram zna tę drogę, to na pewno porządnie je zarygłował.

W tej chwili człowiek, który szedł na przodzie z pochodnią, nagle zawrócił.

— O la Boga, co ja tam zobaczyłem! — krzyczał przerażonym głosem. — Chodźta! Patrzejta!

Przy ostatnich stopniach leżały wyłamane drzwi, spod nich sterczała piszczel trzymająca zardzewiały miecz. Była to ręka Ruperta, przywalona drzwiami; czterdzieści lat przeleżał pod tym wiekiem. Dalej dwa trupy splecione w uścisku podpierały ścianę. To Sebastian, ówczesny dowódca Ilży, i jego sędziwa matka. Chcąc utorować drogę, odepchnięto drzwi, wszystko zaczęło się rozpadać, posypały się kości.

Ludmiła rozejrzała się po wnętrzu, podniosła wzrok na sklepienie, potem na schodki i westchnąwszy rzekła:

— Tu po raz pierwszy zobaczyłam Ajdara. — w jej głosie była nuta czułości i rozrzewnienia.

Ruszyli w głąb krużganku.

— Mój Boże! — dziwił się dowódca Ilży. — Ja się nawet nie spodziewałem, że pod nogami mam takową kryjówkę. Chyba cały dzień będziemy szli pod ziemią? Głupstwo zrobiłem, że na czas nie opatrzył i że ludzie z Ilży tutaj wtargnęli. Taka droga to skarb, trzeba ją było dalej trzymać w tajemnicy! Ale ja nie dowierzałem... O! Co ich się tu wali... Jaki to ciekawski naród! Ha! Trudno, już się stało, ale jak wrócę, jak zamknę więź, to już nieprędko się tu kto dostanie.

Kasztelan Krystyn, który był dosyć tęgi, dyszał i wachlował się rękawem.

— Ach, jak tu duszno! — narzekał. — Nie dziwota, od pół wieku loch nie przewietrzany.

— Owszem — odparły niewiasty. — Ale na środku drogi powinna być szczelina. Tylko jej patrzeć. Żeby nie ta szparka, to byśmy się chyba podusili.

Elżbieta co chwila oglądała się na Jana:

— Jasiu, cóż ty taki cichy? — pytała troskliwie.

— Bo mnie się tyle przypomina — odparł w zadumie syn i zakrył twarz rękoma.

— Jest! Jest! — zawołali ludzie, pokazując szparę nad głowami.

— Naprawdę tu się inaczej oddycha! — stwierdził kasztelan i postanowił odpocząć.

Za jego przykładem wszyscy przystanęli. Wypoczynek jednak nie potrwał długo, a to z powodu nieprzewidzianej przeszkody. Szczelina wychodziła na pieczarę, przez którą do podziemia dostało się mnóstwo nietoperzy. Światło pochodni sprawiało, że wpadły w niesłychany popłoch. Z początku wszyscy mieli niezłą zabawę, odpędzając się od nich, ale gdy zaczęły szamotać się, rozbijając o ściany i głowy ludzkie, kasztelan zarządził wymarsz. Nocny korowód jeszcze atakował, kłapiąc skórzanymi skrzydłami.

Niewiasty szły teraz na przodzie, coraz bardziej milczące i zaniepokojone. Przytłaczał je ciężar wspomnień; zdawało im się, że cała przeszłość je goni. Jak człowiek, który ma koszmarny sen, chce prędzej się ocknąć, tak one pragnęły jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Przyspieszyły kroku, tak że Jan ledwie mógł za nimi nadążyć, a mężowie pozostający w tyle dziwowali się nieustannie.

— Dalibóg, te białogłowy idą, jakby nigdy nie chorowały. Czyżby księżna Kinga je uzdrowiła? No, to rzecz niesłychana!

Wreszcie stanęli przed drugimi drzwiami. Były zamknięte, ale na szczęście od wewnętrznej strony. Jak Rupert je zarygłował, tak dotąd stały nietknięte. Przez długą chwilę męczono się nad zardzewiałą zasuwą, aż kasztelan, silny, postawny mężczyzna, położył na niej grubą rękę, i uległa. Otworzono drzwi i znowu pokazały się ślimakowe schodki. Pochód się zatrzymał. W studni zamkniętej od kilkudziesięciu lat powietrze było nie do zniesienia. Kiedy wyziewy nieco przeredniały, wyruszono, by pokonać ostatni już etap.

Kasztelan z dobytym mieczem stanął przy swej drużynie i rzekł półgłosem:

— Zachowujcie się, jak możecie najciszej. A niech każdy ma broń pod ręką, bo pewnie bez bójki się nie obędzie. Te zamkowe lotry chyba nie takie głupie, aby nam dały wejść spokojnie.

Długo mocowano się z kamieniem. Na schodach tłoczyli się ludzie, wszyscy czekali, wstrzymując oddech i patrząc po sobie z niepokojem, bo była to najważniejsza chwila, od tej zasadzki zależało zdobycie zamku. Nagle nad głowami zrobiło się jasno, w górze zabielał czworokąt światła, odwalony kamień spadł z głuchym hukiem. Kasztelan Krystyn pierwszy wysunął głowę. Rozejrzał się dokoła, a po chwili zwrócił się do czekających.

— Co za szczęście! — zawołał z entuzjazmem. — Izba pusta! Bóg nam darzy! Wychodźmy co prędzej, a cicho. — Wyskoczył, a za nim podążyli inni.

Gdy niewiasty znalazły się na górze, stanęły bez ruchu i nie mogły opanować wzruszenia. Była to dawna sypialnia Elżbiety, w której znajdował się ten sam gruby piec, ściany również znajome, tylko poczerniałe i obdarte. Elżbieta dobrze pamiętała, że był tu kłęcznik, kufry, klatki z ptaszkami, jak zwykle w niewieścim alkierzu. Teraz izba świeciła pustkami; w kącie stała ława, pod nią misa z resztkami jadła dla psów. Niegdyś pod ścianą

wyslaną kobiercem, na tle udrapowanych zielonych kotar rozpierało się wykwintne łożo; to było niskie, czarne, zarzucone niedźwiedzimi skórami. Jeśli pan zamku tutaj sypiał, widać, że twardy wiódł żywot.

— Gdzie prowadzą one drzwi? — tym pytaniem kasztelan wyrwał Elżbietę z zadumy.

— Te, deskami zabite, wychodziły na ganek — objaśniała pani domu — te małe na korytarz prowadzący do kuchni i spiżarek, większe do głównej sali.

Kasztelan otworzył drzwiczki, za którymi ciągnął się korytarz i skierował tam kilkudziesięciu ludzi z rozkazem, aby zajmowali tyły zamku. Przez większe drzwi wymknęła się niepostrzeżenie Ludmiła. Ogarnęła ją młodzieńcza fantazja, nieco zaprawiona goryczą wspomnień; pierwsza chciała przywitać niedoszłego narzeczonego i zrobić mu niespodziankę. Spełniło się jej życzenie. Zyndram siedział w sali sam jeden. Jakim sposobem dotąd nie usłyszał odgłosów dochodzących z sypialni, pozostawało to dla niej zagadką. Wprawdzie mury i drzwi były grube, jednakże narobiono tyle hałasu przy podważaniu kamienia, a potem przy wchodzeniu do sąsiedniej izby, że każde czujne ucho powinno odebrać te dźwięki.

Ludmiła nie wiedziała, że Zyndram niedosłyszał na starość. Siedział spokojnie i myślał, że to jego ludzie pracują nad wzmocnieniem fortyfikacji zamku. Skądże zresztą mogło przyjść jakiegokolwiek podejrzenie? Byłby się prędzej spodziewał, że księżyc spadnie z nieba, niż nieprzyjaciel wyjdzie spod ziemi, i to w jego własnej sypialni!

Rozparł się więc spokojnie w wysokim zydlu przy stole na środku sali. Ubrany był ciężko i niedbale, szare włosy sypały mu się jak popiół. Kościstą brodę wsparł na rękę i dumiał zmarszczony, osępiały. Przed nim z drewnianej podstawki wywijał się żółtawy róg napełniony trunkiem.

Cała sala oddychała tą samą pustką i niedbalstwem, co i pierwsza komnata. W czarnym wystyglým kominie nie błyskał żaden płomyk, ściany murszyły się od zielonkawych plam, nie było rzeżanych krzesel ani stołu z fraszkami, tylko płaszcz i stalowa rękawica walały się po ziemi.

Ludmiła jednym spojrzeniem objęła to wszystko i spostrzegła, że Zyndram nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Czyżby nie usłyszał, jak wchodziła. Okrążyła stół, stanęła naprzeciw niego i rzekła z odcieniem ironii w głosie:

— Zyndramie, to ja, Ludmiła. Pamiętasz, kiedyś prosiłeś o moją rękę. Długo się namyślałam, ale teraz zgadzam się, przystaję. Tyś wdowiec, ja wdowa, możemy się pobrać! — tu wybuchnęła gorzkim śmiechem, uniosła nieco rąbek i pokazała mu swoje oblicze.

Była pewna, że Zyndram krzyknie, zerwie się z przerażeniem i ucieknie jak ów Tatar spod lasu. Tymczasem mężczyzna wpatrywał się w nią osłupiałym wzrokiem. Ruszył ręką, jakby chciał się przeżegnać, potem jego twarz stała się biała, oczy się zaszkliły...

Prawdę mówiąc, Ludmiła nie mogła przewidzieć, że żart tak się zakończy. Nie wiedziała, że przez ten czas, który upłynął od spotkania z księżną Kingą, jej twarz, ciągle ukryta pod zasłoną, nie tylko wygoiła się i wygładziła, ale nabrała dawnego uroku i blasku. Toteż teraz, gdy podniosła rąbek, pokazała Zyndramowi twarz cudownie piękną.

Widok znajomej, zeszepeczonej przez lata i chorobę, nie przeraziłby tak Zyndrama, jak widok tej niesamowitej urody, której zachowania czy wskrzeszenia po ludzku nie mógł sobie wytłumaczyć. Przekonany, że widzi ducha Ludmiły, który powraca z tamtego świata, by mu zapowiedzieć rychłą śmierć, spiorunowany i do kości zmrożony byłby może za chwilę padł trupem. Na szczęście otworzyły się drzwi sypialni i wszedł kasztelan z przyboczną drużyną.

Zyndram przetarł oczy. Po chwili oprzytomniał, wstał z godnością i majestatem wielkiego pana i zawołał:

— A to co? Skąd się ci zbóje wzięli? — Potem postąpił ku drzwiom prowadzącym do sieni, krzyżąc: — Hej! Straż, do mnie!

Ale nim zdołał otworzyć drzwi, kasztelan zabiegł mu drogę, położył ciężką rękę na jego ramieniu i rzekł:

— To na próżno. Zamek już wzięty. Nie chciałeś mnie przyjąć, otworzyć bramy, więc wszedłem inną drogą. Trzymajcie go! — Wnet kilkunastu zbrojnych otoczyło Zyndrama.

Kasztelan groził na chybił trafił, nie wiedział, czy zamek jest już wzięty. Prawdę mówiąc, mógł jeszcze się bronić i kto wie, czy nieostrożni goście nie musieliby żalować, że weszli w samą paszczę smoka?

W załodze Zyndrama znajdowało się tylko kilkunastu życzliwych mu ludzi, cała reszta go nie cierpiała i pod przymusem służyła panu. Toteż kiedy wysłańcy kasztelana wypadli na dziedziniec i zawołali, że „pan już wzięty”, nikt nie stawiał oporu, wielu nawet się ucieszyło. Otworzono bramę; na ten znak reszta kasztelańskiego wojska skoczyła z doliny i w mgnieniu oka zamek został opanowany.

Tymczasem Zyndram, widząc, że nikt nie przychodzi mu z pomocą, stał osłupiały, bezbronny. Nie chciał szamotać się na próżno. Zresztą przytomność umysłu już dawno go opuściła. Odurzony, nie myślał o zamku, nie myślał nawet o sobie. Męczył się, zadając sobie pytanie: którędy ci ludzie weszli do jego sypialni? Wyciągał szyję, żeby coś dojrzeć; wszyscy wychodzili zza pieca. Takie odkrycie niczego nie wyjaśniało. Spojrzał po sali, tutaj także działo się coś dziwnego i trudnego do wyjaśnienia. Patrzył i nie rozumiał.

Sędziowie wprowadzili Jana, otoczyli go i nie spuszczała z niego oka. Niewiasty, wiedząc, że za chwilę odbędzie się decydujący moment, próbowały precyzyjnie się do niego.

— Trochę cierpliwości! Nie pomagajcie mi, zobaczymy, czy sam trafi. — powiedział jeden z sędziów. Po chwili zwrócił się do Jana. — No, a teraz powiedz nam, gdzie owa kryjówka.

Jan, stojąc w progu, rozglądał się po sali. W jego oczach można było dostrzec coraz większe, coraz rzewniejsze rozczulenie. Wodził wzrokiem po sklepieniach i murach.

— Tak... — mówił, wracając myślami do lat swojego dzieciństwa — komin jak dawniej... Brakuje dwóch wysokich ław. Na środku stół, dobrze, a naprzeciw było okno... To tam! — krzyknął radośnie, wskazując na lewą stronę framugi.

Elżbieta i Ludmiła odetchnęły z ulgą.

— Tak, to właśnie tam!... Poznał! Wszak widzicie, że poznał!

Jan szedł ku framudze śmiało, bez wahania. Jednakże kiedy stanął pod ścianą, zmieszał się nieco.

— Ta kryjówka musi być gdzieś tu... Ale jak się otwiera? Nie wiem — powiedział wyraźnie zmartwiony.

— I nie może wiedzieć! — zawołała matka. Tylko mój mąż i ja potrafilimy ją otwierać.

Zażądano jednogłośnie, by Elżbieta otworzyła schowek. Jednakże i ją w pierwszej chwili ogarnęła niepewność. Na dolnej części muru nie było oszalowania z dębowych desek. Ściana kamienna szarzała wszędzie jednostajnie... Elżbieta skupiła całą uwagę, dotykała we właściwej kolejności poszczególnych kamieni tworzących ruchomą łamigłówkę. Rysunek szpar był nie zmieniony. Jednak żaden z nich się nie poruszył. Niedługo chodziły z łatwością, dziś pod wpływem czasu i wilgoci oparły się niewieściej dłoni. Ale przy pomocy silnych rąk i ostrych narzędzi zadrgały. Po wyjęciu jednego kamienia inne już wyszły z łatwością, w głębi pokazały się żelazne drzwiczki. Na ten widok okrzyk tryumfu wydobył się ze wszystkich piersi. Jest skarbczyk, więc to wszystko nie było bajką!

— Sprawa wygrana! — krzyčeli ludzie. — Już nie trza niczego więcej!

Zyndram struchlał. Zaczynał rozumieć. Pojął, że w tej ścianie musi być jakiś dowód na to, że nie jest prawnym właścicielem zamku. Uderzył się pięścią w skronie i wycedził przez zęby:

— Jakież ze mnie głupiec! Tyle lat miałem ten kasztel w ręku i nie przyszło mi do głowy, aby w murach poszukać...

Tymczasem Elżbieta zdejmowała źle zadziergnięty łańcuch. Ręce jej drżały ze zdenerwowania, chyba nie mniej niż w chwili, kiedy po raz ostatni go zawiązywała.

— Teraz — rzekła — niech mój syn szuka. — I usunęła się na bok. Może tą biernością chciała dowieść, że jest pewna wygranej. A może pragnęła ofiarować synowi najpiękniejszą chwilę tryumfu?

Jaś zaczął wyjmować rozmaite przedmioty, które sędziowie odbierali z jego rąk i z zainteresowaniem się im przyglądali. Przechowywały się prawie bez uszkodzenia, bo skrytka, wyżłobiona w jednej bryle granitu i wyłożona blachą, zabezpieczała przed pyłem i wilgocią. Pierwszym przedmiotem była długa puszcza.

Sędziowie prowadzący sprawę zapytali Elżbietę, co puszcza zawiera.

— Są w niej dokumenty — oznajmiła bez wahania — pisma książąt i inne ważne papiery dotyczące naszego domu. — Podniesiono wieko. Istotnie były tam rodowe pergaminy, rozmaite akty nadania i umowy.



— To prawdziwy skarb! — ocenił kasztelan.

Potem Jan wydobyl szkatulkę w kształcie kościółka ze spiczastym daszkiem, pokrytą złoceniami i niebieską emalią. Tu upływ czasu najwięcej dał się we znaki; złocenia przyciemniały, emalia nabrała zielonkawego koloru.

— Ach! — zawołała wzruszona Elżbieta. — To skrzynka po mojej matce! W niej przywiozłam kolce<sup>174</sup> i łańcuszki. — Kasztelan zamknął szkatulkę i z uszanowaniem oddał ją Elżbiecie.

Tymczasem Jan wyjmował rozmaite garnuszki, jedne z glinianymi pokrywkami, drugie obwiązane szmatami, a wszystkie ciężkie, wszystkie pełne rozmaitych monet o stemplu co najmniej półwiekowym. Jeden tylko garnuszek był do dna opróżniony.

— To już ostatni — oznajmił Jan. — Już nic nie ma. Gdzież tedy róża? Boże mój, gdzie róża? — Na jego twarzy malował się niepokój. — Czy ją skorupy przytłukły? A może się rozsypała w proch albo zgniła? — Gorączkowym ruchem wyciągnął ręce i zaczął nerwowo obszukiwać głębokie dno kryjówki. Nagle wszyscy usłyszeli jego radosny okrzyk: — Jest!

Wyjął coś maleńkiego, zdmuchnął otoczkę kurzu i podniósł wysoko ręce, pokazując okrągłą, szarawą, skręconą roślinkę.

— Jest! Jest! — powtarzał nie dowierzając własnym oczom. Delikatnie trzymał w dłoniach swoją zdobycz i przyglądał się jej chciwie. — Siedziała w samym rogu, przytulona jak robaczek.

Elżbieta wyjęła różę z rąk syna i całując ją z uniesieniem, powtarzała:

— Jesteś, jesteś, moje szczęście! Jak się to biedactwo skuliło, jak wyszło! Zupełnie jak nasza dola. Ale teraz odżyjesz, moja różyczko, włożę cię do wody... Zmartwychwstaniesz!

Wszyscy chcieli obejrzeć różę. Ludmiła wyjęła drugą, znaną w Jerycho<sup>175</sup>, którą już kiedyś pokazywała sędziom. Teraz mogli porównać obie gałązki. Żegnaniecka, przez czterdzieści lat pozbawiona wody i powietrza, była zdecydowanie mniejsza. W tym momencie jeden z sędziów wznosił ręce i tryumfalnie wykrzyknął:

— Niech żyje nam Jan, syn Sulisława, obrońca Krakowa i prawy dziedzic Żegnańca!

Wszyscy uderzyli w dłonie i odkrzyknęli:

— Niech żyje dziedzic Żegnaniecki!

— A teraz, co powiesz, bratku? — kasztelan zwrócił się do Zyndrama. — Wyszła prawda na wierzch. Kto mógł znać podziemną drogę do zamku? Nikt, jeno właściciele. Kto mógł wiedzieć, jakie rzeczy są tu schowane? Nikt, jeno ci, co je tam włożyli. A tyś nic nie wiedział, boś ty nie pan, lecz wdzierca! Mury świadczą przeciwko tobie! Ziemia rozstępuje się pod tobą! I czy jeno zamek wydarłeś? Tyś chciał prawemu dziedzicowi skrócić święty żywot! Ale Pan Bóg pomieszał twoje szyki. Drżysz, zbrodniarzu!... Ciężki rachunek zdasz przed majestatem Pańskim i przed nami!

Zyndram stał osłupiały. Zdawało się, że nic nie widział i niczego nie rozumiał. Jednak były to pozory; dobrze wiedział, co go czeka. Kątem oka spostrzegł, że strażę uspokojone jego biernym zachowaniem nieznacznie spuściły go z oczu. Niespodziewanie rzucił się ku drzwiom i oznajmił szydlerczo na pożegnanie:

— Kiedy wszyscy są przeciwko mnie, ustępuję. Nie ze strachu, jeno z pogardy. Wszliście jak złodzieje! Nie myślę z wami tu siedzieć. Świat szeroki, kasztelów mi nie brak, bądźcie zdrowi! Już moja noga tutaj nie postanie! — i wyszedł z podniesioną głową.

To przemówienie było nieprzewidziane; tchnęło dumą prawdziwego pana i gospodarza domu. Wszyscy w pierwszej chwili zupełnie stracili głowę, stanęli w bezruchu, zwracając na kasztelana oczy pełne niemego zapytania: „Co robić?” Kasztelan wysłuchał Zyndrama z zainteresowaniem, ale kiedy zobaczył, że wychodzi, krzyknął gniewnie:

— Łapcież go! — i sam rzucił się w stronę drzwi, by udaremnić ucieczkę.

Ale Jan zabiegł mu drogę, zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i całując Krystyna prosił:

— Panie kasztelanie! Ojczulku kochany. Nie przytrzymujcie go! Kiej sam się wynosi, kiej oddaje zamek, to i dosyć. Wszak o to nam chodziło. Niech go Pan Bóg sędzi!

<sup>174</sup>kolce — tu daw.: duże kolczyki. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>w Jerycho — dziś popr. forma odmienna: w Jerychu. [przypis edytorski]

Kasztelan Krystyn po chwili wahania machnął ręką i rzekł dobrotliwie, choć nie bez niechęci:

— Ha! Kiedy sam tak chcesz, to niechże sobie jedzie na złamanie karku. Wszelako dobrze by było sprawdzić, czy ten rabuś naprawdę wyjeżdża.

— Tak, to trzeba zobaczyć — potwierdził Jan i otworzywszy drzwi, pierwszy wyszedł na dziedziniec. Za nim żwawym krokiem podążyli inni.

Zyndram siedział już na koniu, gotów do drogi.

— Kto wierny, ten za mną! — zawołał i ruszył w stronę bramy.

Spomiędzy żołnierzy i chłopów, licznie zgromadzonych na dziedzińcu, mało kto się ruszył, ledwie kilkunastu ponurych obdartusów, związanych z panem złą przeszłością, co żywo dopadło koni. Minęli bramę. Już most tętnił pod nimi. Wtedy tłum ruszył z dziedzińca i zwyczajem gawiedzi chciał zrobić sobie z uciekinierów pośmiewisko. Na moście zaczęto gwizdać, niektórzy już chwyтали kamienie, aby je cisnąć na gromadkę zjeżdżającą z żegnanieckiej góry. Ale Jan wszedł między pospólstwo i głosem włóczka, który umiał porywać tłumy, zawołał rozkazująco:

— Dajcież mu spokojnie wyjechać. To brat mojego ojca!

Ludmiła, która zapomniała zupełnie, że przed Zyndramem odsłoniła swe oblicze, kręciła się między ludźmi bez zastony. Wszyscy ją sobie pokazywali, nie ukrywając zdziwienia.

— Wielki Boże! — szeptano dokoła. — Co się z nią stało? Toż to czysty anioł!

Elżbieta także spostrzegła piękną twarz Ludki, ale nie dowierzając własnym oczom, pomyślała sobie: może ona tylko dla mnie jest taka śliczna, dlatego że ją okrutnie miłuję. Na koniec i Jan spostrzegł odmianę. Stanął porażony i wnet przeniósł oczy na twarz matki. Ale Elżbieta miała na twarzy rąbek, którym się szczerlnie osłoniła przed oczyma ciekawskich. Już po wizycie u księżnej Kingi czuła, że z jej obliczem dzieje się coś dziwnego, ale nie miała czasu sprawdzić.

Syn podbiegł do matki, podniósł dłoń, chcąc zedrzeć zastonę, ale drżąca ręka zawisła w powietrzu, po chwili opadła. Zabrakło mu odwagi. Wtedy Ludmiła, która z dosłyszanych szeptów zorientowała się, o co chodzi, podeszła do Elżbiety i podniosła jej rąbek. Wszyscy wydali jeden okrzyk. Elżbieta była jeszcze piękniejsza niż Ludmiła. To niecodzienne zjawisko polegało na niezwykłym przeobrażeniu cery, przez którą już przebijało nieśmiertelne światło. Choć na rysy ich twarzy nie powróciła młodość, nie wyglądały wcale na swoje lata; nieskalana niewinność wieku dziecięcego i rozumny wyraz najwyższej dojrzałości jaśniały na ich twarzach. W oczach Ludmiły jeszcze pozostała iskierka ziemskiej przewrotności, ale Elżbieta, która zawsze umiała cierpieć i wcześniej utraciła swą piękność doczesną, dziś, w chwili odrodzenia, błyszczała jakimś niesamowitym niebiańskim urokiem.

Jan padł na ziemię i pochylił z szacunkiem głowę, a za jego przykładem wszyscy zgromadzeni mężowie zgięli kolana i twardymi rękami bijąc się w piersi, wołali:

— Święte niewiasty, wstawcie się do Pana za nami grzesznymi.

Elżbieta i Ludmiła aż wzdrygnęły się na te oznaki czci.

— Nie bluźnijcie! — rzekły. — Jesteśmy grzeszne jak wszyscy. Święta jest owa koronna mniszka, której Bóg ofiarował łaskę uzdrawiania.

Tu obie klękły wśród rycerzy i chłopów i zaczęły mówić Litanię do Świętych Pańskich, a wymieniwszy Annę i Magdalenę, męczenniczki Agatę i Łucję, z nagłą umilkły. Na koniec jednocześnie dodały:

— Święta Kingo, módl się za nami!

A wezwanie to, wówczas pierwszy raz wypowiedziane, powtarzało się odtąd bez końca, tak w niebie, jak i na ziemi.

## EPILOG

Dzień był ciepły, choć pochmurny. Gdzieś daleko za wzgórzami musiał spaść ulewny deszcz, bo fala rzeświejszego powietrza musnęła wierzchołki borów. Z każdą taką falą przychodził coraz bardziej przenikliwy zapach lasu. Od zachodu chmury się nieco przeczłodziły i na ziemię przedarła się pręga słonecznego światła. Wnet naprzeciw, od wschodu, pokazała się tęcza. W to tajemnicze, fascynujące zjawisko zapatrzył się podróżnik, który

jechał brzegiem Ilżanki. Jego rosły jabłkowity wierzchowiec przywykł do świątecznych pochodów, bo nie stąpał, ale raczej płynął pod granatowym kropierzem, którego barwne ozdoby, naszywane na kształt mozaiki, zdradzały wenecką robotę.

Jeździec był starcem posuniętym w latach. Jego głowę otaczała wąska obrączka przereźdzonych włosów. Brwi miał jeszcze ciemne i bardzo ruchome, jak zwykle u człowieka, który lubi rozkazywać spojrzeniem, nie słowem. Bo też to musiał być pan możny, dostojnik dzierżący władzę w swych mocnych rękach. Orszak podążający za nim był prawdziwie pański; zwinne giermki, usłużni powiernicy, sokolniki, koniuszowie i mnóstwo pacholąt, a wszyscy, choć w podróży, ubrani niezwykle bogato. Trzymali się kilka kroków za panem, bacząc na każde jego skinienie. Ale pan nie oglądał się, nie dawał żadnych znaków; jechał z wolna, opuściwszy cugle. Mimo sędziwych lat siedział prosto. Srebrne czuby jego obuwia wywijają się hardo ze złocistych strzemion. Czerwona, podbita niebieskimi lisami szuba szeroko się rozchyłała, odsłaniając wydetą pierś, na której kołysał się ciężki krzyż. U czapki z kosztownego futra sterczało czaple pióro przypięte karbunkulem. Pwne oczy wpatrzone w tęczę, a potem w krajobraz, który słał się poniżej, błyszcząły jak drogocenne kamienie. Bo ten krajobraz nasuwał podróżnemu szereg wspomnień, bardzo dalekich, zamglonych i dziwnych, jakby karta wydarta z innego żywota.

Na tle ciemnych lasów stanęła przed nim góra uwieńczona zamkiem o pięciu basztach. Wszystko tak samo, jak przed laty! Przed iloma laty? Trudno się doliczyć... Widział to miejsce w swojej młodości, nawet dwukrotnie; raz kwitnące blaskiem i dostatkiem, drugi raz w rumowiskach i zgliszczach.

A teraz, wszystko tak samo jak za pierwszym razem. Żółta droga wijąca się w dolinie, wysadzana jak niegdys drzewami. I owa ośmiokątna baszta z białą wieżyczką, i ów ganek w mlecznym kamieniu wyżłobiony wisiał po dawnemu na kształt półokrągłej kropielnicy.

Podróżny podjechał bliżej, a na orszak skinął, dając znak, żeby na niego zaczekał. Jeden wszakże stary koniuszy, który nigdy nie odstępował pana w drodze, pojechał za nim i teraz. Pod lasem pan zsiadł z wierzchowca, w milczeniu rzucił koniuszemu cugle, a sam dość rażno, choć nie bez trudu, puścił się wężykowatą drogą prowadzącą do zamku.

Na głównej baszcie nie było już chorągwi ani strażnika, za to pod bramą stał pieńek ze skarboną. Wyżej wysuwała się z muru figura świętego Hioba<sup>176</sup>. Siedział on tam w kamiennej wnęce, pod gotyckim daszkiem, z oczami wzniesionymi ku niebu, z rękami boleśnie wyciągniętymi ku drodze, jak gdyby wzywał pomocy przechodniów. W jego twarzy, w jego całej postaci, choć może zanadto wychudzonej, był ten cudowny wyraz cierpienia, który tak wspaniale potrafili oddać ówczesni mistrzowie. Most był spuszczoney, brama stała otworem. Podróżnik wszedł na most, bramy wszelako nie przestąpił. Nie szukał też nikogo, nie chciał o nic pytać. Tylko przeszłość obchodziła go tutaj, a tę przeszłość znał dostatecznie...

Nagle jego oczom ukazał się starszy mężczyzna z twarzą szlachetną i przyjemną, odziany we franciszkański habit i drewniane sandały.

— Kogo szukacie, dobrodzieju — zagadnął franciszkanin. — A nie można by czym wam usłużyć?

— Nie szukam tutaj nikogo, tylko własnych wspomnień...

— Więc wy tu byli już kiedy?

— Byłem. I znałem ludzi, którzy tutaj mieszkali.

— A dawno to było? Pamiętacie, ile lat temu?

— Lat? A kto by się ich doliczył! Ale na pewno około sześćdziesiątki. Byłem wtedy bardzo młody, wracałem z Ziemi Świętej i podpierałem się kijem jako biedny pielgrzym.

— Jako pielgrzym? To wyście tu przynieśli różę jerychońską?

— A jużci, jam ją przyniósł. Skądże o tym wiecie?

— Na tej górze wszyscy wiedzą o tym cudownym kwiatku — szczycił się franciszkanin. — Chodźcie, to go wam pokażę. Kwitnie w zielonym garnuszku w zamkowej kaplicy.

Nieznamomy wziął się za głowę.

<sup>176</sup>święty Hiob — bohater biblijnej *Księgi Hioba* jest czczony jako święty Kościoła katolickiego; jednym z jego licznych nieszczęść było zachorowanie na trąd. [przypis edytorski]

— Jakoż to? Cały zamek runął; sam widziałem go w gruzach. Dwie cudne panie z anielskim dzieciątkiem zginęły na obcej ziemi, w jasyrze, a takowe suche zielsko przetrwało ich wszystkich.

— Owe cudne panie Bóg przyprowadził na rodzinną ziemię. Leżą tu, w kaplicy, pod wspólnym kamieniem. Syn kazał wyryć na nim napis, który był dla nich przepowiednią:

MIŁOWAŁY SIĘ W PANU, ALBOWIEM JE POŁĄCZYŁ JEDNĄ  
CIERNIOWĄ GAŁĄŻKĄ

— Syn, powiadacie? — zdziwił się starzec. — Więc to złotowłose dzieciątko nie zginęło u pogan? Żyje jeszcze?

— Nie wiem — odpowiedział mnich. — Po śmierci matki i tej, która mu była jakoby drugą rodzicielką, został zupełnie sam. Wszystkie ziemie, wsie, zamki i bogactwa zapisał na własność lazaretu. Zarząd jego polecił nam, franciszkanom, a sam poszedł w świat. Jedni powiadają, że wstąpił do rycerzy świętego Łazarza, gdzie przebył hiobową chorobę i doczekał się godności wielkiego mistrza, inni mówią, że został posługaczem przy lazarecie w Zagościńcu.

— Czemu nie został tu, przy chorych? — dopytywał się podróżny.

— Mój dobrodzieju — odparł zakonnik — większa to ofiara pracować tam, gdzie jest się sługą, niż tam, gdzie jest się panem.

Nieznajomy zadumał się. W końcu pożegnał mnicha głębokim ukłonem i schodząc z zamkowej góry, rozmyślał: Bóg umie z tego samego kielicha wysączyć dla jednych gorzyc, dla drugich radość, co komu potrzebne do zbawienia duszy. Minął kamienną figurkę świętego Hioba, który słał za nim swój miłosierny uśmiech.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/deotyima-branki-w-jasyrze/>

Tekst opracowany na podstawie: Deotyima, Branki w jasyrze, Wydawnictwo Alkazar, Warszawa 1993.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Kierepkę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Dorota Kowalska, Karyna Yurchuk, Paulina Chormańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5307-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).